LISA
KLEYPAS
MAGIA POWROTU
Prószyński i S-ka

Lisa Kleypas

Magia powrotu

Przełożyła
Agnieszka Myśliwy

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału
AGAIN THE MAGIC

Copyright © 2004 by Lisa Kleypas
All rights reserved

Projekt okładki
Ewa Wójcik

Zdjęcie na okładce
© Lee Avison/Trevillion Images

Redaktor prowadzący
Joanna Maciuk

Redakcja
Renata Bubrowiecka

Korekta
Katarzyna Kusojć
Grażyna Nawrocka

ISBN 978-83-8123-668-3

Warszawa 2018

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02–697 Warszawa, ul. Gintrowskiego 28
www.proszynski.pl

ROZDZIAŁ 1

HAMPSHIRE, ROK 1832

Chłopak stajenny nie powinien nawet rozmawiać z córką hrabiego, a co dopiero wspinać się do okna jej sypialni. Bóg jeden wie, co by go spotkało, gdyby został przyłapany. Zapewne by go wybatożyli, a potem przegnali.

McKenna wspiął się po filarze, zacisnął długie palce na żelaznej balustradzie balkonu na pierwszym piętrze, zawisł na niej przez chwilę, po czym podciągnął nogi, stękając z wysiłku, i zahaczył jedną stopę o brzeg balkonu. Zyskawszy podparcie, wyprostował się szybko i przeskoczył przez poręcz.

Przykucnął przed drzwiami, osłonił dłońmi oczy i zajrzał do pokoju, w którym płonęła jedna lampa. Obok toaletki stała dziewczyna, rozczesywała szczotką długie ciemne włosy. Na ten widok poczuł przypływ przyjemności.

Lady Aline Marsden… starsza córka hrabiego Westcliffa. Była ciepła, pełna energii i piękna pod każdym względem. Całe swoje dotychczasowe krótkie życie spędziła w rodzinnej posiadłości w Hampshire, włócząc się po niej, niepilnowana przez rodziców, którzy dawali jej zdecydowanie za dużo swobody. Bo lord i lady Westcliffowie byli zbyt zajęci życiem towarzyskim, by zwracać szczególną uwagę na troje dzieci. Nie stanowili jednak w tym względzie wyjątku wśród rodzin zamieszkujących majątki takie jak Stony Cross Park. Już same rozmiary ich posiadłości sprawiały, że dzieci jadły, spały i bawiły się z dala od rodziców. Co więcej, rodzicielskie obowiązki nie tworzyły żadnej więzi pomiędzy hrabią

a hrabiną. Nie czuli oni szczególnej troski o potomstwo, które zostało poczęte w związku zawartym z pragmatyzmu i bez miłości.

Od dnia, w którym McKenna trafił do majątku w wieku lat ośmiu, przez kolejną dekadę był najbliższym przyjacielem Aline – razem łazili po drzewach, pływali w rzece i biegali boso. W końcu jednak ich relacja zaczęła się zmieniać, ponieważ oboje przestali być dziećmi. Żaden zdrowy, młody mężczyzna nie mógł nie stracić głowy dla Aline, która w wieku lat siedemnastu była najładniejszą dziewczyną, jaką nosiła ziemia.

Gdy McKenna teraz na nią patrzył, szykowała się do snu. Miała na sobie koszulę nocną z białej bawełny, ozdobioną misternymi zakładkami i koronką. Kiedy spacerowała po pokoju, płomień lampy podkreślał zarysy jej kształtnych piersi i bioder widocznych pod cienkim materiałem i mienił się na lśniących sobolową czernią pasmach jej włosów. Uroda Aline była z gatunku tych, które powodowały zatrzymanie serca i trudności z oddychaniem. Same jej rumieńce nadałyby nawet nieatrakcyjnej kobiecie pozory piękna. Ale jej rysy były doskonałe, a do tego cała jaśniała od wymykających się spod kontroli emocji. Jakby tego było mało, natura obdarowała ją jeszcze jednym ozdobnikiem, a mianowicie czarnym pieprzykiem w kąciku ust, który prowokował do flirtu. McKenna dniami i nocami fantazjował o całowaniu tego kuszącego punktu, po którym nastąpiłoby rozkoszowanie się krzywizną jej wydatnych warg. Całowałby ją i całował, aż osłabłaby i zaczęła drżeć w jego ramionach.

Nieraz zastanawiał się, jak to możliwe, że mężczyzna o tak pospolitej aparycji jak hrabia i kobieta o dość przeciętnej urodzie, jaką była hrabina, zdołali stworzyć córkę taką jak Aline, która przedziwnym zrządzeniem losu odziedziczyła idealną kombinację ich cech. Ich syn Marcus miał mniej szczęścia – bardziej przypominał hrabiego swoją szeroką, kanciastą twarzą i masywną budową. Drobna Livia – plotki głosiły, że owoc pozamałżeńskich stosunków hrabiny – była ładna, ale niczym się nie wyróżniała, brakowało jej też promiennej, mrocznej magii siostry.

Obserwując Aline, McKenna znów pomyślał, że nadchodzi chwila, kiedy będą musieli zerwać wszelkie relacje. Ich familiarność wkrótce

mogła stać się niebezpieczna, jeśli już taka nie była. Otrząsając się z rozmyślań, zapukał lekko w szybę. Aline odwróciła głowę, lecz jego widok wcale jej nie zaskoczył. McKenna wyprostował się, przyglądając się jej z napięciem.

Skrzyżowała ramiona na piersi i zmierzyła go gniewnym spojrzeniem. „Idź sobie", wyszeptała do okna. Z rozbawieniem i konsternacją zaczął się zastanawiać, co takiego znów przeskrobał, do diabła. Miał wrażenie, że nie angażował się w ostatnich dniach w żadne psoty ani szkody, nie pamiętał też, by się pokłócili. A w nagrodę kazała mu czekać tego popołudnia dwie godziny nad rzeką.

Pokręcił uparcie głową i pozostał na swoim miejscu. Położył dłoń na klamce i szarpnął nią w subtelnym ostrzeżeniu. Oboje wiedzieli, że gdyby ktoś zauważył go na jej balkonie, to on poniósłby wszelkie konsekwencje, a nie ona. Z tego właśnie powodu – by go nie zdemaskować – z wyraźną niechęcią podeszła do drzwi i je otworzyła.

Nie zdołał powstrzymać uśmiechu na myśl, że jego intryga zakończyła się sukcesem, choć Aline nadal marszczyła gniewnie czoło.

– Zapomniałaś, że umówiliśmy się po południu? – zapytał bez wstępów, obejmując framugę dłonią. Wcisnął ramię w wąski przesmyk i uśmiechnął się do jej ciemnobrązowych oczu. Nawet gdy się garbił, musiała wyciągać szyję, aby spojrzeć mu w oczy.

– Nie, nie zapomniałam. – Jej głos, zazwyczaj wesoły i słodki, brzmiał opryskliwie.

– No to gdzie byłaś?

– A jakie to ma znaczenie?

Przechylił głowę, zastanawiając się, dlaczego dziewczyny lubią bawić się w zgadywanki z chłopcami, którzy wpadli w tarapaty. Żadna rozsądna odpowiedź nie przyszła mu do głowy, więc ostatecznie podjął rękawicę.

– Poprosiłem cię o spotkanie nad rzeką, ponieważ chciałem cię zobaczyć.

– Założyłam, że zmieniłeś nasze plany… bo przecież wolisz towarzystwo innych niż moje. – Na widok konsternacji malującej się

na jego twarzy wykrzywiła niecierpliwie wargi. – Widziałam cię w wiosce dziś rano, gdy byłam z siostrą u modystki.

Odpowiedział ostrożnym skinieniem głowy, przypominając sobie, że faktycznie główny stajenny posłał go rano do szewca z butami do naprawy. Dlaczego, do ciężkiej cholery, Aline poczuła się tym taka urażona?

– Och, nie udawaj durnia! – zawołała. – Widziałam cię z jedną z dziewcząt z wioski, McKenna. Całowałeś ją. Na środku ulicy, żeby cały świat to zobaczył!

Od razu rozjaśniło mu się w głowie. Ależ tak! Towarzyszyła mu Mary, córka rzeźnika. Flirtował z nią tego ranka, tak jak z większością dziewcząt, które znał. Mary zażartowała z niego, a on wybuchnął śmiechem i skradł jej pocałunek. Ten epizod nie miał żadnego znaczenia ani dla niego, ani dla Mary, dlatego też od razu wyrzucił go z pamięci. A to znaczyło, że powodem złości Aline była… zazdrość. Próbował stłumić radość płynącą z tego odkrycia, ale zebrała się ona w słodki ciężar w jego piersi. Do diabła. Pokręcił głową z żalem, zastanawiając się, jak przypomnieć jej to, co już wiedziała – że córka hrabiego nie powinna zwracać uwagi na to, co robi stajenny.

– Aline – zaprotestował, unosząc dłonie, by jej dotknąć, i natychmiast chowając je za plecami. – To, co robię z innymi dziewczętami, nie ma nic wspólnego z nami. My się przyjaźnimy. Nigdy byśmy… Nie jesteś taka… Cholera, przecież nie muszę ci tłumaczyć oczywistego!

Spojrzała na niego tak, jak jeszcze nigdy nie patrzyła – jej brązowe oczy wypełniły się taką intensywnością, że włosy na karku stanęły mu dęba.

– A gdybym była wiejską dziewczyną? – zapytała. – Ze mną też byś to zrobił?

Pierwszy raz w życiu dosłownie oniemiał. Zazwyczaj wiedział, co ludzie pragną od niego usłyszeć, i wykorzystywał to – z wdziękiem umiał wyłudzić ciepłą bułeczkę od żony piekarza czy też wykaraskać się z tarapatów przed głównym stajennym. Ale pytanie Aline… Każda odpowiedź niosła z sobą ogromne ryzyko.

W milczeniu szukał jakiejś półprawdy, którą mógłby ją ułagodzić.

– Nie myślę o tobie w ten sposób – mruknął w końcu, zmuszając się do patrzenia jej w oczy bez mrugnięcia.

– Inni chłopcy myślą. – Na widok jego miny postanowiła kontynuować: – Gdy w zeszłym tygodniu odwiedzili nas Harewoodowie, ich syn William osaczył mnie przy kamiennym murze nad klifem i próbował pocałować.

– Arogancki smarkacz! – krzyknął McKenna w przypływie furii, przypominając sobie przysadzistego piegowatego chłopca, który nie krył się ze swoją fascynacją Aline. – Urwę mu głowę, jak go tu znów zobaczę. Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Nie tylko on próbował – odparła, z rozmysłem dolewając oliwy do ognia. – Nie tak dawno mój kuzyn Elliot ośmielił się bawić ze mną w butelkę…

Urwała z cichym okrzykiem, gdy McKenna chwycił ją za ramię.

– Niech szlag trafi twojego kuzyna Elliota – warknął. – Niech szlag trafi ich wszystkich.

Popełnił błąd, wyciągając do niej rękę. Dotyk jej ramion, takich miękkich i ciepłych pod jego palcami, sprawił, że wszystko w nim stężało. Pragnął więcej, pragnął pochylić się nad nią i wypełnić nozdrza jej zapachem… mydlanym aromatem świeżo umytej skóry, nutą wody różanej, intymnym powiewem jej oddechu. Instynkt nakazywał mu przyciągnąć ją bliżej i przycisnąć wargi do aksamitnej krzywizny jej szyi. Zamiast tego zmusił się, by ją uwolnić. Jego dłonie zawisły w powietrzu. Nie mógł się ruszyć, nie mógł oddychać ani jasno myśleć.

– Nikomu nie pozwoliłam się pocałować – zapewniła go Aline. – Pragnę ciebie… Tylko ciebie. – W jej głosie zabrzmiała nuta żalu. – Ale w tym tempie skończę dziewięćdziesiąt lat, zanim w ogóle spróbujesz.

Nie potrafił ukryć rozdzierającego pragnienia.

– Nie. To by wszystko zmieniło, a ja do tego nie dopuszczę.

Z wahaniem wyciągnęła rękę i musnęła jego policzek czubkami palców. Znał jej dłonie lepiej niż własne. Wiedział, skąd wzięła się każda drobna blizna i każde draśnięcie. W dzieciństwie miała pulchne i często brudne ręce. Teraz jej dłoń była szczupła i biała, a paznokcie schludnie przycięte. Pokusa, by przycisnąć wargi do wnętrza tej

dłoni, była potworna. Zesztywniał, na pozór ignorując pieszczotę jej palców na brodzie.

– Zauważyłam, jak ostatnio na mnie patrzysz – szepnęła, oblewając się rumieńcem. – Znam twoje myśli, tak jak ty znasz moje. Biorąc pod uwagę, co do ciebie czuję, to, kim dla mnie jesteś… czy nie mogę pragnąć jednej chwili… – z trudem znalazła właściwe słowo – ...iluzji?

– Nie – odparł szorstko. – Bo wkrótce iluzja dobiegnie końca i oboje będziemy się czuć przez to jeszcze gorzej.

– Czyżby? – Przygryzła wargę i odwróciła wzrok, zaciskając dłonie w pięści, jakby chciała fizycznie odegnać tę nieprzyjemną prawdę, która im ciążyła.

– Wolałbym umrzeć, niż cię zranić – zadeklarował McKenna ponuro. – A jeśli pozwolę sobie na jeden pocałunek, zdarzy się następny i jeszcze jeden, aż w końcu nie zdołam się powstrzymać.

– Nie wiesz… – zaprotestowała.

– Owszem, wiem.

Przez chwilę wpatrywali się w siebie w milczeniu. McKenna przybrał obojętną minę. Znał Aline na tyle dobrze, by wiedzieć, że jeśli zauważy jakąkolwiek słabość, bez wahania przejdzie do ataku.

W końcu skapitulowała z westchnieniem.

– Dobrze – szepnęła jakby do siebie. Wyprostowała się, a w jej głosie pojawiła się rezygnacja: – Spotkamy się nad rzeką jutro o zachodzie słońca, McKenna? Będziemy puszczać kaczki, rozmawiać i łowić ryby jak zawsze. Tego właśnie chcesz?

Upłynęło dużo czasu, zanim odzyskał głos:

– Tak – potwierdził z wahaniem. Tylko tyle mógł od niej wziąć… i, dobry Boże, było to lepsze niż nic.

Jej wargi wygięły się w tkliwym, ale kpiącym uśmiechu.

– W takim razie lepiej już idź, zanim ktoś cię tu zobaczy. Ale najpierw się pochyl, poprawię ci włosy. Sterczą na samym czubku.

Gdyby nie był tak rozkojarzony, odparłby, że nie ma sensu troszczyć się o jego wygląd. Wracał do swojego pokoju nad stajniami, a wątpił, żeby pięć tuzinów koni, które tam mieszkały, obchodziły jego włosy. Pochylił się jednak z automatu, zawsze bowiem ulegał każdej jej prośbie.

Zamiast wygładzić jego niesforne czarne loki, wspięła się na palce, położyła dłoń na jego karku i przycisnęła wargi do jego warg.

Pocałunek podziałał na niego jak uderzenie pioruna. Jęknął ochryple, a całe jego ciało stężało pod wpływem rozkoszy. O Boże, jej usta, takie pełne i delikatne, szukały jego ust z niezręczną determinacją. Dobrze wiedziała, że teraz za żadne skarby świata się od niej nie oderwie. Jego mięśnie zesztywniały, a on stał obezwładniony przez uczucia, które w nim wzbierały. Kochał ją, pragnął jej ze ślepą młodzieńczą gwałtownością.

Zdołał się kontrolować tylko przez minutę, zanim jęknął pokonany i wziął ją w ramiona.

Jego oddech się rwał, gdy całował ją bez końca, oszołomiony miękkością jej warg. Aline odpowiedziała na jego pieszczoty bez wahania, wyginając się ku niemu i wsuwając palce w jego krótkie kędziory. Przyjemność płynąca z obejmowania jej była zbyt wielka… Nie zdołał się powstrzymać i natarł na jej usta jeszcze mocniej, aż jej wargi rozchyliły się niewinnie. Natychmiast to wykorzystał i musnął językiem jej zęby, a potem wilgotne jedwabiste wnętrze. To ją zaskoczyło – wyczuł jej wahanie i jęknął błagalnie, aż się rozluźniła. Położył dłoń na jej karku i objął palcami głowę, po czym wsunął język głębiej. Krzyknęła cicho i zacisnęła dłonie na jego ramionach, reagując z nagą, nieświadomą zmysłowością, która go zdruzgotała. Pragnął całować i kochać każdą część jej ciała, obdarować ją rozkoszą, która okazałaby się nie do zniesienia. Wiedział, co to pożądanie – nie miał wielu doświadczeń, lecz nie był już prawiczkiem. Nigdy wcześniej jednak nie czuł takiej rozdzierającej mieszaniny emocji i fizycznego głodu… palącej pokusy, której nie mógł ulec.

Oderwał wargi od jej warg i ukrył twarz w lśniącym welonie jej włosów.

– Dlaczego to zrobiłaś? – jęknął.

W jej śmiechu pobrzmiewał ból.

– Jesteś dla mnie wszystkim. Kocham cię. Zawsze cię…

– Sza! – Potrząsnął nią lekko, by ją uciszyć. Odsunął ją od siebie na odległość ramienia i zmierzył gniewnym wzrokiem jej

zaczerwienioną, promieniejącą twarz. – Nigdy więcej tego nie mów. Jeśli to zrobisz, wyjadę ze Stony Cross.

– Uciekniemy razem – kontynuowała beztrosko. – Pojedziemy gdzieś, gdzie nikt nas nie znajdzie…

– Do ciężkiej cholery, czy ty wiesz, jak niedorzecznie to brzmi?

– Dlaczego niedorzecznie?

– Myślisz, że zrujnowałbym ci życie w ten sposób?

– Należę do ciebie – oświadczyła z uporem. – Zrobię wszystko, żeby z tobą być.

Wierzyła w to, co mówi – widział to w jej twarzy. Rozwścieczyło go to i jednocześnie złamało mu serce. Do diabła, przecież wiedziała, że nie da się pokonać różnic pomiędzy nimi. Musiała to zaakceptować. Nie mógł tu zostać i mierzyć się z ciągłą pokusą, wiedząc, że poddanie się jej będzie oznaczało upadek dla nich obojga.

Ujął jej twarz w dłonie, musnął palcami koniuszki jej ciemnych brwi i ciepły aksamit policzków. Ponieważ nie był w stanie zaprzeczyć miłości kryjącej się w tej pieszczocie, powiedział chłodno:

– Teraz wydaje ci się, że mnie pragniesz. Ale to się zmieni. Pewnego dnia zapomnisz o mnie, i to cholernie łatwo. Jestem bękartem. Służącym, i to nawet nie w domu, tylko…

– Jesteś drugą połową mnie.

Umilkł zszokowany i zamknął oczy. Nienawidził własnej reakcji na jej słowa, tego przypływu prymitywnej radości.

– Cholera jasna. Przez ciebie nie będę mógł tu zostać.

Odsunęła się od niego od razu. Krew odpłynęła jej z twarzy.

– Nie. Nie wyjeżdżaj. Przepraszam. Nic więcej nie powiem. Proszę, McKenna… Zostaniesz, prawda?

Nagle poczuł smak nieuniknionego bólu, którego pewnego dnia miał doświadczyć – śmiertelnej rany, którą zada mu zwyczajny akt zostawienia jej. Aline miała dziewiętnaście lat… Został mu jeszcze rok z nią, może nawet mniej. Potem otworzy się przed nią świat, a on stanie się dla niej niebezpiecznym ciężarem. Albo, co gorsza, powodem do wstydu. Będzie chciała zapomnieć o tej nocy. Wyrzucić z głowy to, co powiedziała stajennemu chłopcu na oblanym światłem księżyca balkonie swojej sypialni. Do tego dnia jednak…

– Zostanę tak długo, jak będę mógł – mruknął szorstko.

W ciemnych głębinach jej oczu błysnął niepokój.

– A jutro? – przypomniała mu. – Spotkamy się jutro?

– Nad rzeką o zachodzie słońca – potwierdził.

Nagle poczuł się zmęczony tym niekończącym się wewnętrznym zmaganiem pragnienia z niemożnością posiadania.

Musiała odczytać jego myśli.

– Przepraszam.

Jej zbolały szept spłynął na ziemię łagodnie jak opadające płatki kwiatów, gdy zeskakiwał z jej balkonu.

Gdy McKenna zniknął w mroku, Aline wróciła do środka i dotknęła swoich ust. Opuszki palców głębiej wtarły pocałunek w podrażnioną skórę. Jego usta okazały się nieoczekiwanie gorące, a ich smak – słodki i wspaniały, z nutą jabłek, które musiał ukraść z sadu. Wyobrażała sobie ten pocałunek tysiąc razy, lecz nic nie przygotowało jej na taką zmysłowość.

Chciała, by McKenna dostrzegł w niej kobietę, i w końcu odniosła sukces. Nie czuła jednak triumfu, tylko rozpacz raniącą niczym ostrze noża. McKenna zakładał, że nie rozumie złożoności ich sytuacji, podczas gdy ona rozumiała ją jeszcze lepiej niż on.

Od kołyski nieustannie wpajano jej, że ludzie nie wykraczają poza granice swojej warstwy społecznej. Młodzi mężczyźni pokroju McKenny stanowili dla niej zakazany owoc. Wszyscy od szczytu drabiny społecznej po samo dno rozumieli i akceptowali to – sugestia, że świat mógłby wyglądać inaczej, budziła powszechny dyskomfort. „Równie dobrze moglibyśmy należeć do różnych gatunków", pomyślała z ponurym rozbawieniem.

Z jakiegoś powodu jednak traktowała McKennę inaczej niż wszyscy. Nie należał do arystokracji, to prawda, ale nie był też zwykłym chłopcem stajennym. Gdyby przyszedł na świat w rodzinie szlacheckiej, stanowiłby dumę brytyjskiego patrycjatu. Potworną niesprawiedliwością było to, że został tak pokrzywdzony przez los. Był mądry, przystojny, pracowity, mimo to nie miał szans przezwyciężenia ograniczeń, jakie nakładało na niego pochodzenie.

Przypomniała sobie dzień, w którym przybył do Stony Cross Park – mały chłopiec o nierówno przyciętych czarnych włosach i oczach ni to niebieskich, ni zielonych, w jakimś magicznym odcieniu pomiędzy. Służba plotkowała, że był bękartem dziewczyny z wioski, która uciekła do Londynu, napytała sobie takiej biedy i zmarła przy porodzie. Nieszczęsne dziecko odesłano do Stony Cross, gdzie opiekowali się nim dziadkowie, dopóki nie dopadła ich starcza niemoc. Gdy McKenna skończył osiem lat, oddano go na służbę do posiadłości. Do jego obowiązków należało czyszczenie butów służących, pomaganie pokojówkom w dźwiganiu wiader z gorącą wodą i mycie srebrnych monet przywożonych z miasta, aby hrabia i hrabina nie mieli styczności ze śladami brudu pozostawionymi na nich przez palce kupców.

Nazywał się John McKenna, lecz w domu pracowało już trzech służących o imieniu John. Postanowiono więc, że wszyscy będą się zwracać do chłopca po nazwisku, dopóki nie otrzyma nowego imienia… o którego nadaniu szybko zapomniano i od tamtej pory był po prostu McKenną. Z początku nikt nie zwracał na niego szczególnej uwagi, poza gospodynią, panią Faircloth. Była to szerokolica kobieta o różowych policzkach i dobrym sercu, która stała się dla chłopca namiastką rodzica. Nawet Aline i jej młodsza siostra Livia częściej zgłaszały się z problemami do pani Faircloth niż do własnej matki. Niezależnie od natłoku zajęć gospodyni zawsze znajdowała chwilę dla dziecka – by opatrzyć zraniony palec, zachwycić się pustym ptasim gniazdem znalezionym podczas spaceru czy skleić połamaną zabawkę. To pani Faircloth czasami zwalniała McKennę z obowiązków, by mógł pobawić się z Aline. Takie popołudnia były dla chłopca wytchnieniem od pełnej obowiązków egzystencji małego służącego. „Musisz być miła dla McKenny – zganiła pani Faircloth Aline, gdy dziewczynka naskarżyła na niego, bo połamał malowany wózek jej lalki. – On nie ma rodziny, nie ma ładnych ubrań ani nie dostaje na kolację takich przysmaków jak ty. Zazwyczaj, gdy ty się bawisz, on pracuje na swoje utrzymanie. A jeśli popełni za dużo błędów lub zyska opinię niegrzecznego, zostanie odesłany i nigdy więcej go nie zobaczysz”. Aline wzięła sobie te słowa do serca i od tamtego dnia starała się chronić McKennę. Brała na siebie winę

za jego psoty, dzieliła się z nim słodyczami, które starszy brat czasami przywoził jej z miasta, a nawet zmuszała go do odrabiania z nią lekcji, które zadawała jej guwernantka. W rewanżu McKenna nauczył ją pływać, puszczać kaczki na wodzie, jeździć konno i gwizdać na źdźble trawy naprężonym pomiędzy kciukami.

Wbrew temu, w co wszyscy, nawet pani Faircloth, wierzyli, Aline nigdy nie traktowała McKenny jak brata. Siostrzane uczucie, które żywiła do Marcusa, w żadnym razie nie przekładało się na jej relację z McKenną. John był jej drugą połową, jej kompasem, jej azylem.

Niemal naturalną koleją rzeczy, dorastając, zaczęła odczuwać do niego fizyczny pociąg. I nie różniła się pod tym względem od całej żeńskiej populacji Hampshire. McKenna wyrósł na postawnego mężczyznę o uderzającej urodzie. Miał wyraziste rysy twarzy, długi i prosty nos, szerokie wargi. Czarne włosy opadały mu na czoło gęstą falą, spod której spoglądały niezwykłe turkusowe oczy, ocienione fantazyjnie rzęsami. Jakby tego było mało, cechowały go swoboda i wyrafinowane poczucie humoru, dzięki którym stał się ulubieńcem w majątku i sąsiedniej wiosce.

Miłość do McKenny nakazywała Aline pragnąć niemożliwego – być z nim zawsze, stać się dla niego rodziną, której nigdy nie miał. Ale wiedziała, że będzie musiała zaakceptować życie, jakie wybrali dla niej rodzice. Choć małżeństwa zawierane z miłości nie spotykały się już z takim sprzeciwem członków arystokracji, Marsdenowie wciąż obstawali przy tradycji aranżowanych mariaży. Aline doskonale rozumiała, co ją czeka: gnuśny mąż arystokrata, który wykorzysta ją do płodzenia dzieci, a w zamian przymknie oko, jeśli weźmie sobie kochanka dla rozrywki pod jego nieobecność. Każdego roku będą spędzać sezon w Londynie, latem będą odwiedzać wiejską posiadłość, a jesienią – polować. Będzie widziała wokół ciągle te same twarze i słyszała te same plotki. Nie dozna nawet radości macierzyństwa, ponieważ jej dziećmi zajmie się służba, a gdy będą większe, zostaną odesłane do szkoły z internatem, jak Marcus. „Całe dekady pustki – rozmyślała ponuro. – A najgorsza będzie świadomość, że McKenna gdzieś tam żyje i powierza swoje myśli i marzenia innej”.

– Boże, i co ja mam robić? – szepnęła wzburzona, osuwając się na przykryte brokatem łóżko.

Objęła poduszkę i wcisnęła podbródek w jej puchową miękkość, podczas gdy w jej głowie trwała gonitwa zuchwałych pomysłów. Nie może go stracić. Na samą myśl o tym cała się zatrzęsła, poczuła dziką rozpacz i miała ochotę krzyczeć.

Odrzuciła poduszkę na bok, przewróciła się na plecy i wbiła niewidzący wzrok w ciemne fałdy baldachimu nad głową. Jak ma zatrzymać McKennę w swoim życiu? Próbowała wyobrazić sobie, że po ślubie bierze go sobie na kochanka. Jej matka przecież też miewała romanse… jak wiele dam. Ich zachowanie nie wzbudzało protestów, dopóki były dyskretne. Wiedziała jednak, że McKenna nigdy nie zgodzi się na taki układ. Nie uznawał półśrodków… Nigdy nie zgodziłby się dzielić nią z kimś innym. Mógł być tylko służącym, ale był tak samo dumny i zaborczy jak każdy inny mężczyzna.

Nie wiedziała, co robić. Czuła, że wybór jest tylko jeden: kraść każdą chwilę z nim, dopóki los ich nie rozdzieli.

ROZDZIAŁ 2

Po swoich osiemnastych urodzinach McKenna zaczął się zmieniać w zdumiewającym tempie. Rósł tak szybko, że pani Faircloth irytowała się czasami, iż nie ma sensu podłużać mu spodni, ponieważ za tydzień będzie trzeba to powtórzyć. Był bezustannie głodny, ale niezależnie od tego, ile jadł, nie mógł zaspokoić apetytu i wypełnić szczupłego, grubokościstego ciała.

– Wzrost tego chłopca dobrze wróży na przyszłość – oświadczyła pani Faircloth z dumą, gdy rozmawiała o McKennie z kamerdynerem Salterem.

Ich głosy niosły się po kamiennej posadzce aż do balkonu na pierwszym piętrze, na którym stała Aline. Wyczulona na każdą wzmiankę o Johnie, przystanęła, by posłuchać.

– Bez wątpienia – odparł Salter. – Już ma prawie metr osiemdziesiąt… Moim zdaniem pewnego dnia z łatwością osiągnie proporcje lokaja.

– Może więc należałoby go przenieść ze stajni do domu, żeby go przyuczyć... – zasugerowała pani Faircloth obojętnym tonem.

Aline uśmiechnęła się, gdy to usłyszała. Wiedziała, że za tą z pozoru niewinną uwagą kryje się gorące pragnienie wyniesienia McKenny z roli stajennego na bardziej prestiżowe stanowisko.

– Wszyscy wiedzą – kontynuowała gospodyni – że przydałaby nam się dodatkowa para rąk do noszenia węgla, czyszczenia sreber i polerowania luster.

– Hm... – Nastała długa pauza. – Chyba ma pani rację, pani Faircloth. Zaproponuję hrabiemu awansowanie McKenny na pomocnika lokaja. Jeśli hrabia wyrazi zgodę, zamówię liberię.

Mimo podwyżki i dostąpienia zaszczytu sypiania w głównym domu McKenna nie ucieszył się szczególnie swoim nowym statusem. Lubił pracę z końmi i względną prywatność stajni, a teraz spędzał co najmniej połowę swojego czasu w posiadłości, w bardzo konwencjonalnej liberii, złożonej z czarnych aksamitnych bryczesów, musztardowej kamizelki i gołąbkowego surduta z wyłogami. Najgorsze jednak było to, że w każdą niedzielę musiał towarzyszyć rodzinie do kościoła, by otwierać drzwi, odkurzać ławki i wykładać modlitewniki.

Aline nie mogła opanować rozbawienia, gdy chłopcy i dziewczęta z wioski, którzy czekali przed kościołem, obrzucali McKennę koleżeńskimi kpinami. Widok przyjaciela odzianego w przeklętą liberię stanowił dla nich nieodpartą pokusę, by komentować wygląd jego nóg w białych pończochach. Głośno dyskutowali o tym, czy wypukłości na jego łydkach to prawdziwe mięśnie, czy może jednak fałszywki, których czasami używali lokaje, by nadać nogom ładniejszy kształt. McKenna zachowywał zdumiewającą obojętność, mierząc ich tylko spojrzeniami obiecującymi zemstę, co sprawiało, że młodzież dosłownie wyła ze śmiechu.

Na szczęście do obowiązków McKenny należały też prace ogrodowe i mycie powozów, kiedy to mógł wkładać swoje potargane spodnie i luźną białą koszulę. Łatwo się opalał, a choć brązowy odcień jego skóry stanowił wyraźny dowód przynależności do klasy pracującej, podkreślał też żywy turkus jego oczu i biel zębów. Nic dziwnego więc, że zaczął przyciągać spojrzenia kobiet odwiedzających posiadłość, z których jedna postanowiła nawet zaproponować mu pracę i zabrać go ze Stony Cross Park.

Wysiłki damy spełzły na niczym – McKenna uprzejmie odmówił propozycji ze wstydliwą dyskrecją. Niestety, inni służący nie rozumieli potrzeby taktu i drwili z niego, aż oblewał się rumieńcem pod opalenizną. Aline wypytała go o ofertę, gdy tylko nadarzyła im się okazja rozmowy w cztery oczy. Było południe, a McKenna zakończył właśnie swoje zadania na świeżym powietrzu i mógł cieszyć się cennymi minutami odpoczynku, zanim włoży liberię i rozpocznie pracę w posiadłości.

Leniuchowali w swoim ulubionym miejscu nad rzeką, gdzie łąka spływała zboczem ku wodzie. Wysokie trawy skrywały ich przed oczami ciekawskich, gdy siedzieli na płaskich kamieniach wygładzonych przez nieustępliwy nurt. W powietrzu unosił się ciężki zapach barwinka i rozgrzanych słońcem wrzosów, a mieszanina ta koiła zmysły Aline.

– Dlaczego z nią nie pojechałeś? – zapytała, podciągając kolana pod brodę i obejmując je ramionami.

McKenna zaś położył się na boku i podparł na łokciu.

– Z kim?

Aline przewróciła oczami.

– Z lady Brading… która chciała cię zatrudnić. Dlaczego jej odmówiłeś?

Jego leniwy uśmiech niemal ją oślepił.

– Bo moje miejsce jest tutaj.

– Przy mnie?

W milczeniu spojrzał jej w oczy, nie przestając się uśmiechać. Padały pomiędzy nimi niewypowiedziane słowa… słowa równie wyczuwalne jak powietrze, którym oddychali.

Zapragnęła zwinąć się u jego boku jak drzemiący kot, rozkoszując się blaskiem słońca i bliskością jego ciała. Zmusiła się jednak, by trwać nieruchomo.

– Podsłuchałam, jak jeden z lokajów mówił, że mógłbyś zarobić dwa razy więcej niż teraz… gdybyś tylko poszerzył swój zakres usług.

– To musiał być James – mruknął McKenna. – Niech szlag trafi jego długi język. Skąd w ogóle o tym wiedział?

Z fascynacją obserwowała, jak jego kości policzkowe i grzbiet nosa oblewają się rumieńcem. Nagle zrozumiała. Kobieta chciała zatrudnić McKennę, by uczynić z niego swego kochanka. Kobieta co najmniej dwa razy od niego starsza. Jej twarz również zapłonęła, gdy powiodła wzrokiem po jego szerokich barkach i rękach, aż do dużej dłoni spoczywającej na zielono-czarnej poduszce mchu.

– Chciała, żebyś z nią spał – powiedziała raczej, niż zapytała, przerywając ciszę, która stała się boleśnie intymna.

Ramiona McKenny drgnęły – nieznacznie nimi wzruszył.

– Wątpię, żeby chciała tylko spać.

Jej puls gwałtownie przyspieszył, gdy uświadomiła sobie, że nie po raz pierwszy spotkało go coś takiego. Nigdy nie pozwalała sobie na rozmyślania o erotycznym życiu McKenny – byłoby to zbyt zatrważające. Należał do niej, a ona nie mogła znieść myśli, że mógłby u innej kobiety zaspokoić pragnienia, które ona chciała nasycić. Gdyby tylko... gdyby tylko…

Uginając się pod ciężarem zazdrości, utkwiła wzrok w jego dużej, pokrytej odciskami dłoni. Jakaś inna kobieta wiedziała o McKennie więcej, niż ona miała się kiedykolwiek dowiedzieć. Jakaś inna kobieta syciła się jego ciałem, miała go w sobie, poznała ciepłą słodycz jego ust i pieszczotę jego palców na skórze...

Odsunęła ostrożnie pasmo włosów, które opadło jej na oczy.

– Kiedy… kiedy po raz pierwszy… – Musiała przerwać, bo słowa utknęły jej w gardle. Pierwszy raz pytała go o jego seksualne podboje. Do tej pory skrupulatnie unikał tego tematu.

Nie odpowiedział. Gdy podniosła wzrok, zauważyła, że pochłania go obserwowanie chrząszcza, który wspina się na długie źdźbło trawy.

– Chyba nie powinniśmy o tym rozmawiać – oświadczył w końcu miękkim głosem.

– Nie winię cię za to, że sypiasz z innymi dziewczętami. Spodziewałam się tego, szczerze mówiąc… Ja tylko… – Pokręciła lekko głową. Poczuła ból i konsternację, uświadamiając sobie prawdę. – Żałuję tylko, że to nie mogłam być ja – wykrztusiła, gdy ucisk w jej gardle się zwiększył.

Pochylił głowę, a promienie słońca oblały jego ciemne włosy. Westchnął i wyciągnął dłoń ku jej twarzy, by odsunąć kosmyk włosów, który znów opadł jej na policzek. Kciukiem musnął znamię nad jej wargą, mały czarny pieprzyk, który tak bardzo go fascynował.

– To nigdy nie będziesz mogła być ty – szepnął.

Pokiwała głową i zacisnęła wargi, a po chwili zmrużyła powieki, by powstrzymać łzy, które napłynęły jej do oczu pod wpływem emocji.

– McKenna…

– Nie – ostrzegł ją szorstko, odsuwając dłoń i zaciskając mocno palce w powietrzu. – Nie mów tego, Aline.

– To niczego nie zmieni, nawet jeśli to powiem. Potrzebuję cię. Pragnę być z tobą.

– Nie…

– Wyobraź sobie, jak byś się czuł, gdybym to ja przespała się z innym – kontynuowała, cierpieniem usprawiedliwiając lekkomyślność. – Gdybyś wiedział, że to on daje mi rozkosz, której ty nie możesz. To on trzyma mnie w ramionach każdej nocy i…

Warknął i przetoczył się na nią zwinnie, przyciskając ją do twardej ziemi. Jego ciało było ciężkie i potężne, wtuliło się w nią, gdy instynktownie rozchyliła nogi pod spódnicą.

– Zabiłbym go – mruknął ochryple. – Nie zniósłbym tego.

Spojrzał gniewnie na jej opuchniętą od łez twarz, po czym przesunął wzrok na zaczerwienioną szyję i gwałtownie poruszające się piersi. Przepełniła ją osobliwa mieszanina triumfu i niepokoju, gdy dostrzegła zmysłowy żar w jego spojrzeniu i poczuła agresywną, męską energię jego ciała. Był podniecony – czuła twardy, uporczywy nacisk pomiędzy udami. Zamknął oczy, próbując odzyskać kontrolę.

– Muszę cię puścić – powiedział zdławionym głosem.

– Jeszcze nie – szepnęła.

Poruszyła się lekko i uniosła ku niemu biodra, a ruch ten wywołał w jej brzuchu głęboki dreszcz doznań.

McKenna jęknął i oparł się na łokciach, wbijając palce w grubą warstwę mchu porastającego ziemię.

– Nie. – Jego głos rwał się od gniewu, napięcia i… czegoś jeszcze… czegoś, co brzmiało jak podekscytowanie.

Znów się poruszyła zniecierpliwiona. Pragnęła rzeczy, których nie potrafiła nazwać. Pragnęła jego ust… dłoni… ciała. Chciała oddać mu się i zapanować nad nim. Wrażliwe miejsce pomiędzy jej udami rozkosznie pulsowało, gdy ocierała się leniwie o wypukłość jego męskości.

– Kocham cię – powiedziała, szukając sposobu, by przekonać go o ogromie swych pragnień. – Będę cię kochać do śmierci. Jesteś jedynym mężczyzną, którego pragnę i będę pragnąć, McKenna, jedynym…

Uciszył ją miękkim, otwartym pocałunkiem. Jęknęła z rozkoszy, przyzwalając na czułą eksplorację, gdy koniuszkiem języka musnął

delikatne wnętrze jej ust. Całował ją tak, jakby wykradał tajemnice z jej warg, niewoląc ją nieskończoną subtelnością. Wsunęła dłonie pod jego koszulę i dotknęła pleców, rozkoszując się napięciem mięśni i gładkością skóry. Jego ciało było takie twarde – wyrzeźbione mięśnie przypominały stal – nieskazitelne i krzepkie, że poczuła zachwyt.

Głębiej wsunął język w jej usta, a ona zadygotała na skutek subtelnego przypływu przyjemności. Otoczył ją opiekuńczo ramionami i przesunął się tak, by jej nie zgnieść, lecz nie przestał obsypywać jej słodkimi, rozkosznymi pocałunkami. Jego oddech przyspieszył i zaczął się rwać, jakby przebiegł wiele kilometrów bez odpoczynku. Przycisnęła usta do jego szyi i odkryła, że rozszalałe bicie jego serca dorównuje jej pulsowi. Wiedział, tak jak ona, że każda chwila tej zakazanej intymności pociąga za sobą koszty, których nie są gotowi zapłacić. Rozpalony do tego stopnia, by zapomnieć o ostrożności, sięgnął do guzików na staniku jej sukni, lecz zawahał się, powstrzymywany podszeptami sumienia.

– Dotknij mnie – zachęciła go zduszonym głosem.

Serce łomotało jej w piersi. Obsypała pocałunkami surową linię jego szczęki, policzki, każde miejsce na jego twarzy, do którego mogła dosięgnąć. Odnalazła wrażliwy punkt na jego szyi i skoncentrowała się na nim, aż McKenna zadygotał.

– Nie przestawaj – szeptała gorączkowo. – Jeszcze nie przestawaj. Nikt nas nie widzi. McKenna, proszę, kochaj mnie… kochaj…

Jej słowa skruszyły jego opór – z gardła wyrwał mu się szorstki jęk, gdy przesunął palce na rząd guziczków. Nie miała na sobie gorsetu, tylko cienką batystową halkę, która przywierała do jej krągłych piersi. Rozchylił jej stanik i zsunął halkę, odsłaniając różowe koniuszki jej sutków. Spojrzała na jego twarz, rozkoszując się jego zaaferowaną miną i tym, jak jego oczy mrużą się pod wpływem namiętności. Dotknął jej piersi, otoczył palcami ich blady ciężar i musnął delikatnie kciukiem czubek, który natychmiast się skurczył. Pochylił się nad nim i leniwie otoczył językiem. Aline jęknęła z rozkoszy, jej myśli stanęły w ogniu i obróciły się w popiół, gdy wziął sutek do ust. Drażnił i lizał miarowo, aż w całym jej ciele

wezbrał żar, a miejsce pomiędzy jej udami zaczęło pulsować w gorączkowym żądaniu.

McKenna odetchnął drżąco i przycisnął policzek do jej obnażonej piersi.

Nie mogąc się powstrzymać, wsunęła palce za pasek jego spodni. Twarde mięśnie jego brzucha napięły się, a skóra w dolinie pod pępkiem miała gładkość satyny obsypanej szorstkimi włoskami. Jej dłoń trzęsła się, gdy sięgnęła do pierwszego guzika spodni.

– Chcę cię dotknąć – szepnęła. – Chcę cię tam poczuć…

– O nie, do cholery – mruknął, chwytając jej nadgarstki i unosząc nad jej głowę. Jego turkusowe oczy płonęły, gdy powiódł rozpalonym wzrokiem od jej ust do piersi. – Na litość boską, już z trudem nad sobą panuję. Jeśli mnie dotkniesz, nie zdołam się powstrzymać przed dokończeniem tego.

Zaczęła się pod nim bezradnie wić.

– Ale ja tego właśnie chcę.

– Wiem – wymamrotał, ocierając lśniące od potu czoło rękawem. – Ale tego nie zrobię. Musisz pozostać dziewicą.

Gniewnie szarpnęła uwięzione dłonie.

– Zrobię, co zechcę, i do diabła z całym światem!

– Odważne słowa – zakpił łagodnie. – Ale chciałbym usłyszeć, co powiesz mężowi w noc poślubną, gdy odkryje, że ktoś odebrał ci już panieństwo.

Staroświeckie słowo sprawiło, że Aline uśmiechnęła się ponuro mimo rozpaczy. Dziewictwo… Jedyne, czego świat od niej oczekiwał.

Odprężyła się pod nim i rozluźniła ramiona. Gdy spojrzała mu w oczy, miała wrażenie, że cały świat spowił cień, a on stanowił jedyne źródło światła.

– Nigdy nie wyjdę za nikogo innego, McKenna – szepnęła. – A jeśli mnie kiedyś zostawisz, będę sama do końca życia.

Pochylił nad nią ciemną głowę.

– Aline – odparł ściszonym tonem, którym mógłby się też modlić. – Nigdy nie wyjadę, chyba że mnie o to poprosisz.

Musnął wargami jej nagie piersi. Instynktownie wygięła się ku niemu, oddając mu się bez wahania. Krzyknęła, gdy wziął twardy

zaróżowiony koniuszek do ust. Zwilżył go językiem, muskał i trącał, aż jęknęła z frustracji.

– McKenna... – szepnęła rwącym się głosem, na próżno wijąc się w jego ramionach. – Potrzebuję… Proszę, zrób coś, muszę…

Przesunął się, aby podwinąć jej suknię. Jego męskość napierała na materiał spodni, przyciskając się do jej biodra. Pragnęła go dotknąć, odkrywać jego ciało z taką samą czułością, jaką on jej okazywał, ale nie pozwolił na to. Sięgnął pod warstwy muślinu, koronek i batystu, pod którymi odnalazł pas reform. Zręcznie rozsznurował tasiemki podtrzymujące bieliznę, po czym spojrzał w jej zmrużone oczy.

– Powinienem przestać. – Położył ciepłą dłoń na jej brzuchu. – To zbyt niebezpieczne, Aline. – Przycisnął czoło do jej czoła, aż zmieszały się ich pot i oddechy, którymi napełniali nawzajem swoje usta. – O Boże, tak bardzo cię kocham – dodał ochryple.

Ciężar jego dłoni sprawił, że zadrżała. Instynktownie rozchyliła uda i poderwała biodra, próbując sprowadzić jego palce tam, gdzie najbardziej ich potrzebowała. Ostrożnie sięgnął pod cienką bawełnę i pogłaskał kępkę sprężystych loków. Musnął opuszkami palców ukryty pod nimi wzgórek. Jęknęła w jego usta, gdy rozchylił opuchnięte fałdki i odnalazł wejście do jej ciała. Płonęła ze wstydu i pożądania zarazem. Odwróciła głowę na bok, gdy kontynuował łagodne badanie. Poznał już zakamarki kobiecego ciała, dobrze wiedział, gdzie jest najwrażliwsza. Jego palce błądziły po czubku jej płci z niewiarygodną lekkością, drażniły wilgotną skórę, niosąc doznania tak słodkie i obezwładniające, że znów wydała drżący okrzyk.

– Cicho – szepnął, pieszcząc pobudzony czubeczek. Podniósł głowę, by rozejrzeć się wokół. – Bo jeszcze ktoś nas usłyszy.

Posłusznie przygryzła wargę, choć ciche jęki raz po raz wyrywały się jej z gardła. McKenna wciąż wodził wzrokiem po okolicy w poszukiwaniu niechcianego towarzystwa. Środkowym palcem odnalazł barierę jej dziewictwa i zaczął ugniatać delikatną przeszkodę, aż zmiękła. Aline zamknęła oczy przed oślepiającym słońcem, nie opierając się, gdy McKenna kolanami rozsunął jej nogi jeszcze szerzej. Wszedł w nią palcem i znieruchomiał, gdy poczuł jej

nerwowe wzdrygnięcie. Dotknął wargami jej czoła i szepnął w jej wilgotną jedwabistą skórę:

– Kochanie… Nie zrobię ci krzywdy.

– Wiem, to tylko… – Czuła, jak jego palec sunie dalej. Jej głos drżał. – To takie dzi-dziwne…

Wsunął palec w jej wnętrze aż po drugi knykieć i pogłaskał gładkie ścianki, a jej ciało zaczęło mimowolnie zaciskać się wokół tej łagodnej inwazji. Jęknął, czując gorączkowe pulsowanie, i przycisnął nasadę dłoni do czubeczka jej kobiecości, powoli i miarowo go masując, a jednocześnie coraz głębiej wsuwając palec.

– Och…

Nie mogła powstrzymać unoszenia bioder w niewolniczym posłuszeństwie wobec tej prowokacji.

– Och, McKenna…

Wsunął drugą dłoń pod jej plecy, uniósł ją i znów pocałował jej piersi, muskając językiem sztywne sutki. Wezbrała w niej fala doznań i ustąpiła, sprawiając, że jęknęła z rozkoszy. McKenna nie przestawał, pieścił ją rytmicznie, chwytał zębami jej sutki, aż stały się czerwone i twarde. A Aline koncentrowała się na głębokich pchnięciach jego palca, na kumulującej się rozkoszy, która przeszywała jej ciało, aż całkiem zapomniała o wszystkim poza jego dłońmi, jego wargami i ciężarem jego ciała. Wyobraziła sobie, że naciera na nią swoją męskością, że rozszerza ją i wypełnia… aż nagle stężała pod wpływem zmysłowych spazmów. Paroksyzmy rozkoszy okazały się tak intensywne, że zaczęła zawodzić, a on w pośpiechu nakrył jej usta swoimi, by stłumić dźwięk. Dygocząc i szlochając, dała się ponieść rozkoszy aż na oszałamiający szczyt, po czym osunęła się, gdy jego wilgotne palce ją ukoiły.

Mrucząc do niej cicho, trzymał ją w ramionach i głaskał, aż całkiem pod nim zwiotczała. Jej kończyny stały się ciężkie i ciepłe. Zaczął wycofywać dłoń z jej mokrego wnętrza, a wtedy sięgnęła w dół i splotła jego palce ze swoimi.

– Wejdź we mnie – szepnęła. – Tak bardzo cię pragnę, McKenna. Wejdź we mnie, chodź…

– Nie – wysyczał przez zaciśnięte zęby. Przetoczył się na bok z jękiem i wbił paznokcie w wilgotną ziemię, wyrywając z niej kępy

mchu. – Zakryj się. Nie mogę cię dłużej dotykać, bo w przeciwnym razie nie zdołam powstrzymać się przed… – urwał, a rozdygotany jęk, który wyrwał mu się z gardła, zdradzał, jak bardzo był tego bliski. – Opuść spódnicę. Proszę.

– Pragnę cię – szepnęła bez tchu.

– Proszę. Rób, co mówię, Aline.

Nie zdobyła się na dalsze protesty, słysząc irytację w jego głosie. Westchnęła ciężko i zaczęła poprawiać ubranie. Po chwili McKenna oparł się na łokciu, by ją obserwować. Na pozór w pełni odzyskał panowanie nad sobą, ale w jego oczach wciąż płonęła niewyładowana namiętność.

Pokręciła głową ze smutnym uśmiechem.

– Nikt nie będzie nigdy na mnie patrzył tak jak ty. Jakbyś mnie kochał każdą cząstką siebie.

Powoli uniósł dłoń i założył pasmo włosów za jej ucho.

– Ty też tak na mnie patrzysz.

Ujęła jego dłoń i ucałowała szorstkie knykcie.

– Obiecaj mi, że zawsze będziemy razem.

Nie odpowiedział – oboje wiedzieli, że tego akurat nie może jej obiecać.

Aline wiedziała, że najbezpieczniej będzie udawać, iż namiętne chwile nad rzeką nigdy się nie zdarzyły. Było to jednak niemożliwe. Ilekroć McKenna znalazł się w jej pobliżu, całe jej ciało wpadało w zachwyt. Emocje wręcz się z niej wylewały, elektryzując atmosferę, aż bała się, że ktoś je wyczuje. Nie ośmielała się patrzeć mu w oczy przy innych, by nie zdradził jej wyraz twarzy. McKenna o wiele lepiej radził sobie z udawaniem obojętności, ale niektórzy służący, w tym pani Faircloth, zauważyli, że w ostatnim tygodniu stał się wyjątkowo cichy. Ci, którzy go znali, wiedzieli, że coś go dręczy.

– To pewnie taki wiek – powiedziała gospodyni do kamerdynera Saltera. – Młodzi mężczyźni jednego dnia są pełni radości i gotowi do psot, a następnego chodzą ponurzy i się wściekają.

– Nieważne, jaki ma humor, byle dobrze pracował – odparł Salter z powagą. – W przeciwnym razie wróci do stajni i do końca życia będzie zwykłym służącym.

Gdy Aline powtórzyła te słowa McKennie, ten tylko się skrzywił i wybuchnął śmiechem. Polerował właśnie lakierowaną budę powozu, a Aline siedziała na przewróconym wiadrze i obserwowała go. Powozownia była pusta i cicha, w środku rozlegało się tylko rżenie koni i stukot kopyt w stajniach po drugiej stronie podwórza.

Wysiłek sprawił, że McKenna oblał się potem. Biała koszula kleiła się do jego muskularnych pleców. Jego ramiona napinały się i rozluźniały, gdy nakładał warstwę wosku na czarny lakier, a potem polerował go na wysoki połysk. Zaproponowała, że mu pomoże, ale stanowczo odmówił i odebrał jej ściereczkę.

– To moja robota – oświadczył szorstko. – Ty siadaj i patrz.

Posłuchała go z przyjemnością, rozkoszując się gracją jego ruchów. Wykonywał swoje zadanie starannie, jak wszystkie inne obowiązki. Od dzieciństwa wpajano mu, że praca jest nagrodą samą w sobie, co wraz z całkowitym brakiem ambicji czyniło z niego służącego idealnego. Jej zdaniem była to jego jedyna wada – ta bezrefleksyjna akceptacja jego miejsca w życiu, rezygnacja tak naturalna, że nic nie mogło jej zmienić. „W zasadzie – rozmyślała dręczona wyrzutami sumienia – gdyby nie ja, McKenna byłby całkowicie zadowolony ze swojego losu". Ona była jedynym, czego pragnął, a czego nie mógł mieć. Wiedziała, jakie to samolubne trzymać go tak blisko siebie, lecz nie potrafiła się zdobyć na to, by go uwolnić. Był jej równie niezbędny jak jedzenie, woda i powietrze.

– Chyba nie chcesz być zwyczajnym służącym przez całe życie, prawda? – naciskała, wracając myślami do podsłuchanej rozmowy.

– Lepsze to niż praca w domu i noszenie liberii – odparł.

– Pani Faircloth uważa, że pewnego dnia mógłbyś zostać pierwszym lokajem albo nawet pokojowym. – Nie dodała, że gospodyni była też zdania, że choć McKenna miał zadatki na wspaniałego pokojowego, jego szanse na takie stanowisko znacznie ograniczała jego męska uroda. Żaden pracodawca nie zatrudniłby pokojowego, który przyćmiewałby go prezencją. O wiele lepiej jest

ubierać takiego McKennę w liberię, by od razu rzucał się w oczy jego status służącego. – Lepiej byś wtedy zarabiał.

– Nie dbam o to – mruknął. – Po co mi pieniądze?

Z namysłem zmarszczyła czoło.

– Mógłbyś kiedyś kupić sobie jakąś chatkę i uprawiać własną ziemię...

Przerwał polerowanie i obejrzał się przez ramię. W jego niebieskozielonych oczach rozbłysnął żartobliwy ognik.

– A kto zamieszkałby ze mną w tej chatce?

Spojrzała mu w oczy i uśmiechnęła się, gdy wyobraźnia przejęła nad nią kontrolę i napełniła ją ciepłem.

– Ja, oczywiście.

Zastanawiając się nad tym, odwiesił ściereczkę na haczyk i podszedł do niej powoli. Poczuła skurcz żołądka na widok jego miny.

– Musiałbym nieźle zarabiać – mruknął. – Utrzymywanie cię byłoby nie lada wyzwaniem.

– Wcale bym tak wiele nie kosztowała – zaprotestowała zapalczywie.

Zerknął na nią sceptycznie.

– Same twoje wstążki do włosów uczyniłyby mnie żebrakiem, żono.

Słysząc to słowo wypowiedziane głębokim tonem, poczuła się tak, jakby połknęła łyżkę syropu.

– Wynagrodziłabym ci to na inne sposoby – odparła.

Z uśmiechem objął ją i postawił na nogi. Powiódł dłońmi po jej bokach, zatrzymał je na wysokości jej ramion i musnął jej piersi. Jego piżmowy męski zapach i mgiełka potu na skórze sprawiły, że z trudem przełknęła ślinę. Wyjęła ozdobioną różanym haftem chusteczkę z rękawa i otarła mu czoło.

Wziął od niej skrawek materiału i spojrzał na wzór stworzony z zielonych i różowych jedwabnych nici.

– Ty to zrobiłaś? – zapytał z uśmiechem. Powiódł kciukiem po haftowanych kwiatach. – Piękne.

Zaczerwieniła się z radości.

– Tak, haftowałam wieczorami. Dama nie powinna siedzieć bezczynnie.

Wsunął chusteczkę za pasek spodni, po czym rozejrzał się wokół. Gdy upewnił się, że są całkiem sami, wziął ją w ramiona. Powiódł dłońmi po jej plecach i biodrach, wywierając rozkoszny nacisk we właściwych miejscach.

– Czekałabyś na mnie każdego wieczoru w naszej chatce? – wymruczał.

Pokiwała głową, opierając się o niego. Opuścił gęste czarne rzęsy, aż rzuciły cień na jego policzki.

– I szorowałabyś mi plecy, gdybym wrócił zmęczony i brudny z pola?

Wyobraziła sobie jego duże, silne ciało w drewnianej balii… jego westchnienie, gdyby poczuł ciepło wody… jego zbrązowiałe plecy lśniące w blasku ognia.

– Tak – wychrypiała. – Mógłbyś się moczyć w wodzie, gdy nastawiałabym gulasz i opowiadała ci o sprzeczce z młynarzem, który nie doważył mi mąki.

Roześmiał się miękko, wodząc palcem po jej szyi.

– Oszust – mruknął. Jego oczy błyszczały. – Jutro z nim porozmawiam. Nikomu, kto próbuje oszukać moją żonę, nie ujdzie to na sucho. A tymczasem chodźmy do łóżka. Chcę przez całą noc trzymać cię w ramionach.

Na myśl o wtulaniu się w niego w wygodnym łóżku, o bliskości ich nagich ciał aż zadrżała z pragnienia.

– Pewnie zaśniesz, gdy tylko położysz głowę na poduszce. Uprawa roli to ciężka praca… Jesteś wykończony.

– Zawsze mam siłę, by cię kochać. – Otoczył ją ramionami i wtulił nos w jej policzek. Jego wargi przypominały gorący aksamit, gdy wyszeptał w jej skórę: – Obsypię cię pocałunkami od stóp do głów. Nie przestanę, dopóki nie zaczniesz krzyczeć, a wtedy zadowolę cię tak, że aż osłabniesz od mojej miłości.

Splotła palce na jego karku i poprowadziła jego usta do swoich. Ich wargi się zetknęły. Jego nacierały łagodnie, aż otworzyła swoje i wpuściła do środka jego język. Pragnęła życia, które właśnie opisał… Pragnęła go nieskończenie bardziej niż przyszłości, która ją czekała. Ale to życie należało do innej kobiety. Myśl, że będzie z inną dzielił dni i noce, swoje tajemnice i marzenia, napełniała ją rozpaczą.

– McKenna – jęknęła, odrywając usta – obiecaj mi…

Tulił ją, głaskał po plecach i pocierał policzkiem jej włosy.

– Wszystko. Wszystko.

– Jeśli kiedyś poślubisz inną, obiecaj, że to mnie zawsze będziesz kochał najbardziej.

– Moje słodkie samolubne kochanie – szepnął czule. – Moje serce na zawsze należy do ciebie. Poza tobą nie mam życia.

Zarzuciła mu ręce na szyję.

– Nienawidzisz mnie za to? – zapytała stłumionym głosem.

– Powinienem. Gdyby nie ty, może cieszyłyby mnie zwyczajne rzeczy. Zwyczajna dziewczyna.

– Przykro mi – odparła, tuląc się do niego gwałtownie.

– Naprawdę?

– Nie – przyznała.

Wybuchnął śmiechem i odchylił jej głowę, by ją pocałować.

Jego usta były stanowcze i wymagające, jego język wsuwał się coraz głębiej z nieustępliwą zmysłowością. Gdy poczuła słabość w kolanach, wtuliła się w niego, aż nie pozostał pomiędzy nimi nawet milimetr przestrzeni. Z łatwością przejął jej ciężar, unieruchamiając ją pomiędzy udami. Nacisk jego ust złagodniał, gdy polizał wnętrze jej ust w zmysłowej pieszczocie, która sprowokowała u niej drżące westchnienie. Już myślała, że rozpłynie się z błogości, gdy nagle McKenna oderwał od niej usta.

– Co się stało? – zapytała.

Uciszył ją, kładąc palec na jej wargach, i utkwił zmrużone oczy w drzwiach powozowni.

– Wydawało mi się, że coś słyszałem.

Zmarszczyła czoło. McKenna w kilku krokach pokonał dystans dzielący go od arkady framugi. Rozejrzał się po pustym podwórzu. Nikogo nie zauważył, więc wzruszył ramionami i wrócił do Aline.

Otoczyła ramionami jego szczupłą talię.

– Pocałuj mnie raz jeszcze.

– O nie – odparł z krzywym uśmiechem. – Wracasz do domu… Nie mogę pracować, jak jesteś blisko.

– Już będę cicho – obiecała, wysuwając dolną wargę. – Nawet nie zauważysz, że tu jestem.

– Właśnie że zauważę. – Zerknął na swoją pobudzoną męskość, po czym posłał jej kpiące spojrzenie. – Mężczyźnie trudno pracować w takim stanie.

– Chętnie pomogę – wymruczała, przesuwając dłoń ku fascynującej wypukłości jego erekcji. – Powiedz mi tylko, co mam robić.

Z jękiem rozbawienia skradł jej pocałunek, po czym odsunął ją od siebie.

– Już ci powiedziałem, co masz robić. Wracaj do domu.

– Odwiedzisz mnie wieczorem w moim pokoju?

– Może.

Spojrzała na niego z udawaną groźbą, a on uśmiechnął się, pokręcił głową i wrócił do polerowania powozu.

Choć oboje mieli świadomość, że muszą uważać, wykorzystywali każdą okazję do potajemnej schadzki. Spotykali się w lesie, w swoim ulubionym miejscu nad rzeką albo nocami na jej balkonie. McKenna stanowczo odmawiał przekroczenia progu jej pokoju, utrzymując, że nie mógłby wziąć odpowiedzialności za swoje czyny, gdyby znalazł się w pobliżu jej łóżka. Wykazywał o wiele większą dyscyplinę niż ona, choć Aline wiedziała, ile wysiłku go to kosztuje i jak bardzo jej pragnie. Sprawił jej rozkosz jeszcze dwa razy, całując ją, tuląc i pieszcząc, aż osłabła w jego ramionach z przyjemności. A pewnego popołudnia, gdy leżeli razem nad rzeką, w końcu pozwolił, by ona zadowoliła jego. Uważała to za najbardziej zmysłowe doświadczenie swojego życia – dyszał ciężko i jęczał jej imię, jego ciało było jedwabiście sztywne, gdy poruszało się w ucisku jej palców. A jego orgazm ucieszył ją jeszcze bardziej niż własny – uwielbiała fakt, że może obdarzyć go taką samą ekstazą, jaką otrzymywała od niego.

Ten bajkowy okres miał jednak szybko dobiec końca. Wiedziała, że jej romans z McKenną w tej postaci nie może trwać długo. Niemniej nie spodziewała się, że zakończy się tak szybko i w tak brutalny sposób.

Ojciec wezwał ją do swojego gabinetu pewnego wieczoru po kolacji, choć nigdy wcześniej tego nie robił – nie widział powodu, by

rozmawiać na osobności z nią lub z jej siostrą Livią. To Marcus był jedynym potomstwem, na które zwracał uwagę… Ale żadna z dziewcząt nie zazdrościła tego starszemu bratu. Hrabia odnosił się do swojego dziedzica szczególnie krytycznie, wymagał od niego perfekcji w każdym calu i wolał do niej motywować lękiem niż dobrym słowem. Ale mimo takiego surowego traktowania Marcus pozostał dobrym i miłym chłopcem. Aline żywiła nadzieję, że nie zamieni się pewnego dnia we własnego ojca, choć miał przed sobą jeszcze wiele lat kształtowania na modłę hrabiego.

Zanim weszła do gabinetu, poczuła, jak jej żołądek zamienia się w bryłę lodu. Chłód rozprzestrzeniał się po całym ciele i sięgnął aż koniuszków palców. Nie miała wątpliwości, dlaczego usłyszała tak nietypową prośbę. Hrabia musiał się w jakiś sposób dowiedzieć o jej związku z McKenną... Gdyby chodziło o cokolwiek innego, scedowałby ten obowiązek na jej matkę lub panią Faircloth. Fakt, że poczuł konieczność bezpośredniej komunikacji z nią, oznaczał sprawę wielkiej wagi. Instynkt ostrzegał ją, że konfrontacja będzie paskudna. Nerwowo zastanawiała się, jak powinna zareagować, by ochronić McKennę. Była gotowa zrobić wszystko, obiecać co będzie konieczne, byle tylko ustrzec go przed gniewem hrabiego.

Rozdygotana i spocona zbliżyła się do gabinetu. Drzwi były otwarte, w środku płonęła lampa. Ściany pokoju wyłożone były ciemną boazerią. Pod jedną z nich stało masywne mahoniowe biurko, przy którym zazwyczaj załatwiano interesy. Ojciec siedział za biurkiem.

Hrabia nie był przystojnym mężczyzną – miał zbyt szeroką twarz i zbyt ostre rysy, jakby rzeźbiarz, który je ciosał, za bardzo się spieszył, by wygładzić głębokie ruchy dłuta. Gdyby posiadał choć odrobinę ciepła lub poczucia humoru albo ślad dobroci, mogłyby nadać one jego rysom pewnej surowej atrakcyjności. Niestety, hrabia mimo wszystkich danych od Boga przymiotów uważał życie wyłącznie za gorzkie rozczarowanie. Nic go nie cieszyło, a zwłaszcza rodzina, którą uważał za zbędny ciężar. Jedyna aprobata, jaką kiedykolwiek okazał Aline, była wynikiem dumy, którą wzbudzała w nim jej uroda, często komplementowana przez znajomych i obcych. Co do jej myśli, charakteru, jej nadziei i lęków – nie

wiedział o nich nic i nie dbał o takie drobiazgi. Jasno dawał córce do zrozumienia, że spodziewa się po niej jedynie tego, by dobrze wyszła za mąż.

Aline stanęła naprzeciwko ojca, zastanawiając się, jak to możliwe, że czuje tak mało do mężczyzny, który ją spłodził. Z McKenną łączyło ją właśnie między innymi to, że żadne z nich nigdy nie zaznało miłości ze strony ojca czy matki. Tylko dzięki pani Faircloth mieli jakiekolwiek wyobrażenie na temat rodzicielskich uczuć.

Dostrzegłszy prawdziwą nienawiść w jego oczach, uświadomiła sobie, że właśnie tak zawsze patrzył na biedną Livię, niewinną tego, że została poczęta w wyniku jednego z licznych romansów matki.

– Wzywałeś mnie, ojcze? – wymamrotała bezbarwnie.

Płomień lampy rzucał poszarpane cienie na twarz hrabiego Westcliffa, gdy ten zmierzył ją chłodnym wzrokiem.

– Jeszcze nigdy nie byłem tak bardzo pewien, że córki to piekielna klątwa, jak w tej chwili – odparł.

Przybrała obojętną minę, choć jej płuca gwałtownie się skurczyły, utrudniając oddychanie.

– Widziano cię z chłopcem stajennym – kontynuował hrabia. – Całowaliście się, dotykaliście… – urwał i wykrzywił wargi, po czym zaraz zapanował nad mimiką. – Wygląda na to, że w końcu odezwała się w tobie krew matki. Ona również żywi słabość do niżej urodzonych… choć nawet ona ma na tyle przyzwoitości, by gustować w lokajach, podczas gdy ty najwyraźniej obdarzyłaś zainteresowaniem zwykłego stajennego ciurę.

Jego słowa napełniły Aline nienawiścią tak intensywną, że niemal obezwładniającą. Zapragnęła uderzyć ojca w tę drwiącą twarz, pokonać, zadać śmiertelną ranę jego sercu… gdyby takowe posiadał. Koncentrując wzrok na drewnianym panelu, trwała jednak nieruchomo i wzdrygnęła się tylko nieznacznie, gdy ojciec wyciągnął rękę i chwycił jej brodę. Jego palce wbiły się boleśnie w drobne mięśnie jej twarzy.

– Odebrał ci cnotę? – warknął.

Spojrzała prosto w jego obsydianowe oczy.

– Nie.

Zauważyła, że jej nie uwierzył. Bolesny ucisk jeszcze się wzmógł.

– Jeśli wezwę lekarza, by cię zbadał, to się potwierdzi?

Nawet nie mrugnęła. Wpatrywała się w niego w milczeniu, prowokując go.

– Tak – wysyczała. – Gdyby to zależało ode mnie, już dawno nie byłabym dziewicą. Chciałam oddać McKennie cnotę z własnej woli… i teraz żałuję, że daru nie przyjął.

Hrabia oderwał dłoń z okrzykiem furii i wymierzył jej szybko siarczysty policzek. Siła uderzenia sparaliżowała jej twarz i odrzuciła głowę w bok. Oszołomiona przycisnęła dłoń do puchnącego policzka i spojrzała na ojca z niedowierzaniem.

Na widok jej zdumienia i bólu hrabia nieco się uspokoił. Odetchnął głęboko, podszedł do krzesła i usiadł na nim z wyniosłą gracją. Wbił w nią błyszczące czarne oczy.

– Chłopak jutro wyjedzie z posiadłości. A ty dopilnujesz, by nigdy więcej nie ośmielił się do ciebie zbliżyć. Jeśli się dowiem, że to zrobił, uczynię, co w mojej mocy, by go zniszczyć. Wiesz, że dysponuję odpowiednią władzą, aby to zrobić. Nieważne, dokąd się uda, wyśledzę go, a następnie z wielką radością dopilnuję, by jego życie zakończyło się w żałosny i bolesny sposób. Tylko na to zasługuje za defloracją córki Marsdena.

Aż do tej chwili Aline nigdy tak naprawdę nie rozumiała, że dla ojca jest tylko częścią majątku, że jej uczucia nie mają dla niego żadnego znaczenia. Była też przekonana, że ojciec nie rzuca słów na wiatr – zmiażdżyłby McKennę obcasem niczym robaka. Nie mogła do tego dopuścić. Musiała ustrzec Johna przed mściwością ojca i zapewnić mu byt. Nie mogła pozwolić, by ukarano go tylko za to, że ośmielił się ją pokochać.

Choć jej serce dręczył lęk, przemówiła szorstkim głosem, który zabrzmiał obco nawet w jej uszach.

– McKenna nie wróci, jeśli uwierzy, że pragnę jego wyjazdu.

– W takim razie dla jego dobra spraw, by tak się stało.

Nie wahała się z odpowiedzią:

– Chcę, by znalazła się dla niego posada. Przyzwoita… Nauka zawodu… Coś, co pozwoli mu na lepsze życie.

Hrabia zamrugał, słysząc śmiałe żądanie.

– Skąd ta zuchwała wiara, że zrobię dla niego coś takiego?

– Jestem dziewicą – odparła cicho. – Na razie.

Ich spojrzenia się zwarły.

– Rozumiem – mruknął hrabia. – Grozisz mi, że pójdziesz do pierwszego mężczyzny, jakiego znajdziesz, choćby i żebraka albo hodowcy świń, jeśli nie spełnię twojej prośby.

– Właśnie.

Nie musiała udawać, by go przekonać. Mówiła szczerze. Wiedziała, że po wyjeździe McKenny wszystko straci dla niej jakąkolwiek wartość. Nawet jej ciało. Ale jej bezczelność najwyraźniej zaintrygowała hrabiego w takim samym stopniu, w jakim go rozgniewała.

– Wygląda na to, że płynie w tobie jeszcze moja krew – wymamrotał – choć to bardzo wątpliwe, biorąc pod uwagę prowadzenie się twojej matki. Dobrze, znajdę odpowiednią posadę dla tego bezczelnego bękarta. A ty zrobisz, co do ciebie należy, i na zawsze pozbędziesz się go ze Stony Cross.

– Mam na to twoje słowo? – zapytała cicho, zaciskając dłonie w pięści.

– Tak.

– W takim razie ja daję ci swoje.

Pogardliwy uśmieszek wykrzywił jego twarz.

– Nie chcę twojego słowa, córko. Nie dlatego, że ci ufam, zapewniam cię, że nie, lecz dlatego, iż dawno już nauczyłem się, że honor kobiety ma mniejszą wartość niż kurz z podłogi.

Nie zamierzała tego komentować, stała sztywno, aż warknięciem nakazał jej odejść. Otępiała i zdezorientowana, wróciła do swojego pokoju, by tam czekać na McKennę. W jej głowie trwała gorączkowa gonitwa myśli. Jednego była pewna: żadna ziemska siła nie zmusi McKenny do wyjazdu, dopóki będzie wierzył, że ona wciąż go kocha.

ROZDZIAŁ 3

McKenna miał za sobą długi trudny dzień – pomagał ogrodnikom budować kamienny mur wokół sadu. Godziny dźwigania ciężkich głazów sprawiły, że jego mięśnie drżały z wysiłku. Uśmiechnął się ponuro na myśl, że przez najbliższy dzień lub dwa na nic nie przyda się Aline – za bardzo go wszystko bolało, by mógł się ruszyć. Ale może ukochana pozwoli, by położył głowę na jej kolanach i zdrzemnął się parę minut, otoczony zapachem jej perfum i łagodnością. Zaśnie, podczas gdy jej delikatne palce będą głaskały go po włosach… Ta myśl napełniła go znużoną tęsknotą.

Przed spotkaniem z Aline musiał jednak zobaczyć się jeszcze z panią Faircloth, która nakazała mu niezwłocznie stawić się w domu. Wykąpał się w starej żelaznej balii, z której korzystali wszyscy służący, po czym – z mokrymi włosami – udał się do kuchni. Jego skóra pachniała mydłem kaustycznym, którego używano do czyszczenia podłóg i prania i które wydzielano służbie w dbałości o jej higienę.

– Posługacz przekazał mi, że chciała mnie pani widzieć – oświadczył bez wstępów, ale gdy spojrzał na gospodynię, zdziwiła go jej wzburzona mina.

– Lord Westcliff cię wezwał – odparła pani Faircloth.

Nagle z dużej kuchni uleciało całe przytulne ciepło, a słodki aromat, unoszący się nad garnkiem bulgoczącej marmolady, przestał pobudzać jego wilczy apetyt.

– Dlaczego? – zapytał ostrożnie.

Gospodyni pokręciła głową. Żar kuchenny sprawiał, że kosmyki posiwiałych włosów kleiły się do jej policzków.

– Sama nie wiem. Salter również nie. Znów coś przeskrobałeś, McKenna?

– Przeskrobałem? Nie.

– Cóż, według mojej wiedzy należycie wykonujesz swoje obowiązki i zachowujesz się na tyle dobrze, na ile chłopak w twoim wieku może się zachowywać. – Z namysłem zmarszczyła brwi. – Może pan chce cię pochwalić albo przydzielić ci jakieś specjalne zadanie...

Oboje jednak wiedzieli, że to mało prawdopodobne. Hrabia nigdy nie wzywał do siebie niższych służących z takich powodów. To do kamerdynera należało rozdzielanie pochwał i kar oraz rozdysponowywanie nowych obowiązków.

– Włóż liberię – nakazała pani Faircloth. – Nie możesz stanąć przed panem w swoim codziennym ubraniu. I uwiń się z tym szybko… On nie powinien czekać.

– Niech to szlag – mruknął McKenna, krzywiąc się na samą myśl o znienawidzonej liberii.

Udając gniewny grymas, gospodyni groźnie pomachała mu przed nosem drewnianą łyżką.

– Jeszcze jedno przekleństwo w mojej obecności, a wygarbuję ci skórę.

– Tak, proszę pani. – Pochylił głowę, próbując przywołać na twarz skruchę, na co gospodyni wybuchnęła śmiechem.

Poklepała jego policzek ciepłą pulchną dłonią. Jej brązowe oczy złagodniały, gdy się uśmiechnęła.

– Uciekaj już, a po audiencji u hrabiego wróć tutaj. Dopilnuję, żeby czekał na ciebie świeży chleb z dżemem.

Gdy tylko wyszedł z kuchni, jego uśmiech zniknął. Nic dobrego nie mogło wyniknąć z rozkazu hrabiego. Jedynym możliwym powodem tej audiencji był związek McKenny z Aline. Poczuł lekkie mdłości. Obawiał się w życiu tylko jednego – że go od niej odsuną. Na myśl o dniach, tygodniach i miesiącach bez spotkań z nią cierpiał niewyobrażalnie… Jakby ktoś powiedział mu, że od teraz musi żyć pod wodą. Przepełniało go obezwładniające pragnienie odszukania jej, lecz nie miał na to czasu. Nie wolno było się ociągać, gdy wzywał cię hrabia.

Szybko włożył szamerowaną złotem aksamitną liberię, ciasne czarne buty i białe pończochy, po czym udał się do gabinetu, gdzie czekał już lord Westcliff. W domu panowała osobliwa cisza, jak przed egzekucją. Dwoma palcami, tak jak nauczył go Salter, McKenna ostrożnie zapukał do drzwi.

– Proszę – rozległ się głos pana domu.

Serce waliło mu tak mocno, że poczuł zawroty głowy. Przybrawszy obojętną minę, wszedł do pokoju i stanął tuż za progiem. Spojrzał na błyszczącą wiśniową boazerię i rząd wysokich witrażowych okien. Skromne umeblowanie gabinetu obejmowało biblioteczki, twarde fotele i masywne biurko, za którym siedział lord Westcliff.

Posłuszny nieznacznemu gestowi hrabiego, McKenna wszedł dalej i stanął przed biurkiem.

– Milordzie – powiedział pokornie, czekając na cios topora.

Hrabia spojrzał na niego, mrużąc powieki.

– Długo rozważałem, co z tobą zrobić.

– Tak, proszę pana? – McKenna poczuł w żołądku mdlący ciężar. Zerknął w surowe oczy Westcliffa, po czym instynktownie odwrócił wzrok. Patrzenie pracodawcom w oczy było uważane za dowód skandalicznej bezczelności.

– Twoje usługi nie są już potrzebne w Stony Cross Park. – Głos hrabiego zabrzmiał niczym strzał z bicza. – Niniejszym zostajesz odprawiony. Podjąłem kroki, by załatwić ci nową posadę.

McKenna w osłupieniu pokiwał głową.

– Znam pewnego szkutnika w Bristolu – kontynuował Westcliff – pana Ilbery'ego, który zgodził się przyjąć cię do terminu. To uczciwy człowiek, spodziewam się, że będzie sprawiedliwym, choć wymagającym przełożonym…

Westcliff mówił coś jeszcze, ale McKenna go nie słyszał. Bristol… Nic nie wiedział o tym mieście poza tym, że to duży port handlowy w pagórkowatej okolicy bogatej w węgiel i rudy metali. Przynajmniej to niedaleko… W zasadzie sąsiednie hrabstwo…

– Nie będziesz mógł wrócić do Stony Cross – oświadczył hrabia, na nowo przykuwając uwagę chłopaka. – Nie jesteś tu już mile widziany z powodów, w które nie zamierzam się zagłębiać. A jeśli podejmiesz próbę powrotu, gorzko tego pożałujesz.

Zrozumiał, co mu powiedziano. Nigdy jeszcze nie odczuwał tak dotkliwie, że żyje na czyjejś łasce. Służba powinna być doskonale tego świadoma, lecz on po raz pierwszy w życiu poczuł prawdziwą niechęć do swego pana. Próbował pokonać narastającą w nim nienawiść, lecz nieustępliwie paliła jego gardło... Aline…

– Wyjedziesz jeszcze dzisiaj – kontynuował Westcliff chłodno. – Rodzina Farnhamów przewozi towary na targ w Bristolu. Udostępnią ci miejsce na swoim wozie. Teraz niezwłocznie zbierzesz swoje rzeczy i zaniesiesz je do domu Farnhamów w wiosce, skąd udasz się w dalszą drogę. – Sięgnął do szuflady, wyjął z niej monetę i rzucił ją McKennie, który odruchowo ją złapał. Była to korona, równowartość pięciu szylingów. – Twoja miesięczna pensja, choć kilku dni wciąż brakuje do pełnych czterech tygodni – mruknął. – Nikt nie powie, że nie jestem hojny.

– Nie, milordzie – wymamrotał McKenna.

Ta moneta wraz ze skromnymi oszczędnościami, które przechowywał w swoim pokoju, składała się na mniej więcej dwa funty. Będzie mu to musiało wystarczyć na długo, ponieważ terminować zacznie zapewne za darmo.

– Możesz odejść. Zostaw liberię, ponieważ nie będziesz jej już potrzebował.

Po tych słowach hrabia przeniósł wzrok na dokumenty na biurku, całkowicie ignorując służącego.

– Tak jest, milordzie.

Johnowi kręciło się w głowie, gdy wychodził z gabinetu. Dlaczego hrabia nie zadał mu żadnych pytań, dlaczego nie zażądał odpowiedzi, jak daleko posunął się ten krótki romans? Może nie chciał wiedzieć. Może Westcliff zakładał najgorsze: że córka wzięła sobie McKennę na kochanka. Czy Aline zostanie za to ukarana?

Nie będzie go tu, by się tego dowiedzieć. Nie będzie mógł jej ochronić ani pocieszyć… Został usunięty z jej życia z chirurgiczną precyzją. Wolałby jednak sczeznąć, niż jej więcej nie zobaczyć. Otępienie ustąpiło i nagle oddech zaczął palić jego gardło i pierś, jakby nawdychał się ognia.

Aline niemal umarła z rozpaczy, gdy usłyszała dźwięk, na który czekała… – ciche szuranie, gdy McKenna wspinał się na balkon. W jej żołądku wezbrały mdłości, przycisnęła więc pięść do brzucha. Wiedziała, co musi zrobić. Wiedziała, że teraz jej obecność w życiu McKenny zaowocuje tylko nieszczęściem dla nich obojga. Będzie lepiej dla niego, gdy zacznie gdzieś od nowa, wolny od zobowiązań przeszłości. Znajdzie sobie inną, taką, która będzie mogła go kochać. Nie wątpiła, że przed takim mężczyzną padnie niejedno kobiece serce.

Żałowała tylko, że nie ma innego sposobu, by go od siebie uwolnić – sposobu, który nie sprawiłby obojgu aż tyle bólu.

Zobaczyła go na swoim balkonie – wielki cień za pajęczyną firanki. Drzwi zostawiła uchylone… Popchnął je stopą, ale jak zwykle nie ośmielił się przekroczyć progu. Ostrożnie zapaliła świecę przy łóżku i spojrzała na własne odbicie, które ożyło na szybie, nałożone na ciemną sylwetkę McKenny, zanim drzwi otworzyły się szerzej i obraz zniknął.

Siedziała na krawędzi materaca. Nie ufała bowiem sobie na tyle, by podejść bliżej.

– Rozmawiałeś z hrabią – powiedziała bezbarwnym tonem, czując zimny pot na napiętych plecach.

McKenna znieruchomiał z powodu jej sztywnej postawy i dystansu, który tym samym narzuciła. Przecież powinna już skryć się w jego ramionach.

– Powiedział mi…

– Tak, wiem, co ci powiedział – przerwała mu cicho. – Opuszczasz Stony Cross Park. Tak będzie najlepiej, naprawdę.

Powoli, z konsternacją pokręcił głową.

– Muszę cię przytulić – szepnął i po raz pierwszy w życiu wszedł do jej pokoju. Zamarł jednak, gdy powstrzymała go uniesieniem dłoni.

– Nie – odparła. Oddech uwiązł jej w gardle. – To już koniec, McKenna. Jedyne, co możesz zrobić, to pożegnać się i zniknąć.

– Znajdę sposób, żeby tu wrócić – oświadczył zduszonym głosem z cierpieniem w oczach. – Zrobię wszystko, o co poprosisz…

– To nie byłoby rozsądne. Ja… – Ogarnęła ją nienawiść do samej siebie, gdy zmusiła się, by kontynuować: – Nie chcę, żebyś wracał.

Nie chcę cię już nigdy więcej widzieć.

Spojrzał na nią nierozumiejącym wzrokiem i cofnął się o krok.

– Nie mów tak – wymamrotał chrapliwie. – Niezależnie od tego, dokąd się udam, nigdy nie przestanę cię kochać. Powiedz mi, że czujesz to samo, Aline. Boże… Nie mogę żyć bez choćby cienia nadziei.

To właśnie ta nadzieja ostatecznie sprowadziłaby na niego zgubę. Gdyby żył nią, wróciłby do niej, a wtedy ojciec by go zniszczył. Jedynym sposobem, by go uratować, było odprawienie go na zawsze… zniszczenie całej jego wiary w jej miłość. Jeśli nie uda się jej tego osiągnąć, żadna ziemska siła nie powstrzyma go przed powrotem.

– Oczywiście przeprosiłam ojca – oświadczyła lekkim, szorstkim tonem. – To ja poprosiłam, by się ciebie pozbył. By oszczędzić mi upokorzenia. Był wściekły, rzecz jasna… Powiedział, że powinnam wybrać kogoś lepszego niż stajennego chłopca. Miał rację. Następnym razem będę bardziej wybredna.

– Następnym razem? – Spojrzał na nią tak, jakby go uderzyła.

– Przez jakiś czas stanowiłeś dla mnie rozrywkę, ale już się tobą znudziłam. Podejrzewam, że powinniśmy spróbować rozstać się w przyjaźni, ale… przecież jesteś tylko służącym. Pozwól więc, że zakończymy to czysto. Najlepiej dla nas obojga, żebyś wyszedł, zanim będę zmuszona powiedzieć rzeczy, które nas oboje wprawią w jeszcze większy dyskomfort. Odejdź, McKenna, już cię nie chcę.

– Aline… Ty mnie kochasz…

– Bawiłam się tobą. Nauczyłam się od ciebie wszystkiego, czego mogłam się nauczyć. Teraz muszę znaleźć dżentelmena, z którym będę mogła poćwiczyć.

Zamilkł, wpatrując się w nią wzrokiem śmiertelnie zranionego zwierzęcia. Z rozpaczą zastanawiała się, ile to potrwa, zanim sama całkowicie się załamie.

– Jak mogłabym kochać kogoś takiego jak ty? – zapytała. Każda drwiąca sylaba paliła jej gardło żywym ogniem. – Jesteś bękartem, McKenna… Nie masz żadnej rodziny, żadnych koneksji, żadnych środków… Co takiego możesz mi zaoferować, czego nie dostanę od każdego innego nisko urodzonego mężczyzny? Odejdź, proszę. –

Paznokcie odciskały krwawe półksiężyce we wnętrzach jej dłoni. – Odejdź.

W przytłaczającej ciszy opuściła głowę i czekała, dygocząc, modląc się do bezlitosnego Boga, by McKenna do niej nie podszedł. Gdyby jej dotknął, przemówił do niej raz jeszcze, poddałaby się rozpaczy.

Zmuszała się do tego, by oddychać, zmuszała swoje płuca do pracy i serce – do bicia. Po długiej chwili otworzyła oczy i spojrzała na balkon. Był pusty.

McKenna odszedł.

Wstała z łóżka, zdołała dojść do umywalni i zacisnęła ramiona wokół porcelanowej miski. Mdłości wstrząsnęły nią w nieustępliwych spazmach, a ona poddała się im z żałosnym szlochem, aż jej żołądek opustoszał, a kolana ugięły się bezradnie. Zataczając się, wyszła na balkon, chwyciła poręczy i zacisnęła dłonie na żelaznych tralkach.

W oddali zauważyła McKennę, który zbliżał się już do wiejskiego traktu… Zwiesił głowę i nie odwracał się za siebie.

Śledziła go wygłodniałym wzrokiem ze świadomością, że nigdy więcej go nie zobaczy.

– McKenna – szepnęła.

Patrzyła na niego, dopóki nie zniknął za zakrętem drogi, która prowadziła go coraz dalej od niej. Wtedy wcisnęła lodowatą, mokrą od potu twarz w rękaw sukni i zaniosła się szlochem.

ROZDZIAŁ 4

Pani Faircloth podeszła do drzwi gabinetu Aline, małego pokoju przylegającego do jej sypialni. Wystrój tego wąskiego pomieszczenia pochodził z *château* wybudowanego na początku siedemnastego wieku. Wiele lat temu hrabia i hrabina kupili go podczas jednej ze swoich zagranicznych podróży. Wszystko zapakowano w skrzynie – boazerię, obrazy, ozdoby na suficie i podłogę – a następnie umieszczono w Stony Cross Park. Takie pokoiki były rzadkością w Anglii, za to we Francji były powszechne – francuska arystokracja właśnie w nich snuła marzenia, czytała i pisała, a także prowadziła intymne rozmowy z przyjaciółmi.

Aline zwinęła się w kłębek na szezlongu ustawionym pod oknem i wpatrywała w pustkę. Na wąskim parapecie leżały różne drobiazgi – mały metalowy koń, kilka ołowianych żołnierzyków, z których jeden nie miał ręki, tani drewniany guzik od męskiej koszuli, składany nożyk z rączką z rogu jelenia. Wszystkie te przedmioty nawiązywały do przeszłości McKenny – Aline je kolekcjonowała. Teraz zaciskała palce na kieszonkowym wydaniu zbioru rymowanek, na których uczono dzieci zasad gramatyki i ortografii. Pani Faircloth przypomniała sobie, że nieraz widziała Aline i McKennę pochylonych nad tą książeczką, gdy panienka z uporem próbowała przekazywać wiedzę małemu służącemu. Chłopiec przysłuchiwał się lekcjom niechętnie – widać było, że wolałby biegać po lasach jak dzikie stworzenie.

Marszcząc brwi, pani Faircloth położyła tacę z zupą i grzankami na kolanach dziewczyny.

– Pora coś zjeść – oznajmiła, ukrywając troskę pod pozorami surowości.

Upłynął miesiąc od wyjazdu McKenny, a w tym czasie Aline nie jadła ani nie spała. Załamana i zniechęcona trwała w odosobnieniu. Gdy nakazywano jej zasiąść do kolacji z rodziną, nie tykała jedzenia i zachowywała uparte milczenie. Hrabia i hrabina traktowali jej postępowanie jako dziecinne dąsy, ale pani Faircloth nie podzielała ich opinii i zastanawiała się, jak mogli z taką łatwością ignorować głębokie przywiązanie Aline do McKenny. Gospodyni próbowała tłumaczyć sobie, że nie ma powodów do obaw, ale nie dało się zaprzeczyć, że utrata McKenny całkowicie wytrąciła Aline z równowagi.

– Ja też za nim tęsknię – oświadczyła gospodyni, czując ucisk w gardle na samą myśl o chłopcu. – Ale musisz myśleć o tym, co jest najlepsze dla niego, a nie dla ciebie. Przecież nie chciałabyś, by tu został dręczony tym wszystkim, czego nigdy nie mógłby mieć. Nikomu nie pomożesz, rujnując własne zdrowie. Jesteś blada i chuda, włosy masz szorstkie jak koński ogon. Co by powiedział McKenna, gdyby cię teraz zobaczył?

Aline zmierzyła ją otępiałym spojrzeniem.

– Pomyślałby, że na to właśnie zasłużyłam za swoje okrucieństwo.

– Pewnego dnia zrozumie. Przemyśli to i uświadomi sobie, że zrobiłaś to dla jego dobra.

– Tak pani sądzi? – zapytała Aline bez wyraźnego zainteresowania.

– Oczywiście – potwierdziła pani Faircloth z przekonaniem.

– A ja nie. – Aline sięgnęła po metalowego konia i spojrzała na niego bez emocji. – Ja sądzę, że McKenna będzie mnie nienawidził do końca życia.

Gospodyni rozważała te słowa, z coraz większą mocą uświadamiając sobie, że trzeba wyrwać tę dziewczynę z żałoby, zanim całkowicie zniszczy sobie zdrowie.

– Może powinnam ci powiedzieć… Otrzymałam od niego list... – napomknęła, choć początkowo zamierzała zachować tę informację dla siebie. Nie potrafiła przewidzieć, jak Aline zareaguje na tę nowinę. A gdyby hrabia dowiedział się, że gospodyni pozwoliła

przeczytać jego córce taki list, szybko trzeba by było wypełnić kolejny wakat w Stony Cross Park… Po niej.

Ciemne oczy dziewczyny nagle ożyły, zapłonął w nich gorączkowy ogień.

– Kiedy?

– Dzisiaj rano.

– Co pisze? Jak się miewa?

– Jeszcze go nie przeczytałam… Wiesz, jakie mam problemy z oczami. Potrzebuję odpowiedniego światła… I gdzieś zapodziałam okulary…

Aline odepchnęła tacę na bok i zerwała się z szezlonga.

– Gdzie on jest? Proszę mi go pokazać… Och, dlaczego nie powiedziała mi pani od razu?

Zaniepokojona gorączkowym rumieńcem na twarzy dziewczyny, gospodyni postanowiła ją nieco uspokoić:

– List jest w moim pokoju, a ty go nie zobaczysz, dopóki z tej tacy nie zniknie wszystko do ostatniego okruszka – oświadczyła stanowczo. – Według mojej wiedzy od wczoraj nie miałaś nic w ustach… Pewnie zemdlejesz, zanim wejdziesz na schody.

– Boże miłosierny, jak pani może mówić w takiej chwili o jedzeniu? – zapytała Aline z przejęciem.

Pani Faircloth jednak się nie ugięła. Spojrzała jej w oczy bez mrugnięcia, aż w końcu dziewczyna uniosła ręce do sufitu z jękiem, sięgnęła po tacę, chwyciła kawałek chleba i gniewnie oderwała kęs zębami. Na twarzy gospodyni odmalowało się zadowolenie.

– Dobrze. Jak skończysz, odszukaj mnie… Będę w kuchni. Pójdziemy do mojego pokoju i pokażę ci list.

Aline jadła tak szybko, że niemal zadławiła się chlebem. Niewiele lepiej poradziła sobie z zupą – łyżka drżała w jej dłoni tak bardzo, że donosiła do ust zaledwie kilka kropel. Nie potrafiła się skupić, w jej głowie trwała gonitwa myśli. Wiedziała, że nie znajdzie w liście McKenny słów przebaczenia i zrozumienia – że nie będzie tam o niej nawet wzmianki. To jednak nie miało znaczenia. Pragnęła tylko

zapewnienia, że jest żywy i zdrowy. O Boże, tak bardzo wyglądała wieści od niego!

Nie mogąc utrzymać łyżki, cisnęła ją niecierpliwie w kąt, po czym wsunęła na stopy buty. Był to dowód jej głupiego egoizmu, że do teraz nawet nie pomyślała, by poprosić panią Faircloth o nawiązanie korespondencji z McKenną. Choć sama Aline nie mogła się z nim kontaktować, istniała szansa na zachowanie kruchej więzi poprzez gospodynię. Na samą myśl o tym poczuła ciepłe tchnienie ulgi, które stopiło otaczający ją od tygodni mur obojętności. Spragniona listu, złakniona widoku znaków, które dłoń McKenny naniosła na papier, wybiegła z pokoju.

Gdy dotarła do kuchni, podkuchenne i dwie kucharki zmierzyły ją zdziwionymi spojrzeniami. Uświadomiła sobie, że musi dziwnie wyglądać. Ogarnęło ją podniecenie i całkiem straciła nad sobą kontrolę, gdy obchodziła masywny stół, przy którym stały pani Faircloth i główna kucharka. W powietrzu unosił się zapach smażonych ryb, który sprawił, że wszystko zwarzyło się jej w żołądku. Walcząc z falą mdłości, kilka razy przełknęła ślinę i podeszła do gospodyni, która sporządzała listę zakupów.

– List – szepnęła jej do ucha, a pani Faircloth się uśmiechnęła.

– Tak. Jedną chwilę, milady.

Aline skinęła głową z westchnieniem zniecierpliwienia. Odwróciła się twarzą do ceglanego pieca, przy którym podkuchenna próbowała niezdarnie obrócić rybę. Olej pryskał z patelni przy każdym ruchu i skapywał do kosza pełnego węgla. Na widok niezgrabności dziewczyny Aline uniosła brwi i lekko szturchnęła łokciem pulchny bok gospodyni.

– Pani Faircloth…

– Tak, już kończymy – wymamrotała gospodyni.

– Wiem, ale piec…

– Zamienię jeszcze tylko jedno słowo z kucharką, milady.

– Pani Faircloth, moim zdaniem podkuchenna nie powinna…

Przerwał jej szokujący wybuch żaru, któremu towarzyszył ogłuszający ryk, gdy mokry od tłuszczu kosz z węglem zajął się ogniem. Płomienie strzeliły pod sufit i rozlały się na patelnię z rybami, zamieniając piec w piekło. Oszołomiona poczuła, że

podkuchenna zatacza się na nią. Aż zabrakło jej tchu, gdy uderzyła plecami o ciężki stół.

Próbując złapać oddech, nie słyszała przerażonych krzyków dziewczyny, które zagłuszyły wydawane ostrym tonem rozkazy pani Faircloth, by ktoś przyniósł worek sody oczyszczonej ze spiżarki i zagasił nią ogień. Aline odwróciła się, by uciec przed żarem i dymem, lecz nagle poczuła, że jest nimi otoczona. Całe jej ciało znienacka spowił ból bardziej przeszywający niż wszystko, czego do tej pory doświadczyła. Z przerażeniem uświadomiła sobie, że płonie jej ubranie. Instynktownie rzuciła się do ucieczki, lecz nie zdołała umknąć przed płomieniami, które pożerały ją żywcem. Przerażona twarz pani Faircloth rozmazała się przed jej oczami, gdy ktoś brutalnie powalił ją na ziemię… Jakiś mężczyzna przeklinał… Ktoś okładał boleśnie jej nogi i całe ciało, próbując ugasić ubranie. Krzyczała i walczyła, ale nagle przestała oddychać, przestała myśleć i widzieć i osunęła się w ciemność.

ROZDZIAŁ 5

DWANAŚCIE LAT PÓŹNIEJ

Wygląda na to, że przyjechali Amerykanie – oświadczyła sucho Aline, gdy razem z siostrą Livią wracały do posiadłości po porannym spacerze.

Przystanęła w cieniu fasady z miodowego kamienia, aby lepiej przyjrzeć się czterem eleganckim pojazdom, które zatrzymały się przed głównym wejściem do domu. Lokaje biegali po rozległym dziedzińcu, gdyż goście przybyli z ogromną ilością kufrów i bagażu na miesięczny pobyt w Stony Cross Park.

Livia podeszła do siostry. Była uroczą dwudziestoczteroletnią kobietą, miała jasnobrązowe włosy, orzechowozielone oczy i szczupłą, drobną sylwetkę. Jej niefrasobliwość sugerowała, że nie ma żadnych trosk. Jeśli ktoś jednak spojrzał jej w oczy, dostrzegał od razu, że zapłaciła wysoką cenę za krótkie chwile szczęścia, których doznała.

– Czy tych głuptasów – powiedziała lekko, mając na myśli gości – nikt nie uprzedził, że nie wypada zjawiać się z wizytą tak wcześnie rano?

– Wygląda na to, że nie.

– Dość ostentacyjni, nie sądzisz? – szepnęła Livia, mierząc wzrokiem pozłacane ozdoby i malunki na bokach powozów.

Aline uśmiechnęła się szeroko.

– Gdy Amerykanie wydają swoje pieniądze, świat musi to widzieć.

Wybuchnęły śmiechem i wymieniły psotne spojrzenia. Nie po raz pierwszy ich brat Marcus, obecny lord Westcliff, gościł Amerykanów

na swoich słynnych polowaniach. W Hampshire zawsze panował sezon na coś… kuropatwy w sierpniu, kwiczoły we wrześniu, bażanty w październiku, gawrony wiosną i latem oraz zające przez cały rok. Tradycyjny pościg odbywał się dwa razy w tygodniu, a czasami brały w nim udział również damy. Przeróżne interesy załatwiano na tego typu przyjęciach, które często trwały tygodniami, a zapraszano na nie zarówno wpływowych polityków, jak i bogatych przemysłowców. Podczas takich wizyt Marcus sprytnie przekonywał gości, by wzięli jego stronę w takiej czy innej sprawie lub zgodzili się wstąpić z nim w spółkę, która służyłaby jego interesom.

Amerykanie, którzy przyjeżdżali do Stony Cross, zaliczali się zazwyczaj do kasty nuworyszów. Zbijali fortuny na transporcie morskim, nieruchomościach i fabrykach produkujących płatki mydlane czy rolki papieru. Aline uważała ich za frapujących. Lubiła ich optymizm, wzruszało ją ich pragnienie akceptacji. Z lęku przed opinią dandysów nosili ubrania sprzed sezonu lub dwóch. Przy posiłkach bardzo zważali na to, czy zostaną posadzeni na końcu stołu, czy może zajmą bardziej prestiżowe miejsce bliżej gospodarza. Jakość była dla nich ważna, jasno dawali więc wszystkim do zrozumienia, że preferują porcelanę z Sèvres, włoskie rzeźby, francuskie wino i... angielską arystokrację. Bezustannie też poszukiwali okazji do zawarcia transatlantyckiego małżeństwa, łowiąc na swoje jankeskie fortuny zubożałych Brytyjczyków błękitnej krwi. A żadna krew nie mogła być bardziej błękitna niż krew Marsdenów, których tytuł należał do najstarszych w całym królestwie.

Livia lubiła żartować z ich pochodzenia – mawiała, że szacowny rodowód Marsdenów nawet czarną owcę jej pokroju uczyniłby atrakcyjną w oczach ambitnego Amerykanina.

– Żaden przyzwoity Anglik mnie nie zechce, więc może powinnam poślubić jednego z tych miłych bogatych Jankesów i przepłynąć z nim Atlantyk...

Aline uśmiechała się wtedy i ściskała ją mocno.

– Nie odważysz się – szeptała we włosy siostry. – Za bardzo bym za tobą tęskniła.

– Ależ dobrana z nas para – odpowiadała Livia ze smętnym śmiechem. – Wiesz, że obie skończymy jako stare panny i zamieszkamy razem z hordą kotów?

– Boże broń – mamrotała Aline z wesołym jękiem.

Wracając myślami do jednej z takich rozmów, Aline otoczyła ramieniem szczupłe barki siostry.

– Cóż, moja droga – rzuciła lekko – oto twoja szansa na złowienie ambitnego Amerykanina o przepastnych kieszeniach. Dokładnie to, na co liczyłaś.

Livia prychnęła śmiechem.

– To tylko żarty, o czym dobrze wiesz. Poza tym skąd pewność, że na przyjęciu pojawią się kawalerowie do wzięcia?

– Marcus opowiedział mi nieco o swoich gościach wczoraj wieczorem. Słyszałaś o nowojorskich Shawach? Mają pieniądze od trzech pokoleń, a w Ameryce to niemal wieczność. Głową rodziny jest pan Gideon Shaw, który nie ma żony… i podobno jest całkiem przystojny.

– I dobrze dla niego – odparła Livia. – Ale nie interesuje mnie polowanie na męża, niezależnie od tego, jak bardzo mógłby być atrakcyjny.

Aline opiekuńczo objęła Livię. Po śmierci narzeczonego, lorda Amberleya, Livia poprzysięgła sobie, że nigdy więcej się nie zakocha. Było jednak jasne, że pragnie założenia rodziny. Była zbyt uczuciowa, by skazać się na życie w staropanieństwie. Miarą jej głębokiej miłości do Amberleya był fakt, że nadal go opłakiwała, dwa lata po jego śmierci. Ale Amberley, człowiek o najlepszym sercu, nie chciałby, by Livia resztę życia spędziła w samotności.

– Nigdy nic nie wiadomo – oświadczyła Aline na głos. – Może spotkasz jeszcze mężczyznę, którego pokochasz równie mocno… a może nawet mocniej niż lorda Amberleya.

Ramiona Livii zesztywniały.

– Boże, mam nadzieję, że nie. Taka miłość za bardzo boli. Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

– To prawda – przyznała Aline, próbując odsunąć wspomnienia, które ożyły za niewidzialnymi drzwiami w jej umyśle. Wspomnienia tak przytłaczające, że musiała je ignorować, by nie oszaleć.

Stały razem w milczeniu, rozumiejąc nawzajem swoje niewypowiedziane żale. „To takie dziwne – pomyślała Aline – że młodsza siostra, którą zawsze uważałam za utrapienie, wyrosła na najdroższą mi przyjaciółkę i towarzyszkę". Z westchnieniem odwróciła głowę ku jednej z czterech wież okalających dom.

– Chodź – powiedziała żwawszym tonem – wejdziemy od kuchni. Nie zamierzam witać gości w sukni zakurzonej po spacerze.

– Ja też nie. – Livia zrównała z nią krok. – Aline, nigdy nie męczy cię odgrywanie roli gospodyni wobec gości Marcusa?

– Nie, w ogóle mi to nie przeszkadza. Lubię zabawiać gości i zawsze się cieszę, mogąc wysłuchać nowin z Londynu.

– W zeszłym tygodniu stary lord Torrington powiedział, że przy tobie ludzie czują się mądrzejsi i bardziej interesujący, niż są w istocie. Dodał, że jesteś najbardziej utalentowaną panią domu, jaką zna.

– Czyżby? Za te miłe słowa naleję dodatkową porcję brandy do jego herbaty, gdy nas odwiedzi następnym razem.

Z uśmiechem zatrzymała się w wejściu do wieży i obejrzała przez ramię na świtę gości i ich służących, którzy krzątali się po dziedzińcu i wnosili kufry pana Gideona Shawa. Jej wzrok zatrzymał się na mężczyźnie wyższym od pozostałych. Górował nawet nad lokajami. Był potężnie zbudowany, czarnowłosy, miał szerokie ramiona i pewny siebie krok. Tak jak większość Amerykanów nosił surdut – doskonale skrojony, lecz skrajnie konserwatywny. Przystanął, aby wdać się w swobodną pogawędkę z innym gościem, odwracając się do Aline profilem.

Na ten widok poczuła niepokój, jakby nagle odarto ją z całego opanowania. Z tej odległości nie widziała wyraźnie jego rysów, ale wyczuwała jego siłę. Uwidaczniała się w jego ruchach, niewymuszonej władczości jego postawy, aroganckim przechyleniu głowy. Bez wątpienia był to człowiek ważny… Może nawet sam pan Shaw?

Livia pierwsza weszła do środka.

– Idziesz, Aline? – rzuciła przez ramię.

– Tak, ja… – Aline urwała, nie przestając wpatrywać się w mężczyznę. Jego ledwie skrywana energia sprawiała, że każdy

inny mężczyzna w okolicy wydawał się przy nim bezbarwny.

Dokończył krótką rozmowę i podszedł do głównych schodów. Postawiwszy stopę na pierwszym stopniu, zatrzymał się jednak… jakby ktoś zawołał go po imieniu. Jego ramiona zesztywniały pod czarnym surdutem. Przyglądała mu się, zahipnotyzowana jego nagłym paraliżem. Powoli odwrócił się i spojrzał prosto na nią. Jej serce uderzyło mocno, boleśnie. Uciekła do wieży, zanim ich oczy się spotkały.

– Co się stało? – zapytała Livia z troską. – Nagle cała poczerwieniałaś.

Podeszła bliżej, wzięła Aline za rękę i ścisnęła ją niecierpliwie.

– Chodź, zmoczymy twoją twarz i nadgarstki w chłodnej wodzie.

– Och, nic mi nie jest – odparła Aline, choć w żołądku wciąż czuła ucisk i nerwowe trzepotanie. – Zobaczyłam pewnego dżentelmena na dziedzińcu i…

– Tego czarnowłosego? Tak, ja też zwróciłam na niego uwagę. Jak to możliwe, że Amerykanie są zawsze tacy wysocy? Może to kwestia klimatu… w którym rosną jak chwasty.

– W takim razie powinnaś się tam wybrać na dłużej – odparła Aline z uśmiechem.

Obie były drobnej budowy. Ich brat Marcus również był przeciętnego wzrostu, lecz dzięki posturze byka stanowił realne zagrożenie dla każdego człowieka na tyle nierozsądnego, by rzucił mu wyzwanie.

Gawędząc swobodnie, siostry udały się do swoich apartamentów we wschodnim skrzydle domu. Aline wiedziała, że musi się jak najszybciej przebrać i odświeżyć, ponieważ wczesny przyjazd Amerykanów bez wątpienia wywołał wśród służby zamęt. Goście zechcą zapewne coś przekąsić, lecz nie było już czasu, by przygotować im porządne śniadanie. Będą musieli zadowolić się napojami, dopóki kuchnia nie rozpocznie pracy.

W pośpiechu przeglądała w myślach zawartość spiżarni i kredensów. Postanowiła stworzyć bufet z kryształowych mis z truskawkami i malinami, garnuszków z masłem i dżemem oraz z pieczywa i ciast. Przydałaby się też sałatka ze szparagów i bekon. Przekaże również gospodyni, pani Faircloth, by podała schłodzony

suflet z homara, który został przeznaczony na kolację. Do wieczora przygotują coś innego – może małe fileciki z łososia zapiekane z jajkiem albo krakersy i seler naciowy…

– Cóż – mruknęła Livia prozaicznie, przerywając jej rozmyślania. – Miłego dnia. Ja schowam się u siebie jak zwykle.

– Nie ma takiej potrzeby – odparła Aline, marszcząc brwi.

Livia ukrywała się przed światem, od kiedy wyszły na jaw skandaliczne konsekwencje jej tragicznego romansu z lordem Amberleyem. Choć generalnie traktowano ją ze współczuciem, nadal była powszechnie uważana za „zrujnowaną" i z tego względu niegodną przyzwoitego towarzystwa. Nie zapraszano jej na żadne wydarzenia towarzyskie, a gdy w Stony Cross Park organizowano bal lub przyjęcie, zamykała się w swoim pokoju, unikając gości. Po dwóch latach tego społecznego wygnania Marcus i Aline zgodzili się jednak, że to wystarczy. Livia mogła już nigdy nie odzyskać statusu, jakim cieszyła się przed skandalem, ale jej rodzeństwo postanowiło nie skazywać jej dłużej na egzystencję odludka. Oboje uznali, że łagodnie wprowadzą ją z powrotem w najlepsze kręgi towarzystwa, by w konsekwencji znaleźć dla niej męża z odpowiednią fortuną i cieszącego się poważaniem.

– Odbyłaś już swoją karę, Livio – oświadczyła Aline stanowczo. – Marcus stoi na stanowisku, że każdy, kto nie życzy sobie z tobą kontaktu, będzie musiał opuścić posiadłość.

– Ja nie unikam ludzi z obawy przed ich dezaprobatą – zaprotestowała Livia. – Prawda jest taka, że nie jestem gotowa na powrót do towarzystwa.

– Możliwe, że nigdy nie poczujesz się gotowa. Ale wcześniej czy później po prostu będziesz musiała wrócić.

– W takim razie później.

– Pamiętam, jak bardzo lubiłaś tańczyć i gry salonowe, śpiewać przy pianinie…

– Aline – przerwała jej Livia łagodnie – obiecuję ci, że pewnego dnia znów to będę robić… ale to ja wybiorę ku temu porę, nie ty.

Aline skapitulowała z uśmiechem skruchy.

– Nie chciałam decydować za ciebie. Ja tylko pragnę, byś była szczęśliwa.

Livia sięgnęła po jej dłoń i uścisnęła ją.

– Pragnęłabym, moja droga, byś o własne szczęście martwiła się tak jak o szczęście wszystkich wokół.

„Ja jestem szczęśliwa", chciała powiedzieć Aline, lecz słowa utknęły jej w gardle. Livia westchnęła i odwróciła się, by wejść do swoich pokojów.

– Zobaczymy się wieczorem.

Aline położyła dłoń na porcelanowej klamce, nacisnęła ją i weszła do swojej sypialni, ściągając kapelusz. Włosy na karku miała mokre od potu. Wyjęła karbowane wsuwki z czekoladowobrązowych loków, odłożyła je na toaletkę i sięgnęła po srebrną szczotkę. Przeciągnęła nią po włosach, rozkoszując się kojącym drapaniem włosia po skórze.

Sierpień był wyjątkowo ciepły tego roku, więc hrabstwo zaroiło się od arystokratycznych rodzin, które nie chciały latem umierać z gorąca w Londynie. Marcus poinformował ją, że pan Shaw i jego partner w interesach będą podróżować pomiędzy Hampshire a stolicą, podczas gdy ich świta pozostanie w Stony Cross Park. Pan Shaw planował podobno ustanowić londyński oddział nowego rodzinnego przedsięwzięcia, a także zapewnić sobie prawo do cumowania we wszystkich dokach, by jego statki mogły wyładowywać swoje towary w porcie.

Rodzina Shawów zbiła majątek na nieruchomościach i spekulacjach na Wall Street, lecz niedawno zaangażowała się też w szybko rozwijający się przemysł produkcji lokomotyw. Jej ambicją stało się nie tylko zaopatrywanie amerykańskich kolei w silniki, wagony i części, lecz także ich eksport do Europy. Według Marcusa Shawowi nie brakowało inwestorów… a Aline czuła, że brat pragnie zostać jednym z nich. Mając to na uwadze, zamierzała dopilnować, by pan Shaw i jego partner jak najlepiej bawili się w Stony Cross.

Snując plany na najbliższe dni, włożyła lekką letnią suknię z białej bawełny ozdobionej wzorem z kwiatów lawendy. Nie zadzwoniła po pokojówkę. W przeciwieństwie do innych dam zazwyczaj ubierała się sama, a o pomoc, gdy okazywało się to konieczne, prosiła tylko panią Faircloth. Wyłącznie gospodyni i Livia mogły oglądać Aline podczas kąpieli lub zmiany garderoby.

Zapięła rząd perłowych guziczków na staniku i stanęła przed lustrem. Z wprawą zaplotła ciemne włosy i upięła je w węzeł u nasady karku. Gdy wsuwała w uczesanie ostatnią spinkę, zauważyła w lustrze, że coś leży na łóżku… Pojedyncza rękawiczka albo podwiązka spoczywała na błyszczącej narzucie z różowego adamaszku. Z zaciekawieniem marszcząc brwi, podeszła bliżej.

Wyciągnęła rękę, by podnieść ten drobiazg. Była to stara chusteczka. Jedwabny haft niemal całkowicie wyblakł, a wiele nitek się wysnuło. Z konsternacją przesunęła palcem po wzorze przedstawiającym pączki róż. Skąd to się tu wzięło? Dlaczego ktoś położył to na jej łóżku? Znów poczuła trzepotanie w żołądku, a jej palec znieruchomiał na delikatnej siateczce haftu.

To ona wykonała ten wzór dwanaście lat temu.

Zacisnęła dłoń na materiale, zwijając go w kłębek. Nagle krew zaczęła pulsować w jej skroniach, uszach, gardle i piersi.

– McKenna – wyszeptała.

Przypomniała sobie dzień, w którym podarowała mu chusteczkę… a raczej dzień, w którym ją sobie zabrał w powozowni. Tylko McKenna mógł zwrócić jej ten fragment przeszłości.

Ale to niemożliwe. Przecież opuścił Anglię wiele lat temu, zrywając termin u bristolskiego szkutnika. Nikt go od tamtej pory nie widział ani nie miał od niego wieści.

Przez całe dorosłe życie starała się o nim nie myśleć, pocieszając się złudną nadzieją, że z czasem wspomnienia tragicznej miłości wyblakną. Tymczasem McKenna towarzyszył jej niczym duch, wypełniając jej sny zwodniczymi marzeniami, do których nie przyznawała się w świetle dnia. Przez cały ten czas nie wiedziała nawet, czy żyje. Samo rozmyślanie o tym sprawiało jej zbyt wielki ból.

Ściskając chusteczkę w dłoni, wyszła z pokoju. Przemknęła przez wschodnie skrzydło niczym ranne zwierzę, pragnąc skorzystać z drzwi dla służby. Dom nie zapewniał prywatności, a ona musiała uciec na kilka minut, by odzyskać panowanie nad sobą. Jedna myśl królowała w jej umyśle… „Nie wracaj, McKenna… Zabiłoby mnie ponowne spotkanie z tobą. Nie wracaj, nie…”.

Lord Westcliff powitał Gideona Shawa w swojej bibliotece. Marcus poznał go już wcześniej, podczas jego poprzedniej wizyty w Anglii, i bardzo cenił tego człowieka, choć początkowo był nastawiony do niego negatywnie. Marcus dorastał wprawdzie w świecie społecznej indoktrynacji, ale zupełnie nie przejmował się tytułami. Zrzekłby się nawet własnego, gdyby tylko było to prawnie możliwe. Nie przeszkadzały mu obowiązki, nie miał też awersji do odziedziczonych pieniędzy. Chodziło raczej o to, że nie potrafił zaakceptować koncepcji wrodzonej wyższości jednych ludzi nad innymi. Wydawało mu się to z natury niesprawiedliwe, a także nielogiczne, a nie był zdolny tolerować braku logiki.

Gideon Shaw okazał się jednak całkowicie inny niż pozostali amerykańscy arystokraci, których Marcus spotykał. Wręcz upajał się oburzeniem swojej nowojorskiej rodziny, ilekroć napomykał wesoło w rozmowie o swoim pradziadku, surowym i szczerym do bólu kupcu morskim, który zgromadził oszałamiającą fortunę. Kolejne pokolenia wyrafinowanych i doskonale wychowanych Shawów wolałyby zapomnieć o prostackim przodku… gdyby tylko Gideon im na to pozwolił.

Shaw wszedł do biblioteki swobodnym krokiem. Był eleganckim, mniej więcej trzydziestopięcioletnim mężczyzną. Włosy w kolorze pszenicy nosił krótko obcięte, miał opaloną i starannie ogoloną twarz. Wyglądał jak typowy Amerykanin – niebieskie oczy, blond włosy, brak dbałości o pozory. Pod tą złotawą fasadą kryły się jednak cynizm i głębokie niezadowolenie, które wyżłobiły głębokie zmarszczki wokół jego oczu i ust. Miał reputację człowieka, który ciężko pracuje i lubi się bawić. Marcus podejrzewał, że plotki o jego piciu i rozpuście nie są przesadzone.

– Milordzie – mruknął Shaw, wymieniając z gospodarzem zdecydowany uścisk dłoni. – Cieszę się, że w końcu się spotykamy.

Pokojówka wniosła srebrny serwis do kawy, a Marcus nakazał jej postawić go na biurku.

– Jak podróż? – zapytał.

Shaw zmarszczył kąciki niebieskoszarych oczu w uśmiechu.

– Bez przygód, dzięki Bogu. Pozwoli pan, że zapytam o hrabinę? Czuje się dobrze, mam nadzieję?

– Bardzo dobrze, dziękuję. Matka prosiła, bym przekazał w jej imieniu wyrazy żalu, że nie może tu być, ale odwiedza przyjaciół za granicą.

Stojąc nad tacą z przekąskami, Marcus zastanawiał się, dlaczego Aline nie pojawiła się jeszcze przywitać gości. Najwyraźniej była zajęta przystosowywaniem planów do wcześniejszego ich przybycia.

– Napije się pan kawy?

– Tak, proszę. – Smukły Shaw usiadł w fotelu obok biurka i lekko rozstawił nogi.

– Ze śmietanką i cukrem?

– Tylko cukier, dziękuję.

Gdy Shaw sięgnął po filiżankę i spodek, Marcus zauważył wyraźne drżenie jego dłoni, przez które porcelana zaczęła brzęczeć. Były to dreszcze charakterystyczne dla człowieka, który jeszcze nie doszedł do siebie po upojeniu alkoholowym z poprzedniego dnia.

Nie tracąc rezonu, Shaw odstawił filiżankę na biurko, wyjął srebrną piersiówkę z wewnętrznej kieszeni doskonale skrojonego surduta i wlał sporą porcję trunku do kawy. Następnie sięgnął po samą filiżankę bez spodka i zamknął oczy, gdy gorący płyn spłynął mu do gardła. Opróżnił filiżankę, bez słowa wyciągnął ją przed siebie, a Marcus posłusznie napełnił ją raz jeszcze. Shaw powtórzył rytuał z piersiówką.

– Pański partner w interesach może do nas dołączyć – oświadczył Marcus uprzejmie.

Shaw odchylił się na oparcie fotela i drugą filiżankę kawy wypił nieco wolniej niż pierwszą.

– Dziękuję, ale właśnie w tej chwili jest zajęty wydawaniem rozkazów naszej służbie. – Uśmiechnął się ironicznie. – McKenna żywi awersję do odpoczywania w środku dnia. Znajduje się w ciągłym ruchu.

Marcus, który zdążył już usiąść, znieruchomiał, unosząc filiżankę do ust.

– McKenna... – powtórzył cicho. Było to popularne nazwisko, ale w jego głowie rozległo się ostrzeżenie.

Shaw uśmiechnął się lekko.

– Na Manhattanie nazywają go „Królem” McKenną. To tylko jego zasługa, że odlewnie Shawów zaczęły produkować silniki do lokomotyw zamiast maszyn rolniczych.

– Niektórzy uważają to za zbędne ryzyko – skomentował Marcus. – Doskonale sobie radzicie na polu maszyn rolniczych… na przykład kombajnów i siewników. Po co angażować się w produkcję lokomotyw? Najważniejsze kompanie kolejowe już budują własne silniki i wygląda na to, że są w stanie całkowicie zaspokoić własne potrzeby.

– Już niedługo – odparł Shaw swobodnie. – Jesteśmy przekonani, że popyt wkrótce przewyższy ich możliwości produkcyjne… A wtedy będą musieli oprzeć się na zewnętrznych kontrahentach. Poza tym Ameryka różni się od Anglii. U nas większość linii kolejowych całkowicie polega na prywatnych dostawcach, takich jak ja, którzy dostarczają części i silniki. Konkurencja jest zażarta, dzięki czemu powstaje produkt lepszy i agresywniejszy cenowo.

– Ciekaw jestem, na czym opieracie przekonanie, że odlewnie znajdujące się w rękach linii kolejowych w Anglii wkrótce przestaną nadążać z tempem produkcji.

– McKenna przedstawi panu wszystkie wyliczenia – zapewnił go Shaw.

– Bardzo chętnie go poznam.

– Chyba już się znacie, milordzie. – Shaw nie spuszczał wzroku z Marcusa, kontynuując z wystudiowaną swobodą: – Wydaje mi się, że McKenna pracował kiedyś w Stony Cross Park. Może go pan nie pamięta, ale kiedyś był tu stajennym.

Marcus niczego po sobie nie pokazał, choć w duchu pomyślał: „Niech to szlag!”. Musiał to być ten sam McKenna, którego pokochała Aline wiele lat temu. Zapragnął jak najszybciej porozmawiać z siostrą. Musiał ją jakoś przygotować na powrót tego człowieka.

– Był pomocnikiem lokaja – sprostował cicho. – Jeśli dobrze pamiętam, dołączył do służby domowej tuż przed swoim wyjazdem.

Błękitne oczy Shawa pozostały zwodniczo obojętne.

– Mam nadzieję, że nie sprawi panu trudności podejmowanie dawnego służącego jako gościa.

– Wręcz przeciwnie, podziwiam jego osiągnięcia. I bez wahania mu o tym powiem.

Była to tylko część prawdy. Problem polegał na tym, że obecność McKenny w Stony Cross bez wątpienia okaże się trudna dla Aline. Będzie musiał znaleźć sposób, by zaradzić tej sytuacji. Siostry były dla niego ważniejsze niż wszystko inne, nigdy nie pozwoliłby ich skrzywdzić.

Shaw uśmiechnął się na odpowiedź Marcusa.

– Widzę, że wyrobiłem sobie właściwą opinię na pański temat, lordzie Westcliff. Jest pan równie sprawiedliwy i postępowy, jak się spodziewałem.

– Dziękuję.

Marcus skoncentrował się na wymieszaniu łyżeczki cukru w kawie, zastanawiając się ponuro, gdzie podziewa się Aline.

Aline szła szybko, niemal biegła do swojego ulubionego miejsca nad rzeką, gdzie kwietna łąka spływała zboczem ku wysokim trawom, w których mieszkały roje motyli. Nigdy nikogo tu nie przyprowadzała, nawet Livii. Miejsce to dzieliła tylko z McKenną, a po jego wyjeździe to tutaj płakała w samotności.

Nie mogło spotkać jej nic gorszego niż perspektywa ponownego spotkania z nim.

Wciąż ściskając w dłoni haftowaną chusteczkę, usiadła na kępie trawy, próbując się uspokoić. Woda mieniła się w słońcu, czarne chrabąszcze pełzały po gałązkach kolcolistów. Ciężki zapach rozgrzanych słońcem ostów i kaczeńców mieszał się z bujnym aromatem rzeki. Z otępieniem wpatrywała się w wodę, śledząc ruch perkoza, który płynął niestrudzenie z dziobem oblepionym wodorostami.

W jej głowie rozległy się głosy sprzed lat…

Nigdy nie wyjdę za nikogo innego, McKenna. A jeśli mnie kiedyś zostawisz, będę sama do końca życia.

Aline… Nigdy nie wyjadę, chyba że mnie o to poprosisz.

Pokręciła gwałtownie głową, próbując odegnać dręczące ją wspomnienia. Zwinęła chusteczkę w kulkę i podniosła rękę, by cisnąć ją w łagodny prąd rzeki. Powstrzymał ją cichy głos:

– Zaczekaj.

ROZDZIAŁ 6

Aline zamknęła oczy, czując, jak to jedno słowo łagodnie rozszarpuje jej zmęczoną duszę. Jego głos… teraz głębszy i bogatszy w męskie tony. Słyszała jego zbliżające się kroki, lecz nie podnosiła głowy. Wszystkie swoje siły skupiła na tym, by nie przestać oddychać. Sparaliżowało ją coś na kształt strachu, rodzaj obezwładniającego żaru, który przetaczał się przez nią po każdym gwałtownym uderzeniu serca.

– Jeśli zamierzasz wrzucić ją do rzeki, wolałbym ją odzyskać.

Gdy próbowała rozluźnić zesztywniałe palce, chusteczka wypadła jej z dłoni. Aline powoli odwróciła się, by na niego spojrzeć. Czarnowłosy mężczyzna, którego widziała na dziedzińcu, okazał się McKenną. Był jeszcze postawniejszy i bardziej onieśmielający niż z oddali. Miał wyraziste, dojrzałe rysy, a jego rzymski szeroki nos wyznaczał linię doskonałej symetrii między mocnymi płaszczyznami kości policzkowych. Był zbyt męski, by można go było nazwać prawdziwie przystojnym – rzeźbiarz próbowałby złagodzić te bezkompromisowe rysy. Ale jego surowa twarz stanowiła idealną oprawę dla niezwykłych oczu, tych kryształowo czystych, niebieskozielonych tęczówek okolonych gęstymi czarnymi rzęsami. Nikt inny na świecie nie miał takich oczu.

– McKenna – szepnęła ochryple, szukając w nim podobieństwa do tamtego szczupłego zakochanego chłopca, którego znała. Nie znalazła.

McKenna stał się dla niej obcy, utracił wszelkie znamiona chłopięcego wdzięku. Wyglądał elegancko w doskonale skrojonym ubraniu. Lśniące czarne włosy obciął krótko, by zwalczyć ich

naturalną tendencję do podwijania się. Gdy podszedł bliżej, zauważyła więcej szczegółów – cień zarostu na gładko ogolonej skórze, błysk złotego łańcuszka do zegarka na jego kamizelce, świadczące o sile wypukłości mięśni na ramionach i udach, gdy usiadł na pobliskim kamieniu.

– Nie spodziewałem się, że cię tu znajdę – mruknął, nie spuszczając z niej wzroku. – Chciałem spojrzeć na rzekę… Minęło wiele lat od ostatniego razu...

Miał osobliwy miękki akcent – przeciągał samogłoski i dodawał je tam, gdzie nie były potrzebne.

– Brzmisz jak Amerykanin – szepnęła, próbując zwalczyć ucisk w gardle.

– Od wielu lat mieszkam w Nowym Jorku.

– Zniknąłeś bez słowa. Ja… – urwała, z trudem łapiąc oddech – martwiłam się o ciebie.

– Czyżby? – Uśmiechnął się słabo, lecz jego twarz pozostała zimna. – Musiałem dość nieoczekiwanie opuścić Bristol. Szkutnik, u którego terminowałem, pan Ilbery, miał dość ciężką rękę, jak się okazało. Gdy pobił mnie tak, że złamał mi kilka żeber i rozłupał czaszkę, postanowiłem odejść i w innym miejscu zacząć od nowa.

– Przykro mi – szepnęła, blednąc. Zwalczyła falę mdłości i zmusiła się, by zapytać: – Jak zdołałeś zapłacić za rejs do Ameryki? To musiał być spory wydatek.

– Pięć funtów. Więcej niż roczna wypłata. – W jego głosie rozbrzmiała ironia, gdy wymienił sumę, której wtedy tak rozpaczliwie potrzebował, a która teraz nic dla niego nie znaczyła. – Napisałem do pani Faircloth, a ona przesłała mi własne oszczędności.

Aline pochyliła głowę. Jej wargi zadrżały, gdy przypomniała sobie dzień, w którym nadszedł jego list… Dzień, w którym jej świat rozpadł się na kawałki, a ona sama na zawsze się zmieniła.

– Jak ona się miewa? – zapytał McKenna. – Nadal tu pracuje?

– O tak. Nadal tu mieszka i czuje się dobrze.

– Świetnie.

Z wahaniem pochylił się i podniósł z ziemi chusteczkę, pozornie nie zwracając uwagi na to, że Aline zesztywniała, czując jego bliskość.

Wyprostował się, ponownie usiadł na kamieniu i zaczął się jej przyglądać.

– Jesteś bardzo piękna – oświadczył głosem wypranym z emocji, jakby podziwiał obraz albo uderzający widok. – Piękniejsza, niż zapamiętałem. Widzę, że nie nosisz obrączki.

Zacisnęła palce na luźnych fałdach spódnicy.

– Nie. Nigdy nie wyszłam za mąż.

Gdy to powiedziała, dziwnie na nią spojrzał, a w jego oczach pojawiła się ponura ciemność, niczym smuga dymu na letnim niebie.

– Dlaczego?

Postanowiła ukryć swoje poruszenie za obojętnym uśmiechem.

– Najwyraźniej nie było mi to pisane. A ty? Czy kiedykolwiek…

– Nie.

To słowo nie powinno wywołać gwałtownego pulsowania tętna u nasady jej szyi, a jednak wywołało.

– A Livia? – zapytał McKenna łagodnie. – Co się z nią stało?

– Również nie wyszła za mąż. Mieszka tutaj z Marcusem i ze mną. Jest… Cóż, zapewne nieczęsto będziesz ją widywał.

– Dlaczego?

Zastanawiała się przez chwilę, jak przedstawić sytuację siostry, by zbyt surowo jej nie potępił.

– Livia nie udziela się towarzysko ani nie spotyka się z naszymi gośćmi tutaj. Dwa lata temu wybuchł skandal. Zaręczyła się z lordem Amberleyem, którego pokochała całym sercem. Zanim jednak doszło do ślubu, on zginął w wypadku podczas polowania. – Urwała, by strzepnąć chrabąszcza, który usiadł na jej spódnicy.

Twarz McKenny pozostała obojętna.

– Co w tym skandalicznego?

– Wkrótce potem Livia poroniła, więc wszyscy się dowiedzieli, że ona i Amberley… – urwała bezradnie. – Livia popełniła błąd i zwierzyła się jednej ze swoich przyjaciółek, która nie zdołała dotrzymać tajemnicy. Choć próbowaliśmy z Marcusem uciszyć plotki, szybko dowiedziało się o tym całe hrabstwo, a potem wiadomość dotarła do Londynu. – Posłała mu buntownicze spojrzenie. – Moim zdaniem Livia nie zrobiła nic złego. Kochali się z Amberleyem, mieli się pobrać. Od razu jednak pojawili się tacy, którzy zapragnęli

uczynić z niej pariasa, a Livia odmawia porzucenia żałoby. Moja matka jest tym wszystkim śmiertelnie oburzona i większość czasu od tamtej pory spędza za granicą. A ja cieszę się, że ojciec już nie żyje, bo on również bez wątpienia potępiłby Livię.

– A twój brat jej nie potępia?

– Nie, Marcus w niczym nie przypomina ojca. Jest honorowy, ale też pełen współczucia i dość postępowy.

– Postępowy Marsden – mruknął McKenna, najwyraźniej uznając to połączenie za sprzeczność.

Błysk humoru w jego oczach nieco ją uspokoił i ośmielił. W końcu zdołała odetchnąć pełną piersią.

– Zgodzisz się ze mną, gdy tylko lepiej go poznasz.

Szybko stało się jasne, że przepaść między nimi jeszcze się powiększyła od czasów dzieciństwa. Ich światy, jak dawniej, tak bardzo się różniły, że nie istniała żadna szansa, by połączyła ich intymność. Teraz mogli zachowywać się wobec siebie jak uprzejmi nieznajomi, nie ryzykując złamania serca. Dawny McKenna przestał istnieć, zniknęła też dziewczynka, którą Aline kiedyś była.

Spojrzała na porośniętą mchem ziemię, niemrawy nurt rzeki, blady błękit nieba, zanim ośmieliła się podnieść wzrok na niego. Była rozpaczliwie wdzięczna losowi za to wrażenie odrealnienia, które pozwoliło jej zmierzyć się z nim i nie rozkleić całkowicie.

– Powinnam wracać do domu – powiedziała, podnosząc się z kamienia. – Mam mnóstwo obowiązków…

McKenna wstał od razu. Na tle rzeki zarysowała się jego mroczna i pełna wdzięku sylwetka. Aline zmusiła się, by przerwać przytłaczającą ciszę:

– Musisz mi opowiedzieć, jak to się stało, że pracujesz dla człowieka takiego jak pan Shaw.

– To długa historia.

– Chętnie posłucham. Co się stało z chłopcem, który nie dbał nawet o to, czy zostanie lokajem?

– Poczuł głód.

Wpatrywała się w niego z mieszaniną przerażenia i fascynacji, wyczuwając, że za tym prostym zdaniem kryje się większa złożoność. Pragnęła poznać każdy szczegół, zrozumieć, co stało się z Johnem,

i odkryć, na jakiego człowieka wyrósł. On natomiast nie mógł oderwać od niej wzroku. Z jakiegoś powodu na jego policzkach pojawiła się smuga koloru, jakby za dużo czasu spędził na słońcu. Podszedł do niej z wyjątkową ostrożnością, jakby jej bliskość stanowiła dla niego zagrożenie. Gdy dzielił ich już tylko krok, znów oblał ją ten paraliżujący żar. Gwałtownie odetchnęła, aż aromatyczne i ciężkie powietrze ścisnęło jej płuca.

– Przyjmiesz moje ramię? – zapytał.

Był to standardowy gest, który zaproponowałby każdy dżentelmen na jego miejscu… lecz ona zawahała się, zanim go dotknęła. Jej palce zatrzepotały nad jego rękawem niczym skrzydełka błyszczki.

– Dziękuję.

Przygryzła wargę i ujęła go pod ramię, obejmując dłonią zarys twardego mięśnia kryjącego się pod miękkimi warstwami sukna i lnu. Realność tego dotyku po latach beznadziejnej tęsknoty sprawiła, że zatoczyła się lekko i musiała zacisnąć palce, by odzyskać równowagę. Oddech McKenny nagle zaczął się rwać, jakby coś ścisnęło mu gardło. Szybko jednak odzyskał panowanie nad sobą i poprowadził ją łagodnym zboczem ku domowi. Wyczuwając ogromną siłę jego ciała, zastanawiała się, czym się zajmował, że zyskał taką krzepę.

– Pracowałem na promie, który przewoził pasażerów pomiędzy Staten Island a miastem – powiedział, jakby czytając w jej myślach. – Dwadzieścia pięć centów za podróż w obie strony. Tak poznałem Shawa.

– Był jednym z twoich pasażerów? – zapytała.

Gdy przytaknął, posłała mu zdumione spojrzenie.

– Jak to przypadkowe spotkanie przeistoczyło się w partnerstwo w interesach?

Na jego twarzy odmalowała się rezerwa.

– Jedno doprowadziło do drugiego.

Uśmiechnęła się, słysząc wymijającą odpowiedź.

– Widzę, że będę musiała odwołać się do wszystkich moich umiejętności, aby sprowokować gadatliwą stronę twojej natury.

– Ja nie mam gadatliwej strony.

– Obowiązkiem gościa jest być zajmującym – poinformowała go.

– Och, już ja się tobą zajmę – mruknął. – Tyle że nie będę przy tym gadał.

Ta uwaga znów wyprowadziła ją z równowagi, zapewne zgodnie z jego zamierzeniem. Zaczerwieniła się i roześmiała smutno.

– Widzę, że nie straciłeś ciętego języka. Ale pamiętaj, że znajdujesz się w towarzystwie wychowywanej pod kloszem angielskiej damy.

Nie patrząc na nią, odparł:

– Tak, pamiętam.

Dotarli do domku kawalera, małej rezydencji położonej z dala od głównego budynku i zarezerwowanej dla gości pragnących cieszyć się większą swobodą. Marcus poinformował Aline, że pan Shaw chciał mieć cały ten dom dla siebie, choć mógł pomieścić jeszcze troje gości. Teraz pana Shawa nigdzie nie było widać, lecz Aline zauważyła kilkoro służących, którzy wnosili do środka kufry i bagaże. McKenna przystanął, a w jego oczach rozbłysło słońce, gdy spojrzał na mały domek.

– Czy rozstaniemy się tutaj? Niedługo przyjdę do posiadłości… ale najpierw pragnę się rozejrzeć.

– Tak, oczywiście.

Podejrzewała, że powrót do Stony Cross był dla niego wielkim przeżyciem. Wspomnienia czaiły się tutaj w każdym kącie i na każdej ścieżce.

– McKenna – dodała niespokojnie – czy to zbieg okoliczności, że pan Shaw postanowił przyjąć zaproszenie mojego brata, czy może celowo tak to wszystko zaaranżowałeś, byś mógł tu wrócić?

Odwrócił się do niej i spojrzał na nią z góry.

– Po co miałbym chcieć tu wracać?

Gdy to mówił, jego wzrok był nieodgadniony, a jego twarz nie zdradzała gniewu, ale Aline wyczuwała, że jest napięty jak struna.

Nagle zrozumiała, co tak starannie ukrywa… To, czego nie mogłaby wyczuć, gdyby go kiedyś nie kochała. Nienawiść. Wrócił, by się zemścić… I nie wyjedzie, dopóki nie ukarze jej na tysiąc sposobów za to, co mu zrobiła. „Och, McKenna – pomyślała z oszołomieniem, czując osobliwe współczucie dla niego, choć instynkt podpowiadał jej, by uciekała przed niebezpieczeństwem. – Czy to wciąż tak bardzo cię boli?”.

Odwróciła wzrok i zmarszczyła brwi, myśląc o tym, jak niewiele byłoby trzeba, by ją unicestwił. Zmusiła się, by spojrzeć na jego mroczną twarz, i powiedziała z wielką rozwagą:

– Tak wiele osiągnąłeś, McKenna. Zdobyłeś wszystko, czego pragnąłeś. A może nawet więcej.

Odwróciła się i odeszła równym krokiem, starając się panować nad sobą na tyle, by nie rzucić się do ucieczki.

– Nie wszystko – mruknął pod nosem, śledząc ją wzrokiem, dopóki nie zniknęła za zakrętem.

McKenna wszedł do domku, ignorując służących, którzy wypakowywali bagaże Shawa. Masywne meble stojące we wnętrzu pochodziły z okresu jakobińskiego. Ściany pokrywała wystawna boazeria z drzewa różanego, a w oknach wisiały aksamitne zasłony, które całkowicie odcinały dopływ światła z zewnątrz. I dobrze. Blask słońca stanowił przekleństwo dla Gideona Shawa.

McKenna doskonale wiedział, dlaczego Gideon potrzebował intymności kawalerskiego domku – jako prawdziwy dżentelmen ukrywał przed światem momenty utraty samokontroli i unikał robienia scen. Bo McKenna w zasadzie nigdy nie widział go pijanego. Gideon po prostu zamykał się w swoim pokoju z butelką lub dwiema i wychodził z niego dwa, trzy dni później, blady i chwiejnym krokiem, lecz całkowicie trzeźwy i odświeżony. Nie było żadnego konkretnego powodu, który prowokowałby takie epizody – tak po prostu wyglądało jego życie. Rodzeństwo Gideona zwierzyło się kiedyś McKennie, że jego rytualne picie rozpoczęło się niedługo przed ich spotkaniem, gdy ich najstarszy brat Frederick Shaw III zmarł z powodu słabego serca.

Pokojowy Gideona położył właśnie lakowane pudło cygar na eleganckim biurku z mnogością szuflad i skrytek. Choć McKenna rzadko palił, do tego nigdy o tej porze dnia, sięgnął do pudełka. Doskonale wyszkolony służący natychmiast podał mu maleńką parę szalenie ostrych nożyczek, za co McKenna podziękował skinieniem głowy. Odciął końcówkę cygara, zaczekał, aż pokojowy ją podpali, po

czym zaczął rytmicznie pykać, aż z jego ust wypłynęła ciężka fala kojącego dymu. Zauważył, że trzęsą mu się palce. Pokojowy też to dostrzegł. Posłał mu taksujące spojrzenie.

– Podać panu coś jeszcze?

McKenna pokręcił głową. Szok, jaki przeżył na widok Aline, okazał się silniejszy, niż mógłby się spodziewać.

– Gdy Shaw wróci, powiedz mu, że czekam na balkonie z tyłu.

– Dobrze, proszę pana.

Tak jak główna posiadłość domek kawalera również został wybudowany na klifie nad rzeką. Ziemię wokół porastał sosnowy lasek, a szmer wody zagłuszały tylko trele wijących gniazda piecuszków. McKenna zrzucił surdut i usiadł w jednym z foteli na zadaszonym balkonie, po czym zaciągnął się kilka razy niezdarnie, aż odzyskał pozory samokontroli. Nawet nie zauważył pokojowego, który przyniósł mu kryształową popielniczkę. Jego myśli koncentrowały się na obrazie Aline nad rzeką, na gęstwinie jej upiętych wysoko włosów i na wspaniałych liniach jej ciała i szyi.

Czas tylko spotęgował jej piękno. Miała dojrzałe kształty kobiety w kwiecie wieku. Jej rysy złagodniały, nos się zwęził, a wargi straciły odcień głębokiego różu na rzecz bladego odcienia macicy perłowej. I ten przeklęty pieprzyk, o którym nie mógł zapomnieć, urocza ciemna kropka, przyciągająca jego uwagę do wrażliwego kącika jej ust, ciągle tam był. Widok Aline obudził w nim resztki ludzkich uczuć, przypominając mu, że kiedyś umiał doświadczać radości. Odwrócenie swego losu kosztowało go dużo czasu i poświęcił temu większość swojej duszy.

Zagasił niedopalone cygaro i pochylił się, opierając przedramiona na udach. Wpatrując się w pobliski krzew głogu w pełnym rozkwicie, zastanawiał się, dlaczego Aline nigdy nie wyszła za mąż. Może tak jak jej ojciec była z natury zimna, a namiętność, która targała nią w młodości, zastąpiła w końcu chęć zadbania tylko o siebie. Ale powód nie miał w sumie znaczenia. I tak zamierzał ją uwieść. Żałował tylko, że stary lord Westcliff nie dożył dnia, w którym McKenna w końcu odnajdzie przyjemność pomiędzy białymi jak lilie udami jego córki.

Nagle jego uwagę przykuło skrzypienie desek podłogowych i brzęk kostek lodu w szklance. Odchylił się na oparcie fotela i spojrzał na Gideona Shawa, który właśnie przekroczył próg balkonu.

Gideon usiadł na poręczy twarzą do McKenny i jedną ręką lekko otoczył filar. McKenna spokojnie spojrzał mu w oczy. Łączyła ich złożona przyjaźń, która zdaniem większości postronnych obserwatorów zasadzała się głównie na pragnieniu odniesienia jak największych korzyści finansowych. Ale choć bez wątpienia był to jeden z aspektów ich relacji, nie stanowił jej jedynej przyczyny. Jak to bywa w wypadku prawdziwej przyjaźni, połączył ich fakt, że obaj posiadali cechy, których brakowało temu drugiemu. McKenna wywodził się z plebsu i był piekielnie ambitny, podczas gdy Gideona cechowało obycie, subtelność oraz pewność siebie i swojego miejsca w świecie. McKenna wiele lat temu zrozumiał, że nie może sobie pozwolić na skrupuły. Gideon był człowiekiem o nieskazitelnym honorze. McKenna z ponurą determinacją staczał codzienne boje z życiem, Gideon wolał natomiast zachować dystans.

Na twarzy Gideona pojawił się cień uśmiechu.

– Spotkałem lady Aline, gdy wracała do domu. Piękna kobieta, tak jak opisywałeś. Wyszła za mąż?

– Nie.

McKenna spojrzał na niego chmurnie przez smugę dymu, który jeszcze unosił się w powietrzu.

– To ci ułatwi sprawę.

Szerokie barki McKenny drgnęły niezauważalnie.

– W zasadzie to nie ma znaczenia.

– Masz na myśli to, że nie pozwoliłbyś takiemu drobiazgowi jak mąż stanąć ci na drodze do celu? – Gideon uśmiechnął się szerzej z podziwem. – Do diaska, jesteś bezwzględnym łotrem, McKenna.

– Właśnie dlatego potrzebujesz mnie jako partnera.

– Racja. Ale świadomość, że łączy nas takie ubóstwo moralne… Na samą myśl mam ochotę się napić.

– A kiedy nie masz ochoty? – zapytał McKenna z przyjacielską drwiną, odbierając Gideonowi szklankę. Uniósł ją do ust i opróżnił kilkoma łykami, z radością witając w przełyku aksamitny płomień zimnego burbona.

Uważnemu wzrokowi Gideona nie umknęło drżenie jego ręki, przez które lód zabrzęczał w szklance.

– Nie sądzisz, że twoja zemsta posuwa się nieco za daleko? Nie wątpię, że odniesiesz sukces z lady Aline, ale myślę, że nie odnajdziesz dzięki temu spokoju ducha.

– To nie jest zemsta – mruknął McKenna, odstawiając szklankę. Jego usta wykrzywiły się w gorzkim uśmiechu. – To egzorcyzm. I nie oczekuję, że odnajdę potem spokój ducha. Ja chcę tylko… – urwał.

Znów znalazł się w szponach głodu, który zaczął go dręczyć dwanaście lat temu, gdy jego życie stało się inne, niż sobie zawsze wyobrażał. W Ameryce, raju dla koniunkturalistów, odniósł sukces, który przekroczył jego najśmielsze marzenia. Ale wciąż czegoś mu brakowało. Nic nie mogło zaspokoić drzemiącej w nim bestii.

Wspomnienia o Aline dręczyły go bezustannie. Oczywiście nie kochał jej – ta iluzja rozwiała się wiele lat temu. Nie wierzył już w miłość ani jej nie szukał. Pragnął jednak zaspokoić to dręczące go pragnienie, które nie pozwalało mu o niej zapomnieć. Widział jej oczy, usta, linię jej brody w twarzach tysięcy nieznajomych. Im bardziej starał się ignorować jej wspomnienie, tym uporczywiej go ono nawiedzało.

– A jeśli ją zranisz, odprawiając te swoje egzorcyzmy? – zapytał Gideon.

W jego głosie nie było słychać osądzania. To była jedna z jego największych zalet: umiejętność spoglądania na różne sprawy bez filtrowania ich przez pryzmat etyki.

McKenna sięgnął do szklanki, wyjął kostkę lodu i wrzucił ją sobie do ust. Zmiażdżył ją mocnymi zębami.

– Może chcę ją zranić?

Było to niedopowiedzenie. Nie zamierzał tylko zranić Aline. Chciał, by cierpiała, szlochała, krzyczała, błagała. Chciał, by padła przed nim na kolana. Chciał ją złamać. A to był dopiero początek.

Gideon zmierzył go sceptycznym spojrzeniem.

– To dość osobliwe nastawienie u człowieka, który podobno kiedyś ją kochał.

– To nie była miłość, lecz mieszanina zwierzęcego pożądania, młodości i głupoty.

– Cóż za wyborna mikstura. – Gideon uśmiechnął się do swoich wspomnień. – Nie czułem się tak od czasów, gdy miałem szesnaście lat i oczarowała mnie guwernantka siostry. Starsza ode mnie, dwudziestoletnia… – urwał. Jego uśmiech stał się cyniczny, a niebieskie oczy pociemniały.

McKenna wyjął kolejną kostkę lodu ze szklanki.

– Co się z nią stało?

– Mieliśmy romans. Podobno zaszła ze mną w ciążę, o czym mi nigdy nie powiedziała. Wierzę, że dziecko było moje, bo nie miałem powodu, by podejrzewać kogo innego. Udała się do jakiegoś konowała, który parał się „naprawianiem" takich błędów na zapleczu swojego gabinetu. Wykrwawiła się na śmierć. Szkoda, bo moja rodzina hojnie wynagrodziłaby ją za to dziecko, gdyby tylko jej o nim powiedziała. Shawowie zawsze troszczą się o swoje bękarty.

Choć z pozoru wydawał się całkowicie zrelaksowany, nie zdołał ukryć posępności w spojrzeniu.

– Nigdy mi o tym nie mówiłeś – mruknął McKenna, wpatrując się w niego z napięciem. Znali się od ponad dziesięciu lat i był pewien, że poznał już wszystkie sekrety Gideona.

– Nie? – Gideon doszedł do siebie, wstał i otrzepał dłonie z urojonego kurzu. – To ta okolica sprawia, że robię się sentymentalny. Jest cholernie malownicza. – Skinął głową w kierunku drzwi. – Idę się napić. Dołączysz do mnie?

McKenna pokręcił głową i również wstał.

– Mam coś do zrobienia.

– Tak, oczywiście. Musisz się rozejrzeć… Niektórzy służący na pewno wciąż cię pamiętają. – Gideon uśmiechnął się drwiąco. – Stony Cross to urocze miejsce. Ciekawe, ile czasu upłynie, zanim jego mieszkańcy uświadomią sobie, że wpuścili węża do swojego raju.

ROZDZIAŁ 7

Najładniej pachnącym pomieszczeniem w Stony Cross Park był bez wątpienia składzik obok kuchni, w którym pani Faircloth przechowywała bloki mydła, świece, kandyzowane kwiaty i wymyślne przekąski, takie jak owoce w syropie. Tego dnia gospodyni była wyjątkowo zajęta, ponieważ cały dom wypełnił się gośćmi i służącymi. Właśnie wyszła ze składziku z naręczem ciężkich bloków świeżo zrobionego mydła, które zamierzała przekazać pokojówkom, by pocięły je na mniejsze kostki, gdy zauważyła kątem oka postawnego mężczyznę, który szedł za nią wąskim korytarzem.

– James – powiedziała z roztargnieniem – bądź tak dobry i zanieś to pokojówkom. Przyda mi się silna para rąk. A jeśli Salter cię zbeszta, wyjaśnij mu, że to ja poprosiłam cię o pomoc.

– Tak, proszę pani – padła posłuszna odpowiedź.

Ale ten głos nie należał do Jamesa.

Gdy pani Faircloth zawahała się z konsternacją, ktoś uwolnił ją od ciężaru mydła, a ona uświadomiła sobie, że właśnie wydała rozkaz jednemu z gości pana domu. Doskonale skrojone ubranie oznaczało zamożnego mężczyznę… Służba, nawet ta z dłuższym stażem, traciła posady z błahszych powodów...

– Proszę mi wybaczyć, panie… – zaczęła przepraszać z przerażeniem, ale ciemnowłosy dżentelmen szedł przed siebie, bez wysiłku dźwigając ciężkie bloki mydła. Postawił je na łupkowym stole, odwrócił się plecami do pokojówek, które wpatrywały się w niego z otwartymi ustami, i spojrzał na panią Faircloth ze smutnym uśmiechem.

– Mogłem przewidzieć, że zacznie mi pani wydawać rozkazy, zanim będę miał okazję się przywitać.

Wpatrując się w błyszczące niebieskozielone oczy, pani Faircloth przycisnęła dłonie do serca, jakby chciała uchronić je przed groźbą apopleksji, po czym zamrugała, powstrzymując łzy zdumienia.

– McKenna?! – zawołała, impulsywnie wyciągając do niego ręce. – O dobry Boże…

Podbiegł do niej w dwóch krokach i objął jej pulchną postać, na chwilę podnosząc ją z podłogi, jakby była wiotką dziewczyną. Jej srebrzyste loki stłumiły jego szorstki śmiech.

Pokojówki, zdziwione tą emocjonalną sceną, w której wzięła udział zazwyczaj bardzo zrównoważona gospodyni, z ciekawości wyszły na korytarz. Dołączyły do nich zagapione podkuchenne i kucharka, która pracowała w posiadłości dopiero od pięciu lat.

– Nie sądziłam, że cię jeszcze zobaczę! – zawołała pani Faircloth.

McKenna mocniej ją przytulił, rozkoszując się macierzyńską aurą, która zawsze ją otaczała i której nie sposób było zapomnieć. Pamiętał te wszystkie niezliczone okazje, przy których pani Faircloth podsuwała mu dodatkową porcję jedzenia – piętki chleba, herbatniki pozostałe z podwieczorku, smakowite resztki gulaszu... Gospodyni stanowiła źródło niezbędnej w jego życiu dobroci. Zawsze widziała w nim to, co najlepsze.

Okazała się o wiele niższa, niż zapamiętał, a włosy miała już śnieżnobiałe. Czas obszedł się z nią jednak łaskawie. Dodał tylko kilka zmarszczek na różowych policzkach i niemal niezauważalnie przygiął jej dawniej idealnie proste ramiona i plecy.

Odchylając głowę w koronkowym czepku, pani Faircloth spojrzała na niego ze szczerym niedowierzaniem.

– Wielkie nieba, wyrosłeś jak Goliat! Nie poznałabym cię, gdyby nie twoje oczy. – Przypominając sobie o publiczności, wyswobodziła się z objęć postawnego młodego człowieka i posłała służącym ostrzegawcze spojrzenie. – Wracajcie do pracy, i to już. Nie ma co stać tutaj i wytrzeszczać oczy.

Mamrocząc, posłuszne pokojówki wróciły do swoich obowiązków. Od czasu do czasu posyłały jednak gościowi dyskretne spojrzenia.

Pani Faircloth ujęła dłoń McKenny w swoje małe pulchne dłonie.

– Chodź ze mną – powiedziała.

Bez słów udali się do jej prywatnej kwatery. Otworzyła drzwi i wpuściła go do środka. Znajomy zapach goździkowych kulek, pszczelego wosku i barwionego herbatą płótna obudził w nim nostalgię. Stanął naprzeciwko gospodyni i zauważył, że w jej oczach znów zbierają się łzy. Wyciągnął rękę i zacisnął palce na jej dłoni.

– Przepraszam – powiedział łagodnie. – Powinienem jakoś panią ostrzec, zamiast pojawiać się tak znienacka.

Pani Faircloth zdołała opanować burzę emocji.

– Co się z tobą działo? – zapytała, spoglądając na jego eleganckie ubranie i wypolerowane czarne buty. – Co cię tu sprowadza po tylu latach?

– Porozmawiamy później, jak oboje będziemy mieli więcej czasu – odparł, przypominając sobie mnogość obowiązków w dni takie jak ten, kiedy tuziny gości trzymały służbę na nogach przez wiele godzin. – Ma pani dom pełen ludzi… a ja nie widziałem się jeszcze z lordem Westcliffem. – Wyjął z kieszeni surduta plik opieczętowanych woskiem dokumentów. – Zanim wyjdę, chciałem to pani dać.

– Co to takiego? – zapytała zdumiona.

– To pieniądze, które przesłała mi pani na bilet do Ameryki. Powinienem zwrócić je dawno temu, ale… – urwał zawstydzony. Nie potrafił wyjaśnić, że przez wzgląd na własne zdrowie psychiczne musiał latami unikać wszystkiego, co miało związek z Aline.

Pani Faircloth pokręciła głową, próbując oddać mu pakiecik.

– Nie, McKenna, to był mój dar dla ciebie. Żałowałam wtedy tylko, że nie mogę przesłać ci więcej.

– Te pięć funtów ocaliło mi życie. – Z wielką troską poprawił czepek na jej włosach. – Oddaję pani dar z odsetkami. To są udziały w zupełnie nowej fabryce lokomotyw wystawione na pani nazwisko. Może je pani od razu spieniężyć, jeśli takie jest pani życzenie. Ja jednak doradzałbym wstrzymać się z tym przez jakiś czas. Za rok na pewno potroją wartość.

Nie zdołał opanować smętnego uśmiechu, gdy zauważył, z jaką konsternacją pani Faircloth przygląda się dokumentom. Niewiele wiedziała o akcjach, udziałach i potencjalnych zyskach.

– Czyli to nie są prawdziwe pieniądze? – zapytała.

– To jest o wiele lepsze niż pieniądze – zapewnił ją, podejrzewając jednak, że certyfikaty mogą niedługo posłużyć za papier do owijania ryb. – Proszę to schować w bezpiecznym miejscu. To, co trzyma pani w dłoni, jest warte około pięciu tysięcy funtów.

Zbladła jak ściana i niemal upuściła dokumenty.

– Pięciu tysięcy…

Nie zareagowała radością, jak oczekiwał McKenna, lecz całkowitym oszołomieniem, jakby nie była w stanie oswoić się z wiadomością, że właśnie stała się kobietą zamożną. Zatoczyła się lekko, a on szybko wyciągnął rękę, aby ją podtrzymać.

– Chcę, żeby odeszła pani na zasłużoną emeryturę – dodał – i kupiła sobie dom z własną służbą, a do tego powóz. Po wszystkim, co zrobiła pani dla tak wielu ludzi, chcę, żeby cieszyła się pani resztą swojego życia.

– Ale ja nie mogę tego przyjąć – zaprotestowała.

Pomógł jej usiąść w fotelu przy kominku, po czym kucnął przed nią. Położył dłonie na podłokietnikach.

– To tylko kropla w morzu. Chciałbym zrobić dla pani o wiele więcej. Ale na początek proszę rozważyć przeprowadzkę do Nowego Jorku, gdzie mógłbym się panią zaopiekować.

– Ach, McKenna… – Jej oczy zamgliły się, gdy położyła spracowaną dłoń na jego dłoni. – Nie mogę zostawić Stony Cross! Muszę tu zostać z lady Aline.

– Lady Aline? – powtórzył, posyłając jej zdumione spojrzenie, jakby zastanawiał się, dlaczego wspomniała akurat o niej. – Ona może zatrudnić nową gospodynię.

Jego zmysły się wyostrzyły, gdy dostrzegł jej powściągliwą minę.

– Już się z nią widziałeś? – zapytała ostrożnie.

Pokiwał głową.

– Rozmawialiśmy krótko.

– Los nie był łaskawy wobec córek lorda Westcliffa.

– Tak, słyszałem. Lady Aline powiedziała mi, co spotkało jej siostrę.

– Ale nie mówiła nic o sobie?

– Nie. – Nie umknął mu wyraz konsternacji, który odmalował się na jej twarzy. – A co miała mówić?

Gospodyni z wielką ostrożnością zaczęła dobierać słowa:

– Wkrótce po twoim wyjeździe ze Stony Cross… zachorowała. – Pomiędzy srebrnymi łukami jej brwi pojawiły się dwie drobne zmarszczki. – Była przykuta do łóżka przez trzy miesiące. Choć z czasem doszła do siebie, nie była… nigdy nie była już taka sama.

Zmrużył oczy.

– Co się jej stało?

– Nie mogę powiedzieć. Wspomniałam o tym tylko dlatego, że przez chorobę stała się bardziej… krucha.

– To znaczy?

Gospodyni stanowczo pokręciła głową.

– Nie mogę powiedzieć.

McKenna odchylił się, wpatrując się w staruszkę. Obmyślając najbardziej skuteczny sposób na wydobycie z niej informacji, przybrał łagodniejszy i bardziej perswazyjny ton:

– Przecież pani wie, że można mi zaufać. Nikomu nie powiem.

– Chyba nie namawiasz mnie do złamania obietnicy? – zbeształa go pani Faircloth.

– Oczywiście, że namawiam – odparł sucho. – Moja praca polega na namawianiu ludzi do łamania obietnic. A jeśli tego nie robią, sprawiam, że tego żałują. – Wyprostował się jednym płynnym ruchem. – Co miała pani na myśli, mówiąc, że lady Aline nie była już potem taka sama? Moim zdaniem wygląda cholernie dobrze.

– Nie przeklinaj! – Gospodyni zacmokała z dezaprobatą.

Ich spojrzenia się spotkały, a McKenna uśmiechnął się na myśl o niezliczonych sytuacjach, kiedy w dzieciństwie patrzyła na niego takim samym wzrokiem.

– W takim razie proszę mi nie mówić. Sam wydobędę prawdę z lady Aline.

– Wątpię. Na twoim miejscu nie naciskałabym. – Pani Faircloth również wstała. – Ależ z ciebie przystojny mężczyzna! – zawołała. – Czy czeka na ciebie w Ameryce żona? Ukochana?

– Nie. Dzięki Bogu. – Jego uśmiech zbladł, gdy usłyszał jej następne słowa.

– Ach… – W jej głosie zabrzmiało współczucie albo też zdumienie. – To zawsze była ona, prawda? Zapewne dlatego wróciłeś.

Wykrzywił twarz w gniewnym grymasie.

– Wróciłem w interesach. Możliwe, że Westcliff zainwestuje w naszą fabrykę. Moja obecność tutaj nie ma nic wspólnego z lady Aline… ani z przeszłością, której nikt nie pamięta.

– Ty pamiętasz – wtrąciła. – I ona też.

– Muszę już iść – mruknął szorstko. – Muszę się jeszcze przekonać, czy Westcliff będzie protestował przeciwko mojej obecności tutaj.

– Nie sądzę – odparła pani Faircloth natychmiast. – Lord Westcliff to prawdziwy dżentelmen. Moim zdaniem godnie cię powita, tak jak wszystkich swoich gości.

– W takim razie jest zdumiewająco niepodobny do ojca – oświadczył McKenna złośliwie.

– To prawda. Podejrzewam też, że szybko znajdziecie wspólny język, pod warunkiem że nie dasz mu powodu do obaw, że mógłbyś skrzywdzić lady Aline. Ona dość już się nacierpiała i bez ciebie.

– Nacierpiała? – Nie zdołał powstrzymać pogardy, która zabarwiła jego słowa. – Ja wiem, co to prawdziwe cierpienie, pani Faircloth… Widziałem ludzi, którzy umierali z głodu i z braku lekarstw… Ludzi, którzy padali pod ciężarem pracy… Całe rodziny pogrążone w nędzy. Proszę mi nie wmawiać, że Aline musiała w życiu ruszyć palcem, by zawalczyć o własne przetrwanie.

– Niewiele wiesz o życiu, McKenna – zganiła go gospodyni łagodnie. – To prawda, że hrabia i jego siostry cierpią na inne sposoby niż my, ale ich ból jest równie prawdziwy. A lady Aline nie zawiniła w tym, że miałeś trudne życie.

– Ja też nie – odparł cicho, choć krew gotowała się w nim niczym kocioł w piekle.

– Wielkie nieba, cóż za diaboliczne spojrzenie – powiedziała gospodyni miękko. – Co ty knujesz, McKenna?

Przybrał obojętną minę.

– Absolutnie nic.

Spojrzała na niego z wyraźnym niedowierzaniem.

– Jeśli zamierzasz w jakiś sposób maltretować lady Aline, ostrzegam…

– Nie – przerwał jej łagodnie. – Nigdy bym jej nie skrzywdził, pani Faircloth… Przecież pani wie, ile kiedyś dla mnie znaczyła.

Gospodyni nieco się uspokoiła. Odwróciła wzrok, więc nie zauważyła mrocznego uśmiechu, który spotęgował jeszcze twardość jego spojrzenia.

McKenna zatrzymał się przed drzwiami, kładąc dłoń na klamce, i obejrzał się przez ramię.

– Pani Faircloth, proszę mi powiedzieć…

– Tak?

– Dlaczego ona nie wyszła za mąż?

– Tylko lady Aline może to wyjaśnić.

– Musi być jakiś mężczyzna... – mruknął. Kobieta tak oszałamiająco piękna jak Aline nie mogła narzekać na brak męskiego towarzystwa.

Pani Faircloth odpowiedziała z wielką rozwagą:

– W zasadzie jest pewien dżentelmen, który dotrzymuje jej towarzystwa. Lord Sandridge, nowy właściciel dawnej posiadłości Marshleighów. Zamieszkał tam mniej więcej pięć lat temu. Zapewne poznasz go na dzisiejszym balu… Jest często zapraszany do Stony Cross Park.

– Co to za człowiek?

– Och, to w każdym calu dżentelmen, sąsiedzi go uwielbiają. Ośmielę się stwierdzić, że tobie również się spodoba, gdy się poznacie.

– Nie mogę się doczekać – mruknął McKenna, po czym opuścił pokój gospodyni.

Aline machinalnie witała gości. Po spotkaniu z panem Gideonem Shawem w drodze powrotnej do posiadłości zawarła też znajomość z Chamberlainami – jego siostrą i szwagrem – a także z ich zamożnymi nowojorskimi przyjaciółmi, Laroche'ami, Cuylerami i Robinsonami. Jak można się było spodziewać, cechował ich typowy dla Amerykanów zachwyt brytyjską arystokracją. Gdy zapytała ich o wygody podczas rejsu przez Atlantyk, zaskarbiła tym sobie ich dozgonną wdzięczność. Na wzmiankę, że służba wkrótce poda przekąski, zareagowali taką radością jak skazańcy, którzy właśnie dostąpili prawa łaski. Aline miała tylko nadzieję, że po kilku dniach

mieszkania pod jej dachem oswoją się z nią na tyle, by przestała wzbudzać w nich takie oszołomienie.

Przeprosiła gości i udała się do kuchni na poszukiwania pani Faircloth. Co ciekawe, choć na dole wszystko wyglądało normalnie, wyczuła, że McKenna dopiero co tutaj był. Powietrze wydawało się naelektryzowane, jakby przez pomieszczenie przemknęła błyskawica. Jedno spojrzenie w oczy staruszki potwierdziło jej podejrzenia. Tak, McKenna odnalazł gospodynię niemal natychmiast po spotkaniu z nią. Ze wszystkich, którzy go kiedyś znali, to one dwie kochały go najmocniej.

McKenna… Myśli roiły się w jej głowie niczym pszczoły w przewróconym ulu… Nie potrafiła pochwycić jednej spójnej refleksji, jednego wyraźnego obrazu. Nie mogła uwierzyć, że McKenna wrócił do Stony Cross jak przyciągany przez jakiś magiczny magnetyt, złakniony zamknięcia za sobą przeszłości, która dręczyła ich oboje. Czegoś od niej chciał… jakiegoś okupu bólu, żalu lub rozkoszy, który nareszcie przyniósłby mu spokój. Ale ona nie mogła mu niczego takiego podarować, choć dobrowolnie oddałaby duszę w ofierze, gdyby tylko było to możliwe.

Pragnęła znów go zobaczyć, choćby po to, by się upewnić, że jest prawdziwy. Chciała usłyszeć jego głos, poczuć jego ramię pod palcami – cokolwiek, byle potwierdzić, że nie oszalała z wiecznej tęsknoty. Próbując nad sobą zapanować, przybrała obojętną minę i podeszła do długiego stołu. Zerknęła na notatki rozłożone pomiędzy kucharką a panią Faircloth i spokojnie zasugerowała kilka zmian w menu. Gdy zapadły ostateczne decyzje, przez chwilę rozważała, czy nie dołączyć do tłumu gości na południowy posiłek, lecz nagle poczuła wyczerpanie. Nie chciała jeść, uśmiechać się ani konwersować z tyloma przejętymi nieznajomymi. A to wszystko pod czujnym okiem McKenny… Niemożliwe. Do wieczora doprowadzi się do porządku i odegra rolę wytrawnej gospodyni. Tymczasem jednak pragnęła znaleźć jakieś odosobnione miejsce i pomyśleć. „Ukryć się”, podpowiedział drwiący głosik. „Tak, ukryć się”. Nie chciała spotykać się z McKenną, dopóki nie zdoła nad sobą zapanować.

– Hrabia chce się z tobą widzieć – powiedziała pani Faircloth.

Zmierzyła bladą twarz dziewczyny ciepłym, zatroskanym spojrzeniem.

Oczywiście. Marcus chciał się upewnić, że nie zanosi się łzami, nie jest wstrząśnięta ani w żaden inny sposób rozstrojona pojawieniem się mężczyzny, którego kiedyś kochała.

– Poszukam go – odparła. – I przekażę mu od razu, że tego ranka będzie musiał zająć się gośćmi bez mojej pomocy. Jestem… nieco zmęczona.

– Tak – zgodziła się pani Faircloth – powinnaś wypocząć przed wieczornym balem.

McKenna biorący udział w balu w Stony Cross Park – czegoś takiego Aline nie ośmielała się sobie nawet wyobrażać.

– Życie jest takie dziwne, nieprawdaż? – wymamrotała. – Co za ironia, że w końcu powrócił.

Oczywiście pani Faircloth doskonale wiedziała, kogo ma na myśli.

– Nadal cię pragnie.

Te słowa sprawiły, że przeszedł ją dreszcz, jakby jej kręgosłup napiął się niczym cięciwa łuku.

– Tak powiedział?

– Nie… ale obserwowałam jego twarz, gdy wymienił twoje imię.

Wzięła płytki oddech, zanim zapytała:

– Nie powiedziała mu pani…

– Nigdy nie zdradziłabym twojej tajemnicy – zapewniła ją gospodyni.

Aline dyskretnie ujęła jej ciepłą spracowaną dłoń w swoją miękką i chłodną, a dotyk gospodyni dodał jej otuchy, gdy ich palce mocno się splotły.

– Nie może się dowiedzieć – szepnęła. – Nie zniosłabym tego.

Aline znalazła Marcusa i Livię w rodzinnej bawialni, pokoju w prywatnym skrzydle, w którym spotykali się od czasu do czasu, by omówić sprawy szczególnej wagi. Najwyraźniej ta była jedną z nich. Pomimo wewnętrznego wzburzenia uśmiechnęła się na widok

zaniepokojonej miny brata i napięcia malującego się na twarzy siostry.

– Nie musicie robić takich min, jakbym miała się zaraz rzucić z okna – oświadczyła. – Zapewniam was, że jestem całkowicie spokojna. Widziałam się z McKenną, odbyliśmy całkiem przyjazną rozmowę i oboje zgodziliśmy się, że przeszłość nie ma żadnego znaczenia.

Marcus podszedł do niej i położył ciężkie wielkie dłonie na jej ramionach.

– Przeszłość zawsze ma znaczenie – odparł swoim silnym, chropawym głosem. – A biorąc pod uwagę okoliczności… nie chcę, byś znów została zraniona.

Postanowiła uśmiechem ukoić jego obawy.

– Nie zostanę zraniona. Nic nie zostało z uczuć, które kiedyś do niego żywiłam. Byłam wtedy po prostu zagubioną młodą dziewczyną. Jestem przekonana, że McKenna również nic już do mnie nie czuje.

– W takim razie co tutaj robi? – zapytał Marcus, pochmurniejąc.

– Prowadzi interesy z panem Shawem. Chcą przedyskutować twoje zaangażowanie w odlewnie…

– Podejrzewam, że to tylko podstęp, za którym kryje się prawdziwy cel McKenny.

– To znaczy?

– Zamierza w końcu cię zdobyć.

– Doprawdy, Marcusie, nie słyszysz, jak niedorzecznie to brzmi?

– Jestem sportsmenem – odparł obojętnie. – Biegam za psami gończymi i strzelam do celu przez całe życie… Umiem rozpoznać polowanie, gdy je widzę.

Aline odsunęła się od brata i posłała mu kpiące spojrzenie.

– Mogłam się domyślić, że tak na to spojrzysz. Życie to coś więcej niż pościgi i podboje, Marcusie.

– Być może dla kobiety. Nie dla mężczyzny.

Westchnęła i spojrzała znacząco na Livię, bez słów prosząc ją o wsparcie. Młodsza siostra od razu pospieszyła jej z pomocą:

– Jeśli Aline twierdzi, że nie przeszkadza jej obecność McKenny, moim zdaniem nas również nie powinna ona martwić.

Twarz Marcusa nie złagodniała.

– Rozważam wymówienie mu gościny.

– Dobry Boże, wiesz, ile plotek to wywoła? – zapytała Aline nerwowo. – Po co w ogóle pytasz mnie o zdanie, jeśli już podjąłeś decyzję? Nie mieszaj się do tego, dobrze? Ja chcę, żeby został.

Zaskoczył ją sposób, w jaki spojrzało na siebie jej rodzeństwo – jakby przemówiła do nich w obcym języku.

– O co chodzi? – mruknęła z wahaniem.

– Właśnie zobaczyłem cień dawnej ciebie – odparł Marcus. – To miła odmiana.

Odpowiedziała mu kpiącym śmiechem.

– Co sugerujesz, Marcusie? Że stałam się nieśmiała i pokorna?

– Raczej że zamknęłaś się w sobie. Nie godzisz się na zaloty żadnego mężczyzny poza Sandridge'em, a wszyscy wiedzą, że z tego akurat nic nie wyniknie. – Gdy Aline zaczęła protestować, Marcus przeniósł spojrzenie na Livię. – A ty nie jesteś lepsza – dodał stanowczo. – Minęły dwa lata od śmierci Amberleya, a równie dobrze mogłaś razem z nim położyć się do grobu. Czas zrzucić wdowie szatki, Livio, i znów zacząć żyć. Dobry Boże, jesteście najładniejszymi kobietami w całym Hampshire, a obie żyjecie jak zakonnice. Zaczynam się bać, że się was nie pozbędę do dnia, kiedy wypadną mi wszystkie włosy i zęby.

Livia spojrzała na niego z urazą, a Aline znienacka prychnęła śmiechem, gdy w jej myślach pojawił się obraz jej pełnego sił witalnych brata jako łysego staruszka. Podeszła do niego i pocałowała go z uczuciem.

– Na nic lepszego nie zasługujesz, ty arogancki intrygancie. Ciesz się, że ja nie prawię ci morałów, mój drogi nieżonaty, trzydziestoczteroletni bracie, którego jedynym celem w życiu powinno być spłodzenie dziedzica dla tytułu…

– Wystarczy – jęknął. – Dość się już nasłuchałem na ten temat od matki. Na Boga, nie potrzebuję wysłuchiwać tego również od ciebie.

Aline spojrzała triumfalnie na Livię, która zdobyła się na słaby uśmiech.

– Dobrze, na razie ci odpuszczę, jeśli obiecasz, że nic nie zrobisz ani nie powiesz w sprawie McKenny.

Marcus pokiwał głową, po czym wyszedł, mamrocząc coś pod nosem. Gdy Aline spojrzała w oczy siostry, zauważyła, że uwagi

Marcusa naprawdę ją zraniły. Uśmiechnęła się, by dodać Livii otuchy.

– Ma rację co do jednego – powiedziała. – Powinnaś znów zacząć bywać w towarzystwie.

– Chodzi ci o męskie towarzystwo, rzecz jasna.

– Tak. Pewnego dnia znów się zakochasz, Livio. Poślubisz jakiegoś wspaniałego mężczyznę, urodzisz mu dzieci i będziesz wieść życie, jakiego pragnąłby dla ciebie Amberley.

– A ty?

Uśmiech Aline zbladł.

– Wiesz, że dla mnie takie marzenia są już nieosiągalne.

Livia westchnęła ciężko.

– To niesprawiedliwe!

– Nie – przytaknęła Aline cicho. – Ale tak to bywa… Pewne rzeczy po prostu nie są nam pisane.

Livia zmarszczyła brwi i wbiła wzrok w dywan.

– Aline, jest coś, czego nigdy ci nie powiedziałam… Za bardzo się wstydziłam. Ale teraz, kiedy McKenna wrócił, nie przestaję myśleć o przeszłości i nie potrafię dłużej tego ignorować.

– Nie, Livio – powstrzymała ją łagodnie Aline, wyczuwając, co młodsza siostra ma zamiar powiedzieć.

Po delikatnym policzku Livii spłynęła łza.

– To ja doniosłam ojcu, że widziałam cię w stajni z McKenną. Podejrzewałaś to oczywiście, ale nigdy nie zapytałaś. Żałuję, że nie zachowałam milczenia. Tak bardzo tego żałuję... Zniszczyłam ci życie.

– To nie była twoja wina! – zawołała Aline, obejmując ją. – Jak mogłabym cię za to winić? Byłaś tylko dzieckiem i… Nie, nie płacz! Nieważne, że powiedziałaś ojcu. Nic nie wyniknęłoby z mojego związku z McKenną. Nie moglibyśmy przecież żyć razem.

– Żałuję mimo wszystko.

Próbując uspokoić siostrę, Aline poklepała ją po szczupłych plecach.

– Tylko głupiec sprzeciwia się swemu przeznaczeniu. Tak mawiał ojciec, pamiętasz?

– Tak, i zawsze brzmiał przy tym jak kompletny głupiec.

Aline poczuła, że w jej gardle wzbiera śmiech.

– Może masz rację. McKenna zdecydowanie sprzeciwił się własnemu przeznaczeniu, czyż nie?

Livia wyjęła chusteczkę z rękawa i wytarła nos.

– Służba plotkuje – odparła głosem stłumionym przez zwitek pomiętej bawełny. – Kamerdyner pana Chamberlaina powiedział naszemu lokajowi Jamesowi, który przekazał to jednej z pokojówek, że McKennę nazywają w Nowym Jorku „Królem" McKenną. Ma ogromną posiadłość przy Piątej Alei i zna go całe Wall Street.

Aline uśmiechnęła się krzywo.

– Od stajennego do króla. Mogłam się tego po nim spodziewać.

– Aline, a jeśli McKenna znów się w tobie zakocha?

Pytanie sprawiło, że przeszedł ją dreszcz.

– Nie zakocha się. Możesz mi wierzyć. Gdy raz zgaśnie płomień starego romansu, nic go już nie wskrzesi.

– A jeśli ten płomień nigdy nie zgasł?

– Livio, zapewniam cię, że McKenna nie marzył o mnie przez dwanaście minionych lat.

– A ty nie… – Livia urwała w pół słowa.

Domyślając się, o co chciała zapytać, Aline oblała się rumieńcem. Podeszła do okna i utkwiła wzrok w ścieżce pod arkadami wiodącej przez ogród. Arkady obrosły różami, powojnikiem i kapryfolium i utworzyły aromatyczny tunel prowadzący do altany o ścianach z kamienia i dachu z desek. Wspomnienia McKenny czaiły się w każdym kącie ogrodu… Jego dłonie poruszające się ostrożnie pomiędzy różami, by zerwać przekwitłe kwiaty… Jego opalona twarz pokryta cętkami światła, które padało na nią przez liście i sztachety… Włosy na jego karku lśniące od potu, gdy wysypywał ścieżki żwirem i wyrywał chwasty z rabat.

– Nie wiem, czy o nim marzyłam – odparła, muskając ramę okna palcami. – McKenna zawsze będzie częścią mnie niezależnie od tego, dokąd się uda. Podobno ludzie, którzy utracili kończynę, czasami wciąż ją czują. Wiele razy czułam, że McKenna wciąż tu jest, a puste miejsce obok mnie ożywało jego obecnością. – Zamknęła oczy i pochyliła się, aż jej czoło i czubek nosa dotknęły chłodnej szyby. – Kocham go do szaleństwa – wyszeptała. – Jest dla mnie obcym

człowiekiem, mimo to wciąż tak dobrze go znam. Nie wyobrażam sobie słodszej tortury, niż mieć go blisko siebie.

Upłynęła długa chwila, zanim Livia zdołała przemówić:

– Aline… Nie powiesz mu prawdy teraz, gdy wrócił?

– Po co? Zacząłby się nade mną litować, a ja wolałabym rzucić się z klifu do rzeki. – Odsunęła się od okna i starła rękawem odcisk swojego czoła z szyby. – Już wolę, by dalej mnie nienawidził.

– Nie wiem, jak ty to znosisz! – zawołała Livia.

Aline uśmiechnęła się słabo.

– Cóż, czerpię osobliwą pociechę z faktu, że nie odczuwałby teraz takiej nienawiści, gdyby wcześniej tak bardzo mnie nie kochał.

Pomimo namów ze strony Marcusa i Aline Livia nie zgodziła się wziąć udziału w balu powitalnym, na którym mieli stawić się wszyscy liczący się mieszkańcy hrabstwa.

– Potrzebuję cię tam – nalegała Aline, gotowa uciec się do wszystkiego, byle tylko namówić siostrę do powrotu z towarzyskiego wygnania, na które Livia sama się skazała. – Jestem dzisiaj taka niespokojna, Livio, a twoja obecność by mi pomogła…

– Nie – odparła Livia spokojnie, moszcząc się wygodnie w miękkich wełnianych pantoflach w rodzinnej bawialni, z książką w jednej dłoni i kieliszkiem wina w drugiej. Włosy splotła w luźny warkocz. – Nie zamierzam zabawiać rzeszy Amerykanów. Poza tym wiem doskonale, dlaczego jesteś niespokojna, i wiem, że moja obecność nie sprawi ci żadnej różnicy.

– Nie chcesz zobaczyć McKenny po tych wszystkich latach?

– Dobry Boże, oczywiście, że nie. – Wbiła orzechowozielone oczy w siostrę ponad brzegiem kieliszka i upiła łyk wina. – Na samą myśl o spotkaniu z McKenną po tym, jak na was doniosłam, mam ochotę zapaść się pod ziemię.

– Przecież on o tym nie wie.

– Ale ja wiem!

Marszcząc brwi, Aline postanowiła obrać inną taktykę.

– A pan Shaw? Naprawdę nie jesteś go ciekawa?

– Z opowieści Marcusa wnioskuję, że najlepiej zrobię, trzymając się od niego z daleka.

– Myślałam, że Marcus lubi Shawa.

– Lubi, ale nie uważa go za odpowiednie towarzystwo dla żadnej ze swoich sióstr.

– I właśnie dlatego pan Shaw może okazać się frapujący – skwitowała Aline, na co Livia wybuchnęła śmiechem.

– Biorąc pod uwagę, że zamierza zostać tu przez miesiąc, jeszcze będziemy miały okazję się o tym przekonać. A tymczasem idź już na dół i baw się dobrze. Pięknie wyglądasz w tej sukni… Nie mówiłaś mi kiedyś, że niebieski to ulubiony kolor McKenny?

– Nie pamiętam.

Ale to była prawda. Niebieski faktycznie był jego ulubionym kolorem. Tego wieczoru nie zdołała się powstrzymać przed sięgnięciem po suknię z jedwabiu w odcieniu rosyjskiego lazurytu. Miała prosty krój, bez falbanek czy baskinki, tylko z półtrenem z tyłu i głębokim kwadratowym dekoltem. Szyję owinęła dwukrotnie sznurem pereł tak, by dłuższa pętla sięgała niemal talii. Kolejny sznur misternie wplotła w wysoko upięte loki.

– Wyglądasz jak bogini – podsumowała wesoło Livia, unosząc w toaście kieliszek. – Powodzenia, moja droga. Ponieważ gdy tylko McKenna zobaczy cię w tej sukni, trzymanie go na dystans stanie się niemożliwe.

Gdy tylko McKenna wstąpił w spółkę z Shawem, Gideon zaczął nalegać na oficjalne wprowadzenie go w najwyższe kręgi nowojorskiej socjety. Wiązało się to z długim i rygorystycznym szkoleniem, by McKenna mógł wmieszać się w elitę otaczającą Shawów. Ale John zawsze pamiętał, że jego ogłada jest tylko powierzchowna. Przynależność do arystokracji polegała na czymś więcej niż odpowiednie ubrania i maniery. Arystokratę cechowało poczucie wyższości, wrodzona wiara we własną przewagę nad światem i elegancja charakteru, której nie miał nigdy osiągnąć.

Na szczęście dla niego w Ameryce wystarczały pieniądze. Tamtejsza klasa wyższa stanowiła zamknięty krąg, który od czasu do czasu otwierał się na zamożnych aspirantów. Mężczyzna dysponujący nową fortuną przekonywał się zazwyczaj, że większość drzwi stoi przed nim otworem. Kobiety miały mniej szczęścia. Dziedziczka pozbawiona koneksji, niezależnie od wysokości posagu, nie miała szans na akceptację nowojorskiej elity i zmuszona była szukać męża w Paryżu albo Londynie, a nie w domu.

Po wyniosłej atmosferze nowojorskich balów McKenna z ulgą przyjął swobodny klimat tego zgromadzenia. Gdy podzielił się tą refleksją z Gideonem, ten wybuchnął cichym śmiechem.

– W Anglii zawsze tak jest – wyjaśnił. – Tutejsi arystokraci nie muszą nikomu niczego udowadniać. Nikt nigdy nie odbierze im tytułów, mogą więc robić i mówić, co tylko chcą. W Nowym Jorku natomiast status społeczny to dość niepewny konstrukt. Jedyny sposób, by się w nim utwierdzić, to zapisać się na jedną z tych cholernych list. Listę komitetów, listę gości, listę członków, listę wizyt…

– Są jakieś listy, na których nie ma twojego nazwiska? – zapytał McKenna.

– Boże, oczywiście, że nie ma – odparł Gideon, śmiejąc się drwiąco. – Jestem Shawem. Wszyscy mnie chcą.

Stali razem pod jedną ze ścian sali balowej, która musiała mieć hektar powierzchni. Powietrze było ciężkie, przesycone zapachem róż, irysów i lilii zebranych w ogrodach i ułożonych z wprawą w kryształowych wazonach. W niszach stały wyścielane aksamitem ławki, na których siedziały wdowy i młode dziewczęta w stłoczonych grupach. Z balkonu płynęła muzyka – mała orkiestra ukrywała się za zasłoną bujnej zieleni. Bal ten nie dorównywał przepychem podobnym wydarzeniom organizowanym na Piątej Alei, w których McKenna brał udział, ale i tak przewyższał je wszystkie. „Tak ujawnia się różnica pomiędzy jakością a zwykłymi popisami”, pomyślał McKenna. Pojawienie się lady Aline tylko umocniło go w tym przekonaniu.

Wyglądała oszałamiająco z białymi perłami w błyszczących ciemnych włosach i w błękitnej sukni, która ciasno otulała jej

ponętne ciało i krągłe piersi. Jej nadgarstek w rękawiczce otaczał podwójny wianek świeżych białych róż. Wyciągnęła przed siebie dłonie w geście powitania i podeszła do gości stojących najbliżej wejścia. Jej usta rozciągnęły się w magicznym uśmiechu. Obserwując ją, zauważył coś, co wcześniej umknęło jego uwagi… Poruszała się inaczej, niż zapamiętał. Impulsywną gracją młodej dziewczyny zastąpiła spokojna pewność łabędzia sunącego po nieruchomej tafli sadzawki.

Jej pojawienie się przyciągnęło wiele spojrzeń, a on szybko się przekonał, że nie jest jedynym mężczyzną, który docenia jej olśniewający powab. Za spokojną fasadą kryła się ewidentna zmysłowość. Z trudem powstrzymał się przed podejściem do niej i zaciągnięciem jej w jakieś ciemne, odosobnione miejsce. Zapragnął zerwać perły z jej włosów, przycisnąć usta do jej piersi i do nieprzytomności upajać się jej zapachem.

– Śliczna – mruknął Gideon, podążając za jego spojrzeniem – ale w Nowym Jorku mogłeś znaleźć sobie kobietę równie atrakcyjną… a do tego o wiele młodszą.

McKenna posłał mu lekceważące spojrzenie.

– Wiem, co mogłem znaleźć w Nowym Jorku.

Nie zdołał się opanować i znów wbił wzrok w Aline. Gideon uśmiechnął się i przesunął długimi palcami po nóżce kieliszka z winem.

– Nie mówię oczywiście, że wszystkie kobiety są takie same, ale dysponuję dostateczną wiedzą, by stwierdzić, że wszystkie posiadają takie samo podstawowe wyposażenie. Co czyni tę konkretną tak diametralnie lepszą od całej reszty? Prosty fakt, że nie mogłeś jej mieć?

McKenna nie zniżył się do odpowiedzi na te brednie. Nie zdołałby objaśnić tego Shawowi… ani nikomu innemu. Ponura prawda była taka, że jego i Aline nic nie mogło rozdzielić. Mieszkali na dwóch krańcach ziemi, a wciąż tkwili w tym przeklętym uwikłaniu. Nie mieć jej? Nigdy nie przestał jej mieć… Stanowiła dla niego wieczną torturę. I teraz miała za to cierpieć, tak jak on cierpiał przez ponad dekadę.

Jego rozmyślania przerwało nadejście lorda Westcliffa. Tak jak wszyscy inni obecni na balu mężczyźni hrabia miał na sobie czarno-biały strój, złożony z modnie skrojonego surduta o szerokich klapach i luźnych spodni. Cechowała go potężna sylwetka zagorzałego sportsmena i bezpośredniość zamiast zamiłowania do intryg. Podobieństwo do zmarłego hrabiego sprawiło jednak, że McKenna nie zdołał zignorować ukłucia wrogości. Ale przecież niewielu arystokratów zgodziłoby się przyjąć dawnego służącego jako gościa w swoim domu – to musiał przyznać.

Westcliff przywitał się z nimi z uprzejmą, choć nie do końca przyjazną miną.

– Dobry wieczór – powiedział. – Dobrze się bawicie, panowie?

– Doskonale – odparł kordialnie Shaw, z aprobatą unosząc kieliszek. – Wyborne bordeaux, milordzie.

– Cieszę się. Dopilnuję, by w kawalerskim domku pojawiła się skrzynka tego rocznika do waszej dyspozycji. – Przeniósł wzrok na McKennę. – A pan, sir? Co sądzi pan o swoim pierwszym balu w Stony Cross Park?

– Wygląda to całkiem inaczej po tej stronie szyby – odparł McKenna szczerze.

Westcliff uśmiechnął się po chwili wahania.

– Duża odległość dzieli stajnie od sali balowej – przyznał. – Niewiele osób zdołało ją pokonać.

McKenna w zasadzie go nie słyszał. Całą swoją uwagę koncentrował na Aline, która właśnie witała nowego gościa.

Mężczyzna zjawił się sam. Nie miał więcej niż trzydzieści lat i urodą niemal dorównywał Shawowi, choć tam, gdzie Gideon był złoty i opalony, mężczyzna był chłodny i blady. Miał tak jasne włosy, że niemal białe, i przeszywające spojrzenie. Kontrast sprawiał, że stanowili z Aline uderzająco atrakcyjną parę.

Podążając za spojrzeniem McKenny, Westcliff zauważył siostrę i jej towarzysza.

– Lord Sandridge – mruknął. – Przyjaciel rodziny, którego lady Aline wysoko ceni.

– Na to wygląda – odparł McKenna, dostrzegając aurę intymności, którą roztaczała ta dwójka. Zazdrość przetoczyła się przez niego

zjadliwą falą.

Westcliff kontynuował swobodnie:

– Przyjaźń połączyła ich już ponad pięć lat temu. Moja siostra odczuwa wyjątkową sympatię do Sandridge'a… co cieszy mnie niepomiernie, ponieważ nade wszystko pragnę jej szczęścia. – Skinął głową obu mężczyznom. – Do usług, panowie.

Gideon uśmiechnął się, odprowadzając hrabiego wzrokiem.

– Wytrawny strateg z tego naszego Westcliffa – mruknął. – Wygląda na to, że próbuje wyperswadować ci lady Aline, McKenna.

McKenna posłał mu potępiające spojrzenie, choć przez lata przyzwyczaił się do perwersyjnej rozkoszy, jaką czerpał Gideon z wyprowadzania go z równowagi.

– Westcliff może iść do diabła – warknął. – Razem z Sandridge'em.

– Nie obawiasz się konkurencji w takim razie? – szepnął Gideon.

McKenna uniósł brew i prychnął pogardliwie.

– Po pięciu latach znajomości z lady Aline Sandridge nie rości sobie do niej żadnego prawa. Nie nazwałbym tego konkurencją w żadnym znaczeniu tego słowa.

– Nie rości sobie do niej żadnego prawa publicznie – poprawił go Gideon.

McKenna pokręcił głową z bladym uśmiechem.

– Wedle mojej wiedzy, Shaw, tylko takie prawo się liczy.

ROZDZIAŁ 8

W życiu Aline niewiele było osób, którym ufałaby na tyle, by je pokochać. Niemniej nic nie przyszło jej z większą łatwością niż pokochanie lorda Adama Sandridge'a. Łączyła ich przyjaźń w najczystszej postaci, nieskażona powiewem zmysłowości. Plotki o ich romansie krążyły już od pięciu lat, co oboje wykorzystywali do własnych celów. Aline cieszył fakt, że mniej mężczyzn ośmiela się do niej podejść z tego powodu, Adam z kolei był wdzięczny losowi za to, że plotki o nich uciszały inne, bardziej niszczące, które mogłyby w przeciwnym razie zacząć krążyć.

Aline nigdy nie interesowała się fizycznymi preferencjami Adama, ponieważ nie miało to w jej opinii nic do rzeczy. Wiedziała jednak to, co inni tylko podejrzewali – że jego pociąg ogranicza się do mężczyzn. Wiedziała też, że Adam mógłby uszczęśliwić innego, podobnie myślącego mężczyznę. Już sam jego urok osobisty, inteligencja i poczucie humoru czyniły go bardzo pociągającym, a do tego dochodziła jeszcze niezwykła prezencja. Bo los sprawił, że Adam był oszałamiająco przystojny – miał gęste białe włosy, szare oczy ocienione ciemnymi rzęsami i szczupłe, umięśnione ciało. W jego towarzystwie zawsze dobrze się bawiła. Rozśmieszał ją, nakłaniał do myślenia, wiedział, co powie, zanim otworzyła usta. Potrafił wyciągnąć ją z depresji jak nikt inny, a ona nieraz rewanżowała mu się tym samym.

– Czasami żałuję, że nie jestem mężczyzną – powiedziała mu kiedyś ze śmiechem.

W odpowiedzi olśnił ją śnieżnobiałym uśmiechem na tle lekko opalonej twarzy.

– Nie, jesteś zbyt doskonałą kobietą.

– Daleko mi do doskonałości – odszepnęła, myśląc o gęstej sieci zgrubiałych blizn, która pokrywała jej nogi.

A Adam, jak to Adam, nie zaczął jej pocieszać ani kłamać, tylko ujął jej dłoń w swoją i trzymał ją przez długą chwilę. Opowiedziała mu o swoim wypadku i o spustoszeniach, jakie poczynił, wkrótce po tym, jak się poznali. Co ciekawe, wciąż utrzymywała to w tajemnicy przed przyjaciółmi, których znała od lat, ale przed Adamem nie potrafiła niczego ukryć. Zdradziła mu też więc wszystkie szczegóły swojej historii zakazanej miłości do McKenny i tego, jak go odprawiła. Adam wysłuchał jej zwierzeń z cichym zrozumieniem i odpowiednią dozą współczucia.

I teraz ze sztucznym uśmiechem na twarzy ścisnęła jego dłonie nerwowo i wymamrotała cicho:

– Potrzebuję cię, Adamie.

Wbił w jej twarz intensywne spojrzenie.

– Co się stało?

– McKenna – wykrztusiła. – Wrócił.

Z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Do Stony Cross?

Gdy nerwowo przytaknęła, zagwizdał bezgłośnie.

– Dobry Boże.

Uśmiechnęła się drżąco.

– Zamieszkał w posiadłości… Przyjechał z Amerykanami.

– Moje biedactwo – mruknął Adam ze smutkiem. – Wygląda na to, że naprawdę prześladuje cię pech. Chodź ze mną do ogrodu, porozmawiamy.

Bardzo chciała tak właśnie zrobić, ale się zawahała.

– Muszę tu zostać i witać gości.

– To jest ważniejsze – oświadczył, układając sobie jej dłoń w zagięciu ramienia. – Tylko na parę minut… Przyprowadzę cię z powrotem, zanim za tobą zatęsknią. No chodź.

Wyszli na balkon położony nad tarasami z tyłu. Rząd okien otworzono, by do środka wpadała lekka bryza. Aline wyrzucała z siebie słowa, a Adam słuchał w pełnym namysłu milczeniu.

Przystanął w otwartych drzwiach balkonowych i spojrzał na tłoczących się na dole gości.

– Powiedz mi, który to – mruknął.

Aline nie musiała nawet patrzeć na salę balową, tak wyczulona była na obecność McKenny.

– Stoi tam, przy złoconym fryzie. Mój brat z nim rozmawia.

Po dyskretnej inspekcji Adam spojrzał na nią i mruknął kpiąco:

– Całkiem niezły, jeśli ktoś gustuje w takich mrocznych, ponurych typach.

Choć wzburzona, nie zdołała powstrzymać śmiechu.

– A jest ktoś, kto w takich nie gustuje?

– Ja na przykład. Może ty masz słabość do *Sturm und Drang*… Ja zawsze wybiorę kogoś, z kim łatwiej sobie poradzić.

– *Sturm und Drang*?

– Ach, widzę, że będę musiał zapoznać cię z najwspanialszymi osiągnięciami niemieckiej literatury. To synonim namiętnej burzy emocji… „Burza i napór" to dosłowne tłumaczenie.

– Tak, cóż, nie ma nic bardziej ekscytującego niż burza, nieprawdaż? – zapytała ponuro.

Uśmiechnął się i pociągnął ją na pobliską ławkę.

– Tylko jeśli obserwuje się ją z wnętrza przytulnego, ciepłego domu.

Gdy usiedli, ujął dłoń Aline i uścisnął ją lekko.

– Powiedz mi, kochanie, co poczniemy z tym twoim problemem.

– Jeszcze nie wiem.

– Czy McKenna zdradził już, czego od ciebie chce? – zapytał, ale zaraz sam sobie odpowiedział: – Nieważne… Doskonale wiem, czego chce. Pytanie brzmi: czy to możliwe, by użył siły lub nacisku innego rodzaju?

– Nie – odparła od razu. – Niezależnie od tego, jak bardzo się zmienił, nigdy nie uciekłby się do czegoś takiego.

Adam nieco się odprężył.

– To dobra wiadomość.

– Boję się, Adamie – wyznała szeptem, kładąc głowę na jego ramieniu. – Nie tego, co stanie się teraz albo w najbliższych

tygodniach… Boję się tego, co będzie potem, gdy McKenna znów wyjedzie. Raz to przeżyłam, lecz chyba nie zdołam tego powtórzyć.

Otoczył ją ramieniem i uścisnął, próbując ją pocieszyć.

– Owszem, zdołasz… Będę tu, aby ci w tym pomóc.

Zapadła długa chwila ciszy, podczas której Adam rozważał swoje następne słowa.

– Aline, to, co teraz powiem, może ci się wydać bardzo nie w porę… ale od jakiegoś czasu chodzi mi po głowie pewien pomysł, a ta chwila na rozmowę o nim jest w sumie równie dobra jak każda inna.

– Tak?

Pochylił ku niej głowę, ich nosy prawie się zetknęły. Uśmiechnął się, a jego szare oczy rozbłysły, gdy odbił się w nich blask księżyca.

– Stanowimy dobraną parę, kochanie. Znamy się od pięciu lat i przez ten czas pokochałem cię jak żadną inną istotę. Mógłbym godzinami wymieniać twoje zalety, lecz przecież dobrze je wszystkie znasz. Mam propozycję… Powinniśmy kontynuować to, co nas łączy, z jedną małą zmianą. Pragnę cię poślubić.

– Czy ty piłeś? – zapytała.

Wybuchnął śmiechem.

– Pomyśl o tym… Zostałabyś panią Marshleigh. Stanowilibyśmy najrzadszą kombinację, a mianowicie małżeństwo, które naprawdę się lubi.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Ale przecież ty nigdy…

– Nie. Oboje jeden rodzaj spełnienia znaleźlibyśmy w małżeństwie, a innego rodzaju szukali poza nim. Przyjaźń jest o wiele solidniejsza niż miłość, Aline. Jestem tradycjonalistą w jednym znaczeniu tego słowa, a mianowicie dostrzegam głęboki sens w oddzieleniu namiętności od małżeństwa. Nie będę cię winił za szukanie rozkoszy tam, gdzie będziesz mogła ją znaleźć, a ty nie obwinisz mnie za to samo.

– Ja nie będę szukać takich rozkoszy – mruknęła. – Każdy mężczyzna, który zobaczy moje nogi, natychmiast straci cały zapał do miłości ze mną.

– W takim razie mu ich nie pokazuj – podpowiedział beztrosko.

Posłała mu sceptyczne spojrzenie.

– Ale jak…

– Użyj wyobraźni, kochanie.

Diaboliczny błysk w jego oku sprawił, że oblała się rumieńcem.

– Nigdy nie brałam pod uwagę takiej możliwości. To byłoby dziwne i niezręczne…

– Wszystko sprowadza się do zwykłej logistyki – poinformował ją z rozbawieniem. – A wracając do mojej propozycji… Zastanowisz się nad tym?

Pokręciła głową z bladym uśmiechem.

– Chyba jestem nieco zbyt konwencjonalna na taki układ.

– Do diabła z konwencjami. – Ucałował jej włosy. – Pozwól, bym pomógł ci uleczyć złamane serce. Pozwól, bym masował twoje nogi każdego wieczoru i trzymał cię w ramionach jak ukochany przyjaciel. Pozwól, bym zabierał cię w piękne miejsca, gdy już ci się znudzą angielskie krajobrazy.

Uśmiechnęła się, wtulając policzek w miękką tkaninę jego surduta.

– Czy dasz mi trochę czasu na przemyślenie tej niezwykle kuszącej propozycji?

– Tyle, ile tylko potrzebujesz. – Poruszył się gwałtownie, choć wciąż ją obejmował. – Pan Sturm nadchodzi, panno Drang. Co mam zrobić? Zostać czy odejść?

Odsunęła się od niego.

– Odejdź – szepnęła. – Dam sobie z nim radę.

– Te słowa uczynimy twoim mottem – zażartował, po czym musnął ustami jej policzek. – Powodzenia, kochanie. Zawołaj, jeśli okażę się potrzebny.

– Nie chcesz go najpierw poznać? – zapytała.

– Boże, nie. Sama zabijaj swoje smoki, milady – odparł, po czym odszedł z uśmiechem.

Aline podniosła głowę, gdy McKenna podszedł bliżej i rzucił na nią długi cień. Adam nie do końca miał rację – McKenna przypominał bardziej diabła niż smoka, potrzebował tylko wideł, aby dopełnić

obrazu. Wysoki, ponury, czarnooki diabeł w czarno-białym stroju wieczorowym... Dosłownie odebrał jej oddech. Zszokowała ją niekiełznana siła pragnienia, by go dotknąć. Uczucie to pamiętała z młodości – dzikie, przyprawiające o zawrót głowy podniecenie, którego nie zdołała wyrzucić z pamięci.

– McKenna – powiedziała bez tchu. – Dobry wieczór.

Przystanął przed nią i z napięciem spojrzał na drzwi, przez które właśnie wyszedł Adam.

– Kto to był? – zapytał, choć podejrzewała, że znał odpowiedź.

– Lord Sandridge – wymamrotała. – Bardzo bliski przyjaciel.

– Tylko przyjaciel?

Dziesięć minut temu potwierdziłaby bez wahania. Teraz, w świetle oświadczyn, musiała poświęcić temu pytaniu chwilę namysłu.

– Pragnie mnie poślubić – wyznała.

Twarz McKenny nie wyrażała żadnych uczuć, tylko w jego oczach pojawił się osobliwy błysk.

– Zgodzisz się?

Spojrzała na niego, po części ukrytego w cieniu, i nagle poczuła, że jej ciało ożywa. Skóra zaczęła ją mrowić pod błękitnym jedwabiem, koniuszki jej piersi stwardniały. Fala żaru zalała jej klatkę piersiową i brzuch, jakby ktoś na nią dyszał.

– Prawdopodobnie – usłyszała swój szept.

Podszedł bliżej i wyciągnął rękę we władczym geście. Gdy pomagał jej wstać, poczuła, jak jego długie palce otaczają jej nadgarstek w rękawiczce tuż pod wianuszkiem splecionym z pączków białych róż. Nie opierała się. Jej puls przyspieszył, gdy McKenna przesunął kciuk na wnętrze jej dłoni. Oboje mieli rękawiczki, mimo to sam nacisk jego palców wystarczył, by jej serce zerwało się do galopu.

– McKenna – zapytała cicho – dlaczego nie ostrzegłeś mnie o swoim niespodziewanym powrocie do Stony Cross?

– Nie sądziłem, by miało to dla ciebie jakiekolwiek znaczenie.

Oczywiste kłamstwo wypowiedział z zaskakującą swobodą. Każdy by mu uwierzył, ale nie ona. „By miało to znaczenie?”, pomyślała z sarkazmem. Ileż deszczowych dni i samotnych nocy spędziła, tęskniąc za nim. W wywołanym gorączką delirium, które niemal ją

zabiło, raz po raz wypowiadała jego imię, wzywała go, śniła, że tuli ją do siebie.

– Oczywiście, że to ma znaczenie – odparła z wymuszoną lekkością, odsuwając na bok wspomnienia. – Przecież jesteśmy przyjaciółmi.

– Przyjaciółmi... – powtórzył obojętnie.

Ostrożnie wyswobodziła nadgarstek z jego uścisku.

– Oczywiście, że tak. Bardzo dobrymi przyjaciółmi. A ja często zastanawiałam się, co się z tobą działo po twoim wyjeździe.

– No to teraz już wiesz. – Jego twarz pozostała surowa i obojętna. – Sam również zastanawiałem się… co się z tobą działo po tym, jak odesłano mnie do Bristolu. Słyszałem coś o chorobie…

– Nie rozmawiajmy o mojej przeszłości – przerwała mu, śmiejąc się lekko. – Zapewniam cię, że jest szalenie nudna. O wiele bardziej interesują mnie twoje przygody. Opowiedz mi wszystko. Zacznij od chwili, w której postawiłeś stopę w Nowym Jorku.

Zręczne pochlebstwo chyba go rozbawiło, jakby zrozumiał, że Aline zamierza trzymać go na dystans, flirtując z nim, i w ten sposób unikając rozmowy o czymkolwiek, co miałoby znaczenie.

– To nie jest pogawędka przystająca do sali balowej.

– Ach. Może w takim razie przystaje do salonu? Do pokoju karcianego? Nie? Wielkie nieba, musi być doprawdy skandaliczna. Chodźmy w takim razie na spacer. Do stajni. Konie z pewnością ucieszy twoja opowieść, a one rzadko plotkują.

– Możesz zostawić swoich gości?

– Och, Westcliff jest doświadczonym gospodarzem… Na pewno sobie poradzi.

– A przyzwoitka? – zapytał, choć już prowadził ją ku bocznemu wejściu do sali balowej.

Jej uśmiech stał się kpiący.

– Kobieta w moim wieku nie potrzebuje przyzwoitki, McKenna.

Oszacował ją niepokojąco uważnym spojrzeniem.

– Może jednak jakaś by ci się przydała.

Przeszli przez ogród do tylnego wejścia do stajni. Posiadłość została zaplanowana na modłę europejską – stajnie tworzyły jedno ze skrzydeł zamykających dziedziniec od frontu. Ludzie mawiali, że

konie lorda Westcliffa żyją w o wiele lepszych warunkach niż większość z nich, i mieli w tym trochę racji. Wybrukowany centralny dziedziniec stajni zdobiła duża marmurowa fontanna do picia dla koni. Arkady wiodły do siodlarni, rzędów pięciu tuzinów boksów i powozowni, w której pachniało pastą do polerowania miedzi, skórą i woskiem. Niewiele się tu zmieniło, odkąd McKenna opuścił Stony Cross Park. Aline zastanawiała się, czy cieszy go stałość tego miejsca.

Weszli do siodlarni, w której na ścianach wisiały siodła, uzdy, kantary, napierśniki i puśliska. Drewniane pudła ze zgrzebłami stały schludnie na półkach. W powietrzu unosił się intensywnie słodkawy zapach koni i skóry.

McKenna podszedł do jednego z siodeł i pogładził opuszkami palców jego wytartą powierzchnię. Pochylił nad nim ciemną głowę, jakby nagle zatonął we wspomnieniach. Aline czekała, aż podniesie na nią wzrok.

– Jak rozpoczęło się twoje życie w Nowym Jorku? – zapytała. – Zakładałam, że poszukasz pracy przy koniach. Jak to możliwe, że zostałeś sternikiem promu?

– Pierwsza robota, którą udało mi się znaleźć, polegała na noszeniu ładunków w dokach. Gdy nie dźwigałem ciężarów, uczyłem się walczyć na pięści. Robotnicy dokowi biją się o to, kto otrzyma zlecenie. – Urwał, po czym dodał szczerze: – Szybko nauczyłem się przemocą zdobywać to, na czym mi zależało. W końcu udało mi się kupić małą łódkę z płaskim dnem i zostałem najszybszym przewoźnikiem na Staten Island.

Słuchała go uważnie, próbując zrozumieć stopniowy proces ewolucji niefrasobliwego chłopca w tego ambitnego mężczyznę, który stał teraz przed nią.

– Czy ktoś ci pomagał? – zapytała.

– Nie, nie miałem żadnego mentora. – Przeczesał palcami krótko obcięte włosy. – Długo myślałem o sobie jak o służącym… Nie sądziłem, że mógłbym stać się kimś więcej. Ale po jakimś czasie uświadomiłem sobie, że inni właściciele promów mają o wiele większe ambicje niż ja. Opowiadali mi o ludziach pokroju Jana Jakuba Astora… Słyszałaś o nim kiedyś?

– Obawiam się, że nie. Czy to przyjaciel Shawów?

Na to pytanie McKenna wybuchnął śmiechem. Jego zęby błysnęły bielą na tle opalonej twarzy.

– Jest o wiele bogatszy od Shawów, choć Gideon tego nie przyzna. Astor był synem rzeźnika, który zaczynał z niczym i dorobił się na handlu futrem. Teraz kupuje i sprzedaje nieruchomości w Nowym Jorku. Jest wart co najmniej piętnaście milionów dolarów. Poznałem go… To apodyktyczne chuchro, które ledwie co mówi po angielsku… i dzięki własnej pracy jeden z najbogatszych ludzi na świecie.

Jej oczy zogromniały. Słyszała o gwałtownym rozwoju przemysłu w Ameryce i o szybko rosnącej wartości nowojorskich działek. Wydawało się jednak niemożliwe, by jeden mężczyzna – zwłaszcza niskiego urodzenia – zdołał zgromadzić taką fortunę.

McKenna chyba czytał w jej myślach.

– Tam wszystko jest możliwe. Możesz zarobić mnóstwo pieniędzy, jeśli jesteś gotów na poświęcenia. A tylko pieniądze się tam liczą, ponieważ Amerykanie nie posiadają tytułów ani błękitnej krwi.

– Co to znaczy: jeśli jesteś gotów na poświęcenia? – zapytała. – Co musiałeś zrobić?

– Wykorzystywałem innych ludzi. Nauczyłem się ignorować głos sumienia i własne interesy przedkładać ponad interesy innych. A przede wszystkim przekonałem się, że w życiu nie ma miejsca na troszczenie się o nikogo poza samym sobą.

– Ale ty nie jesteś taki – wtrąciła.

Jego głos stał się wyjątkowo miękki:

– Nie wątp w to ani przez chwilę, milady. Nic nie zostało z chłopca, którego znałaś. Można powiedzieć, że umarł, opuszczając Stony Cross.

Nie zamierzała się z tym pogodzić. Jeśli nic nie zostało z tamtego chłopca, istotna część jej serca również musiała umrzeć. Odwróciła się do uprzęży wiszącej na ścianie tuż za nią, aby ukryć smutek, który wykrzywił jej rysy.

– Nie mów tak.

– To prawda.

– Mam wrażenie, że mnie przed sobą ostrzegasz – kontynuowała ochryple.

Nie słyszała jego kroków, dopóki nie stanął tuż obok niej. Ich ciała się nie stykały, lecz poczuła, jak w jej skonsternowanym wnętrzu wzbiera czysto fizyczny głód. Osłabła z pragnienia, by oprzeć się na nim i położyć jego dłonie na swoim ciele. „Nie powinnam zostawać z nim sam na sam", pomyślała, zaciskając powieki.

– Ostrzegam cię – potwierdził McKenna łagodnie. – Powinnaś nakazać mi wyjazd ze Stony Cross. Powiedz bratu, żeby się mnie pozbył, że moja obecność tutaj cię obraża. Wyjadę, Aline… ale tylko jeśli ty do tego doprowadzisz.

Jego usta znalazły się tuż przy jej twarzy, a oddech muskał wrażliwe ucho.

– A jeśli tego nie zrobię?

– Wtedy wezmę cię do łóżka.

Odwróciła się do niego i zmierzyła go speszonym spojrzeniem.

– Co takiego?

– Słyszałaś. – Pochylił się i oparł dłonie po obu jej stronach na wiekowych drewnianych ścianach stajni. – Wezmę cię – powtórzył głosem, w którym pobrzmiewała groźba. – I nie będzie to pod żadnym względem przypominać dżentelmeńskich karesów, do których przywykłaś przy Sandridge'u.

Nie mógłby się bardziej mylić. Przyglądał się jej z uwagą, aby przekonać się, czy zaprzeczy jego podejrzeniom. Ale nie zareagowała, wiedząc, że gdyby zdradziła mu choć część prawdy, odkryłby wszystkie jej sekrety. Lepiej, by myślał, że ona i Adam są kochankami, niżby się zastanawiał, dlaczego przez te wszystkie lata była sama.

– Nie… nie tracisz czasu na subtelności, nieprawdaż? – wykrztusiła, wpatrując się w niego ze zdumieniem, podczas gdy w jej żołądku wzbierało ciepłe mrowienie.

– Uznałem, że uczciwie będzie cię ostrzec zawczasu.

Wstrząsnęła nią osobliwa familiarność tej sytuacji, gdy trwała przy ścianie, unieruchomiona przez te niezwykłe niebieskozielone oczy. To nie mogła być prawda.

– Nie należysz do tych, którzy narzucają się kobietom – szepnęła. – Nieważne, jak bardzo przez te lata się zmieniłeś...

Odpowiedział spokojnym głosem, choć jego oczy mieniły się wszystkimi stopniami temperatury pomiędzy ogniem a lodem:

– Jeśli do jutrzejszego ranka nie odeślesz mnie ze Stony Cross, potraktuję to jako zaproszenie do twojego łóżka.

Przepełniała ją burza zdumiewających emocji – gniew, rozbawienie, konsternacja… o podziwie nie wspominając. Chłopiec, który urodził się jako służący, stał się zaskakująco aroganckim mężczyzną, a jej ogromnie podobała się emanująca z niego pewność siebie. W innych okolicznościach z radością oddałaby mu wszystko, czego by tylko zażądał. Gdyby nie…

Nagle jej myśli rozpierzchły się, gdy McKenna chwycił za podwójny sznur pereł. Przeniósł większość ciężaru na jedną nogę, a drugą delikatnie wcisnął w jej spódnicę i halki. W obliczu takiej bliskości Aline poczuła, że całkowicie traci kontrolę. Jej nozdrza wypełnił zapach jego skóry – nuty wody kolońskiej i mydła do golenia, a także czystej, ciepłej od słońca esencji, która nie mogła należeć do żadnego innego. Wniknąwszy głęboko w jej płuca, ten aromat uruchomił w jej ciele żywiołową reakcję.

Z determinacją, która ją oszołomiła, McKenna przycisnął ją torsem do ściany. Wolną dłonią otoczył jej kark, a jej z jakiegoś powodu nawet nie przyszło do głowy, by próbować się opierać. Mogła tylko znieruchomieć w jego uścisku, osłabła z podniecenia, pragnienia i trwogi.

– Odpraw mnie – mruknął, jakby chciał, by walczyła, jakby tego żądał. Jej brak oporu jeszcze bardziej go rozpalał. Gorąca fala jego oddechu musnęła jej wargi, a całe jej ciało stężało. – Odpraw mnie – powtórzył, pochylając ku niej głowę.

Wspomnienia tego, kim i czym dla siebie byli, wspomnienia dawnych pocałunków i rozdzierającej tęsknoty pochłonął dziki płomień pożądania. Pozostała tylko teraźniejszość, jej jęk uwięziony w jego gorących ustach, pocałunek graniczący z przemocą, który szybko przerodził się w rodzaj chciwego, ekstatycznego uwielbienia. Wdarł się w nią językiem, mocno i pewnie, po czym wargami stłumił jej okrzyk rozkoszy. To on nauczył ją, jak się całować, i wciąż pamiętał, jak ją podniecić. Przerwał pocałunek, by z nią igrać wargami, zębami i językiem, po czym wrócił, pożerając ją rozkosznie

agresywnymi skubnięciami. Jego dłoń zsunęła się z jej karku na podstawę kręgosłupa. Przyciągnął ją bliżej. Wygięła się w łuk w odpowiedzi i zaszlochała, gdy jego ręka dotarła do jej pośladków i wcisnęła ją w jego krocze. Nawet przez warstwy spódnicy i halek poczuła twardy grzbiet jego podniecenia.

Rozkosz narastała, osiągając niemal przerażającą intensywność. Za dużo, za mocno, za szybko…

Nagle McKenna wydał ochrypły jęk i się odsunął.

Nie odrywając od niego wzroku, oparła się o ścianę, obawiając się, że ugną się pod nią kolana. Ich oddechy rwały się gwałtownie, a namiętność i frustracja nasycały powietrze niczym para wodna. W końcu zdołał wydobyć z siebie głos:

– Wracaj do domu – mruknął ochryple – dopóki mogę ci na to pozwolić. I pomyśl o tym, co powiedziałem.

Upłynęło kilka minut, zanim Aline zdołała zapanować nad sobą na tyle, by wrócić na bal, ale udało się jej ukryć wewnętrzne wzburzenie – nikt niczego nie zauważył, gdy witała gości, gawędziła z nimi i śmiała się sztucznie. Tylko Marcus, który posłał jej pełne namysłu spojrzenie spod zmrużonych powiek, dostrzegł rumieńce pałające na jej kościach policzkowych. I Adam, rzecz jasna, który stanął u jej boku i otaksował jej uniesioną twarz z dyskretnym niepokojem.

– Dobrze wyglądam? – szepnęła do niego.

– Poza tym, że jak zwykle jesteś zniewalająco piękna – odparł – jesteś też nieco zaczerwieniona. Co zaszło pomiędzy wami? Wymieniliście kilka gniewnych słów?

„Och, gdyby to były tylko słowa”, pomyślała ze smutkiem. Ale ten pocałunek… Ta unicestwiająca rozkosz, której nigdy wcześniej nie czuła. Lata tęsknoty i fantazji zmaterializowały się w czysto fizycznym doznaniu. Wydawało się niemożliwe, by zdołała ukryć to palące pożądanie pod maską obojętności, stać tutaj, podczas gdy kolana się pod nią uginały. Niemożliwe, by udawać, że wszystko jest jak dawniej… choć nic takie nie było.

Ten pocałunek, dowód ich wzajemnego głodu, ukazywał zmiany, jakie zaszły w nich przez dwanaście lat separacji. McKenna stanowił dla niej zagrożenie pod każdym względem, lecz już wiedziała, że dokona samych nieodpowiednich wyborów, poniesie niedorzeczne ryzyko, a wszystko to w daremnej próbie ukojenia tego głodu.

– Adamie – szepnęła, nie patrząc na niego – czy kiedykolwiek pragnąłeś czegoś tak bardzo, że zrobiłbyś wszystko, by to mieć… nawet ze świadomością, że to dla ciebie szkodliwe?

Powoli spacerowali wokół sali balowej.

– Oczywiście – odparł. – Wszystkie prawdziwie rozkoszne rzeczy w życiu są dla człowieka szkodliwe… A stają się jeszcze lepsze, gdy się ich nadużywa.

– W ogóle mi nie pomagasz – mruknęła surowo, bez powodzenia próbując powstrzymać uśmiech.

– Chcesz, by ktoś dał ci pozwolenie na to, co już postanowiłaś zrobić? Czy to pomogłoby uciszyć twoje dręczone wyrzutami sumienie?

– Tak się składa, że owszem. Ale nikt nie może tego dla mnie zrobić.

– Ja mogę.

Musiała się roześmiać.

– Adam…

– Niniejszym pozwalam ci robić, co ci się żywnie podoba. Lepiej się czujesz?

– Nie, jestem przerażona. A ty jako mój przyjaciel powinieneś robić wszystko, by ustrzec mnie przed błędem, który będzie mnie kosztował całe morze bólu.

– Już cierpisz – zauważył. – Równie dobrze możesz więc czerpać też przyjemność z popełnienia tego błędu.

– Mój Boże – szepnęła, ściskając mocno jego ramię – masz na mnie okropny wpływ, Adamie.

– Robię, co mogę – mruknął, uśmiechając się do niej.

Gideon przeszedł przez tarasowe ogrody za posiadłością, po czym skręcił na kamienną ścieżkę, która wiła się pomiędzy rzędami umiejętnie przyciętych cisów. Miał nadzieję, że świeże powietrze uwolni go od pokusy. Noc była jeszcze młoda, a on musiał nieco zwolnić tempo spożywania mocnych trunków. Dopiero później, gdy goście rozejdą się do swoich pokojów, zamierzał pofolgować pragnieniu i porządnie się zaprawić. Niestety, do tej pory musiał wytrzymać jeszcze kilka godzin we względnej trzeźwości.

Kilka strategicznie rozmieszczonych pochodni dostarczało dość światła, by uprzyjemnić wieczorny spacer. Włócząc się bez celu, dotarł do małej polany, pośrodku której stała szemrząca fontanna. Ku swemu zdumieniu zauważył młodą dziewczynę, która rozkoszowała się echem muzyki płynącej z otwartych okien sali balowej. Nucąc cicho, sunęła po kamieniach w rozmarzonej imitacji walca i przystawała raz po raz, by podnieść do ust kieliszek z winem. Dostrzegłszy jej profil, doszedł do wniosku, że to nie dziewczyna, lecz młoda kobieta o uroczych, choć dość pospolitych rysach. „Zapewne służąca – pomyślał na widok jej starej sukni i włosów splecionych w luźny warkocz na plecach. – Może pokojówka racząca się skradzionym winem".

Kobieta wirowała niczym zagubiony Kopciuszek, którego suknia balowa zniknęła, zanim zdołał dotrzeć na przyjęcie. Uśmiechnął się. Na chwilę zapominając o ochocie na kolejnego drinka, podszedł bliżej. Szemranie wody zagłuszyło jego kroki, ale w połowie powolnego obrotu kobieta zauważyła go i znieruchomiała.

Stanął przed nią w typowej dla siebie elegancko niedbałej pozie, po czym skinął głową i wbił w nią kpiące spojrzenie. Szybko doszła do siebie i odpowiedziała tym samym. Jej usta wykrzywił lekki uśmiech, a oczy rozbłysły w miękkim świetle pochodni. Pomimo braku klasycznej urody miała w sobie coś nieodparcie pociągającego… Rodzaj żywiołowej kobiecej radości, której nigdy wcześniej nie doświadczył.

– Cóż – odezwała się pierwsza – to żenująca sytuacja i jeśli ma pan litość, zapomni pan o tym, co właśnie zobaczył.

– Mam pamięć jak słoń – odparł z udawanym żalem.

– Okropna wada – oświadczyła i wybuchnęła swobodnym śmiechem.

Z miejsca go zaintrygowała. Do jego umysłu napłynęły setki pytań. Chciał wiedzieć, kim ona jest, skąd się tu wzięła, czy słodzi herbatę, czy chodziła po drzewach jako dziecko, jak wspomina swój pierwszy pocałunek…

Ten przypływ ciekawości go zaskoczył. Zazwyczaj udawało mu się zachować obojętność wobec ludzi na tyle długo, by uniknąć chęci zadawania im pytań. Nie ufając więc sobie na tyle, by przemówić, zbliżył się do niej powoli. Nieco zesztywniała, jakby nie nawykła do kontaktów z obcymi. On za to zauważył, że ma harmonijne rysy i nieco za długi nos, a także delikatne wargi o słodkim kształcie. Jej oczy miały jakiś jasny odcień… być może zieleni… i błyszczały nieoczekiwaną głębią.

– O wiele łatwiej tańczy się walca z partnerem – poinformował ją. – Może zechce pani spróbować?

Spojrzała na niego tak, jakby nagle znalazła się na obcej ziemi z przyjaznym cudzoziemcem. Płynąca z sali balowej muzyka wirowała wokół nich. Po długiej chwili jednak pokręciła głową z przepraszającym uśmiechem, najwyraźniej szukając sposobu, jak mu odmówić.

– Jeszcze nie dopiłam wina.

Sięgnął powoli po niemal pusty kieliszek. Oddała go bez protestu, nie odrywając wzroku od jego oczu. Uniósł kieliszek do ust i opróżnił zawartość jednym haustem, po czym postawił kruche naczynie na krawędzi fontanny.

Roześmiała się gardłowo i pomachała palcem w geście udawanej dezaprobaty. Patrząc na nią, nagle poczuł żar w piersi jak wtedy, gdy zachorował na krup, a niania kazała mu wdychać parę z gotującego się naparu z ziół. Przypomniał sobie, jaka ulga go ogarnęła, gdy zdołał odetchnąć po wielu godzinach duszności, jak chciwie unosiły się jego płuca, wypełniając się gorącym, bezcennym powietrzem. Co ciekawe, to, co czuł teraz, również przypominało ulgę, choć nie potrafił określić jej źródła.

Podał jej obnażoną dłoń, ponieważ zdjął rękawiczki i włożył je do kieszeni, gdy tylko wyszedł do ogrodu. Odwrócił dłoń wnętrzem do

góry i bez słów zachęcił ją, by ją ujęła.

Decyzja nie należała do łatwych. Kobieta odwróciła wzrok, przygryzła aksamitną dolną wargę, a na jej twarz wypłynął namysł. Uznał, że mu odmówi, gdy nagle wyciągnęła rękę i objęła ciepłymi palcami jego palce. Chwycił ją tak, jakby trzymał pisklę, po czym przyciągnął na tyle blisko, by poczuć nutę wody różanej bijącą od jej włosów. Była szczupła, rozkosznie zaokrąglona, a jej nieskrępowana gorsetem talia wydawała się miękka pod jego palcami. Pomimo niezaprzeczalnego romantyzmu tej chwili poczuł szalenie nieromantyczne ukłucie żądzy, gdy jego ciało zareagowało z typowo męską świadomością na bliskość pociągającej kobiety. Poprowadził swoją partnerkę w leniwym rytmie walca, ze swobodą manewrując na nierównych kamieniach.

– Widywałem już wróżki tańczące w trawie – powiedział – gdy zajrzałem zbyt głęboko do butelki brandy, nigdy jednak z żadną nie tańczyłem. – Ujął ją bardziej zdecydowanie, gdy spróbowała zmienić kierunek. – Nie, proszę pozwolić mi prowadzić.

– Za bardzo zbliżyliśmy się do krawędzi ścieżki – zaprotestowała ze śmiechem, gdy nakłonił ją, by podążała za nim.

– Wcale nie.

– Apodyktyczny Amerykanin – zażartowała, marszcząc nos. – Bez wątpienia nie powinnam tańczyć z mężczyzną, który przyznaje, że widuje wróżki. Poza tym pańska żona również miałaby na pewno coś do powiedzenia na ten temat.

– Nie mam żony.

– Ależ oczywiście, że pan ma. – Posłała mu ganiący uśmiech niczym uczniakowi przyłapanemu na kłamstwie.

– Skąd ta pewność?

– Ponieważ jest pan Amerykaninem, a oni wszyscy są żonaci, poza panem McKenną. A nim pan na pewno nie jest.

– W tej grupie znajduje się jeszcze jeden kawaler – sprostował lekko, uwalniając jej talię i jedną ręką wprowadzając ją w obrót. Gdy go zakończyła, chwycił ją ponownie i uśmiechnął się do niej.

– Tak – odparła. – Ale to musiałby być…

– ...pan Shaw – podpowiedział usłużnie, gdy umilkła.

– Och… – Szeroko otworzyła oczy. Gdyby nie podtrzymywał jej tak pewnie, potknęłaby się. – Powinnam trzymać się od pana z daleka.

Uśmiechnął się na te słowa.

– Według kogo?

Zignorowała pytanie.

– I choć jestem pewna, że co najmniej połowa krążących o panu plotek nie może być prawdziwa…

– Wszystkie są – wtrącił bezwstydnie.

– W takim razie jest pan hulaką.

– Najgorszego rodzaju.

Odsunęła się od niego ze śmiechem.

– Przynajmniej pan tego nie ukrywa. Mimo to najlepiej będzie, jeśli już sobie pójdę. Dziękuję za taniec… Był uroczy.

– Proszę zostać. – W jego głosie rozbrzmiała błagalna nuta. – Chwileczkę. Proszę mi powiedzieć, kim pani jest.

– Może pan zgadywać. Do trzech razy sztuka – odparła.

– Jest pani służącą?

– Nie.

– Nie może pani być jedną z Marsdenów… W ogóle nie jest pani do nich podobna. Mieszka pani w wiosce?

– Nie.

Wykrzywił twarz w grymasie, gdy nawiedziła go niepokojąca myśl.

– Ale nie jest pani kochanką hrabiego, prawda?

– Nie – odparła, uśmiechając się słodko. – To była trzecia próba. Dobranoc, panie Shaw.

– Chwileczkę…

– I żadnych więcej tańców z wróżkami na trawie – zganiła go. – Jest mokro, zniszczy pan sobie buty.

Po tych słowach uciekła, zostawiając tylko pusty kieliszek na brzegu fontanny i uśmiech konsternacji na ustach Gideona jako dowód, że naprawdę tam była.

– Co powiedział?! – zawołała Livia, prawie zsuwając się z brzegu łóżka Aline, na którym siedziała po turecku. Zgodnie z tradycją

przyszła do pokoju siostry po balu usłyszeć najnowsze plotki.

Aline zanurzyła się głębiej w ustawionej na środku pokoju wannie pełnej wody z olejkami eterycznymi. Woda była gorąca, lecz nie tylko z tego powodu miała zaczerwienioną twarz. Przeniosła spojrzenie z twarzy młodszej siostry, na której malowało się niedowierzanie, na panią Faircloth, która otworzyła ze zdumienia usta. Pomimo własnego wzburzenia musiała się roześmiać.

– Powiedział, że jeśli pozwolę mu zostać w Stony Cross, weźmie mnie do łóżka.

– A czy przyznał też, że wciąż cię kocha? – zapytała Livia.

– Nie, dobry Boże – mruknęła Aline sucho, rozciągając obolałe nogi i poruszając palcami stóp pod wodą. – Jego zamiary wobec mnie nie mają nic wspólnego z miłością… To dość oczywiste.

– Ale… ale mężczyzna nie podchodzi tak po prostu i nie mówi, że… że…

– McKenna najwyraźniej tak robi.

Livia pokręciła głową ze zdumieniem.

– Nigdy nie słyszałam o podobnie aroganckim zachowaniu!

Usta Aline rozciągnęły się w cieniu uśmiechu.

– Może więc powinno mi to pochlebiać?

Pasmo włosów wymknęło się jej z upięcia, a ona podniosła rękę, by odsunąć je z twarzy.

Livia wybuchnęła śmiechem.

– W sumie to bardzo szlachetne, że uprzedził cię o swoich intencjach.

– Moim zdaniem to zwykła bezczelność – wtrąciła pani Faircloth, podchodząc do wanny z ręcznikiem w dłoni – o czym poinformuję go przy pierwszej okazji.

– Nie, nie, proszę mu o tym nie wspominać – mruknęła Aline pospiesznie. – Nie może pani. To tylko taka gra. Chcę się choć przez chwilę pobawić…

Gospodyni wbiła w nią zdumione spojrzenie.

– Milady, czyś ty całkiem oszalała? To nie jest żadna gra w świetle twojej historii z McKenną. Emocje po obu stronach są zbyt głębokie i zbyt długo były ukrywane. Proszę nie wchodzić na tę ścieżkę razem z nim, milady, jeśli nie zamierza panienka kroczyć nią do końca.

Milcząc buntowniczo, Aline wstała i otuliła się grubym ręcznikiem, który podała jej gospodyni. Wyszła z wanny i stanęła nieruchomo, gdy pani Faircloth pochyliła się, by wytrzeć jej nogi. Zerkając na Livię, zauważyła, że siostra nagle odwróciła wzrok i wbiła go w ogień w kominku, jakby właśnie pogrążyła się w rozmyślaniach. Nie winiła Livii za to, że nie chce patrzeć. Minęło wiele lat, a widok jej własnych nóg czasami nawet ją samą zaskakiwał.

Dokładnie dwanaście lat upłynęło od wypadku, z którego niewiele zapamiętała. Wiedziała jednak, że przeżyła tylko dzięki pani Faircloth. Gdy wezwani z Londynu lekarze oświadczyli, że nic więcej nie zdołają dla niej zrobić, gospodyni posłała jednego z lokajów po zielarkę z sąsiedniego hrabstwa. W zasadzie po czarownicę, którą okoliczni mieszkańcy darzyli szacunkiem i której się bali, utrzymując zarazem, że posiada ona prawdziwy dar. Marcus, cyniczny realista, zaczął gwałtownie protestować na widok czarownicy, którą okazała się kobieta w średnim wieku o dość pospolitym wyglądzie, z miedzianym kociołkiem w dłoni i wypchanym po brzegi workiem z ziołami. Aline, która była wtedy o krok od śmierci, nie pamiętała czarownicy, lecz niezmiennie bawił ją dokładny opis tych wydarzeń autorstwa Livii.

– Myślałam, że Marcus przemocą wyrzuci ją z domu – opowiadała Livia z przejęciem. – Stanął przed drzwiami twojej sypialni, gotów cię chronić w twojej ostatniej godzinie. A ta kobieta podeszła do niego bez lęku, choć była od niego o połowę lżejsza, i zażądała, by ją do ciebie wpuszczono. Przez cały ranek błagałyśmy z panią Faircloth Marcusa, by pozwolił jej coś zrobić, ponieważ uznałyśmy, że na tym etapie nic ci już nie zaszkodzi. Ale on się uparł i zaczął obrzucać ją okropnymi inwektywami, w których występowały miotły.

– A czarownica się go nie bała? – zapytała pewnego razu Aline, wiedząc, jak onieśmielający potrafi być jej starszy brat.

– Ani trochę. Powiedziała mu, że jeśli Marcus nie wpuści jej do twego pokoju, rzuci na niego czar.

Aline się uśmiechnęła.

– Marcus nie wierzy w magię ani czary… Jest na to zbyt rozsądny.

– Tak, ale jest też mężczyzną. A czar, którym mu zagroziła, miałby pozbawić go jego… jego… – Livia zaczęła krztusić się ze śmiechu –

...męskiej potencji – zdołała wymamrotać. – Cóż, na samą myśl o tym Marcus zbladł jak ściana i po chwili zażartych negocjacji oświadczył, że czarownica może spędzić w twoim pokoju dokładnie godzinę, a on zamierza ją obserwować przez cały ten czas.

Livia opisała scenę, która rozegrała się potem. Niebieskie świece, krąg wyrysowany wokół łóżka wicią dymiącej szałwii, kadzidło, które przesyciło powietrze aromatyczną chmurą, podczas gdy czarownica odprawiała swoje rytuały.

Ku powszechnemu zdumieniu Aline przeżyła tę noc. Gdy następnego ranka zdjęto z niej namoczone w ziołach opatrunki, rany już się nie jątrzyły – były czyste i zaczynały się goić. Niestety, zdumiewające zdolności czarownicy nie zdołały zapobiec formowaniu się grubych, gruzłowatych czerwonych blizn, które biegły od kostek aż po szczyty ud. Jej nogi stały się odrażające… Nie dało się ich inaczej opisać. Tylko stopom obutym w skórzane trzewiki w chwili wypadku udało się uniknąć poparzeń. Tam, gdzie duże połacie skóry zostały spalone, tkanka skurczyła się, wpływając na ruchliwość mięśni i ścięgien. Chodzenie zaczęło sprawiać jej trudność, a nawet ból w te dni, kiedy się przeforsowała. Codziennie wieczorem brała więc ciepłą kąpiel z olejkami eterycznymi, by zmiękczyć blizny, które następnie delikatnie rozciągała, by zachować jak największy zakres ruchu.

– A gdybyś powiedziała McKennie o swoich nogach? – zapytała teraz pani Faircloth, wkładając jej przez głowę cienką koszulę nocną. – Jak myślisz, jak by zareagował?

Koszula zakrywała powoli ciało, składające się ze śnieżnobiałego i kształtnego korpusu, kontrastującego niedorzecznie z parą pokrytych bliznami nóg.

– McKenna gardzi każdym przejawem słabości – odparła Aline, powoli podchodząc do krzesła i osuwając się na nie ciężko. – Zrobiłoby mu się mnie żal, a to emocja tak bliska pogardy, że na samą myśl ogarniają mnie mdłości.

– Nie wiesz tego.

– Chce mi pani powiedzieć, że nie uznałby tych blizn za odrażające? – zapytała Aline, wykrzywiając lekko twarz, gdy gospodyni zaczęła wcierać w jej nogi ziołowy balsam, który koił

pieczenie spalonej tkanki. Nikt inny, nawet Livia, nie miał prawa jej w ten sposób dotykać. – Przecież wie pani, że to niemożliwe. Każdy uznałby je za odrażające.

– Aline – dobiegł ją głos siostry, która siedziała na łóżku. – Mężczyzna, który cię pokocha, powinien dostrzegać coś więcej niż tylko wygląd zewnętrzny.

– W baśniach tak właśnie bywa – odparła Aline – ale ja przestałam w nie wierzyć.

W krępującej ciszy, która zapadła, Livia zsunęła się z łóżka, podeszła do toaletki i usiadła przed kwadratowym zwierciadłem w stylu królowej Anny. Sięgnęła po szczotkę, przeczesała warkocz i postanowiła zmienić temat rozmowy:

– Nigdy nie zgadniecie, co mnie dzisiaj spotkało. Wyszłam do ogrodu zaczerpnąć świeżego powietrza i nie wiadomo jak znalazłam się obok fontanny z syreną… Tam, gdzie słychać muzykę z sali balowej.

– Powinnaś być w sali balowej i tańczyć – mruknęła Aline, lecz Livia uciszyła ją gestem.

– Nie, nie, to znacznie lepsze niż wszystko, co mogłoby się wydarzyć na balu. Piłam wino i podrygiwałam jak szalona baletnica, gdy nagle zauważyłam, że ktoś stoi tuż obok i mi się przygląda.

Aline wybuchnęła śmiechem, zaintrygowana opowieścią.

– Ja zaczęłabym krzyczeć.

– Prawie to zrobiłam.

– To był mężczyzna czy kobieta? – zapytała pani Faircloth.

– Mężczyzna. – Livia odwróciła się od lustra i uśmiechnęła do nich obu. – Wysoki i niedorzecznie przystojny, ze wspaniałą grzywą złotych włosów. Zanim zdołaliśmy się sobie przedstawić, wziął mnie w ramiona i zaczęliśmy tańczyć.

– Nie! – zawołała Aline z zachwytem.

Livia objęła się ramionami z podekscytowania.

– Tak! A potem okazało się, że mój partner do walca to nie kto inny jak pan Shaw, najwytworniejszy mężczyzna, jakiego w życiu spotkałam. Och, na pewno jest straszliwym hulaką… ale cóż to był za taniec!

– On pije! – mruknęła ponuro pani Faircloth, doskonale obeznana z plotkami krążącymi wśród służby.

– Na pewno. – Livia ze zdumieniem pokręciła głową. – Ma w oczach taki błysk, jakby widział i zrobił już wszystko po tysiąckroć, i w związku z tym nie czerpie żadnej przyjemności z życia ani nic go nie interesuje.

– Chyba bardzo się różni od Amberleya – wtrąciła ostrożnie Aline. Z niepokojem uświadomiła sobie, że Amerykanin całkiem oczarował jej siostrę.

– Różni się pod każdym względem – zgodziła się Livia, odkładając osadzoną w srebrze szczotkę. Jej głos stał się cichszy, gdy kontynuowała z namysłem: – Ale lubię go. Aline, musisz dowiedzieć się o nim wszystkiego i potem mi to…

– Nie. – Aline złagodziła odmowę kpiącym uśmiechem i skrzywiła się, gdy pani Faircloth zaczęła delikatnie poruszać jej kostką, która zesztywniała w stawie. – Jeśli chcesz dowiedzieć się czegoś więcej o panu Shaw, będziesz musiała wyjść z ukrycia i sama go wypytać.

– Jesteś okropna – odparła Livia bez żalu, po czym ziewnęła. – Może tak zrobię. – Wstała, podeszła do Aline i ucałowała czubek jej głowy. – A co do ciebie, najdroższa, uważaj na swoje relacje z McKenną. Podejrzewam, że jest on o wiele lepszym graczem niż ty.

– Jeszcze zobaczymy – mruknęła Aline, na co Livia wybuchnęła śmiechem, a pani Faircloth z niepokojem zmarszczyła brwi.

ROZDZIAŁ 9

Po całonocnym balu żaden z gości Stony Cross Park nie zdecydował się wstać przed południem, poza niewielką grupą mężczyzn, którzy postanowili pójść postrzelać. Aline popijała herbatę, uśmiechając się do rannych ptaszków gromadzących się na tarasie, gdy nagle z konsternacją zauważyła pomiędzy nimi McKennę.

Wstawał świt. Powietrze było chłodne i wilgotne, a słabe angielskie słońce próbowało bezskutecznie przedrzeć się przez mgłę. Siedząc przy stole z jedwabnym szalem na ramionach i w cienkiej porannej sukni, Aline starała się nie gapić na McKennę. Trudno było jej jednak ukryć fascynację. Cechował go dynamizm, wrodzona żywiołowość, której nie dostrzegała w żadnym innym mężczyźnie poza swoim bratem. Sportowe odzienie doskonale do niego pasowało – czarny surdut podkreślał szerokie barki, ciemnozielone bryczesy opinały muskularne uda, a czarne cholewki przylegały do długich łydek. Taki strój służył każdemu dżentelmenowi, lecz w wypadku kogoś tak postawnego jak McKenna rezultat zapierał dech.

Wyczuwając na sobie jej dyskretne spojrzenie, McKenna zerknął na nią z ukosa. Ich oczy połączył błysk nieskrywanego zainteresowania, zanim zmusił się, by się odwrócić i odpowiedzieć gościowi, który go zagadał. Ona zaś, próbując zapanować nad napiętym ciałem, zaczęła wpatrywać się w gorące bursztynowe głębiny swojej herbaty i głowę podniosła dopiero wtedy, gdy podszedł do niej brat, by zapytać o plany na ten dzień.

– Śniadanie zostanie podane w pawilonie nad jeziorem – odparła.

Przy dłuższych wizytach takich jak ta nigdy nie podawali pierwszego posiłku przed południem. Późne śniadanie składało się

zazwyczaj z wielu krzepiących dań i odpowiedniej ilości szampana, by wskrzesić nastrój poprzedniego wieczoru. Dotknęła szerokiej opalonej dłoni brata.

– Miłego dnia – dodała wesoło – i wystrzegaj się gości, którzy mają kłopoty z trafianiem do celu.

Marcus uśmiechnął się szeroko i wyjaśnił niskim głosem:

– Z Amerykanami zazwyczaj nie ma tego problemu. Niewielu potrafi utrzymać się w siodle, ale strzelają całkiem nieźle. – Pochylił się niżej nad siostrą i zaczekał, by uniosła wzrok. Zmrużył powieki. – Wczoraj zniknęłaś z McKenną prawie na pół godziny. Dokąd poszliście?

– Marcusie – zganiła go lekko. – Kiedy ty znikałeś z goszczącą u nas damą, a było ich wiele, nigdy nie pytałam cię o to, dokąd chodziliście.

– Z tobą jest zupełnie inaczej niż ze mną.

Jego opiekuńczość wzruszyła ją i rozbawiła zarazem.

– Dlaczego?

Zmarszczył ciemne brwi, a w jego głosie zabrzmiała ponura nuta:

– Ponieważ jesteś moją siostrą.

– Nie mam się czego bać w towarzystwie McKenny – zapewniła go. – Przecież dobrze go znam, Marcusie.

– Znałaś go, gdy był dzieckiem – odparł. – Ale stał się dla ciebie obcym człowiekiem, nie masz pojęcia, do czego może być zdolny.

– Nie wtrącaj się, Marcusie. Zrobię z McKenną, co zechcę. I mam nadzieję, że nie będziesz próbował manipulować sytuacją tak jak ojciec wiele lat temu. Jego interwencja wiele mnie kosztowała, ale musiałam to zaakceptować, ponieważ nie miałam wyboru. Teraz zaś wszystko wygląda inaczej.

Marcus położył dłoń na szczycie jej krzesła. Napięcie w okolicach ust zdradzało jego niepokój.

– Aline – mruknął z wahaniem. – Czego on od ciebie chce?

Oboje znali odpowiedź. Aline podejrzewała jednak, że brat nie zrozumie jej pragnień.

– Tego samego, czego ja chcę od niego – odparła.

– Coś ty powiedziała? – Spojrzał na nią tak, jakby jej nie poznawał.

Westchnęła i zerknęła przez taras na McKennę, który wdał się w rozmowę z innymi mężczyznami.

– Nigdy nie marzyłeś, by wykraść choć kilka godzin ze swojej przeszłości? – zapytała cicho. – Tylko tego pragnę… Skosztować tego, co mogło się wydarzyć.

– Nie, nie miewam takich marzeń – padła szorstka odpowiedź. – Słowa „to, co mogło się wydarzyć" nic dla mnie nie znaczą. Liczą się tylko teraźniejszość i przyszłość.

– To dlatego, że twojej przyszłości nic nie ogranicza – oświadczyła spokojnie. – A moją tak.

Zacisnął dłoń w twardą pięść.

– Z powodu kilku blizn?

Jej oczy rozbłysły groźnie.

– Nigdy nie widziałeś moich nóg, Marcusie. Nie wiesz, o czym mówisz. A biorąc pod uwagę, że przebierasz w najpiękniejszych londyńskich damach niczym w pudełku czekoladek…

– Sugerujesz, że jestem płytkim głupcem, który ceni w kobiecie tylko jej wygląd?

Kusiło ją, by wycofać się, zanim dojdzie pomiędzy nimi do kłótni, przypomniała sobie jednak kilka ostatnich wybranek brata…

– Wybacz, Marcusie, ale każda z twoich ostatnich towarzyszek, a mam na myśli co najmniej cztery lub pięć tych najnowszych, inteligencją dorównywała co najwyżej rzepie. I tak, poza tym wszystkie były piękne, lecz wątpię, byś mógł z nimi wieść rozsądną rozmowę dłużej niż przez pięć minut.

Cofnął się i zmierzył ją gniewnym spojrzeniem.

– Jak to się ma do tematu naszej rozmowy?

– Ano tak, że nawet ty, jeden z najwspanialszych i najbardziej honorowych mężczyzn, jakich znam, przykładasz ogromną wagę do atrakcyjności fizycznej. Jeśli kiedykolwiek zobaczę cię z kobietą, która będzie mniej niż oszałamiająco doskonała, może wysłucham twojego wykładu o tym, że wygląd nie ma znaczenia.

– Aline…

– Udanej zabawy – przerwała mu. – I zważ na moje słowa… Nie próbuj mi się sprzeciwiać w tej kwestii, Marcusie.

Marcus westchnął ciężko, po czym udał się na poszukiwania swojego lokaja, który niósł strzelby i skórzane sakwy.

Kolejni uczestnicy polowania podchodzili do stolika Aline, by się z nią przywitać, a ona uśmiechała się i gawędziła uprzejmie, świadoma, że mroczna postać McKenny ukrywa się gdzieś w tle. Dopiero gdy goście zaczęli schodzić z tarasu pod przewodnictwem Marcusa, McKenna do niej podszedł.

– Dzień dobry – powitała go, podczas gdy jej serce zerwało się do galopu, który zagłuszał jej myśli.

Podała mu rękę. Oddech uwiązł jej w gardle, gdy delikatnie uścisnął jej palce. Zdołała jednak zdobyć się na konwersacyjny ton:

– Dobrze spałeś?

– Nie.

Jego oczy rozbłysły, gdy ściskał jej dłoń o ułamek sekundy dłużej, niż było to dopuszczalne.

– Mam nadzieję, że pokój masz wygodny – wykrztusiła, wyrywając rękę.

– A co byś zrobiła, gdybym powiedział, że nie?

– Zaproponowałabym ci inny, rzecz jasna.

– Nie kłopocz się… Chyba że zaproponujesz swój.

Jego bezczelność niemal sprowokowała ją do śmiechu – nie mogła sobie przypomnieć, kiedy i czy w ogóle jakiś mężczyzna odważył się odnosić do niej z takim zdumiewającym brakiem szacunku. Pamiętała jednak, jak swobodnie czuła się kiedyś w jego towarzystwie.

– Nie jestem aż tak uczynną gospodynią – poinformowała go.

Pochylił się nad stolikiem i oparł obie dłonie na błyszczącym blacie. Wyglądał jak kot przygotowujący się do skoku na ofiarę. W turkusowych głębinach jego oczu zapłonął ogień drapieżnego zainteresowania.

– Jak brzmi werdykt, milady?

Postanowiła udawać, że nie rozumie.

– Werdykt?

– Mam opuścić posiadłość czy też zostać?

Od niechcenia powiodła zadbanym paznokciem po blacie, podczas gdy serce łomotało jej w piersi.

– Zostań, jeśli chcesz.

Jego głos stał się bardzo miękki:

– Rozumiesz, co się stanie, jeśli to zrobię?

Nie sądziła, że potrafi być taki arogancki… ani że to jej się tak bardzo spodoba. Nabrzmiało pomiędzy nimi wyzwanie – mężczyzna przeciwko kobiecie. Odpowiedziała głosem, który dorównywał miękkością jego tonowi:

– Nie chcę cię rozczarować, McKenna, ale pokładam szczerą wiarę w moje zdolności do oparcia się twoim awansom.

Wpatrywał się w jej twarz jak zahipnotyzowany.

– Czyżby?

– Owszem. Nie jest to pierwsza taka propozycja, którą otrzymałam. Nie chcę wydać się zarozumiała, ale podejrzewam też, że nie będzie ostatnia. – W końcu posłała mu taki uśmiech, jak chciała: pełny, prowokacyjny i łagodnie drwiący. – Dlatego też możesz zostać i robić, co tylko chcesz. Twoje wysiłki bez wątpienia dostarczą mi rozrywki. Wiedz też, że cenię sobie pewną finezję w tych sprawach.

Jego wzrok padł na jej uśmiechnięte wargi. Choć nie zareagował na jej zuchwalstwo, wyczuła, że bardzo go zaskoczyła. Czuła się trochę jak potępiona dusza, która udała się prosto do Lucyfera, by żartobliwie połaskotać go pod brodą.

– Finezję – powtórzył, podnosząc wzrok do jej oczu.

– No właśnie. Serenady, kwiaty i poezja.

– Jakiego rodzaju poezja?

– Taka, którą sam napiszesz, rzecz jasna.

Jego leniwy uśmiech sprawił, że przeszedł ją rozkoszny dreszcz.

– Czy Sandridge pisuje dla ciebie poezję?

– Na pewno by to zrobił.

Adam miał dar krasomówstwa… Bez wątpienia wykonałby takie zadanie w wielkim stylu i ze szczyptą humoru.

– Ale jego o to nie prosiłaś – mruknął McKenna.

Powoli pokręciła głową.

– Nigdy nie dbałem o finezję – wyznał.

Uniosła brwi.

– Nawet w kwestii uwodzenia?

– Kobiet, które biorę do łóżka, zazwyczaj nie trzeba uwodzić.

Oparła podbródek na dłoni i spojrzała na niego uważnie.

– Same padają ci do stóp?

– Dokładnie. – Posłał jej nieprzeniknione spojrzenie. – I zazwyczaj są wysoko urodzone. – Ukłonił się jej zdawkowo, po czym odszedł w ślad za resztą grupy.

Musiała się postarać, by wyrównać oddech. Siedziała na krześle, czekając, aż uspokoi się jej puls.

Oboje wiedzieli już, że w grze wezmą udział dwie równie zdeterminowane osoby… W grze bez zasad i z trudnym do przewidzenia wynikiem, za to potencjalnie z poważnymi stratami po obu stronach. Bała się o siebie, lecz jeszcze bardziej obawiała się o McKennę, którego wiedza na temat przeszłości była pełna ważnych i niebezpiecznych luk. Musi dopilnować, by nadal myślał o niej jak najgorzej… Weźmie od niej to, czego pragnie, a potem opuści Stony Cross z poczuciem dokonanej zemsty.

Strzelcy wyruszyli, mogła więc odprężyć się nad filiżanką herbaty w pokoju śniadaniowym. Zaaferowana myślami o McKennie, niemal zderzyła się w drzwiach z kimś, kto właśnie wychodził.

Mężczyzna ujął ją pod łokcie, by ją podtrzymać, po czym uwolnił ją, gdy zyskał pewność, że się nie przewróci.

– Proszę mi wybaczyć. Spieszyłem się, by dołączyć do reszty.

– Dopiero wyszli – zapewniła go. – Dzień dobry, panie Shaw.

Z rozjaśnionymi od słońca włosami, lekko opaloną cerą i szafirowymi oczami Gideon Shaw wyglądał oszałamiająco. Cechowała go elegancka niefrasobliwość, która mogła narodzić się tylko w środowisku nieograniczonego bogactwa. Delikatne zmarszczki wokół jego oczu i ust, które wyrzeźbił często goszczący na tej twarzy cyniczny uśmiech, tylko potęgowały jego urodę, dodając szlachetności jego rysom. Był wysoki i dobrze zbudowany, choć zdecydowanie ustępował pod tym względem McKennie.

– Jeśli wybierze pan schody na lewo i pójdzie ścieżką do lasu, na pewno ich pan dogoni – podpowiedziała.

Jego uśmiech przypominał promień słońca, który przedarł się przez warstwę chmur.

– Dziękuję, milady. To szczególny rodzaj tortury, że najbardziej lubię sporty, które muszą rozgrywać się wczesnym rankiem.

– Zakładam więc, że łowi pan też ryby?

– O tak.

– Któregoś ranka musi się pan wybrać z moim bratem na pstrągi.

– Może tak zrobię… Choć nie wiem, czy podołam wyzwaniu. Angielskie pstrągi są o wiele przebieglejsze niż amerykańskie.

– Czy to samo można powiedzieć o angielskich biznesmenach? – zapytała z błyskiem w oku.

– Z ulgą odpowiem, że nie. – Ukłonił się lekko, zamierzając się pożegnać, po czym przystanął na chwilę, jakby coś przyszło mu do głowy. – Milady, mam pytanie…

Doskonale wiedziała, czego może się spodziewać, udała więc obojętność niczym zawodowa aktorka.

– Tak, panie Shaw?

– Zeszłego wieczoru, gdy spacerowałem po ogrodzie, natknąłem się na młodą kobietę… – urwał, ewidentnie rozważając, jak wiele szczegółów spotkania może zdradzić.

– Nie przedstawiła się? – zapytała Aline niewinnie.

– Nie.

– Była naszym gościem? Nie? Cóż, w takim razie musiała to być służąca.

– Nie sądzę. – Zmarszczył lekko brwi, koncentrując się, i kontynuował: – Miała jasnobrązowe włosy i zielone oczy… Przynajmniej tak mi się wydaje… Była szczupła i najwyżej dwa centymetry wyższa od pani.

Przepraszająco wzruszyła ramionami. Z radością podałaby mu imię siostry, lecz nie była pewna, czy Livia chce, by poznał jej tożsamość.

– W chwili obecnej nie przychodzi mi do głowy nikt, kto pasowałby do tego opisu, panie Shaw. Jest pan pewien, że nie była tylko wytworem pańskiej wyobraźni?

Pokręcił głową i zmrużył powieki. Ciemne brwi przesłoniły błękitne oczy, jakby mierzył się z problemem wielkiej wagi.

– Była prawdziwa. A ja muszę… To znaczy bardzo chciałbym ją odnaleźć.

– Ta kobieta musiała wywrzeć na panu wielkie wrażenie.

Jego usta wygięły się w kpiącym uśmiechu, przeczesał błyszczące włosy palcami, mierzwiąc je beztrosko.

– Spotkanie z nią było jak wzięcie głębokiego oddechu po raz pierwszy od wielu lat – odparł, nie patrząc Aline w oczy.

– Tak, rozumiem.

Szczerość w jej głosie przykuła jego uwagę. Uśmiechnął się nagle i mruknął:

– Właśnie widzę.

Czując przypływ sympatii do tego człowieka, wskazała mu kierunek, w którym oddalili się jego towarzysze.

– Może pan ich jeszcze dogoni, jeśli pan pobiegnie.

Shaw roześmiał się krótko.

– Milady, nie ma na tym świecie niczego, czego pragnąłbym aż tak, by się za tym uganiać.

– Świetnie – odparła zadowolona. – W takim razie zje pan ze mną śniadanie. Nakażę podać je tutaj.

Gościa wyraźnie ucieszyła ta propozycja, nakazała więc służbie nakryć stolik dla dwojga. Szybko podano im parujący koszyk rogalików i słodkich bułeczek, a także talerze z sadzonymi jajami, smażonymi grzybami i cienkimi plastrami pieczonej kuropatwy. Choć Shaw pochwalił jedzenie, bardziej zainteresował go dzbanek mocnej kawy. Pił ją tak łapczywie, jakby stanowiła antidotum na niedawno spożytą przez niego truciznę.

Aline usiadła wygodniej i wrzuciła do ust kawałek rogalika posmarowanego masłem, po czym posłała Shawowi spojrzenie pełne zalotnej ciekawości – zawsze uciekała się do niego, gdy chciała wydobyć z mężczyzny jakieś informacje.

– Jak długo zna pan McKennę? – zapytała, popijając rogalik słodzoną herbatą.

Nie zaskoczyła Shawa. Wypiwszy dwie filiżanki kawy niemal bez przerwy na oddech, teraz rozkoszował się trzecią w nieco wolniejszym tempie.

– Prawie osiem lat – odparł.

– McKenna zdradził mi, że poznaliście się, gdy jeszcze pływał promem… Podobno był pan jego pasażerem.

Jego usta wykrzywił osobliwy uśmiech.

– Tak pani powiedział?

Przechyliła głowę na bok, przyglądając mu się uważnie.

– Nie taka jest prawda?

– McKenna zazwyczaj pomija pewne szczegóły, próbując chronić moją reputację. Można nawet uznać, że w sumie dba o nią bardziej niż ja sam.

Ostrożnie zamieszała kolejną łyżeczkę cukru w herbacie.

– Dlaczego wszedł pan w spółkę ze zwykłym sternikiem?

Gideon Shaw długo nie odpowiadał. W końcu odstawił na blat w połowie pustą filiżankę i wbił w nią spojrzenie.

– Zacznijmy od tego, że McKenna uratował mi życie.

Nie poruszyła się ani nic nie powiedziała, więc kontynuował:

– Włóczyłem się po nabrzeżu pijany jak bela. Nawet teraz nie potrafię sobie przypomnieć, skąd się tam wziąłem ani dlaczego. Czasami tracę pamięć, gdy piję, a nawet rachubę godzin czy całych dni. – Jego blady uśmiech zmroził ją do szpiku kości. – Potknąłem się i wpadłem do wody na tyle daleko od doków, by nikt mnie nie zauważył, zwłaszcza że pogoda była paskudna. McKenna wracał wtedy ze Staten Island i wskoczył do tego cholernego lodowatego oceanu, oczywiście w samym środku burzy, żeby mnie wyłowić.

– Miał pan szczęście. – Poczuła ucisk w gardle na myśl o ryzyku, które podjął McKenna dla całkowicie obcego człowieka.

– McKenna mnie nie znał – kontynuował Shaw – a ja straciłem przytomność, więc zabrał mnie do pokoju, który wynajmował. Półtora dnia później obudziłem się w jakiejś dziurze, policzkowany przez gigantycznego rozgniewanego sternika. – Wykrzywił wargi w nostalgicznym uśmiechu. – Jak zapewne słusznie pani podejrzewa, byłem w fatalnym stanie. Głowa bolała mnie tak, jakby ktoś mi ją rozłupał. Gdy McKenna nakarmił mnie i napoił, odzyskałem świadomość na tyle, by podać mu swoje nazwisko. Podczas rozmowy szybko zrozumiałem, że pomimo prostego wyglądu mój wybawiciel jest zaskakująco dobrze poinformowany. Wiele się nauczył od pasażerów, których przewoził, zwłaszcza na temat manhattańskiego rynku nieruchomości. Wiedział nawet o działce, którą moja rodzina wydzierżawiła na wiele lat i nigdy nic z nią nie zrobiła. Ta łaj… To znaczy ten łajdak bez ogródek zaproponował mi pewien układ.

Uśmiechnęła się.

– Jaki to był układ, panie Shaw?

– Chciał podzielić działkę na mniejsze części i dzierżawić je na krótki termin. Oczywiście zażyczył sobie dziesięciu procent od zysków. – Shaw oparł się wygodnie i splótł palce na brzuchu. – Pomyślałem sobie: czemu nie? Nikt w mojej rodzinie się tą ziemią nie interesował… Trzecie pokolenie Shawów to banda leniwych sybarytów. A ten obcy człowiek, cuchnący ambicją i pierwotną determinacją, był gotów na wszystko, byle coś zarobić. Wyjąłem więc z portfela całą gotówkę, jaką miałem przy sobie, około pięćdziesięciu dolarów, i powiedziałem, że ma sobie kupić nowe ubranie, obciąć włosy, ogolić brodę, po czym następnego dnia odwiedzić mnie w biurze.

– McKenna pana nie zawiódł – stwierdziła raczej, niż zapytała.

Shaw przytaknął.

– W sześć miesięcy wynajął każdy metr kwadratowy tej działki. Po czym, nie pytając mnie o zgodę, za zyski kupił od miasta hektar działki zalewowej w okolicach Canal Street. Muszę przyznać, że to mnie nieco wytrąciło z równowagi, zwłaszcza gdy zaczęły krążyć dowcipy o tym, że Shaw i McKenna będą handlować „podwodnymi działkami”… – Roześmiał się cicho do swoich wspomnień. – Oczywiście uznałem, że to szaleniec. Ale na tym etapie nie dało się już nic zrobić. Mogłem tylko przyglądać się z boku, jak McKenna zasypuje cały ten areał kamieniami i ziemią. Następnie wybudował tam czynszówki i magazyny, przekształcając teren w cenną nieruchomość komercyjną. Okazało się, że z działki wartej sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów uczynił inwestycję, która przynosi mniej więcej milion dolarów dochodu rocznie.

Te od niechcenia podawane liczby sprawiły, że zaniemówiła. Na widok jej zdumienia Shaw roześmiał się lekko.

– Nic więc dziwnego, że McKenna szybko stał się popularnym człowiekiem w Nowym Jorku, a także jednym z najwyżej cenionych kawalerów do wzięcia.

– Zakładam, że wiele kobiet walczy o jego uwagę – wtrąciła obojętnie.

– Musi się od nich kijem opędzać – odparł Shaw z przebiegłym uśmiechem. – Nie nazwałbym go jednak kobieciarzem. Miał

partnerki… ale wedle mojej wiedzy żadną z nich się na poważnie nie interesował. Swoją energię koncentruje na pracy.

– A pan, panie Shaw? – zapytała. – Czy ktoś wyjątkowy czeka na pana w domu?

Od razu pokręcił głową.

– Obawiam się, że podzielam dość sceptyczny pogląd McKenny na małżeństwo.

– Moim zdaniem pewnego dnia się pan zakocha.

– Wątpię. Obawiam się, że to jedno uczucie pozostanie mi obce… – Nagle umilkł. Odstawił filiżankę na stół i utkwił wzrok w oddali, wyraźnie się ożywiając.

– Panie Shaw?

Gdy spojrzała w tę samą stronę, uświadomiła sobie, co go tak poruszyło… Dostrzegła Livię w pastelowej sukni spacerowej w kwiaty. Szła w kierunku lasu, oddalając się od posiadłości. Trzymała za wstążki słomkowy kapelusz ozdobiony bukiecikiem świeżych stokrotek.

Gideon Shaw wstał tak szybko, że niemal przewrócił krzesło.

– Przepraszam – zwrócił się do Aline, ciskając serwetkę na stół. – Wytwór mojej wyobraźni znów się pojawił… I tym razem ją złapię.

– Oczywiście – odparła, próbując się nie roześmiać. – Powodzenia, panie Shaw.

– Dzięki.

Zniknął w mgnieniu oka, zbiegając po schodach z kocią swobodą. Przeciął tarasy i trawnik zdecydowanym krokiem, po czym jeszcze przyspieszył. Aline wstała, by go lepiej widzieć, i tym razem nie zdołała opanować kpiącego uśmiechu.

– Cóż, panie Shaw… A ja myślałam, że nie ma na tym świecie niczego, czego pragnąłby pan aż tak, by się za tym uganiać.

ROZDZIAŁ 10

Od śmierci Amberleya każdego wieczoru Livia zasypiała w otoczeniu wspomnień o nim. Aż do wczoraj.

Dziwnie się czuła, tyle myśli poświęcając innemu mężczyźnie, zwłaszcza że obaj bardzo się różnili. Na wspomnienie szczupłej twarzy Gideona Shawa, jego złotych włosów i łagodnej pewności jego dotyku ogarniały ją poczucie winy, ciekawość i niepokój. O tak, bardzo się różnił od Amberleya.

Jej narzeczony nie był skomplikowanym mężczyzną. Nie posiadał mrocznej strony, nic nie utrudniało mu swobodnego obdarowywania miłością i akceptowania jej. Miał bardzo miłą rodzinę, zamożną, lecz nie arogancką, i dogłębnie świadomą swoich obowiązków w tych mniej niż szczęśliwych okolicznościach. Był wyjątkowo atrakcyjny, miał ciemnobrązowe oczy, brązowe włosy i jeden kosmyk, który zawadiacko opadał na czoło. Był też szczupły i wysportowany. Uwielbiał wysiłek fizyczny, różne gry i długie spacery. Nic więc dziwnego, że się pokochali – cała okolica wiedziała, jak dobrze do siebie pasują. Amberley odkrył tę stronę jej natury, której nie była do tej pory nawet świadoma. W jego ramionach zapominała o zahamowaniu. Upajała się jego miłością i była gotowa zrobić wszystko w namiętnym zapamiętaniu.

Po jego śmierci obywała się bez mężczyzny przez długi czas. Matka powtarzała, że powinna jak najszybciej znaleźć sobie męża, zanim przeminą ostatnie ślady jej młodości, i Livia poniekąd się z nią zgadzała, bo czuła się samotna, tęskniła za otuchą i rozkoszą, której mogłaby zaznać w ramionach mężczyzny, ale nie zdołała wykrzesać z siebie prawdziwego zainteresowania… Mogła tylko czekać na

kogoś, na coś, co uwolniłoby ją z niewidzialnych łańcuchów, w które sama się zakuła.

Szła teraz przez dębowo-orzechowy zagajnik, w którym panowały nietypowe jak na tę porę dnia ciemności z powodu srebrnoszarej mgły, wciąż zakrywającej niebo. Gdy dotarła do ścieżki dla koni, podążyła nią aż do doliny, od czasu do czasu zatrzymując się, by kopnąć kamień czubkiem skórzanego trzewika. Powiew wiatru poruszył powietrzem, sprawiając, że liście zaszumiały, a samotny kowalik gniewnie zaświergotał.

Nie zauważyła, że ktoś idzie za nią przez łąkę, dopóki nie usłyszała kroków. Odwróciła się i dostrzegła wysokiego mężczyznę. Poruszał się ze swobodą, która sprawiała, że nawet w sportowym ubraniu wyglądał elegancko. Szybko wciągnęła powietrze, gdy uświadomiła sobie, że Gideon Shaw ją odnalazł.

W blasku księżyca wyglądał spektakularnie, lecz w świetle dnia zapierał dech – jego krótko przycięte włosy błyszczały niczym stare złoto. Twarz miał piękną i niezaprzeczalnie męską – wąski i długi nos, wysokie kości policzkowe i zdumiewająco błękitne oczy.

Z jakiegoś powodu przystanął, gdy ich spojrzenia się spotkały. Jakby wpadł na niewidzialny mur. Wpatrywali się w siebie z odległości około pięciu metrów, gdy poczuła, że wzbiera w niej ciepłe mrowienie. Shaw miał osobliwą minę… Zainteresowanie walczące z rozczarowaniem… Niechętna fascynacja mężczyzny, który bardzo się stara jej nie pragnąć.

– Dzień dobry, panie Shaw.

Dźwięk jej głosu wybudził go z transu. Podszedł do niej powoli, jakby obawiał się, że każdy gwałtowniejszy ruch wystraszy ją i zmusi do ucieczki.

– Śniłem o tobie zeszłej nocy – powiedział.

Nie brzmiało to jak przyczynek do typowej rozmowy, lecz Livia się uśmiechnęła.

– O czym był ten sen? – zapytała, przechylając głowę i wbijając w niego wzrok. – A może to niebezpieczne pytanie?

Wiatr poruszył pasmem jego włosów, które opadły mu na czoło.

– To bardzo niebezpieczne pytanie.

Uświadomiła sobie nagle, że z nim flirtuje, lecz nie zdołała się powstrzymać.

– Wybiera się pan ze mną na spacer, panie Shaw?

– Jeśli nie masz nic przeciwko mojego towarzystwu.

– Przeszkadzałby mi tylko jego brak – odparła, rozkoszując się widokiem jego swobodnego uśmiechu.

Gestem ponagliła go, by do niej dołączył, po czym ruszyła w dalszą drogę ku ogrodowi stróżówki w oddali. Shaw zrównał z nią krok, jego brązowe buty miażdżyły gałązki i liście, które wiatr zdmuchnął na drogę. Włożył ręce do kieszeni tweedowego surduta i zerkał z ukosa na jej profil, gdy szli.

– Wiesz – mruknął beztrosko – nie pozwolę ci znów zniknąć, dopóki nie powiesz mi, kim jesteś.

– Wolę pozostać tajemnicą.

– Dlaczego?

W odpowiedzi wyznała prawdę:

– W przeszłości zrobiłam coś skandalicznego i teraz bardzo niezręcznie się czuję, bywając w towarzystwie.

– Co to był za skandal? – Jego ironiczny ton sugerował, że spodziewa się drobnego przewinienia. – Poszłaś dokądś bez przyzwoitki, jak mniemam. Albo pozwoliłaś, by ktoś skradł ci pocałunek w miejscu publicznym.

Pokręciła głową.

– Ewidentnie nie ma pan pojęcia, jak skandalicznie potrafią się zachowywać młode damy.

– Marzę o tym, byś mnie oświeciła.

Gdy milczała niezdecydowanie, postanowił porzucić temat. Wbił spojrzenie w zarośnięty ogródek w oddali. Długie proporce kapryfolium powiewały nad płotem, przesycając powietrze ciężkim, słodkim zapachem. Motyle tańczyły w kolorowych główkach maków i piwonii. Za grządką pełną marchwi, sałaty i rzodkiewki stał porośnięty różami łuk prowadzący do maleńkiej szklarni ocienionej przez jawor o parasolowatym kształcie.

– Bardzo malowniczo – mrugnął.

Wymachując kapeluszem, poprowadziła go do oranżerii, przytulnego zakątka, w którym nie zmieściłyby się więcej niż dwie

osoby.

– Gdy byłam mała, lubiłam tu przesiadywać z moimi książkami i lalkami, udając, że jestem księżniczką zamkniętą w wieży.

– Dorastałaś więc w Stony Cross Park – powiedział.

Otworzyła oranżerię i zajrzała do środka. Wnętrze było czyste i dobrze utrzymane, drewniana ławka lśniła po niedawnym polerowaniu.

– Lord Westcliff to mój brat – wyznała w końcu, a jej głos zabrzmiał głucho w małym szklanym pomieszczeniu. – Jestem lady Olivia Marsden.

Stanął tuż za nią, ale jej nie dotknął. Jego bliskość okazała się tak elektryzująca, że musiała wejść do oranżerii. On został w progu, wypełniając wejście swoim szczupłym ciałem i szerokimi barkami. Gdy odwróciła się do niego, uderzyły ją różnice pomiędzy nim a Amberleyem. Był od niego co najmniej dekadę starszy. Potężny, światowy mężczyzna, wyraźnie rozczarowany życiem, z drobnymi zmarszczkami cynizmu wokół oczu. Ale gdy się uśmiechał, rozczarowanie znikało na chwilę, co czyniło go tak atrakcyjnym, że jej serce gubiło rytm.

– Lady Aline wspominała, że ma siostrę – mruknął. – Założyłem jednak, że nie mieszkasz w posiadłości.

– O nie, bez wątpienia jestem rezydentką Stony Cross Park. Ale trzymam się na uboczu. Skandal, sam pan rozumie.

– Obawiam się, że nie. – Kąciki jego ust uniosły się w lekkim uśmiechu. – Powiedz mi, księżniczko Olivio… dlaczego zamknięto cię w wieży.

Pieszczotliwe określenie sprawiło, że prawie się cała rozpłynęła. Roześmiała się niepewnie, marząc o tym, by ośmieliła się mu zaufać. Nawyk niezależności okazał się jednak zbyt silny. Pokręciła głową i podeszła do niego, spodziewając się, że odsunie się od drzwi. Cofnął się o pół kroku, lecz dłonie nadal trzymał na futrynie, więc niemal weszła w jego otwarte ramiona. Wstążki kapelusza wysunęły się z jej palców.

– Panie Shaw… – napomknęła i popełniła ten błąd, że podniosła na niego wzrok.

– Gideonie – szepnął. – Pragnę poznać twoje sekrety, Olivio.

Uśmiechnęła się gorzko.

– Wcześniej czy później usłyszysz je od innych ludzi.

– Ja chcę je usłyszeć do ciebie.

Zaczęła się wycofywać w głąb oranżerii, ale zwinnie chwycił ją za pasek spacerowej sukni. Wsunął palce pod szarfę z grubszego materiału. Nie mogąc uciec, położyła dłoń na jego dłoni, podczas gdy twarz oblał jej krwawy rumieniec. Wiedziała, że dla niego to tylko zabawa i że kiedyś poradziłaby sobie w takiej sytuacji ze względną łatwością. Ale nie teraz. Gdy przemówiła, miała ochrypły głos:

– Nie mogę tego robić, panie Shaw.

Ku jej zdumieniu zdawał się doskonale rozumieć, co miała na myśli.

– Nic nie musisz robić – zapewnił ją łagodnie. – Pozwól mi tylko podejść bliżej… I się nie ruszaj…

Pochylił głowę i z łatwością odnalazł jej usta.

Kuszący nacisk jego warg sprawił, że zakręciło się jej w głowie. Stanowczo wziął ją w ramiona, by się nie zachwiała. Całowała się z Gideonem Shawem, lubiącym sobie dogadzać, rozpustnym draniem, przed którym ostrzegał ją brat. Och, ale Shaw był w tym naprawdę dobry. Myślała, że nic nie dorówna nigdy rozkoszy pocałunków Amberleya… lecz ten mężczyzna miał ciepłe i cierpliwe wargi, a w jego całkowitym braku pośpiechu było coś niecnie zmysłowego. Pieścił ją łagodnie, rozchylił jej wargi i musnął czubkiem języka jej język, zanim się wycofał.

Spragniona tych jedwabistych doznań, zaczęła na niego napierać, jej oddech przyspieszył. Karmił jej podniecenie z tak subtelną maestrią, że nie była w stanie się bronić. Ku własnemu zdumieniu nagle zarzuciła mu ręce na szyję i wcisnęła piersi w twardą płaszczyznę jego torsu. Shaw przesunął dłoń na jej kark i odchylił jej głowę, by odsłonić szyję. Łagodnie i z opanowaniem całował wrażliwą skórę, sunąc powoli w dół aż do wgłębienia pomiędzy obojczykami. Gdy poczuła tam liźnięcie, jęknęła z rozkoszy.

Powoli uniósł głowę i musnął nosem jej policzek, głaszcząc ją po plecach. Ich oddechy mieszały się w lekkich obłokach żaru, jego twarda pierś poruszała się w nierównym rytmie.

– Mój Boże... – mruknął w końcu w jej policzek. – Będą z tobą kłopoty.

Uśmiechnęła się.

– Chyba raczej z tobą – zdołała wyszeptać, zanim znów zaczął ją całować.

Poranne polowanie okazało się udane – łup liczył co najmniej dwadzieścia kuropatw i pół tuzina słonek. Panie dołączyły do panów na sute śniadanie nad jeziorem. Wszyscy gawędzili i śmiali się, podczas gdy służba napełniała talerze i kieliszki. Po posiłku goście podzielili się na grupy – jedni udali się na przejażdżkę powozem lub na spacer, inni wrócili do posiadłości, by pisać listy i grać w karty.

Gdy Aline zauważyła, jak dużo jedzenia wróciło do kuchni, z pomocą dwóch pokojówek zapakowała je do słojów i koszy, by rozdać je mieszkańcom wioski. Jako gospodyni majątku pod nieobecność matki zawsze pamiętała o odwiedzinach u rodzin, które potrzebowały wsparcia, choć nie należało to do jej ulubionych obowiązków, ponieważ takie wizyty zajmowały cały dzień, a nawet więcej. Obchodziła domy, siadała przy paleniskach, z uwagą wysłuchiwała narzekań i udzielała porad, gdy okazywały się potrzebne. Obawiała się jednak, że nie dysponuje dostateczną wiedzą ani cierpliwością do takich wizyt. Ale świadomość, jak mało posiadają dzierżawcy i jak ciężko pracują, niezmiennie budziła w niej pokorę.

W ostatnich miesiącach często udawało się jej przekonać Livię, by towarzyszyła jej w podróży do wioski, a dzięki obecności siostry dzień zawsze mijał o wiele szybciej. Niestety, Livia zniknęła na całe popołudnie i Aline z niepokojem zastanawiała się, czy wciąż znajduje się w towarzystwie pana Shawa, ponieważ jego również nikt nie mógł znaleźć. Na pewno nie… Livia od lat nie spędziła tyle czasu w towarzystwie mężczyzny. Choć to możliwe, że Shawowi udało się wyciągnąć ją ze skorupy.

„To dobrze czy źle?”, rozważała w duchu Aline. Ale byłoby to typowe dla Livii, z jej przekorną naturą, by skupić swoje

zainteresowanie na rozwiązłym hulace zamiast na jakimś prawym dżentelmenie. Uśmiechając się smutno, sięgnęła po ciężki kosz, chcąc zanieść go do powozu. Naczynia zabrzęczały w środku, a jej nozdrza wypełnił słonawy zapach szynki i bogaty aromat zapiekanki jajecznej.

– Och, milady – dobiegł ją głos służącej, która właśnie wyszła z kuchni. – Proszę mi to oddać!

Aline obejrzała się przez ramię i uśmiechnęła się, gdy zauważyła, że młoda dziewczyna już trzyma dwa ciężkie kosze.

– Dam sobie radę, Gwen – odparła, wdrapując się po schodach. Uporczywe rwanie blizny sprawiło, że zesztywniało jej kolano. Zacisnęła zęby i siłą rozciągnęła mięsień do pełnego zakresu.

– Milady – zaprotestowała Gwen – proszę odłożyć kosz, a ja wrócę po niego…

– Nie ma takiej potrzeby. Chcę to jak najszybciej załadować i ruszać, ponieważ już jestem…

Urwała na widok McKenny, który stał przy wejściu dla służby. Rozmawiał z chichocącą pokojówką, swobodnie opierając się ramieniem o ścianę. Widać wciąż potrafił czarować kobiety… Uśmiechając się do rudowłosej dziewczyny, wyciągnął rękę, by lekko musnąć palcem jej podbródek.

Aline nie wydała żadnego dźwięku, lecz coś musiało zwrócić jego uwagę, bo spojrzał w jej stronę, a w jego oczach błysnęła nieufność. Pokojówka od razu uciekła, podczas gdy on nie przestawał wpatrywać się w Aline.

Przypomniała sobie, że nie może rościć sobie do niego żadnych praw. Nie była już przecież dziewiętnastolatką zakochaną w chłopcu stajennym. Niemniej zapłonął w niej gniew na ten dowód, że nie była jedyną kobietą, którą McKenna postanowił uwieść. Z kamienną twarzą ruszyła dalej.

– No chodź – mruknęła do Gwen, a dziewczyna posłusznie popędziła za nią.

McKenna dogonił ją w kilku długich krokach. Jego ponura twarz niczego nie wyrażała, gdy sięgnął po kosz.

– Daj mi to.

Odsunęła się od niego.

– Nie, dziękuję.

– Utykasz.

Jego słowa sprawiły, że poczuła ucisk przerażenia w żołądku.

– Skręciłam kostkę na schodach – odparła krótko, opierając się, gdy sięgnął po rączkę kosza. – Puść. Nie potrzebuję twojej pomocy.

Ignorując ją, z łatwością odebrał jej kosz i zmarszczył brwi.

– Pani Faircloth powinna ci ją obandażować, zanim twój stan się pogorszy.

– Już czuję się lepiej – mruknęła Aline z rozpaczą. – Poszukaj sobie kogoś innego, by zawracać mu głowę, McKenna. Jestem przekonana, że gościmy wiele kobiet, z którymi mógłbyś się dziś zabawić.

– Nie próbowałem jej uwieść.

Posłała mu wiele mówiące spojrzenie, na co zareagował drwiącym uniesieniem brwi.

– Nie wierzysz mi? – zapytał.

– Szczerze mówiąc, nie. Myślę, że to twoje zabezpieczenie na wypadek, gdyby nie udało ci się mnie wziąć do łóżka.

– Po pierwsze, nie mam zamiaru brać do łóżka jednej z twoich pokojówek. Próbowałem tylko uzyskać od niej pewne informacje. Po drugie, nie potrzebuję zabezpieczenia.

Arogancja jego słów sprawiła, że oniemiała. Nigdy jeszcze nie spotkała tak odrażająco pewnego siebie mężczyzny – i dobrze, ponieważ w cywilizowanym świecie nie było miejsca dla więcej niż kilku takich osobników. Gdy uznała, że może mówić bez zająknięcia, zapytała urywanym głosem:

– A jakież to informacje uzyskane od pokojówki mogłyby cię zainteresować?

– Dowiedziałem się, że pracowała tu już podczas tej twojej tajemniczej choroby. Próbowałem nakłonić ją, by coś mi na ten temat powiedziała.

Utkwiła wzrok w węźle jego fularu, czując, jak całe jej ciało tężeje.

– I co takiego powiedziała?

– Nic. Wygląda na to, że tak ona, jak i cała reszta służby postanowiła strzec twoich sekretów.

Jego odpowiedź napełniła ją bezbrzeżną ulgą. Odprężyła się nieco i odparła:

– Nie mam żadnych sekretów. To była gorączka. Czasami dopada ludzi bez żadnego powodu i bardzo ich osłabia. W końcu jednak doszłam do siebie i na tym się skończyło.

Utkwił w niej twarde spojrzenie, po czym mruknął:

– Nie kupuję tego.

Nie znała tego sformułowania, lecz jego sens był dla niej jasny.

– Oczywiście możesz wierzyć, w co tylko chcesz – oświadczyła. – Ja natomiast mogę zaoferować ci tylko prawdę.

Uniósł jedną brew, słysząc jej ton urażonej godności.

– Przeszłość mnie nauczyła, milady, że masz dość swobodny stosunek do prawdy, jeśli tak ci wygodnie.

Wykrzywiła twarz w grymasie, nie mogąc bronić swoich dawnych decyzji bez wyjawienia więcej, niż powinien wiedzieć. Ale zanim zdołała się odezwać, McKenna zaskoczył ją, ciągnąc za sobą w wąski korytarz. Odstawił kosz na ziemię i wyprostował się, by spojrzeć jej prosto w oczy. Niemal się dotykali i na samą myśl o tym jej ciałem wstrząsnął dreszcz zmysłowego pobudzenia. Odsunęła się od niego i poczuła za plecami ścianę.

Stał tak blisko, że widziała czarne kropki jego ogolonych bokobrodów, cień podkreślający jego żywiołową męskość. Surowo zaciskał wargi, aż po obu stronach jego ust utworzyły się półksiężyce zmarszczek. Zapragnęła je pocałować, wygładzić językiem, skosztować kącików jego ust… Rozpaczliwie odepchnęła te myśli od siebie i opuściła głowę, by nie musieć patrzeć na jego wargi.

– Fakt, że pozostałaś panną, jest całkowicie pozbawiony sensu – rozległ się jego niski, wzburzony głos. – Chcę wiedzieć, co się z tobą działo przez te wszystkie lata i dlaczego jesteś sama. Co jest nie tak z mężczyznami w Hampshire, że żaden z nich nie porwał cię dla siebie. A może to ty stanowisz problem?

Był tak bliski prawdy, że zmroził ją dreszcz niepokoju.

– To ma być przykład twoich umiejętności uwodzenia? – zapytała tonem pełnym wyższości. – Obłapianie damy w holu dla służby i poddawanie jej przesłuchaniom?

Sprowokowała u niego przelotny uśmiech; zdumienie i frustracja pierzchły ze zdumiewającą szybkością.

– Nie – wyznał. – Stać mnie na więcej.

– Mam nadzieję.

Próbowała się przesunąć, ale zastąpił jej drogę i całym ciężarem przycisnął do ściany, uniemożliwiając ucieczkę. Pisnęła cicho, gdy ich ciała się zetknęły. Wsunął umięśnione udo pomiędzy jej nogi i musnął oddechem jej ucho. Nie próbował jej pocałować, tylko trzymał ją w ramionach, jakby chłonął całym sobą szczegóły jej ciała.

– Przesuń się – zażądała zduszonym z emocji głosem.

Chyba jej nie usłyszał.

– Twój dotyk… – wymamrotał.

Nagle pojęła, że została uwięziona pomiędzy chłodną twardą ścianą a ciepłym twardym mężczyzną. Jego ciało bardzo się różniło od tego, jakie pamiętała. Nie był już chudy i niezgrabny, lecz większy, cięższy, przepełniony mocą samca w sile wieku. To nie był czarujący chłopak z przeszłości, ale ktoś zupełnie inny. Potężny, bezwzględny mężczyzna.

Zafascynowana tymi różnicami nie zdołała się powstrzymać i wsunęła dłonie pod jego surdut. Musnęła palcami prężące się mięśnie torsu. Znieruchomiał, narzucając sobie taką kontrolę, że aż z wysiłku zaczął się trząść.

– A dlaczego ty wciąż jesteś sam? – szepnęła, rozkoszując się jego zapachem, słonawym, rozgrzanym od słońca aromatem, od którego serce niemal boleśnie tłukło się w jej piersi. – Już dawno powinieneś mieć żonę.

– Nigdy nie spotkałem kobiety, której aż tak bym pragnął – mruknął.

Zesztywniał, gdy przesunęła dłonie na jego pas.

– Okowy małżeńskiej przysięgi doprowadziłyby mnie… – urwał i zaczął dyszeć jak zmęczony koń wyścigowy, gdy grzbietami palców powiodła po jego napiętym brzuchu.

Rozkoszując się nagłym poczuciem władzy pomieszanej z palącym podnieceniem, przedłużała tę chwilę, pozwalając mu się zastanawiać, czy ośmieliłaby się dotknąć go w sposób, którego tak wyraźnie pragnął. Jego ciało zwijało się z pożądania, żar buchał z niego falami. Marzyła, by poczuć szczupłą sylwetkę skrywającą się pod warstwami ubrania. Nie mogąc uwierzyć we własną szaloną

lekkomyślność, przesunęła palce na jego spodnie i objęła jego nabrzmiały członek. Przeszedł ją dreszcz rozkoszy, a wspomnienia fizycznej ekstazy wywołały fale pragnienia w jej spragnionym doznań ciele i delikatne miejsca zaczęły niecierpliwie puchnąć.

McKenna jęknął słabo i oparł dłonie na jej ramionach, rozcapierzając palce, jakby obawiał się, że może ścisnąć ją zbyt mocno. Pieściła nabrzmiały, drżący członek… w górę… lekkie potarcie kciukiem żołędzi… i w dół. Zacisnęła powoli palce, aż usłyszała, że McKenna z sykiem wciąga powietrze przez zaciśnięte zęby. Góra i dół… Myśl, że mógłby znaleźć się w jej wnętrzu, wbić się w nią tą męskością, napełniła falą płynnego ciepła jej własne lędźwie.

McKenna pochylił głowę i obsypał jej twarz pocałunkami lekkimi jak skrzydła motyli. Jego rewerencja ją zdumiała. Ucałował kąciki jej ust, zatrzymując się przy nich na chwilę, po czym przesunął wargi wzdłuż jej policzka i dotknął językiem płatek ucha. Na oślep odwróciła ku niemu usta, złakniona pełnego nacisku pocałunku. Spełnił jej życzenie powoli, pożerając ją stopniowo i sprawiając, że zajęczała, gdy w końcu zawładnął jej ustami. Osunęła się na niego i zezwoliła na penetrację jego języka. Smakował ją delikatnie, gładził satynowe wnętrze jej ust z wyjątkową biegłością, która pozbawiała ją umiejętności logicznego myślenia. Rytm jej oddechu stał się rozpaczliwy, a wszystkie mięśnie stężały w rozkosznym wyczekiwaniu. Zapragnęła owinąć się wokół niego, przyjąć go w ramiona tak głęboko, by całkowicie się z nią zjednoczył.

Próbując zbliżyć się do niej jeszcze bardziej, pochylił się nad nią i zacisnął dłoń na jej pośladkach, unosząc ją nieco. Jego usta powędrowały na jej szyję, po czym wróciły do warg. Całował ją bez końca, jakby pragnął odkryć, na ile sposobów ich wargi mogą do siebie pasować. Gdy ich biodra zetknęły się pod wyjątkowo zmysłowym kątem, z jej gardła wyrwał się niski jęk. Zaczęła się wiercić, pragnąc poczuć na sobie całą jego długość. Gdy otarła się o niego piersiami, jęknął ochryple, po czym gwałtownie przerwał pocałunek, klnąc pod nosem.

Osłoniła się ramionami i wbiła w niego nierozumiejący wzrok, świadoma, że musi dostrzegać jej drżenie… Tak jak ona widziała, że

on drży. McKenna zaś odwrócił się i wbił gniewny wzrok w podłogę.

– Moja samokontrola… ma pewne granice – wymamrotał przez zaciśnięte szczęki.

Świadomość, że był o krok od całkowitej utraty panowania nad sobą – i fakt, że był gotów się do tego przyznać – napełniła ją szalonym podnieceniem, które ustępowało bardzo wolno.

Upłynęła cała wieczność, zanim oboje ochłonęli. W końcu McKenna podniósł z ziemi kosz i gestem nakazał jej iść przodem. W oszołomieniu wróciła do głównego holu, gdzie natknęła się na Gwen, która właśnie wróciła po ostatni kosz.

McKenna odmówił oddania go dziewczynie.

– Nie ma takiej potrzeby – oznajmił beztrosko. – Ja go zaniosę… Pokaż mi tylko dokąd.

– Tak, proszę pana – odparła od razu Gwen.

Odwrócił się, by wymienić przelotne spojrzenie z Aline, i zmrużył niebieskozielone pociemniałe oczy. Przekazali sobie niemą wiadomość… później… po czym wyszedł.

Aline trwała nieruchomo, próbując dojść do siebie, gdy nagle jej uwagę zaprzątnęło nieoczekiwane pojawienie się brata, który z niespokojną miną wszedł do holu. Marcus zdążył się już przebrać po polowaniu i teraz miał na sobie perłowoszare spodnie, granatową kamizelkę i wzorzysty fular z błękitnego jedwabiu.

– Gdzie jest Livia? – zapytał bez wstępów. – Przepadła na cały ranek.

Przez chwilę wahała się z odpowiedzią, aż w końcu zniżyła głos:

– Podejrzewam, że przebywa w towarzystwie pana Shawa.

– Słucham?

– Wydaje mi się, że dołączył do niej podczas porannego spaceru – kontynuowała, siląc się na beztroski ton. – Wedle mojej wiedzy nikt ich później nie widział.

– A ty pozwoliłaś, żeby za nią poszedł? – wyszeptał Marcus z oburzeniem. – Na miłość boską, dlaczego go jakoś nie powstrzymałaś?

– Och, nie przesadzaj – odparła. – Możesz mi wierzyć, Marcusie, Livia doskonale radzi sobie z mówieniem mężczyznom, by zostawili ją w spokoju. A jeśli zapragnie spędzić trochę czasu w towarzystwie

pana Shawa, moim zdaniem sobie na to zasłużyła. Poza tym on zachowuje się jak dżentelmen niezależnie od tego, jaką ma reputację.

– Nie należy do takich dżentelmenów, jakich zna Livia. To Amerykanin. – Nacisk, który położył na ostatnie słowo, sprawił, że zabrzmiało ono jak obraza.

– Myślałam, że lubisz Amerykanów!

– Nie, gdy węszą wokół moich sióstr. – Jego oczy rozbłysły podejrzliwie, gdy zaczął się jej przyglądać. – A ty co knujesz?

– Ja… – Z konsternacją przycisnęła dłoń do szyi, na której skoncentrowało się jego pociemniałe spojrzenie. – Dlaczego tak na mnie patrzysz?

– Masz na szyi otarcie od zarostu – oświadczył ponuro.

Postanowiła, że najlepiej będzie udawać ignorancję, i posłała mu obojętne spojrzenie.

– Nie wygłupiaj się. To otarcie od wstążki do kamei.

– Nie nosiłaś dzisiaj kamei na wstążce.

Uśmiechnęła się, wspięła na palce i pocałowała go w policzek, wiedząc, że pod tą gniewną fasadą skrywa się brat przerażony, że jedna z jego ukochanych sióstr może zostać zraniona.

– Jesteśmy z Livią dorosłe – powiedziała. – I są pewne rzeczy, przed którymi nas nie uchronisz, Marcusie.

Marcus przyjął pocałunek i nic więcej nie dodał, lecz gdy Aline odchodziła, usłyszała, jak szepcze pod nosem coś, co podejrzliwie przypominało: „A właśnie że uchronię”.

Tego wieczoru znalazła na poduszce czerwoną różę, która dopiero rozwijała aksamitne płatki. Długą łodyżkę skrupulatnie pozbawiono cierni. Podniosła pachnący pąk i przesunęła nim po policzku i rozchylonych ustach.

Milady,

oto kwiaty, serenada już czeka w kolejce. Co do poezji… będziesz musiała zapewnić mi więcej inspiracji.

Twój

M.

ROZDZIAŁ 11

Przez dwa następne dni McKenna na próżno szukał okazji, by zostać z Aline sam na sam. Odgrywając rolę gospodyni z energią i wprawą, zdawała się być wszędzie, sprawnie organizując kolacje, gry, amatorski teatr i inne rozrywki dla tabunów gości odwiedzających Stony Cross Park. Nie mogąc po prostu podejść do niej, chwycić jej w ramiona i porwać z sobą na oczach wszystkich, nie miał innego wyboru, jak tylko czekać na swoją szansę. A cierpliwość przychodziła mu z wielkim trudem.

Wszyscy gromadzili się wokół niej, gdziekolwiek się pojawiła. Jak na ironię posiadała cechę, której jej matka hrabina zawsze jej zazdrościła – przyciągała do siebie ludzi. Różnica polegała na tym, że hrabina pożądała całej tej uwagi dla własnych korzyści, podczas gdy Aline zdawała się szczerze pragnąć uszczęśliwiać ludzi, którzy znaleźli się w jej towarzystwie. Zręcznie flirtowała ze starszymi mężczyznami, by zaraz potem siedzieć i plotkować przy kieliszku kordiału z seniorkami. Bawiła się z dziećmi, ze współczuciem wysłuchiwała opowieści młodych panien o ich niedolach miłosnych i zbywała zainteresowanie kawalerów, zachowując się wobec nich jak miła starsza siostra. W tym ostatnim wypadku nie zawsze odnosiła sukces. Nie okazywała nikomu szczególnego zainteresowania, mimo to wielu mężczyzn było nią wyraźnie oczarowanych… a widok ich pełnego nadziei, ledwie skrywanego zachwytu budził w McKennie żądzę mordu. Marzył, by pozbyć się ich wszystkich, przepędzić, obnażyć na nich zęby niczym wilk. Należała przecież do niego z racji jego pragnień i gorzkich, wyblakłych wspomnień ich wspólnej przeszłości.

Po południu, gdy McKenna, Gideon i lord Westcliff odpoczywali w oranżerii, pojawiła się tam Aline ze srebrną tacą. Tuż za nią szedł lokaj ze składanym mahoniowym stolikiem. Dzień był parny i letnia bryza nie przynosiła żadnej ulgi, chociaż panowie siedzieli w samych koszulach. Posiadłość zastygła leniwie w bezruchu – większość gości drzemała przy otwartych oknach aż do nadejścia chłodniejszego wieczoru.

Tego dnia nie zaplanowano żadnego balu, kolacji ani przyjęcia, ponieważ w miasteczku odbywał się doroczny festyn i niemal całe hrabstwo brało w nim udział. Festyn organizowano co roku od połowy czternastego wieku i trwał cały tydzień, a w tym czasie miasteczko pogrążało się w radosnym chaosie. High Street zmieniała się nie do poznania, gdy schludne witryny sklepów przesłaniały kramy jubilerów, handlarzy jedwabiem, lalkarzy, szewców i przedstawicieli wielu innych rzemiosł. McKenna wciąż jeszcze pamiętał podekscytowanie, jakie ogarniało go podczas festynu, gdy był małym chłopcem. Pierwszego wieczoru zawsze grała muzyka, odbywały się tańce, a nieopodal osady rozpalano ognisko. Razem z Aline oglądali występy kuglarzy, linoskoczków i akrobatów na szczudłach. Potem zawsze szli na targ koni, by podziwiać tuziny rumaków czystej krwi i masywnych zwierząt pociągowych. Wciąż pamiętał, jak wyglądała twarz Aline w blasku ognia, jak jej oczy płonęły, a usta kleiły się od lukrowanych pierników, które kupowała na jednym ze straganów.

Przedmiot jego rozmyślań wszedł właśnie do oranżerii i wszyscy trzej mężczyźni zaczęli się podnosić. Aline uśmiechnęła się i od razu poprosiła, by nie wstawali. Ale choć Westcliff i Gideon posłusznie wrócili na krzesła, to McKenna wstał, by odebrać od niej tacę z zimną lemoniadą, podczas gdy lokaj rozkładał stolik. Aline uśmiechnęła się, jej policzki oblały się rumieńcem, a brązowe oczy stały się aksamitne. Zapragnął skosztować jej wilgotnej różowej skóry, zlizać słony pot i zedrzeć z niej suknię z bladożółtego muślinu, która przylegała do jej ciała.

Gdy położył tacę na stole, wyprostował się i zauważył, że Aline wpatruje się w jego szorstkie od włosów opalone przedramiona, obnażone, ponieważ podwinął rękawy koszuli. Ich oczy się spotkały i nagle niemal zapomniał, że nie są sami. Nie potrafił już dłużej ukrywać fascynacji, która płonęła w jego oczach, tak jak Aline nie mogła ukryć własnego bezradnego pożądania.

Odwróciła się do tacy, sięgnęła po wysoki szklany dzban i nalała lemoniady do szklanek. Tylko grzechot kostek lodu zdradzał, że drżą jej dłonie. Podała mu szklankę, nie podnosząc wzroku do jego twarzy.

– Proszę usiąść, miły panie – powiedziała lekkim tonem. – Kontynuujcie swoją rozmowę, panowie… nie chciałam wam przeszkodzić.

Gideon uśmiechnął się z wdzięcznością, przyjmując od niej napój.

– Takie przeszkadzanie jest zawsze mile widziane, milady.

Westcliff poprosił ją gestem, by do nich dołączyła, a ona z wdziękiem usiadła na podłokietniku jego fotela i wręczyła mu szklankę. Łącząca ich ciepła przyjaźń rzucała się w oczy. „To interesujące", pomyślał McKenna, przypominając sobie, że w przeszłości byli sobie raczej dalecy. Aline zawsze onieśmielał odnoszący sukcesy starszy brat, a Marcusa izolowano od rodziny, gdy chadzał do szkół. Teraz jednak najwyraźniej udało im się nawiązać bliską relację.

– Zastanawialiśmy się właśnie, dlaczego brytyjskie firmy nie sprzedają swoich produktów za granicę tak samo skutecznie jak Amerykanie i Niemcy – zwrócił się Westcliff do siostry.

– Ponieważ Anglicy nie lubią uczyć się języków obcych? – zasugerowała wesoło.

– To mit – mruknął Westcliff.

– Czyżby? – odparła. – A ile ty znasz obcych języków…? Poza łaciną, która się nie liczy.

Hrabia spojrzał na siostrę wyzywająco.

– A dlaczego łacina się nie liczy?

– Ponieważ to martwy język.

– Ale wciąż język – wytknął jej.

Zanim wdali się w kłótnię, McKenna pomógł im wrócić do sedna sprawy:

– Problemem nie jest język – wtrącił, koncentrując na sobie uwagę obojga. – Trudności z brytyjską ekspansją zagraniczną polegają na tym, że tutejsi wytwórcy żywią awersję do masowej produkcji towarów. Przedkładacie indywidualizm ponad jednolitość… I w rezultacie przeciętny brytyjski przedsiębiorca jest za mały, a jego produkt – zbyt różnorodny. Niewielu z nich stać więc na podjęcie wysiłku przebicia się na światowe rynki.

– Czy firma nie powinna zapewniać swoim klientom szerokiego wyboru produktów? – zapytała Aline, marszcząc brwi w taki sposób, że McKenna zapragnął wygładzić je pocałunkiem.

– Są pewne granice – odparł.

– Na przykład – wtrącił Gideon – brytyjskie fabryki lokomotyw są tak wyspecjalizowane, że z żadnej z nich nie wyjdą dwa takie same silniki.

– Tak samo wygląda to w wypadku innych brytyjskich firm – kontynuował McKenna. – Fabryka ciastek ma w swojej ofercie sto ich rodzajów, choć wystarczyłoby dwanaście. Producent tapet wytwarza pięć tysięcy wzorów, choć bardziej zyskowne byłoby produkowanie jednej piątej tego. Oferowanie tak szerokiego wyboru produktów jest zwyczajnie zbyt drogie, zwłaszcza jeśli ktoś postanowi sprzedawać je za granicę. To nigdy nie będzie opłacalne.

– Ale ja lubię mieć wybór – zaprotestowała Aline. – Nie chcę, by ktoś jeszcze miał takie ściany jak ja.

Wyglądała na tak uroczo poruszoną możliwością posiadania ograniczonego wyboru tapet, że McKenna aż się uśmiechnął. Na widok jego rozbawienia kokieteryjnie uniosła brwi.

– Dlaczego się uśmiechasz?

– Powiedziałaś to jak typowa Brytyjka – odparł.

– Przecież sam jesteś Brytyjczykiem, McKenna.

Nie przestając się uśmiechać, pokręcił głową.

– Już nie, milady.

Stał się Amerykaninem w chwili, w której postawił stopę na Staten Island wiele lat temu. Nie zamierzał udawać, że nie czuje pewnej nostalgii za miejscem urodzenia, lecz odkrył siebie na nowo

i ukształtował w kraju, w którym niskie pochodzenie nie stanowiło przeszkody. W Ameryce nauczył się nie myśleć o sobie jak o służącym. Nie chciał nigdy więcej się kłaniać ani przed nikim korzyć. Po latach ciężkiej pracy, poświęceń, nerwów i czystego uporu siadywał teraz w bibliotece lorda Westcliffa jako jego gość, zamiast harować w stajniach za pięć szylingów miesięcznie.

Zauważył, jak Marcus wodzi oczami od niego do Aline. Hrabia nie był głupcem… i jasno dawał do zrozumienia, że nie zniesie, by wykorzystywano jego siostrę.

– Chyba masz rację – oświadczyła Aline. – Jeśli mężczyzna wygląda, mówi i myśli jak Amerykanin, prawdopodobnie nim jest. – Pochyliła się ku niemu, a jej brązowe oczy rozbłysły. – Niemniej nadal jakaś część ciebie należy do Stony Cross… Nie pozwolę ci całkowicie się nas wyrzec.

– Nie ośmieliłbym się – zapewnił ją miękko.

Ich oczy się spotkały i tym razem żadne nie zdołało odwrócić głowy, nawet gdy w oranżerii zapadła krępująca cisza.

To Westcliff sprawił, że czar prysł, gdy chrząknął i wstał tak nagle, że Aline, która siedziała na podłokietniku, niemal przeważyła fotel. Ona również wstała i zerknęła na brata, marszcząc brwi. Gdy Westcliff przemówił, tak bardzo przypominał starego hrabiego, że McKenna poczuł nieprzyjemne mrowienie na karku:

– Lady Aline, pragnę omówić z tobą plany na najbliższe dni, aby upewnić się, że nasze grafiki nie kolidują. Bądź łaskawa udać się ze mną do biblioteki.

– Oczywiście, milordzie. – Uśmiechnęła się do McKenny i Gideona, którzy również wstali. – Wybaczcie nam, panowie. Życzę wam udanego popołudnia.

Gdy hrabia oddalił się z siostrą, McKenna i Gideon na powrót usiedli i wyciągnęli przed siebie nogi.

– Wygląda na to – napomknął Gideon swobodnie – że twój plan się powiedzie.

– Jaki plan? – zapytał McKenna, chmurnie wpatrując się w rozwodnione resztki lemoniady.

– Plan uwiedzenia lady Aline, oczywiście.

Gideon wstał, by dolać sobie cierpkiego napoju. McKenna odpowiedział niezobowiązującym stęknięciem. Siedzieli w przyjaznym milczeniu przez kilka chwil, aż nagle McKenna zapytał:

– Shaw… Czy jakaś kobieta poprosiła cię kiedyś, byś napisał dla niej wiersz?

– O nie, dobry Boże – odparł Gideon, prychając śmiechem. – Shawowie nie pisują poezji. Płacą innym, by zrobili to za nich, a potem sobie przypisują zasługę. – Uniósł brwi. – Tylko mi nie mów, że lady Aline poprosiła cię o coś takiego.

– Owszem.

Gideon przewrócił oczami.

– Doprawdy zdumiewające, na ile sposobów kobiety potrafią zrobić z nas głupców. Chyba nie bierzesz tego pod uwagę?

– Nie.

– McKenna, jak daleko ma sięgać ta twoja zemsta? Polubiłem lady Aline i odkrywam w sobie osobliwą troskę o to, że mogłaby zostać zraniona.

McKenna posłał mu ostrzegawcze spojrzenie.

– Jeśli choć spróbujesz się wtrącić…

– Spokojnie – mruknął Gideon obronnie. – Nie zamierzam pokrzyżować ci planów. Myślę, że sam doskonale sobie z tym radzisz.

McKenna uniósł brwi.

– To znaczy?

Gideon wyciągnął z kieszeni piersiówkę i wlał sporą ilość alkoholu do swojej lemoniady.

– To znaczy, że nigdy jeszcze nie widziałem, by ktoś oczarował cię w takim stopniu jak lady Aline. – Upił duży łyk wzmocnionego napoju. – A teraz, gdy już dodałem sobie odwagi w płynie, ośmielę się powiedzieć, że moim zdaniem wciąż ją kochasz. I w głębi ducha wolałbyś umierać powolną śmiercią, niż przysporzyć jej choć chwili cierpienia.

McKenna spojrzał na niego z kamienną twarzą.

– Jesteś pijakiem i głupcem, Shaw – mruknął, wstając.

– A ktoś kiedyś twierdził inaczej? – zapytał Gideon, po czym jednym haustem opróżnił szklankę, odprowadzając oddalającego się przyjaciela wzrokiem.

Gdy nadszedł wieczór, a temperatura spadła, goście Stony Cross Park zaczęli gromadzić się w holu. W mniejszych grupach wychodzili na żwirowy podjazd, gdzie czekała już kolejka powozów, by zawieźć ich do wioski. Byli pomiędzy nimi siostra Gideona, pani Susan Chamberlain, oraz jej mąż Paul. Po kilku dniach Aline doszła do wniosku, że nie męczy się w towarzystwie tej pary, lecz trudno jej zdobyć się na prawdziwą sympatię wobec nich. Susan była wysoka i złotowłosa jak brat, ale nie posiadała jego poczucia humoru ani autoironii. Wręcz przeciwnie – traktowała siebie zbyt poważnie i ta cecha łączyła ją z mężem.

Gdy tylko odjechał pierwszy powóz, Aline zerknęła na Gideona Shawa i zauważyła, że jego uwagę przykuł ktoś, kto właśnie wychodził z domu. Uśmiechnął się lekko, a jego twarz złagodniała. Podążając za jego spojrzeniem, Aline stwierdziła, że to Livia postanowiła w końcu porzucić dobrowolne wygnanie. Po raz pierwszy od śmierci Amberleya pokazała się publicznie. Miała na sobie suknię w odcieniu głębokiego różu ozdobioną bladoróżową lamówką, w której wyglądała bardzo młodo, i była wyraźnie zdenerwowana.

Aline podeszła do niej i uśmiechnęła się czule.

– Kochanie – powiedziała, otaczając jej szczupłą talię ramieniem – jak miło, że postanowiłaś do nas dołączyć. Teraz wieczór będzie idealny.

Susan Chamberlain odwróciła się do męża i zakryła usta dłonią, by przekazać mu szeptem jakąś plotkę. Spojrzenie Chamberlaina pobiegło do Livii, po czym szybko odwrócił wzrok, jakby nie chciał, by przyłapano go na wpatrywaniu się w nią. Zamierzając chronić siostrę przed każdą zniewagą, Aline nakłoniła Livię gestem, by podeszła bliżej.

– Musisz poznać naszych gości. To państwo Chamberlainowie. Przedstawiam moją młodszą siostrę, lady Olivię Marsden.

Aline skrupulatnie trzymała się protokołu, jakby chciała podkreślić, że pod względem urodzenia oni stoją na niższym szczeblu drabiny niż Livia i dlatego nie mają prawa jej ubliżyć. Gdy Chamberlainowie

przywitali się z Livią nikłymi uśmiechami, Aline przedstawiła ją Cuylerom i panu Laroche'owi, którego małżonka odjechała już pierwszym powozem. Nagle stanął przed nimi McKenna.

– Wątpię, czy mnie pamiętasz, milady, po tych wszystkich latach.

Livia uśmiechnęła się do niego, choć nagle zbladła, a na jej twarzy odmalowało się poczucie winy.

– Oczywiście, że cię pamiętam, McKenna. Twój powrót do Stony Cross to miła, choć bardzo spóźniona niespodzianka.

Wszyscy podeszli do Gideona Shawa, który marnie sobie radził z ukrywaniem fascynacji Livią.

– Miło mi panią poznać, milady – mruknął Shaw, ujmując jej dłoń i kłaniając się nad nią, zamiast tylko skinąć głową jak inni. Gdy się wyprostował, uśmiechnął się do niej, a jej policzki stały się o kilka tonów ciemniejsze niż suknia. Ich wzajemny pociąg stał się niemal namacalny. – Mam nadzieję, że pojedzie pani do wioski w naszym powozie – dodał, z wyraźnym ociąganiem puszczając jej dłoń.

Zanim Livia zdołała odpowiedzieć, zainterweniowała jego siostra.

– Obawiam się, że to nie będzie możliwe – oświadczyła. – W powozie zwyczajnie nie ma miejsca. Mamy już ciebie, Paula i mnie, pana Laroche'a i oczywiście McKennę…

– McKenna nie jedzie z nami – przerwał jej Shaw. Spojrzał na przyjaciela znacząco. – Prawda?

– To prawda – potwierdził McKenna od razu. – Lady Aline znalazła mi miejsce w innym powozie.

– Czyim? – zapytała Susan opryskliwie. Widać było, że ta zamiana jej się nie podoba.

Aline uśmiechnęła się szeroko.

– Tak się składa, że moim – skłamała. – Nie udało nam się dokończyć naszej wcześniejszej rozmowy o... hm…

– ...poezji – podpowiedział McKenna z powagą.

– Tak, o poezji. – Nie przestając się uśmiechać, oparła się pokusie nadepnięcia mu z całej siły na stopę. – Miałam nadzieję, że uda nam się ją kontynuować w drodze do wioski.

Susan podejrzliwie zmrużyła niebieskie oczy.

– Cóż. Wątpię, by McKenna przeczytał w życiu choć jeden wiersz.

– Słyszałem, jak kiedyś jeden recytował – wtrącił Shaw. – Zaczynał się od słów: „Pewien mężczyzna z Bombaju". Ale teraz sobie przypominam, że reszta nie nadaje się dla uszu obecnego tu towarzystwa.

Pan Chamberlain poczerwieniał i prychnął śmiechem, zdradzając się ze znajomością dalszego ciągu tego tak zwanego wiersza. McKenna tylko uśmiechnął się szeroko.

– Jak widać, lady Aline będzie próbowała poprawić mój gust literacki.

– Choć wątpię, czy da się to zrobić podczas jednej przejażdżki powozem – odparła Aline skromnie.

– To zależy od tego, ile potrwa przejażdżka – zripostował McKenna.

Jego słowa nie zawierały podtekstu, lecz coś w jego tonie i wyrazie oczu sprawiło, że Aline oblała się rumieńcem.

– W takim razie sugeruję, byście zatrzymali powóz dopiero na Syberii – oświadczył Shaw, niwelując napięcie, które nagle pojawiło się pomiędzy parą, i wszyscy wybuchnęli śmiechem. Szarmancko podał ramię Livii. – Milady, pani pozwoli…

Gdy Shaw poprowadził ją do powozu, Aline odprowadziła ich zdumionym wzrokiem. To było takie dziwne widzieć Livię z innym mężczyzną. Mimo to Gideon Shaw zdawał się do niej pasować. Może Livia potrzebowała kogoś pewnego siebie, swobodnego i obeznanego ze światem. Poza tym pomimo swego cynizmu zachowywał się jak dżentelmen. Choć przecież nie istniała na pozór żadna możliwość, by tych dwoje zostało parą. Problem Shawa z piciem bardzo ją niepokoił, nie wspominając już nawet o jego zszarganej reputacji i tym, że pochodził z zupełnie innego świata niż Livia. Wzdychając i z namysłem marszcząc brwi, spojrzała na McKennę.

– To dobry człowiek – powiedział, odczytując jej myśli z łatwością, która ją zdumiała.

– Wierzę – odparła cicho. – Ale gdyby Livia była twoją siostrą, McKenna, czy chciałbyś, żeby się z nim związała? – zadała pytanie bez uprzedzeń, tylko z troską.

McKenna długo się wahał, po czym pokręcił głową.

– Tego się właśnie obawiałam – szepnęła i ujęła go pod ramię. – Cóż, skoro wprosiłeś się do mojego powozu, możemy chyba już jechać.

– Twój brat będzie nam towarzyszył? – zapytał, prowadząc ją przez podjazd.

– Nie, festyny go nie interesują. Tego wieczoru zostanie w domu.

– Świetnie – mruknął z tak ewidentną satysfakcją, że musiała się roześmiać.

Oczywiście McKenna wolałby podróżować sam na sam z Aline, ale dołączyli do nich jeszcze Cuylerowie, którzy przez całą drogę rozmawiali o miejscowych serach. Aline szczegółowo odpowiadała na ich pytania, z trudem powstrzymując śmiech na widok niezadowolenia McKenny.

Gdy dojechali do centrum Stony Cross, cała wioska płonęła blaskiem lamp i pochodni. Z parku płynęła muzyka, w rytm której poruszali się entuzjaści tańca. Schludne rzędy krytych strzechą czarnych i białych chat przesłoniły całkowicie liczne stragany. Lekkie drewniane konstrukcje były do siebie podobne – miały stoisko z przodu przeznaczone do sprzedaży i małe pomieszczenie na zapleczu, w którym właściciel straganu nocował. Kupcy sprzedawali biżuterię, sztućce, zabawki, buty, wachlarze, szkło, meble oraz różnego rodzaju smakołyki. Wokół scen teatralnych rozlegały się wybuchy śmiechu, gdy aktorzy i komedianci za datki rozweselali gapiów.

McKenna prowadził Aline wzdłuż straganów, a ona przyglądała mu się z zaciekawieniem.

– To musi przywoływać wiele wspomnień.

Pokiwał głową, wpatrzony w przestrzeń.

– Mam wrażenie, że to wydarzyło się w innym życiu.

– O tak – zgodziła się z nutką melancholii.

Oboje byli zupełnie innymi ludźmi. Niewinność tamtych dni, zdumiewająca prostota, młodość, ten etap w życiu, kiedy każdą chwilę otacza złota aura… Na samo wspomnienie ogarnęła ją fala ciepłego zniecierpliwienia, które pozornie nie miało konkretnego źródła ani celu. Doznanie narastało w niej, aż krew zaczęła szybciej krążyć w jej żyłach, uwrażliwiając jej zmysły. Spacer przez wioskę

z McKenną u boku… Było to urocze echo przeszłości, niczym słuchanie pięknej melodii, której nie słyszała od dzieciństwa.

Patrząc mu w oczy, zauważyła, że on również poddaje się temu doznaniu. Był zrelaksowany, chętniej się uśmiechał, surowe zmarszczki wokół jego oczu i ust zniknęły. Przedarli się przez szczególnie zatłoczony fragment High Street, gdzie para kuglarzy wzbudzała zachwycone okrzyki tłumu. McKenna otoczył Aline ramieniem, by nikt jej nie przewrócił, i dalej torował sobie drogę pomiędzy ludźmi. W gorączkowej atmosferze festynu nikt nie zauważył tego gestu, lecz ją zdumiała jego naturalność i reakcja jej ciała. Miała wrażenie, że tak właśnie powinno być. Pozwalała mu się prowadzić, poddając się kuszącemu naciskowi jego dłoni na plecach.

Gdy wydostali się z tłumu, wziął ją za rękę i położył ją sobie w zagłębieniu ramienia. Zacisnęła lekko palce na wypukłości mięśnia, a jej pierś otarła się lekko o jego łokieć.

– Dokąd idziemy? – zapytała nieco zaskoczona leniwą, niemal rozmarzoną nutą w swoim głosie.

Nie odpowiedział, tylko poprowadził ją dalej, aż stanęli przed straganem, który stanowił jego cel. Aromatyczny zapach pierników wypełnił ciepłą falą jej nozdrza. Roześmiała się z zachwytem.

– Pamiętałeś!

Gdy była dzieckiem, zawsze najpierw szła do straganu z piernikami w lukrze… I choć McKenna nigdy nie podzielał jej miłości do słodyczy, zawsze jej towarzyszył.

– Oczywiście – powiedział, wyciągając z kieszeni monetę, za którą kupił jej gruby kawałek smakołyku. – Nigdy więcej nie spotkałem nikogo, kto potrafiłby ich zjeść naraz tyle, co ty.

– Nieprawda – zaprotestowała, marszcząc brwi, i wbiła zęby w ciężkie, lepkie ciasto.

– To było niezwykłe – kontynuował, odciągając ją na bok. – Patrzeć, jak ktoś zjada coś rozmiarów własnej głowy w mniej niż kwadrans…

– Nigdy nie byłam takim żarłokiem – poinformowała go, z rozmysłem odgryzając kolejny wielki kęs piernika.

Uśmiechnął się szeroko.

– Musiałem cię więc z kimś pomylić.

Spacerowali leniwie pomiędzy straganami, aż McKenna kupił jej słodkie wino, by popiła nim pierniki. Szybko opróżniła kubek.

– Powoli – zganił ją wesoło. – Zakręci ci się w głowie.

– Co z tego? – zapytała buntowniczo, sięgając po kolejny kubek. – Nawet jeśli zacznę się zataczać, ty mnie złapiesz, prawda?

– Obiema rękami – mruknął.

W ustach innego mężczyzny zabrzmiałoby to rycersko. W jego ustach niosło z sobą rozkosznie niebezpieczny posmak.

Skierowali się do parku, ale zanim do niego dotarli, Aline zauważyła znajomą twarz. Był to Adam. Jego jasne włosy lśniły w blasku pochodni. Towarzyszyli mu przyjaciele obojga płci, ale zostawił ich na chwilę, rzucając szybko jakąś uwagę. Niektórzy wybuchnęli znaczącym śmiechem, gdy zobaczyli, że zmierza ku Aline.

Podeszła ku niemu z radością, a McKenna podążył za nią z ponurą miną. Gdy tylko znalazła się dość blisko, ujęła dłonie Adama i uśmiechnęła się do niego.

– Jaki przystojny nieznajomy – zażartowała. – Nie, chwileczkę… Czy nie bywał pan do niedawna częstym gościem w Stony Cross Park? Tak dawno pana nie widziałam, że pamięć mnie zawodzi.

Uśmiechnął się z rozbawieniem.

– Moja nieobecność jest celowa, kochanie… A ty znasz jej powód.

Ogarnęła ją wdzięczność, gdy zrozumiała, że trzymał się z daleka, by pozwolić jej ułożyć sobie relacje z McKenną tak, jak tego pragnęła.

– To jednak nie znaczy, że nie mogę za tobą tęsknić.

Ścisnął jej palce, po czym uwolnił jej dłoń.

– Niedługo cię odwiedzę – obiecał. – A teraz przedstaw mnie swojemu towarzyszowi.

Posłusznie przedstawiła sobie swojego najdroższego przyjaciela i dawnego kochanka… Tego, który nigdy nie sprawił jej bólu, i tego, który bez wątpienia zamierzał to zrobić. Dziwnie się poczuła, gdy McKenna i Adam uścisnęli sobie dłonie. Nigdy nie podejrzewała, że się spotkają, i nie mogła teraz nie zauważyć kontrastu pomiędzy nimi – byli niczym anioł i diabeł.

– Panie McKenna – oświadczył Adam swobodnie – pana powrót do Stony Cross napełnił lady Aline taką radością, że nie mogę jej nie

podzielać, jako że cenię sobie wszystkie rzeczy, które sprawiają jej przyjemność.

– Dziękuję. – McKenna zlustrował go otwarcie wrogim spojrzeniem. – Rozumiem, że znacie się już od jakiegoś czasu.

– Będzie prawie pięć lat – odparł Adam.

Zapadła krępująca cisza, którą przerwał dopiero okrzyk dochodzący z odległości kilku metrów:

– McKenna?!

Spojrzawszy w kierunku, z którego dobiegło wołanie, Aline zauważyła starych znajomych McKenny. Dicka Burlisona, kiedyś rudowłosego chudego chłopca, a teraz trzydziestokilkuletniego przysadzistego ojca i męża, Toma Haydona, syna piekarza, który przejął interes rodziców, oraz żonę Toma, Mary, dorodną córkę rzeźnika, z którą McKenna tak często w młodości flirtował. Z uśmiechem popchnęła go lekko w ich stronę.

– Idź, idź.

Nie potrzebował dalszej zachęty. Gdy podszedł do grupy, uśmiechając się szeroko, wszyscy zaczęli się przekrzykiwać i entuzjastycznie ściskać sobie dłonie. Mary, matka pięciorga dzieci, zrobiła zdumioną minę, gdy pochylił się, by pocałować ją w policzek.

– Zakładam, że jeszcze nie łączą was intymne relacje – mruknął Adam dyskretnie.

Nie spuszczając wzroku z McKenny, odparła cicho:

– Chyba nie jestem na tyle odważna, by podjąć takie ryzyko.

– Jako twój przyjaciel powinienem zapewne doradzić ci, byś nie robiła niczego, czego mogłabyś później żałować. – Uśmiechnął się i dodał: – Oczywiście w ten sposób ludzie pozbawiają się całej radości życia.

– Adamie – zbeształa go – czy ty zachęcasz mnie do złego?

– Tylko jeśli potem wszystko mi opowiesz...

Ze śmiechem pokręciła głową. Słysząc ten dźwięk, McKenna odwrócił się i spojrzał na nią, gniewnie marszcząc czoło.

– Proszę, właśnie ułatwiłem ci sprawę – napomknął Adam. – Rozpaliłem płomień zazdrości. Teraz twój luby nie zrezygnuje, dopóki nie oznaczy swojego terytorium. Mój Boże, ty naprawdę lubisz prymitywne istoty, nieprawdaż?

Faktycznie, McKenna wrócił po niecałej minucie i stanowczo zacisnął palce na łokciu Aline, w oczywisty sposób demonstrując, kto tutaj rządzi.

– Szliśmy właśnie do parku – przypomniał jej szorstko.

– Racja – odparła. – Lordzie Sandridge, dołączy pan do nas?

– Niestety, muszę odmówić. – Uniósł drugą jej dłoń, by ucałować wierzch jej dłoni. – Muszę powrócić do moich towarzyszy. Życzę wam miłego wieczoru.

– Do widzenia – mruknął McKenna, nawet nie próbując ukryć wrogości, gdy przystojny wicehrabia odszedł.

– Proszę, traktuj go uprzejmie – powiedziała Aline. – Lord Sandridge jest mi bardzo drogi i za nic nie chciałabym zranić jego uczuć.

– Przecież byłem uprzejmy – wymamrotał.

Roześmiała się, rozkoszując się jego nieskrywaną zazdrością.

– Nie zamieniłeś z nim nawet słowa, tylko się pożegnałeś. A sposób, w jaki się w niego wpatrywałeś, przypominał mi zranionego odyńca, który przygotowuje się do ataku…

– Co z niego za mężczyzna – przerwał jej – że nie protestuje, gdy widzi, że po wiosce oprowadza cię ktoś taki jak ja?

– Taki, który ufa. Łączy mnie z lordem Sandridge'em pewna umowa… Dajemy sobie nawzajem tyle wolności, ile nam trzeba. To bardzo postępowy układ.

– Postępowy... – powtórzył z nieskrywaną pogardą. – Sandridge jest głupcem. Gdybym był na jego miejscu, ciebie by tutaj nie było.

– A gdzie bym była w takim razie? – zapytała szelmowsko. – Zakładam, że w domu? Cerowałabym ci mankiety?

– Nie. Leżałabyś w moim łóżku. Pode mną.

Jej rozbawienie pierzchło, a ciało zareagowało na cicho wypowiedziane słowa zawrotami głowy i dreszczami. Oblała się rumieńcem i milcząc, poszła za nim w stronę parku. Wiele osób zerkało na nich pytająco, gdy ich mijały. McKenna wiele lat spędził za granicą, więc już sam fakt, że wrócił, mógł wzbudzić zainteresowanie mieszkańców wioski, a to, że towarzyszyła mu Aline, jeszcze szybciej rozwiązywało języki.

Mężczyźni i kobiety klaskali i przytupywali, tańcząc w rytm pełnej werwy ludowej melodii. Zarażona ich żywiołowością Aline zgodziła się podejść bliżej pod wpływem namów McKenny. Gdy tylko piosenka się skończyła, McKenna przywołał gestem skrzypka, który od razu do niego podszedł. McKenna szepnął mu coś do ucha i wcisnął w jego dłoń kilka monet, czemu Aline przyglądała się z rosnącą podejrzliwością. Skrzypek uśmiechnął się szeroko, szybkim krokiem wrócił do towarzyszy, naradził się z nimi krótko i zaraz potem ośmiu muzyków otoczyło Aline. Zmierzyła McKennę zdumionym spojrzeniem.

– Co ty knujesz?

Muzycy poprowadzili ją w sam środek tłumu i ustawili tak, by wszyscy ją widzieli. Ich lider ukłonił się lekko McKennie.

– Drodzy przyjaciele! – zawołał. – Ten dżentelmen poprosił o piosenkę sławiącą uroki damy, która stoi teraz przed nami. Proszę o waszą pomoc, gdy będziemy śpiewać *Różę z Tralee* dla lady Aline.

Publiczność zaczęła bić gromkie brawa, ponieważ melodia w ciągu kilku miesięcy od publikacji zyskała szaloną popularność. Aline oblała się szkarłatnym rumieńcem i posłała McKennie otwarcie mordercze spojrzenie, na co wszyscy wybuchnęli śmiechem. McKenna w odpowiedzi uśmiechnął się niewinnie i uniósł kpiąco brwi, jakby chciał jej przypomnieć, że to przecież ona zażyczyła sobie serenady.

Muzycy obrzucili Aline przesadnie uroczystymi spojrzeniami, a ona pokręciła głową z uśmiechem, gdy zaczęli grać wspomagani przez co najmniej dwieście głosów. Nawet część kupców i sklepikarzy włączyła się do wspólnego śpiewania i tylko wszyscy podmienili imię bohaterki.

Gdy księżyca światłość blada
Rozpraszana nad górami
Słońca, co do morza wpada,
Ostatnimi promieniami,
W tę godzinę ja błądziłem
Z ukochaną jakże mi

Ku fontannom tam w dolinie
W przeuroczym mym Tralee.

Piękna była
Moja luba
Jak róża w rozkwicie,
Nie uroda zaważyła,
Że miłuję ją nad życie.
Ale szczerość, prawe czyny
Te sprawiły, że Aline
Serce jest tak bliskie mi,
Mojej Róży z Tralee.

Została w mroku tam ze mną,
Aline jak sarna płocha,
Jak anioł słuchała w noc ciemną
Tego, co tak ją pokochał.
I rzekła te słowa
Przy blasku miesiąca:
„Ja serce oddaję dziś ci" –
Promienie księżyca wnet rozgrzał blask słońca
I oczu żar Róży z Tralee.

Na zakończenie Aline ukłoniła się głęboko, dziękując wszystkim. Podała dłoń głównemu skrzypkowi, a on pochylił się, by ją ucałować, i udał, że przewraca się omdlały, za co nagrodzono go aplauzem i przyjacielskim śmiechem.

Aline wróciła do McKenny i zmierzyła go żartobliwie gniewnym spojrzeniem.

– Zapłacisz mi za to – ostrzegła go.

Uśmiechnął się szeroko.

– Chciałaś serenady.

W jej gardle wezbrał śmiech.

– W twoim wykonaniu! – zawołała, znów biorąc go pod ramię. – A nie całej populacji Stony Cross!

– Wierz mi, to było o wiele lepsze, niż gdybyś miała słuchać mnie.

– Jeśli mnie pamięć nie myli, masz bardzo ładny głos...

– Wyszedłem z wprawy.

Wpatrywali się w siebie z uśmiechem, a w żyłach Aline płynęła czysta radość.

– Prosiłam też o wiersz.

Zalotny błysk w jej oku sprawił, że jego głos nabrał głębi, gdy odpowiedział:

– A ja powiedziałem, że potrzebuję więcej inspiracji.

– Obawiam się, że nie byłeś dość precyzyjny. Jakiego rodzaju inspirację masz na myśli?

Jego szerokie usta wygięły się lekko w uśmiechu.

– Użyj wyobraźni.

Uderzył ją jego dobór słów. Nie wiedząc o tym, wypowiedział tę samą frazę, co Adam kiedyś, gdy dyskutowali o bliznach na jej nogach.

Znów powróciło zniecierpliwienie, jej oddech zaczął się rwać, gdy w jej piersi narastało podekscytowanie i konsternacja. Gdyby wykazała się sprytem i śmiałością, zdobyłaby to, czego pragnęła najbardziej na świecie. Jedna noc z McKenną… Nie, kilka minut wykradzionych nieżyczliwemu przeznaczeniu… Dobry Boże, czy prosiła o zbyt wiele?

Nie.

Nieważne, ile będzie ją to kosztować. Zazna kilku minut intymności z mężczyzną, którego nigdy nie przestała kochać. I znajdzie sposób, by zrobić to, nie zdradzając mu żadnego ze swoich sekretów. Jeszcze dzisiaj, pomyślała w namiętnym buncie, i do diabła ze wszystkimi, którzy będą próbowali ją powstrzymać. Do diabła z przeznaczeniem… Ona i McKenna w końcu będą mieli swoją noc.

ROZDZIAŁ 12

Północ dawno minęła, pochodnie się dopalały. Mieszkańcy wioski i przyjezdni spacerowali po pogrążających się w mroku ulicach, wielu z nich wypiło za dużo. Niektórzy śpiewali, inni przepychali się i kłócili, a jeszcze inni korzystali z ciemności, by rozkoszować się śmiałymi pocałunkami. Ci bardziej dystyngowani już dawno nobliwie rozjechali się do domów, a ci, którzy pozostali, nie mogli nie zauważyć, że zahamowania tłumu wypalają się równie szybko jak pochodnie. Muzycy grali przy ognisku, a tancerze pocili się obficie, wirując w plamie migoczącej łuny.

Wpatrując się w blask ognia, Aline oparła się o McKennę. Od razu udzielił jej wsparcia, jedną rękę kładąc na jej talii, a drugą obejmując jej łokieć. Każdej innej nocy w każdych innych okolicznościach takie zachowanie wywołałoby skandal. Ale podczas festynu panowała większa swoboda. W tłumie nikt nie zwracał uwagi na kochanków, którzy przywoływali duchy przeszłości.

Przymknęła powieki, gdy żar paleniska polizał jej twarz.

– Jesteś wyższy – wymamrotała w zamyśleniu, przypominając sobie, że kiedyś mógł oprzeć podbródek na czubku jej głowy. Teraz musiałby się nad nią pochylić.

Jego ciepły, miękki głos musnął jej ucho:

– Nie jestem.

– Ależ jesteś. – Wino ją rozluźniło. – Nie pasujemy do siebie jak kiedyś.

Jego twarda pierś uniosła się lekko, gdy prychnął z rozbawieniem.

– Może pasujemy lepiej niż kiedyś. Sprawdźmy, to się przekonamy.

Uśmiechnęła się i niemal całkowicie się w niego wtopiła… Och, tak bardzo pragnęła, tak bardzo potrzebowała oprzeć głowę na jego ramieniu i poczuć jego wargi na swej szyi. Znieruchomiała w milczeniu i wbiła niewidzący wzrok w płomienie. McKenna pachniał nocą, letnią łąką i dymem… Roztaczał też subtelną aurę zdrowego podnieconego samca. Pożądanie gęstniało pomiędzy nimi, upajając ich, zamazując rzeczywistość. Odgłosy ogniska, iskrzenie i trzeszczenie drewna, stanowiły doskonałą ilustrację jej wewnętrznego rozbicia. Nie była już lekkomyślną dziewczyną z przeszłości, nie była też zrezygnowaną Aline o pustym wnętrzu. Stała się kimś innym, jakąś tymczasową sobą… Buntowniczką spragnioną miłości.

– Nie w domu – usłyszała swój szept.

Nie poruszył się, lecz wyczuła, jak wstrząsnął nim dreszcz. Upłynęła cała minuta, zanim mruknął:

– W takim razie gdzie?

– Chodźmy do lasu – zaproponowała beztrosko – tą ścieżką, która biegnie obok studni życzeń.

Wiedział, którą ścieżkę ma na myśli – mroczny i rzadko uczęszczany szlak, którym podążali nieraz w czasach swej młodości. Od razu zrozumiał, dlaczego ją zaproponowała.

Uśmiechnęła się smętnie na myśl, że schadzka w lesie nie nosi znamion wielkiego romansu. Będzie ukradkowo, nieelegancko i niemal na pewno niewygodnie. Ale nie dla niej luksus świec, białej pościeli i leniwej miłości. Jeśli chciała ukryć przed nim blizny, musiała zdać się na mrok i pośpiech, by nie dać mu okazji do zobaczenia jej nóg. Fakt, że naprawdę to rozważała – akt tak całkowicie pozbawiony wdzięku i czułości – zdumiewał ją samą. Tylko tyle jednak mogła mieć. I przecież nikogo nie raniła. McKenna ewidentnie pragnął tego, czego odmówiono mu w przeszłości. Ona zaś pragnęła wspomnień na te długie lata bez niego, które ją czekały. Pożądali się wzajemnie z bardzo samolubnych powodów i w swoim obecnym nastroju nie widziała w tym nic złego.

– Studnia życzeń… – mruknął. – Nadal ją odwiedzasz?

Przypomniała sobie, że jako młoda dziewczyna często wrzucała do studni spinki do włosów i życzyła sobie tej jednej rzeczy, której nie

mogła mieć.

– Nie – odparła i odwróciła się do niego z bladym uśmiechem. – Studnia wyzbyła się swojej magii wiele lat temu. Żadne z moich życzeń się nie spełniło.

Jego twarz spowił mrok, gdy odwrócił się plecami do ognia.

– Może życzyłaś sobie niewłaściwych rzeczy.

– Zawsze – przytaknęła, uśmiechając się gorzko.

Przez chwilę wpatrywał się w nią z napięciem, po czym poprowadził ją do lasu otaczającego Stony Cross Park. Wkrótce pochłonęła ich noc, drogę oświetlał im tylko przesłonięty chmurami księżyc. Po chwili jej oczy oswoiły się z ciemnością, lecz stąpała mniej pewnie niż McKenna, gdy szli przez leszczynowy zagajnik. Wziął ją za rękę. Na wspomnienie tego, jak kiedyś ją pieścił, jak jego palce odkrywały jej wrażliwe miejsca, jej oddech zaczął się rwać. Zabrała dłoń i roześmiała się nerwowo.

– Idę za szybko? – zapytał.

– Trochę.

Za dużo spacerowała tego wieczoru… Jej prawe kolano coraz bardziej sztywniało pod bliznowatą tkanką.

– W takim razie przystaniemy na chwilę.

Zeszli na pobocze, przy którym rósł masywny dąb, i stanęli w rozgałęzieniu jego korzeni. Las wzdychał, otaczając ich szeleszczącą, omszałą wilgocią. Gdy oparła się o pień drzewa, pochylił się nad nią, a jego oddech poruszył pasma włosów, które opadły na jej czoło.

– McKenna… – zagaiła, siląc się na swobodny ton – chciałam cię o coś zapytać…

Musnął opuszkami jej szyję, pobudzając wrażliwą skórę.

– Tak?

– Opowiedz mi o kobietach, które znałeś. O tych, które… – urwała, szukając stosownego określenia.

Cofnął się o krok.

– Co chcesz wiedzieć?

– Czy je kochałeś.

Gdy nie odpowiedział, podniosła wzrok i zauważyła, że wpatruje się w nią z intensywnością, która sprawiła, że wstrząsnęły nią na

przemian gorące i zimne dreszcze.

– Nie wierzę w miłość – oświadczył. – To pigułka w cukrowej posypce… Z początku smak jest znośny, ale szybko docierasz do gorzkiego wnętrza.

To znaczyło, że pozostała jedyna. Powinna poczuć wyrzuty sumienia, że przez nią jego relacje z kobietami ograniczały się do fizyczności. Ale zawsze była egoistką, gdy w grę wchodził McKenna. Nie zdołała więc opanować radości, gdy jego deklaracja sprzed wielu lat się potwierdziła. „Moje serce na zawsze należy do ciebie… Poza tobą nie mam życia".

– A co z Sandridge'em? – zapytał on. – Kochasz go?

– Tak – szepnęła.

Darzyła Adama szczerym uczuciem… Tyle że w innym znaczeniu tego słowa.

– Ale jesteś tutaj ze mną – mruknął.

– Adam… – urwała i odchrząknęła. – Cokolwiek postanowię, nie będzie miał nic przeciwko temu. To nie ma nic wspólnego z nim. Ty i ja…

– Nie, nie ma – wtrącił z nagłym gniewem. – Mój Boże, powinien wydrzeć mi wnętrzności, zamiast pozwalać, byś włóczyła się ze mną sam na sam. Powinien być gotów posunąć się do morderstwa… Do diabła, ja nawet na tym bym się nie zatrzymał… – W jego głosie zabrzmiała pogarda. – Oszukujesz samą siebie, jeśli myślisz, że wystarczy ci taki układ, jaki łączył twoich rodziców. Potrzebujesz mężczyzny, który dorówna ci siłą woli, który cię posiądzie, zagarnie każdą część twojego ciała i każdy zakątek duszy. W oczach świata jesteście sobie z Sandridge'em równi, ale my dwoje znamy prawdę. Różnicie się jak ogień i lód. – Pochylił się nad nią, a jego ciało otoczyło ją niczym twarda żywa klatka. – Ja tobie dorównuję – mruknął szorstko – choć moja krew jest czerwona, a nie błękitna, choć urodzenie skazało mnie na niemożność posiadania ciebie… Ale w środku jesteśmy tacy sami. I złamałbym każde prawo boskie i ludzkie, żeby tylko… – urwał nagle, gdy uświadomił sobie, że zdradza zbyt wiele, że rozszalałe emocje przejmują nad nim kontrolę.

Pragnęła wyznać, że zawsze traktowała go jak równego sobie. Zamiast tego jednak sięgnęła do guzików jego kamizelki i zaczęła je rozpinać.

– Pozwól – szepnęła.

Nawet przez warstwy tkanin czuła twardość jego brzucha i napiętą skorupę mięśni.

Znieruchomiał i wbił pięści w korę dębu. Rozpięła powoli jego kamizelkę, a potem sięgnęła do koszuli. Nie próbował jej pomagać, poddawał się jej zabiegom. Drżąc z podniecenia, w końcu rozpięła jego koszulę i wyciągnęła ją ze spodni. Materiał był pomięty i gorący poniżej pasa. Wsunęła dłonie pod rozchylone poły i gwałtownie wciągnęła powietrze. Jego skóra płonęła, pachniała solą, kusiła. Powoli wodziła dłońmi po porośniętej włosami piersi. Fascynowały ją faktury jego ciała, o wiele bardziej zróżnicowane niż jej. Zdeterminowana i roznamiętniona odnalazła brodawkę. Pochyliła się, musnęła satynowy koniuszek językiem i poczuła na policzku szorstkość włosów.

McKenna odetchnął płytko, położył dłonie na jej plecach i szarpnął wstążki sukni. Przycisnął wargi do jej szyi, pieścił i całował, próbując uwolnić ją od stanika. Suknia zsunęła się do jej talii, odsłaniając gorset, który wypychał piersi ukryte pod cienką bawełnianą halką. Nagle poczucie odrealnienia przegnało jej obawy. Zsunęła ramiączka halki z ramion, uwolniła ręce i obnażyła piersi. Ciemne sutki stwardniały pod wpływem zimna.

Otoczył blade wypukłości palcami i pochylił się nad nimi. Aline wzdrygnęła się lekko, gdy wilgotne ciepło jego ust zamknęło się na skórze. Obwiódł językiem napiętą aureolę i musnął sam czubek. Aline zaczęła się wić i dyszeć ciężko, gdy pożądanie ogarnęło całe jej ciało. McKenna uwolnił sutek i zaczął pieścić go wilgotną falą swojego oddechu. Znów musnął go językiem, a lekka jak piórko pieszczota sprawiła, że Aline jęknęła cicho.

Wziął pulsujący koniuszek w zęby i skubnął delikatnie, wzbudzając w niej falę doznań, która przeszyła ją aż po czubki palców. Do tego stopnia zapomniała się w rozkoszy, że nie zauważyła, jak zsunął jej suknię, zostawiając ją w samej bieliźnie. Przerażona, pochyliła się, by ją podnieść, ale McKenna popchnął ją na pień i zagarnął jej usta

w plądrującym pocałunku. Przesunął palce na tasiemki jej reform, rozluźnił je i zsunął aż do kolan.

Niezręcznym gestem podciągnęła pończochy, by upewnić się, że podwiązki nie opadły. Jej serce niemal się zatrzymało, gdy poczuła jego dłoń na swojej.

– Ja to zrobię – szepnął, zakładając, że pragnie pozbyć się pończoch.

– Nie. – Pospiesznie chwyciła go za rękę i przycisnęła ją sobie do piersi.

Ku jej uldze manewr ten od razu odwrócił jego uwagę. Kciukiem musnął pączek jej sutka. Uniosła twarz do pocałunku i chętnie rozchyliła wargi. Poczuła na udzie sztywność nacierającą na klapę jego spodni. Sięgnęła w dół i zaczęła rozpinać guziki, wsuwając palce w rozgrzane fałdy materiału. Oboje westchnęli ciężko, gdy w końcu go uwolniła. Drżąc z niecierpliwości, objęła go delikatnie, lecz stanowczo.

McKenna jęknął cicho, chwycił jej nadgarstki, uniósł je nad jej głowę i przycisnął do pnia. Całował jej wargi, wodząc drugą dłonią po jej brzuchu. Przeczesał ciemne kędziory pomiędzy jej udami i bardziej rozchylił jej nogi swoją. Przeszedł ją pierwotny dreszcz, gdy zdała się w pełni na jego łaskę. Uwolniła jego pasję, musiała więc teraz ponieść konsekwencje… i czuła się bardziej niż gotowa dać mu to, czego oboje tak długo pragnęli.

Musnął palcami jej opuchnięte fałdki i rozchylił je z nieskończoną delikatnością. Zesztywniała, gdy poczuła koniuszek jego palca w szczelinie swojego ciała. Igrał z wilgocią, wodził po czułym progu jej kobiecości, aż w jej gardle wezbrały błagalne jęki. Uwolnił jej dłonie i otoczył jej plecy ramieniem. Sycił się nią, szukając nabrzmiałego czubeczka ukrytego pod miękkim kapturkiem. Pocałunek był barbarzyński, mokry, gwałtowny, kontrastował boleśnie ze zręczną delikatnością jego palców. Dręczył koniuszek miękkimi, wilgotnymi pociągnięciami, aż uniosła ku niemu biodra. Bliżej… Bliżej… Całe jej ciało pulsowało, skrzyło się doznaniami. Wiła się pod jego palcami na krawędzi rozkoszy tak przeszywającej, że nie mogła myśleć ani oddychać. W końcu poprowadził ją ku krawędzi i strącił w otchłań rozdzierającego spełnienia pełnego spazmów.

Ucisk w gardle pozbawił ją tchu. Upłynęła cała wieczność, zanim przyjemność osłabła, a ona zakwiliła cicho w jego wargi.

Pochylił się i chwycił krawędź pomiętej halki. Szorstkim jedwabiem języka pogłaskał to miejsce na jej brzuchu, gdzie linia gorsetu obejmowała bladą skórę. Osuwając się na drzewo w przypływie słabości, wbiła wzrok w jego ciemną głowę.

– McKenna – powiedziała przepełniona rozpustnym żarem, gdy uklęknął przed nią i odetchnął zapachem jej ciała. Pamiętając o bliznach, znów podciągnęła podwiązki i odepchnęła go bezradnie. – Zaczekaj…

Już jednak objął ją wargami i wsunął język w mokrą szczelinę między gęste kędziory.

Nogi się pod nią ugięły. Gdyby nie drzewo za plecami, osunęłaby się na ziemię. Położyła drżące dłonie na jego głowie i wsunęła palce w krótko przycięte włosy.

– McKenna – jęknęła, nie wierząc w to, co się dzieje.

Polizał ją jeszcze głębiej, naciskając językiem na topniejące bariery, aż zamilkła, a jej oddech zaczął się rwać. Znów wezbrało w niej napięcie, potęgujące się z każdym ruchem jego ust.

– Nie zniosę tego dłużej – wydyszała. – Proszę, McKenna… Proszę…

Najwyraźniej czekał na te słowa. Wyprostował się, przygarnął ją do siebie i podniósł z zadziwiającą swobodą. Jedną ręką otoczył jej plecy, by nie podrapała ich o korę, a drugą ujął jej pośladki. Stała się kompletnie bezradna, nie mogła się ruszać ani nawet wić. Poczuła rwanie blizny i uniosła kolano, by złagodzić napięcie.

McKenna pocałował ją, jego gorący oddech wypełnił jej usta. Poczuła tępy nacisk jego męskości, która wdzierała się w delikatną szczelinę jej ciała. Mięśnie opierały się, kurczyły, by zapobiec bólowi. Wprowadził żołądź do środka i gdy tylko poczuł jej gorący ucisk, jego pragnienie wzrosło po stokroć. Pchnął i jednocześnie wykorzystał jej ciężar, by nasadzić ją na nabrzmiały członek. Z gardła Aline wyrwał się krótki okrzyk, gdy jej ciało poddało się tej nieustępliwej inwazji. McKenna nagle znalazł się w jej wnętrzu, rozdzierał, napełniał i rozciągał delikatne ciało. W szoku uniosła biodra i zacisnęła dłonie w pięści na jego plecach.

Zamarł, gdy ociemniały z pożądania, w końcu dostrzegł oznaki jej bólu. Uświadomiwszy sobie, co oznacza ten osobliwy opór, wydał zdumiony jęk.

– Mój Boże. Nie jesteś dziewicą. Nie możesz być.

– To nie ma znaczenia – wydyszała. – Nie przestawaj. Nic się nie stało. Nie przestawaj.

On jednak trwał nieruchomo, wpatrując się w nią w pełnym sekretów mroku. Zacisnął ramiona wokół niej z taką siłą, że niemal przestała oddychać. W końcu stał się jej częścią w tym ostatecznym i niezbędnym akcie, do którego wiodło całe jej życie. Przywarła do niego całą sobą, wciągnęła go głębiej, więżąc w lekkim uścisku swoich ramion. Czując rytmiczne pulsowanie jej mięśni, pochylił głowę i pocałował ją wygłodniale, wodząc językiem po jej zębach i smakując mroczną słodycz kryjącą się za nimi. Zacisnęła nogi na jego talii, gdy zaczął poruszać się powoli, lecz nieustępliwie. Pieczenie osłabło, choć nie zniknęło całkowicie, ale nie dbała o to. Liczyło się tylko to, że nareszcie ją posiadł, zamykając się w niej, a jej ciało i jej dusza zmieniły się na zawsze pod wpływem intymnej inwazji.

Jęknął głośno przez zaciśnięte zęby, wbił stopy w podłoże i natarł na nią mocniej, pocąc się z rozkoszy i wysiłku. Wybuchnął w niej w prymitywnym bezkresnym orgazmie. Owinęła się wokół niego, wodziła otwartymi ustami po jego twarzy i szyi, zlizując chciwie strużki potu.

Dyszał ciężko, dygotał i trwał w niej przez długą chwilę. Napięcie powoli opuszczało jej ciało, pozostawiając po sobie zmęczenie. Gdy w końcu się wycofał, poczuła, że gorący płyn ścieka na jej uda. Uświadomiła sobie, że jej pończochy opadły, i nagle zaczęła się nerwowo wyginać.

– Puść mnie, proszę.

Ostrożnie postawił ją na ziemi i podtrzymał dłońmi, gdy podciągała pończochy i wiązała tasiemki halki na ramionach. Gdy się okryła, sięgnęła po pomiętą suknię. Och, tak bardzo pragnęła położyć się z nim gdzieś i zasnąć, wtulając się w jego ciało, a potem obudzić się i zobaczyć go w blasku poranka. Gdyby tylko było to możliwe…

Odziała się niezdarnie, po czym odwróciła do niego plecami, by pomógł jej zapiąć suknię. Jej but gdzieś zniknął… Upłynęła cała minuta poszukiwań, zanim McKenna w końcu zauważył go za korzeniem drzewa. Uśmiechnęła się lekko, gdy podał jej trzewik.

– Dziękuję.

Nie uśmiechnął się do niej w odpowiedzi. Rysy miał jak wykute w kamieniu, a jego oczy błyszczały niebezpiecznie.

– Jak to, do diabła, możliwe – zapytał, powstrzymując furię – że byłaś dziewicą?

– To nie ma znaczenia – wymamrotała.

– Dla mnie ma.

Niezbyt delikatnie ujął ją pod brodę i zmusił, by na niego spojrzała.

– Dlaczego aż do dzisiaj nie wpuściłaś żadnego mężczyzny do swojego łóżka?

Oblizała suche wargi, próbując wymyślić jakieś satysfakcjonujące wyjaśnienie.

– J-ja… chciałam zaczekać do ślubu.

– Znasz Sandridge'a od pięciu lat i nigdy nie pozwoliłaś mu się dotknąć?

– Przecież to żadna zbrodnia – wyjąkała obronnym tonem. – To kwestia szacunku, wybór nas obojga i…

– To jest zbrodnia! – eksplodował. – To nienormalne, do cholery, i natychmiast powiesz mi dlaczego! A potem wyjaśnisz, dlaczego to mnie pozwoliłaś odebrać sobie dziewictwo!

Postanowiła uciec się do kłamstwa, by odwrócić jego uwagę… Wszystko, byle tylko ukryć prawdę.

– Cóż… Chyba uznałam, że jestem ci to winna po tym, jak zostałeś wygnany ze Stony Cross wiele lat temu.

Chwycił ją za ramiona.

– I myślisz, że ten dług właśnie został spłacony? – zapytał z niedowierzaniem. – O nie, milady. Ustalmy jedno… Nawet nie zaczęłaś mi tego wynagradzać. Wynagrodzisz mi to na więcej sposobów, niż możesz to sobie wyobrazić… Z odsetkami.

Skostniała z przerażenia.

– Obawiam się, że to wszystko, co mogę ci zaproponować, McKenna – oświadczyła. – Jedna noc, bez obietnic i bez żalu. Przykro

mi, jeśli pragniesz więcej. To po prostu nie będzie możliwe.

– Ależ będzie, do diabła – mruknął. – Milady, zaraz otrzymasz lekcję na temat tego, jak nawiązać romans. Ponieważ przez cały mój pobyt w Stony Cross będziesz odpracowywać swój dług wobec mnie… Na plecach, na kolanach i w każdej innej pozycji, w jakiej cię zapragnę.

Odsunął ją od drzewa. Miała pomiętą suknię i zmierzwione włosy, w które wplątały się odłamki kory. Przyciągnął ją do siebie i nakrył jej usta swoimi, całując ją nie po to, by sprawić jej przyjemność, lecz by zademonstrować swoją siłę. Wiedziała, że powinna powstrzymać się od odpowiedzi, lecz pocałunek okazał się zbyt pociągający, by mogła mu się oprzeć. Nie miała siły, by uwolnić się z jego nieustępliwych objęć, tak jak nie mogła unikać jego kuszących ust. Poddała mu się więc z drżącym westchnieniem, a jej wargi gorączkowo wyszły mu na spotkanie.

Gdy jej reakcja stała się oczywista dla nich obojga, podniósł głowę. Jego szybki oddech mieszał się z jej oddechem, kiedy przemówił:

– Przyjdę dzisiaj wieczorem do twojego pokoju.

Wyrwała się z jego objęć i potykając się, weszła na leśną ścieżkę.

– Zamknę drzwi.

– Będę więc musiał je wyważyć.

– Nie bądź draniem – odparła ze złością, przyspieszając pomimo protestów obolałych nóg.

Resztę drogi do posiadłości przebyli w milczeniu. Wokół nich rozlegały się tylko odgłosy ich stóp wciskających w ziemię suche liście, gałązki i żwir. Aline czuła się coraz gorzej. Wszystko ją piekło i bolało, na udach miała chłodną lepkość. Blizny swędziały i płonęły. Nigdy jeszcze tak rozpaczliwie nie pragnęła gorącej kąpieli. Modliła się tylko, by McKenna nie zauważył jej kuśtykania.

Posiadłość spowijały cisza i mrok, tylko nieliczne światła pozostawiono z myślą o gościach, którzy przedłużyli wizytę w wiosce. McKenna odprowadził ją do wejścia dla służby, by mogli wśliznąć się do środka niezauważeni. Każdy, kto zobaczyłby ją w tym stanie, od razu domyśliłby się, co właśnie zrobiła.

– Do jutra w takim razie – mruknął ostrzegawczym tonem, stając w progu.

Odprowadził ją wzrokiem, gdy powoli i mozolnie wspinała się na schody.

ROZDZIAŁ 13

W całkowitym otępieniu McKenna zawędrował na tylny taras. Był oszołomiony i zagubiony… Czuł się trochę jak Shaw, gdy był pijany – jakby tonął we wzburzonym oceanie. Nieraz wyobrażał sobie tę noc i w każdej z tych wizji sprawował nad wydarzeniami pełną kontrolę. Miał doświadczenie z kobietami i znał własne potrzeby. Doskonale wiedział, co zrobi z Aline i jak się ta scena rozegra. Ona jednak zmieniła wszystko.

Usiadł przy stoliku w mroku, objął twarz dłońmi i zamknął oczy. Jego skóra wciąż pachniała dębowym sokiem i kobiecym podnieceniem… Chciwie odetchnął tym zapachem i poczuł, jak w jego lędźwiach wzbiera żar. Przypomniał sobie tę chwilę, kiedy w nią wszedł, kiedy ponętne ciało ciasno go otoczyło. Jęki, które wyrwały się z jej gardła. Smak jej ust doprawiony winem i imbirem. Zaspokoiła go bardziej niż jakakolwiek kobieta przed nią, a on już znów jej pożądał.

Dziewica… Niech to szlag! Niech szlag trafi uczucia, które w nim obudziła, konsternację, podejrzliwość, opiekuńczość i seksualny głód. Był gotów założyć się o ostatniego centa, że miała do tej pory tuziny kochanków.

I przegrałby.

Zacisnął dłonie na głowie, jakby chciał zmiażdżyć wszystkie te zdradzieckie myśli. To nie jest dziewczyna, którą kiedyś kochałem, przypomniał sobie ponuro. Tamta nigdy przecież nie istniała. Z jakiegoś powodu nie miało to jednak znaczenia. Aline stanowiła jego przekleństwo, jego przeznaczenie, zżerające go pragnienie.

Nigdy nie przestał jej pożądać, niezależnie od tego, co zrobiła, niezależnie od tego, ile oceanów i kontynentów ich dzieliło.

Boże… Słodycz jej ciała, takiego ciasnego i ciepłego wokół niego… Słonawy zapach jej skóry, perfumowana miękkość jej włosów... Czuł, że traci rozum, gdy ją posiadł. A w chwili orgazmu całkowicie utracił zdolność logicznego myślenia... Przecież mógł uczynić ją ciężarną. Ta myśl napełniła go prymitywną satysfakcją. Zobaczyć ją taką wielką i bezradną, z jego dzieckiem, pokonaną przez jego nasienie, zależną od niego w każdy możliwy sposób… „Tak", pomyślał ponuro. Chciał zniewolić ją swoim ciałem i przykuć do siebie łańcuchem, którego nie mogłaby zerwać. Jeszcze tego nie wiedziała, ale już nigdy się od niego nie uwolni… Ani od niego, ani od jego żądań.

– Cóż za potwornie nudny wieczór – oświadczyła kwaśno Susan Chamberlain, siostra Gideona Shawa.

Właśnie wrócili z festynu, opuściwszy go, zanim uroczystości nabrały rozpędu. Najwyraźniej prowincjonalne rozrywki typu czytanie z dłoni, obserwowanie akrobatów i połykaczy ognia czy też picie miejscowego wina z bzu nie przemawiały do tak wielkomiejskich jednostek jak Shawowie i ich świta.

– O tak – wtrącił jej mąż. – Urok przestawania z wieśniakami pryska dość szybko, obawiam się. Lepiej spędzać czas w swoim towarzystwie, niż zadawać się z ludźmi o inteligencji owiec i kóz, które hodują.

Poirytowana jego snobizmem Livia musiała zareagować.

– W takim razie ma pan szczęście, panie Chamberlain. Z takim nastawieniem bardzo prawdopodobne jest, że wkrótce będzie pan spędzał cały czas tylko we własnym towarzystwie.

Chamberlainowie zmierzyli ją urażonymi spojrzeniami, a Gideon Shaw wybuchnął swobodnym śmiechem na te zuchwałe słowa.

– Ja dobrze się bawiłem na festynie – mruknął z błyskiem w niebieskich oczach. Zerknął na Susan. – A ty, droga siostrzyczko, zapominasz chyba, że większość tych tak zwanych wieśniaków wywodzi się z lepszych rodzin niż Shawowie.

– Jak mogłabym zapomnieć? – zapytała ostrym tonem. – Zawsze tak chętnie mi o tym przypominasz.

Livia przygryzła wargę, by się nie roześmiać.

– Udam się już chyba na spoczynek. Życzę wszystkim państwu miłego wieczoru.

– Jeszcze nie – poprosił Shaw cicho. – Noc jeszcze młoda, milady. Może zagramy w karty albo zasiądziemy do szachownicy?

Uśmiechnęła się i zapytała niewinnie:

– Czy lubi pan gry salonowe, panie Shaw?

Posłał jej uwodzicielskie spojrzenie, lecz odparł równie niewinnym tonem:

– Każdego rodzaju.

Znów przygryzła dolną wargę w sposób, który Amberley zawsze określał jako uroczy. To takie dziwne… Nie robiła tego umyślnie od wielu lat. To sprawiło, że uświadomiła sobie, jak bardzo chce przyciągnąć uwagę Gideona Shawa.

– Ja nie gram, jeśli wiem, że nie mogę wygrać – odparła. – Dlatego też sugeruję, byśmy udali się na spacer do galerii portretów, gdzie będziemy mogli zobaczyć moich przodków. Może zainteresuje pana fakt, że w naszym drzewie genealogicznym jest pirat. Podobno całkiem bezwzględny jegomość.

– To tak jak mój dziadek – zauważył Shaw. – Choć my z uprzejmości nazywamy go kapitanem żeglugi morskiej, robił takie rzeczy, przez które prawdziwy pirat czerwieniłby się ze wstydu.

Susan wydała zdławiony jęk.

– Nie dołączę do was, lady Olivio, ponieważ widać, że mój brat jest gotów upokarzać swoich antenatów przy każdej okazji. Bóg jeden wie, jaki ma w tym cel.

Livia postanowiła ukryć przypływ radości, która ogarnęła ją na myśl, że znów zostanie sama z Shawem, lecz zdradził ją rumieniec, jaki rozpalił jej policzki.

– Oczywiście, pani Chamberlain. Jeszcze raz życzę państwu miłego wieczoru.

Jeśli nawet Chamberlainowie jakoś odpowiedzieli, nie usłyszała tego. Nie mogła usłyszeć, ponieważ wszystko zagłuszał łomot jej serca. Przez chwilę rozważała, co sobie pomyślą goście, gdy uda się

na spacer z Shawem bez przyzwoitki, lecz w przypływie radości uznała, że nie ma to dla niej znaczenia. Noc była młoda i ona również taka się czuła po raz pierwszy od lat.

Prowadząc Shawa do galerii, posłała mu figlarne spojrzenie.

– To okropne z pana strony tak drwić z własnej siostry – zbeształa go surowo.

– Obowiązkiem brata jest dręczyć starszą siostrę.

– Wypełnia pan swój obowiązek z godną zachwytu pieczołowitością – odparła, na co uśmiechnął się szeroko.

Weszli do długiej, wąskiej galerii portretów. Obrazy powieszono na ścianach w sześciu rzędach od podłogi aż do sufitu – ewidentnie nie po to, by podziwiać je jako dzieła sztuki, lecz by dać dowód arystokratycznego dziedzictwa. Na drugim końcu pomieszczenia stały dwa gotyckie trony. Ich oparcia były wysokie prawie na dwa i pół metra, a siedziska wydawały się twardsze niż deska. Wygody ciała miały dla Marsdenów o wiele mniejsze znaczenie niż fakt, że trony pochodziły z szesnastego wieku i dowodziły rodowodu mniej skażonego obcymi wpływami, niż cechował obecnego monarchę.

Gdy spacerowali po galerii, ich rozmowa szybko zboczyła z tematu przodków na o wiele bardziej osobiste wątki. Jakimś cudem Shawowi udało się namówić ją, by opowiedziała mu o swoim romansie z Amberleyem. Czuła, że nie powinna się mu zwierzać z tysiąca powodów, lecz zignorowała je wszystkie. Nie chciała niczego przed nim ukrywać, nawet najbardziej szokujących i niepochlebnych faktów. Opowiedziała mu nawet o poronieniu… Nagle Shaw pociągnął ją ku jednemu z masywnych krzeseł i znienacka usadził sobie na kolanach.

– Nie mogę – szepnęła nerwowo, wpatrując się w otwarte drzwi do galerii. – Jeśli ktoś nas zobaczy…

– Będę pilnował wejścia – zapewnił ją, otaczając ramieniem jej talię. – Tak jest wygodniej, czyż nie?

– Tak, ale…

– Przestań się wiercić, kochanie, zanim zawstydzisz nas oboje. Wracając do sedna… Mówiłaś…

Znieruchomiała na jego kolanach, oblewając się krwawym rumieńcem. Pieszczotliwe określenie, choć powszechne, a także

bliskość jego ciała i przyjacielskie współczucie w jego oczach sprawiły, że osłabła. Próbowała sobie przypomnieć, o czym rozmawiali. No tak… poronienie.

– Najgorsze było to, iż wszyscy uznali, że miałam szczęście, gdy straciłam to dziecko – kontynuowała. – Nikt nie powiedział tego na głos, ale było to oczywiste.

– Wyobrażam sobie, że to niełatwe nie mieć męża i wychowywać dziecko – napomknął łagodnie.

– Tak. Wtedy też to wiedziałam. Ale i tak rozpaczałam. Czułam wręcz, że zawiodłam Amberleya, ponieważ nie udało mi się utrzymać przy życiu tej ostatniej cząstki niego. Zdarzają się chwile, kiedy trudno mi sobie przypomnieć, jak wyglądał i jak brzmiał jego głos.

– Myślisz, że wolałby, byś popełniła sati?

– Co to takiego?

– To hinduska praktyka, zgodnie z którą wdowa powinna rzucić się na płonący stos pogrzebowy męża. Samobójstwo stanowi dowód jej oddania dla niego.

– A jeśli to żona umrze pierwsza? Czy mąż robi to samo?

Uśmiechnął się do niej kpiąco.

– Nie, on ponownie się żeni.

– Mogłam się domyślić – mruknęła. – Mężczyźni zawsze potrafią obrócić sytuację na swoją korzyść.

Cmoknął z żartobliwą dezaprobatą.

– Jesteś za młoda na taki cynizm.

– A ty?

– Ja urodziłem się cynikiem.

– Wcale nie – zaprotestowała. – Coś cię takim uczyniło. I powinieneś mi powiedzieć, co to było.

W jego oczach rozbłysło subtelne rozbawienie.

– Dlaczego miałbym to zrobić?

– Musisz mi się zrewanżować po tym, jak opowiedziałam ci o Amberleyu i moim skandalu.

– Świt by nas tu zaskoczył, gdybym zaczął opowiadać ci o swoich skandalach, milady.

– Jesteś mi to winien – oświadczyła. – Dżentelmen zawsze spłaca swoje długi wobec damy.

– A ja jestem prawdziwym dżentelmenem – mruknął sardonicznie.

Sięgnął do kieszonki na piersi i wyjął z niej srebrną piersiówkę. Przesunął sobie Livię nieco bliżej na kolanie, by móc odkręcić flaszeczkę. Livia pisnęła cicho, gdy wokół niej zacisnęły się sztywne obręcze jego mięśni. Gdy cel został osiągnięty, Shaw uniósł piersiówkę do ust. Do jej nozdrzy napłynął zapach drogiego alkoholu. Zmierzyła go ostrożnym spojrzeniem. Odetchnął głęboko, rozkoszując się kojącym wpływem burbona.

– Dobrze, księżniczko Olivio… Jak zaserwować ci mój skandal? *Au tartare* czy dobrze wysmażony?

– Może coś pomiędzy?

Uśmiechnął się i znów uniósł piersiówkę do ust. Długo milczał, a ona dostrzegła namysł w jego oczach, gdy rozważał, ile jej powiedzieć, jakich słów użyć… aż w końcu kąciki jego ust opadły w wyrazie ponurej rezygnacji, a ramiona napięły się, jakby chciał nimi wzruszyć.

– Zanim cokolwiek powiem, musisz wiedzieć, że Shawowie uważają… Nie, są przekonani, że nikt nie jest dla nich dość dobry.

– Których Shawów masz na myśli?

– Większość… A zwłaszcza moich rodziców. Mam trzy siostry i dwóch braci i możesz mi wierzyć, ci z nich, którzy wstąpili w związek małżeński, mieli piekielne trudności z przekonaniem ojca, by zaakceptował ich wybranków. Dla moich rodziców o wiele większe znaczenie ma to, by ich potomstwo powychodziło za ludzi z odpowiednim rodowodem i dużym posagiem, niżby wybrało kogoś, kogo faktycznie darzy sympatią.

– Albo też kocha – dopowiedziała trafnie.

– Tak.

Spojrzał na srebrną piersiówkę i przesunął kciukiem po ciepłym, pełnym rys metalu. Livia musiała odwrócić wzrok, zaskoczona nagłym i intensywnym marzeniem, by ta ręka znalazła się na jej ciele. Na szczęście Shaw zatracił się w rozmyślaniach na tyle, że nie zauważył, jak zesztywniała na jego kolanach.

– Jestem… byłem drugim z kolei synem. Mój brat Frederick wziął na siebie ciężar ich oczekiwań, a ja zostałem w rodzinie czarną owcą. Gdy osiągnąłem wiek zdatny do ożenku, okazało się, że kobieta,

którą pokochałem, nie zbliża się nawet do standardów ustanowionych przez Shawów. I oczywiście czyniło to ją dla mnie tylko bardziej atrakcyjną.

Słuchała uważnie, nie odrywając wzroku od jego twarzy, na której malował się ironiczny uśmiech.

– Ostrzegłem ją, czego może się spodziewać – kontynuował. – Powiedziałem, że najprawdopodobniej mnie wydziedziczą, że będą okrutni, że nigdy nie zaaprobują kogoś, kogo nie wybrali. Odparła, że jej miłość do mnie nigdy nie zgaśnie. Zawsze będziemy razem. Mój los nie miał dla mnie znaczenia. Znalazłem przecież kogoś, kto mnie pokochał, i po raz pierwszy w życiu zyskałem szansę, by udowodnić sobie i wszystkim innym, że nie potrzebuję fortuny Shawów. Niestety, gdy zabrałem ją na spotkanie z ojcem, szybko okazało się, że mój związek był fikcją.

– Załamała się pod ciężarem jego dezaprobaty – zgadła.

Roześmiał się ponuro, zakręcił piersiówkę i włożył ją do kieszeni surduta.

– Nie powiedziałbym, że się załamała. Oni doszli do porozumienia. Mój ojciec zaproponował jej pieniądze, by zapomniała o moich oświadczynach i zniknęła, a ona złożyła mu kontrofertę. Targowali się jak dwie przekupki, a ja stałem tam i słuchałem z rozdziawioną gębą. Gdy uzgodnili kwotę, moja ukochana wyszła, nawet nie oglądając się za siebie. Okazało się, że perspektywa poślubienia wydziedziczonego Shawa nie jest tak atrakcyjna jak okrągła sumka. Przez jakiś czas nie potrafiłem zdecydować, kogo nienawidzę bardziej, jej czy ojca. Niedługo potem mój brat Frederick nieoczekiwanie umarł i to ja zostałem dziedzicem. Ojciec wprost mówił o tym, jakim jestem rozczarowaniem, aż do dnia swojej śmierci.

Nie okazywała współczucia, obawiając się, że Gideon błędnie je zinterpretuje. Tuziny frazesów cisnęły się na jej usta – że kiedyś na pewno znajdzie kobietę wartą miłości, że ojciec być może chciał dla niego jak najlepiej… Ale chwilę tę cechowała taka bolesna szczerość, że nie mogła skalać jej banałami. Zamiast tego milczała więc razem z nim, aż w końcu podniosła wzrok i zauważyła na jego twarzy zagadkowy uśmiech miast zgorzknienia i cynizmu.

– O czym myślisz? – zapytał.

– Doszłam właśnie do wniosku, że miałam ogromne szczęście. Choć byłam z Amberleyem krótko, wiem przynajmniej, że naprawdę mnie kochał.

Musnął palcami jej brodę, a ta łagodna pieszczota sprawiła, że jej serce załomotało dziko. Patrzył jej prosto w oczy i wodził palcami po jej skórze, aż w końcu odnalazł wrażliwe wgłębienie między włosami a uchem.

– Ciebie trudno nie kochać.

Nie potrafiła oderwać od niego wzroku. Był niebezpiecznym mężczyzną. Oferował doznania zamiast stabilności, namiętność zamiast opieki. Kiedyś nie uwierzyłaby, gdyby ktoś jej powiedział, że będzie rozważać romans z mężczyzną, którego nie darzyła miłością. Shaw jednak miał w sobie coś kuszącego, niósł obietnicę zmysłowej radości i dobrej zabawy, której nie potrafiła się oprzeć.

Pod wpływem impulsu pochyliła się i dotknęła jego ust swoimi. Miał jedwabiście gładkie wargi, z początku chłodne, które szybko się rozgrzały. Tak jak poprzednio jego pocałunki okazały się lekkie, ale pełne łagodnego zaciekawienia, które przerodziło się w bardziej celowe działanie. Gdy nakłonił ją, by rozchyliła wargi, zagarnął je w długim otwartym pocałunku, zanurzając w niej język.

Gdy przysunęła się bliżej, poczuła napięcie w jego ciele, naprężone mięśnie ramion i brzucha… i te poniżej, przez które oblała się nagłym rumieńcem. Położył dłoń na jej plecach i zaczął zataczać nią leniwe kółka, przyciągając jednocześnie ku sobie. Livia pochylała się coraz bardziej, aż w końcu jej dłoń natrafiła na zarys piersiówki i to przywróciło ją do rzeczywistości. Odsunęła się od niego z uśmiechem.

– Nie idź jeszcze – szepnął, czując, że zamierza wstać z jego kolan.

Z wahaniem zdjęła jego rękę ze swojej talii.

– Nie mogę tego robić na oczach całej mojej rodziny, panie Shaw. – Objęła gestem portrety poważnych przodków na ścianach.

Odpowiedział leniwym uśmiechem.

– Dlaczego? Nie aprobują mnie?

Udawała, że rozważa jego pytanie, przyglądając się niezliczonym ponurym obliczom Marsdenów.

– Nie wydaje mi się. Ale może powinni lepiej pana poznać.

– Nie – odparł bez wahania. – Nie zyskuję przy bliższym poznaniu.

Uniosła brwi, zastanawiając się, czy to wyznanie to wyraz jego szczerości, manipulacja, czy może efekt ponurego poczucia humoru. Nie mogąc się zdecydować, pokręciła głową z nieśmiałym uśmiechem.

– Cóż, im bliżej jesteśmy, tym bardziej ja cię lubię.

Zamiast odpowiedzieć, ujął jej drobną twarz w dłonie, przyciągnął bliżej i wycisnął pocałunek na jej wargach. Nie była to romantyczna pieszczota – trwała za krótko i nacisk był zbyt mocny – ale doznanie okazało się satysfakcjonująco entuzjastyczne i zelektryzowało ją jeszcze bardziej niż łagodne pocałunki sprzed minuty.

Uwolnił ją i patrzył, jak wstaje z jego kolan. Miała wrażenie, że podłoga ucieka jej spod nóg, zanim w końcu odzyskała równowagę. Rozsiadł się wygodniej na tronie i mierzył ją takim wzrokiem, że aż poczuła mrowienie w brzuchu.

– O czym myślisz? – szepnęła, powtarzając jego wcześniejsze pytanie.

Odpowiedział ze zdumiewającą szczerością:

– Zastanawiam się, ile mogę wziąć, nie raniąc cię przy tym.

I w tej chwili coś zrozumiała: zanim Gideon Shaw wróci do Ameryki, zostaną kochankami. Wyraz jego oczu powiedział jej, że on również to wie. Ta świadomość napełniła ją drżeniem i niecierpliwością. Zaczerwieniła się, cofnęła o krok lub dwa i życzyła mu dobrej nocy. Odwróciła się, by odejść, lecz nie zdołała się oprzeć i obejrzała się jeszcze przez ramię.

– Nie boję się, że zostanę zraniona – szepnęła.

Uśmiechnął się blado.

– Niemniej… jesteś ostatnią osobą na ziemi, którą chciałbym zranić.

Drzwi do jej sypialni były otwarte. Aline zauważyła, że na korytarz sączy się złociste światło lampy. Dogłębnie świadoma swojego wyglądu, weszła do środka i zawahała się na widok pani Faircloth,

która czekała na nią w fotelu obok kominka. Pośrodku pokoju stała już wanna, a nad paleniskiem wisiał dzban z gorącą wodą.

Pani Faircloth wystarczyło jedno spojrzenie, by wszystkiego się domyślić. Aline zamknęła drzwi, nie patrząc na nią.

– Dobry wieczór, pani Faircloth. Jeśli rozepnie mi pani suknię na plecach, z całą resztą uporam się sama. Nie potrzebuję dzisiaj pomocy.

– Owszem, potrzebujesz – oświadczyła pani Faircloth, podchodząc bliżej.

Jej skrzywienie na widok stanu podopiecznej rozbawiło Aline. Niemożliwe, by gospodyni zignorowała sytuację. Pomogła Aline zdjąć suknię, sięgnęła po dzban i dolała do wanny gorącej wody.

– Podejrzewam, że jesteś obolała – powiedziała. – Ciepła woda pomoże.

Aline oblała się rumieńcem od stóp do głów. Rozpięła gorset i rzuciła go na podłogę. Nagły dopływ tlenu sprawił, że zakręciło się jej w głowie, musiała więc chwilę zaczekać, zanim rozebrała się do końca. Ciasne podwiązki zostawiły ciemnoczerwone ślady na jej udach. Westchnęła z ulgą, gdy w końcu je rozwiązała i zdjęła pończochy. Przepełniona wstydliwym przekonaniem, że jej ciało nosi dowody tego, co robiła z McKenną, w pośpiechu weszła do wanny. Zanurzyła się w wodzie po szyję i cicho syknęła.

Pani Faircloth zaczęła krzątać się po pokoju. Pomiędzy jej srebrnymi brwiami uformowały się dwie pionowe zmarszczki.

– Widział blizny? – zapytała cicho.

Aline uniosła prawe kolano nad parującą taflę wody.

– Nie, udało mi się tak wszystko zaaranżować, że ich nie zauważył. – Zmrużyła powieki, gdy poczuła pod nimi pieczenie łez. Nie mogła sobie pozwolić na płacz. – Och, pani Faircloth, to był ogromny błąd. I tak przerażająco wspaniały. Jakbym odnalazła tę część duszy, którą mi kiedyś wyrwano. – Wykrzywiła wargi w drwiącym uśmiechu, słysząc swój melodramatyczny ton.

– Rozumiem – mruknęła gospodyni.

– Naprawdę?

W oczach pani Faircloth błysnęło rozbawienie.

– Też byłam kiedyś młoda, choć może trudno w to uwierzyć.

– Kogo pani…

– Nie lubię o tym rozmawiać – przerwała jej gospodyni stanowczo. – Nie ma to nic wspólnego z twoimi perypetiami z McKenną.

Słowo to doskonale oddawało jej sytuację. Nie była to komplikacja, problem ani nawet dylemat. To były prawdziwe perypetie.

Z posępną miną poruszyła rękami w wodzie, gdy pani Faircloth dolała do kąpieli ziołowy olejek.

– Zachowałam się jak rozpieszczone dziecko – szepnęła ze smutkiem. – Sięgnęłam po to, czego chciałam, nie myśląc o konsekwencjach.

– McKenna wcale nie zachował się lepiej. – Gospodyni na powrót usiadła przy kominku. – Oboje macie to, czego chcieliście, i wygląda na to, że oboje czujecie się przez to gorzej.

– Najgorsze jeszcze nie nadeszło. Teraz będę musiała go od siebie odsunąć, nie podając powodów – urwała, potarła mokrymi dłońmi twarz i dodała tonem wyzutym z emocji: – Znowu.

– Nie musi tak być – wtrąciła pani Faircloth.

– Sugeruje pani, że powinnam powiedzieć mu prawdę? Wie pani, jak by zareagował.

– Nigdy nie poznasz całkowicie czyjegoś serca, milady. Sama znam cię od urodzenia, a jednak wciąż potrafisz mnie zaskoczyć.

– To, co zrobiłam dzisiaj z McKenną… to panią zaskoczyło?

– Nie.

Odpowiedź padła tak szybko, że obie się roześmiały. Aline oparła głowę na krawędzi wanny i zgięła nogi w kolanach, pozwalając, by gorąca kąpiel zmiękczyła blizny.

– Czy moja siostra wróciła już z festynu?

– Tak, wróciła w towarzystwie pana Shawa i Chamberlainów mniej więcej trzy godziny temu.

– Jak wyglądała? Była szczęśliwa?

– Aż za bardzo.

Aline uśmiechnęła się blado.

– Czy można być zbyt szczęśliwym?

Gospodyni zmarszczyła brwi.

– Mam tylko nadzieję, że lady Livia rozumie, jakim człowiekiem jest pan Shaw. Bez wątpienia zadał się z setkami kobiet, zanim tu

przyjechał, i będzie zadawał się z nimi dalej, jak już stąd wyjedzie.

Jej słowa sprawiły, że uśmiech na twarzy Aline zbladł.

– Porozmawiam z nią jutro i może wspólnie rozwiążemy ten problem.

– To niejedyny problem, który wymaga rozwiązania – mruknęła pani Faircloth, na co Aline wykrzywiła twarz w grymasie.

ROZDZIAŁ 14

Ku rozczarowaniu Livii Gideon Shaw w ogóle się nie pojawił następnego dnia. Nikt z jego amerykańskiej świty nie skomentował tej nieobecności na śniadaniu i obiedzie, jakby jego zniknięcie nie było niczym wyjątkowym. Livia poprosiła więc panią Faircloth, by dyskretnie wypytała, gdzie podziewa się zguba, i dowiedziała się, że Shaw po prostu zamknął się w kawalerskim domku i zażądał, by pod żadnym pozorem mu nie przeszkadzać.

– Jest chory? – zapytała, wyobrażając go sobie bezradnego i dręczonego gorączką na łożu boleści. – Czy na pewno powinien być w takiej sytuacji sam?

– Jeśli jest chory, to z przepicia – odparła gospodyni z dezaprobatą. – A w takiej sytuacji zdecydowanie powinien być sam. Nie ma paskudniejszego widoku niż podchmielony dżentelmen.

– Z jakiego powodu miałby się tak zachować? – zastanawiała się Livia, stojąc przy kuchennym blacie roboczym, na którym służące właśnie wycinały ciastka, a ona opuszką palca obsypaną mąką wyciskała w nich małe wzory. – Co mogło go do tego sprowokować? Wczorajszego wieczoru był w doskonałym humorze.

Pani Faircloth odpowiedziała, dopiero gdy służące wyniosły kolejną porcję ciastek do pomieszczenia obok.

– Pijacy nie potrzebują żadnego konkretnego powodu.

Livii nie spodobała się wizja, którą niosło to słowo – obraz zaniedbanych, niezdarnych, ośmieszających się mężczyzn, którzy robili nieprzyzwoite rzeczy, potykali się o niewidzialne meble i kończyli z czerwonym nosem i otyłością. Wiedziała, że niemal wszyscy mężczyźni upijają się od czasu do czasu, lecz pijakiem

stawał się tylko ten, kto odczuwał nieustające pragnienie i kto nie potrafił przestać pić. Takich mężczyzn nie znała osobiście. A w zasadzie nigdy nawet nie widziała Marcusa pod wpływem alkoholu – jej brat zawsze sprawował nad sobą żelazną kontrolę.

– Shaw nie jest pijakiem – zaprotestowała szeptem, mając na uwadze wyczulone uszy służby. – On tylko… Cóż… – urwała i zmarszczyła czoło, na którym utworzyły się poziome kreski. – Ma pani rację, jest pijakiem – przyznała. – Tak bardzo chciałabym, by nim nie był! Gdyby tylko ktoś lub coś nakłoniło go do zmiany…

– Taki mężczyzna nigdy się nie zmieni – wymamrotała pani Faircloth z niepokojącą pewnością.

Livia odsunęła się od blatu, gdy jedna z podkuchennych podeszła, by przetrzeć go wilgotną szmatką. Otrzepała dłonie z mąki i skrzyżowała ramiona na piersi.

– Ktoś powinien tam pójść, by się upewnić, że nic mu nie jest.

Na twarzy gospodyni odmalowała się dezaprobata.

– Na twoim miejscu, milady, nie angażowałabym się w tę sprawę.

Wiedziała, że pani Faircloth ma rację, jak zwykle. Mimo to, gdy nadeszła pora kolacji, udała się na poszukiwania Aline. Która, jak się nad tym zastanowić, również wydawała się dzisiaj nie całkiem sobą. Po raz pierwszy tego dnia Livia zapomniała o Gideonie Shaw na tyle, by zacząć się zastanawiać, jak układają się relacje Aline z McKenną. Widziała ich razem na festynie i oczywiście doszły ją słuchy o serenadzie dla Róży z Tralee. Uznała za intrygujące, że McKenna, którego uważała za bardzo skrytego i opanowanego człowieka, uciekł się do tak publicznej demonstracji swojego zainteresowania jej siostrą.

Nikogo to chyba jednak nie zaskoczyło, ponieważ wszyscy wiedzieli, że Aline i McKenna należą do siebie. Coś trudnego do uchwycenia, lecz bezdyskusyjnego, czyniło z nich parę. Może sposób, w jaki zerkali na siebie z ukosa, gdy myśleli, że to drugie nie patrzy… wymieniali spojrzenia pełne zachwytu i pragnienia. A może to, jak zmieniał się głos McKenny, gdy mówił do Aline – jego ton pogłębiał się wtedy i łagodniał. Niezależnie od tego, jak powściągliwie się zachowywali, każdy widział, że przyciąga ich do siebie siła potężniejsza niż każde z nich. Jakby pragnęli oddychać tym samym

powietrzem. Ich marzenia były boleśnie oczywiste. A Livia była przekonana, że McKenna wielbi jej siostrę. Liczyła się z tym, że może to nie najlepszy pomysł, lecz marzyła, by Aline odnalazła w sobie odwagę i wyznała McKennie prawdę na temat swojego wypadku.

Pogrążona w rozmyślaniach, w końcu znalazła siostrę w prywatnym gabinecie Marcusa, który kiedyś należał do ich ojca i tak jak ojciec był ponury i surowy. Ściany wyłożono błyszczącą palisandrową boazerią, a ich jedyną ozdobę stanowiły witrażowe okna. Aline często odwiedzała tutaj Marcusa, by omówić sprawy domowe. Tym razem poruszali chyba jednak kwestie bardziej osobiste. Szczerze mówiąc, zwyczajnie się kłócili.

– …nie rozumiem, skąd pomysł, że możesz… – mówiła Aline ostrym głosem, gdy Livia weszła do pokoju, lekko zapukawszy do drzwi.

Rodzeństwo nie wyglądało na szczególnie zachwycone jej widokiem.

– Czego chcesz? – warknął Marcus.

Nie zwracając uwagi na jego nieuprzejme zachowanie, Livia skoncentrowała uwagę na siostrze.

– Chciałam porozmawiać z tobą przed kolacją, Aline. Chodzi o… Cóż, później ci powiem. – Urwała i przyjrzała się bratu i siostrze. – O co się sprzeczacie?

– Może Marcus ci to wyjaśni – odparła Aline krótko i usiadła na krawędzi biurka.

Livia ze zdziwieniem spojrzała na brata.

– Co się stało? Co zrobiłeś?

– To, co należało – oświadczył.

Aline prychnęła pogardliwie.

– To znaczy? – kontynuowała Livia. – Marcusie, będziemy się bawić w dwadzieścia pytań czy po prostu mi powiesz?

Podszedł do wygaszonego kominka. Gdyby był wyższy, mógłby oprzeć łokieć na gzymsie w eleganckiej niewymuszonej pozie. Osiągnął podobny rezultat, opierając się na nim ramionami.

– Postanowiłem po prostu uprzedzić kilku z potencjalnych inwestorów Shawa, którzy, tak się składa, należą do grona moich znajomych, że powinni ostrożnie podchodzić do tej inwestycji. Poinformowałem ich, że mogą wystąpić pewne problemy w związku

z umową, którą proponują Shaw i McKenna. Ostrzegłem ich, że Amerykanie pragną rozwijać swój interes, nie dając jednak gwarancji, że produkcja obejdzie się bez wad, że projekty się nie zdewaluują, że produkt nie będzie miał defektów. Ba, może nawet dojść do oszustwa…

– To nonsens – przerwała mu Aline. – Rozgrywasz po prostu typowe lęki Anglików na myśl o produkcji na większą skalę. Nie masz żadnych dowodów na to, że odlewnie Shawa będą miały takie problemy.

– Nie mam dowodów, że nie będą miały – odparł.

Aline skrzyżowała ramiona na piersi i posłała mu wyzywające spojrzenie.

– Przewiduję, że twoje wysiłki spełzną na niczym, Marcusie… Shaw i McKenna z pewnością uspokoją wszystkich inwestorów i nakłonią ich do zaangażowania się w projekt.

– Jeszcze zobaczymy. Szepnąłem też kilka słów lordowi Elhamowi, który zasiada w zarządzie Somerset Shipping Company. Teraz na pewno dwa razy się zastanowi, zanim sprzeda Shawowi prawa do dokowania. A te prawa to niezbędny element planów Shawa.

Livia nie dowierzała własnym uszom. Rozumiała tylko, że jej brat celowo utrudnia nadchodzące negocjacje Shawa i McKenny.

– Dlaczego to zrobiłeś? – zapytała.

– To proste – odparła Aline, uprzedzając brata. – Stawiając przeszkody na drodze pana Shawa, sprawił, że zarówno on, jak i McKenna niezwłocznie wyjadą do Londynu, by uporać się ze skutkami jego machinacji.

Livia wbiła w Marcusa gniewne spojrzenie.

– Jak mogłeś?

– Musiałem, ponieważ zamierzam trzymać tych dwóch łajdaków jak najdalej od moich sióstr – oświadczył. – Działam w najlepszym interesie was obu… i pewnego dnia dostrzeżecie mądrość w tym, co zrobiłem.

Livia zaczęła rozglądać się po pokoju, szukając czegoś, czym mogłaby w niego rzucić.

– Jesteś taki sam jak ojciec, ty zadufany w sobie wścibski ciołku!

– Właśnie teraz – odparł ponuro – Shaw topi smutki w butelce tego czy tamtego. Cały dzień spędził zamknięty w ciemnym pokoju. Cóż za wspaniałe towarzystwo dla ciebie, Livio. Amberley byłby taki szczęśliwy!

Livia zbladła jak ściana, słysząc przytyk. Oniemiała z urazy i gniewu, wybiegła z pokoju, nawet nie zamknąwszy za sobą drzwi. Aline spojrzała na brata, mrużąc powieki.

– Posunąłeś się za daleko – zganiła go łagodnie. – Nie zapominaj, Marcusie, że pewnych słów nie da się cofnąć.

– To Livia powinna o tym pamiętać – odparł. – Słyszałaś, jak mnie właśnie nazwała!

– Tak, powiedziała, że jesteś taki sam jak ojciec. Nie zgadzasz się?

– Kategorycznie.

– Marcusie, przez kilka ostatnich minut brzmiałeś, zachowywałeś się i wyglądałeś dokładnie jak on.

– Nieprawda! – zawołał z oburzeniem.

Uniosła dłonie w geście kapitulacji, gdy nagle ogarnęło ją zmęczenie.

– Nie będę tracić czasu na bezsensowne kłótnie. Może jednak wykorzystasz ten swój wielki mózg, mój drogi, by się zastanowić… na ile sposobów mogłeś załatwić ten problem? Obrałeś najkrótszą i najskuteczniejszą drogę do celu, nie zważając na uczucia innych. Jeśli to nie jest zachowanie ojca… – urwała i z westchnieniem pokręciła głową. – Idę poszukać Livii.

Zostawiła nieprzekonanego brata w gabinecie i pobiegła za siostrą. Szybki krok sprawił, że znów odezwały się blizny. Aż niecierpliwie westchnęła.

– Livio, dokąd ty idziesz? Na litość boską, zatrzymaj się na chwilę i zaczekaj na mnie!

Zrównała się z siostrą w holu. Livia miała policzki czerwone z gniewu. Nagle Aline przypomniała sobie dzień, kiedy Livia była jeszcze dzieckiem i zbudowała wieżę z klocków zbyt wysoką, by mogła się utrzymać. Raz po raz pieczołowicie wznosiła tę samą chwiejną konstrukcję i płakała z gniewu, ilekroć ta się przewracała… Nie potrafiła pogodzić się z myślą, że powinna po prostu wybudować coś mniej ambitnego.

– Nie miał prawa – oświadczyła teraz, trzęsąc się od nadmiaru emocji.

Aline spojrzała na nią ze współczuciem.

– Marcus zachował się arbitralnie i arogancko – zgodziła się. – Oczywiście postąpił źle. Obie musimy jednak pamiętać, że uczynił to z miłości.

– Nie obchodzi mnie jego motywacja… To nic nie zmienia.

– To znaczy?

Livia zrobiła poirytowaną minę, jakby siostra specjalnie udawała głupią.

– Nie zobaczę już więcej pana Shawa, rzecz jasna!

– Marcus zakłada, że nie wyjedziesz ze Stony Cross. Nie opuszczałaś hrabstwa od śmierci Amberleya. Ani tobie, ani jemu nie przyszło jednak do głowy, że przecież możesz jechać do Londynu. – Uśmiechnęła się, gdy zobaczyła zaskoczenie malujące się na jej twarzy.

– Chybab-bym mogła – szepnęła Livia z wahaniem.

– Dlaczego nie? Przecież nikt cię nie powstrzymuje.

– Ale Marcus…

– A co on może? Zamknie cię w twoim pokoju? Przywiąże cię do krzesła? Jedź do Londynu, jeśli chcesz, zatrzymaj się w Marsden Terrace. Ja dam sobie radę z Marcusem.

– To dość śmiały krok, nie sądzisz? Uganiać się za panem Shawem…

– Nie będziesz się za nim uganiać – zapewniła ją Aline od razu. – Pojedziesz na zakupy… Co już dawno powinnaś zrobić moim zdaniem. Musisz odwiedzić krawcową, ponieważ cała twoja garderoba dawno wyszła z mody. Kogo obchodzi, że będziesz robić zakupy w Londynie w tym samym czasie, kiedy w stolicy będzie pan Shaw?

Livia w końcu się uśmiechnęła.

– Pojedziesz ze mną, Aline?

– Nie, muszę zostać w Stony Cross z naszymi gośćmi. I… – wahała się przez długą chwilę – myślę też, że najlepiej będzie narzucić pewien dystans pomiędzy mną a McKenną.

– A jak się mają sprawy między wami? – zapytała Livia. – Na festynie wyglądaliście jak…

– Doskonale się bawiliśmy – odparła Aline lekko. – Nic się nie wydarzyło… I podejrzewam, że nic się już nie wydarzy. – Poczuła ukłucie wyrzutów sumienia na myśl, że okłamuje siostrę. Miniona noc z McKenną stanowiła jednak bardzo intensywne i osobiste doświadczenie i ona nie była jeszcze gotowa, by ubrać je w słowa.

– Nie sądzisz jednak, że McKenna…

– Lepiej zacznij planować swoją podróż. Będziesz potrzebowała przyzwoitki. Moim zdaniem ciocia Clara z radością wprowadzi się do naszego londyńskiego domu na kilka dni, chyba że…

– Zaproszę starą panią Smedley z wioski – zawyrokowała Livia. – Pochodzi z szacownej rodziny i na pewno ucieszy ją wizyta w stolicy.

Aline zmarszczyła brwi.

– Kochanie, pani Smedley jest głucha jak pień i ślepa jak kret. Trudno sobie wyobrazić mniej skuteczną przyzwoitkę.

– Właśnie – odparła Livia z taką satysfakcją, że Aline musiała się roześmiać.

– Dobrze więc, zaproś panią Smedley. Na twoim miejscu jednak nie afiszowałabym się z przygotowaniami aż do dnia wyjazdu.

– Tak, masz rację.

Podekscytowana Livia okręciła się na pięcie i pobiegła dalej.

Aline uznała, że uczciwie będzie poinformować McKennę o machinacjach brata, i postanowiła, że porozmawia z nim o tym po kolacji. Ale okazja nadarzyła się wcześniej, niż się spodziewała, ponieważ wieczorny posiłek zakończył się nagle i wyjątkowo niezręcznie. Nieobecność Gideona Shawa przy stole rzucała się w oczy, a Susan Chamberlain była z tego powodu w bardzo złym humorze.

Widząc, że Susan hojnie raczy się winem, Aline wymieniła subtelne spojrzenie z pierwszym lokajem, dając mu znak, że trunek należy bardziej rozcieńczyć. Po minucie lokaj podał karafkę swojemu pomocnikowi, który wyniósł ją do pokoju kredensowego i zaraz

potem z nią wrócił. Cały manewr zauważył tylko McKenna, który spojrzał na Aline i uśmiechnął się lekko.

Gdy zebrano nakrycia po pierwszych daniach, czyli zupie szparagowej i łososiu w sosie z homara, konwersacja zboczyła na temat negocjacji biznesowych, które miały odbyć się w Londynie. Pan Cuyler z niewinną miną zapytał Marcusa o zdanie co do wyniku negocjacji, na co Marcus odparł chłodno:

– Wątpię, by można adekwatnie odpowiedzieć na to pytanie pod nieobecność pana Shawa, skoro rezultat będzie zależał głównie od jego formy. Może powinniśmy wstrzymać się z osądami, dopóki Shaw jest niedysponowany.

– Niedysponowany. – Susan Chamberlain wybuchnęła drwiącym śmiechem. – Ma pan na myśli to, iż mój brat ma w zwyczaju żłopać brandy od rana do nocy? Prawdziwa głowa rodziny, nieprawdaż?

Rozmowy umilkły. Zaskoczona wrogością, z jaką Susan mówiła o swoim bracie, Aline postanowiła nieco złagodzić napięcie, które zapanowało przy stole.

– Odniosłam wrażenie, pani Chamberlain – powiedziała – że pani rodzina kwitnie pod kierownictwem pana Shawa.

– On nie ma tu nic do rzeczy – mruknęła Susan pogardliwie, opierając się wysiłkom męża, który próbował ją uciszyć. – Nie, daj mi powiedzieć! Dlaczego muszę wyśpiewywać peany na cześć Gideona tylko dlatego, że okazał się następny w kolejce po śmierci biednego Fredericka? – Z goryczą wykrzywiła wargi. – Powód, dla którego Shawowie tak dobrze prosperują, lady Aline, jest taki, że mój brat postanowił złożyć los swojej rodziny w ręce niewykształconego emigranta, któremu udało się dokonać kilku szczęśliwych wyborów. – Wybuchnęła śmiechem. – Pijak i doker, cóż za dobrana para. A moja przyszłość spoczywa w ich rękach. Przezabawne, nie uważa pani?

Zapadła krępująca cisza. Nikt nie podzielał jej rozbawienia. McKenna miał nieprzeniknioną minę. Wydawał się całkowicie nieporuszony, jakby wiele lat temu uodpornił się na takie zjadliwe słowa, a Aline zaczęła się zastanawiać, ile zniewag i afrontów musiał znieść przez lata tylko dlatego, że popełnił niewybaczalny grzech zarabiania na swoje utrzymanie.

McKenna wstał, ukłonił się całemu towarzystwu i przelotnie zerknął na Aline.

– Proszę mi wybaczyć – mruknął. – Straciłem apetyt.

Wszyscy życzyli mu miłego wieczoru poza Susan Chamberlain, która postanowiła utopić swoją nienawiść w kolejnym kieliszku wina.

Aline wiedziała, że powinna zostać i załagodzić atmosferę lekką konwersacją. Gdy jednak wpatrywała się w puste krzesło McKenny, nie mogła zdusić pragnienia, by pójść za nim. „Zostań tutaj i rób, co do ciebie należy", próbowała się dyscyplinować, lecz z każdą minutą pragnienie to stawało się coraz bardziej naglące, aż serce zaczęło łomotać jej w piersi, a jej ciało pod suknią oblał pot. Wstała powoli od stołu, a wszyscy mężczyźni zrobili to samo.

– Przepraszam – szepnęła, próbując wymyślić jakiś powód tego nagłego odejścia. – Ja… – Nic nie przychodziło jej do głowy. – Proszę mi wybaczyć – dodała tylko i wyszła.

Ignorując szepty, które wywołała, pospieszyła za McKenną. Gdy stanęła na szczycie schodów, odkryła, że czekał tu na nią. Musiał słyszeć jej kroki.

Przeszły ją gorące i zimne dreszcze, gdy stanęli twarzą w twarz. Jego oczy pałały w ponurej twarzy, a w niej błysnęły wspomnienia tego, jak chciwie obłapiali się w lesie, jak wiła się z rozkoszy, gdy przycisnął ją do drzewa.

Z konsternacją zacisnęła powieki, czując ukłucia żaru na twarzy. Gdy w końcu ośmieliła się na niego spojrzeć, jego oczy wciąż niepokojąco błyszczały.

– Wszyscy Shawowie tacy są? – zapytała, mając na myśli Susan Chamberlain.

– Ona akurat jest najmilsza – mruknął McKenna sucho, prowokując ją do śmiechu.

– Możemy przez chwilę porozmawiać? – Zaczęła nerwowo wyginać palce. – Mam ci coś ważnego do przekazania.

Spojrzał na nią czujnie.

– Dokąd pójdziemy?

– Może do rodzinnego saloniku – zasugerowała.

Było to najstosowniejsze pomieszczenie na tym piętrze do odbycia takiej rozmowy.

– Jeśli tam usiądziemy, ktoś może nam przerwać – zauważył.

– Zamkniemy drzwi.

– Nie.

Wziął ją za rękę i pociągnął za sobą. Zaskoczona jego apodyktycznością, nie zaprotestowała. Jej puls przyspieszył, gdy uświadomiła sobie, dokąd ją prowadzi.

– Nie możemy iść do mojego pokoju – powiedziała z przerażeniem, rozglądając się po korytarzu. – To tam mnie… Nie, doprawdy, nie możemy…

Ignorując jej protesty, podszedł do drzwi pokoju, w którym przez całe życie spała, po czym wprosił się do środka. Widok jego sylwetki na progu przekonał ją, że nie ma sensu się sprzeciwiać. I tak nie zdołałaby go wyrzucić. Westchnęła z rezygnacją, weszła do pokoju i zamknęła drzwi.

Na stoliku przy drzwiach stała lampa. Zapaliła ją zręcznie, a płomień rzucił długi cień na sypialnię i sąsiadującą z nią garderobę. Podniosła lampę za porcelanową rączkę i poszła za McKenną do gabinetu – prywatnego pomieszczenia, do którego nigdy nie ośmielił się wejść, gdy byli młodsi.

Na szezlongu – jedynym meblu w tym pokoju – leżały haftowane poduszki. Na złotym haczyku wisiały sznury pereł, a obok leżała kolekcja eleganckich, wyszywanych paciorkami torebek i sakiewek. Kątem oka zauważyła, że McKenna sięga po jedną z nich, która wydała jej się niedorzecznie mała w jego dłoni.

Aline podeszła do okna. Świat zewnętrzny rozmazywał się przyjemnie za porysowanymi ze starości szybami, jakby patrzyła na niego przez taflę lodu. Trzy pozostałe ściany gabinetu pokrywały lustra, tworząc miriady odbić. Gdy McKenna stanął za nią, ich twarze rozmnożyły się w blasku lampy.

Z zaciekawieniem podszedł do okna i podniósł coś z parapetu. Była to zabawka, metalowy konik z jeźdźcem na grzbiecie. Od razu rozpoznał przedmiot. Uwielbiał bawić się tą figurką do tego stopnia, że zdarł z niej niemal całą farbę. Na szczęście odłożył ją na miejsce bez słowa komentarza.

– Co chciałaś mi powiedzieć? – zapytał cicho.

Zafascynowały ją kontrasty twardości i miękkości na jego twarzy – śmiała krzywizna nosa i zmysłowy łuk dolnej wargi, to, jak jedwabiste rzęsy rzucają cienie na kości policzkowe.

– Obawiam się, że mój brat utrudnił wam negocjacje bardziej, niż moglibyście się spodziewać – odparła.

Jego oczy spoważniały.

– To znaczy?

Wyjaśniła mu, co uczynił Marcus, a ona słuchał jej bez wzburzenia.

– Nic się nie stało – oświadczył, gdy skończyła. – Uspokoję obawy inwestorów. I znajdę sposób, by przekonać Elhama, że w jego interesie leży sprzedaż nam tych praw. A jeśli się nie uda, wybudujemy sobie własny cholerny dok.

Uśmiechnęła się, słysząc jego pewny siebie głos.

– To nie będzie łatwe.

– Nic warte zachodu nie jest łatwe.

– Na pewno jesteś wściekły na Marcusa. Ale uczynił to tylko dlatego, że w ten sposób chciał…

– ...chronić ciebie i twoją siostrę – dokończył za nią. – Nie mogę go za to winić. – Jego głos złagodniał. – Ktoś powinien cię chronić przed mężczyznami mojego pokroju.

Odwróciła się do ściany, ale lustra utworzyły mozaikę z jej zaczerwienionej twarzy… i ze lśniących w świetle lampy włosów McKenny, gdy stanął za nią. Ich oczy spotkały się pośrodku fragmentarycznych obrazów.

– Będziesz musiał niezwłocznie jechać do Londynu, prawda? – zapytała podenerwowana jego bliskością.

– Tak. Jutro.

– A c-co z panem Shawem?

Pochylił głowę, aż poczuła jego oddech na skroni. Położył rękę na jej obnażonym ramieniu i musnął kremową skórę palcami lekkimi jak skrzydła motyla.

– Będę go musiał jakoś otrzeźwić.

– To dość niefortunne, że preferuje…

– Nie chcę rozmawiać o Gideonie Shaw.

Odwrócił ją twarzą do siebie i objął jej policzek brązowymi od słońca palcami.

– Co robisz? – zapytała, sztywniejąc, bo poczuła, że drugą dłoń położył na jej plecach.

– To, czego musiałaś się spodziewać, wpuszczając mnie tutaj.

Pocałował ją i zaczął rozpinać jej suknię. Czuła łaskotanie tam, gdzie dotykał jej policzkiem.

– Nie pozostawiłeś mi wyboru – zaprotestowała. – Po prostu się tu wdarłeś i…

Przycisnął usta do jej ust i odsłonił tasiemki gorsetu. Wsunął palce pod cienkie sznurki i pociągnął, aż sieć fiszbin naprężyła się, uwalniając jej tułów. Gorset opadł na podłogę pod suknią, którą wciąż miała na sobie. Jej ciało, wyzwolone, wydawało się nadwrażliwe i gwałtownie domagało się jego uwagi.

Zaszumiało jej w uszach, gdy zawładnął jej ustami w słodkich badawczych pocałunkach. Ciepły zapach jego skóry, doprawiony wodą kolońską, nutami krochmalu i cierpkiego tytoniu, wypełnił ją oszałamiającą przyjemnością. Poczuła dzikie podekscytowanie na myśl, że znów będzie go miała w sobie, lecz jednocześnie przypomniała sobie, że nie może pozwolić mu odkrywać do woli.

– Pospiesz się – ponagliła go niespokojnie. – Tylko… pospiesz się, proszę…

Uciszył ją, miażdżąc jej usta wargami w bardziej namiętnym pocałunku i upajając ją bliskością swojego podnieconego ciała. Wsunął dłonie w jej suknię i powiódł nimi po jej plecach tak, że aż dotknął pośladków. Poczuła w odpowiedzi wilgoć i żar i wygięła się wygłodniale ku zwodniczo łagodnej pieszczocie jego palców.

Oderwał wargi od jej ust, odwrócił ją do siebie plecami i położył dłonie na jej ramionach.

– Uklęknij – szepnął.

Nie zrozumiała. Jego dłonie nakazały jej opaść na podłogę przy szezlongu. Uklękła w obłoku spódnic i halek. Wzory na haftowanych poduszkach rozmazały się przed jej oczami, gdy usłyszała, że McKenna zdejmuje surdut, który wylądował na szezlongu przed nią. Znów rozległ się szmer, odgłos rozpinania guzików i nagle McKenna uklęknął za nią.

Włożył dłoń pod spódnicę, przedarł się przez warstwy materiału i odnalazł wrażliwe ciało. Chwycił ją za biodra, wbijając kciuki

w jędrne pośladki. Jedną rękę wsunął pomiędzy jej nogi, by odnaleźć wiązanie jej lnianych reform. Chyba zmierzył długość obrębionej koronką szczeliny palcami. Zadygotała, gdy musnął kręcone włoski pod materiałem. Obiema rękami nieco poszerzył szczelinę. Delikatnie poprawił jej pozycję, nakłaniając ją, by oparła się na szezlongu, i kolanami rozsunął jej uda.

Nakrył ją swoim ciałem i lekko otoczył ramionami.

– Spokojnie – mruknął, gdy zadrżała pod nim. – Spokojnie. Tym razem nie zrobię ci krzywdy.

Nie odpowiedziała. Mogła tylko dygotać i czekać. Zamknęła oczy i oparła policzek na jego przedramieniu. Poruszył biodrami i jego członek otarł się o wnętrze jej ud… a potem zaczął napierać na delikatne miejsca. Drugą rękę McKenna zsunął na jej brzuch i jeszcze niżej. Rozchylił miękkie włoski i natarł na nią, gdy wygięła biodra do tyłu. Jęknęła na skutek delikatnej pieszczoty, gdy zaczął zataczać małe kółka wokół wrażliwego czubeczka.

Wyjął rękę spod jej spódnicy, dotknął jej twarzy i środkowym palcem musnął jej dolną wargę. Posłusznie otworzyła usta i pozwoliła mu wsunąć w nie palec. Znów włożył rękę pod jej spódnicę, lecz tym razem jego palec był śliski, gdy ją pogłaskał. Podniecał ją delikatnie, masując wilgotne miejsce, aż wbiła paznokcie w szezlong i wcisnęła spocone czoło w poduszki. Z jej gardła wyrwał się drżący jęk, gdy wsunął w nią palec, głębiej i głębiej, aż obrzmiałe ciało otoczyło go całego. Uniosła pośladki, by znaleźć się jak najbliżej niego, i czekała niecierpliwie, podczas gdy McKenna przygotowywał ją delikatnymi pchnięciami na nadchodzącą inwazję.

Znów naparł na nią lekko, musnął prowokująco sztywnym jedwabistym członkiem. Oddech uwiązł jej w gardle, trwała w całkowitym poddaniu, rozchyliwszy uda. Wszedł w nią powoli… I znów doświadczyła tego zdumiewającego wrażenia wypełnienia, któremu towarzyszyło tym razem już tylko przelotne ukłucie bólu. Wsunął się w nią głęboko, nie napotykając żadnego oporu, witany przez jej pulsujące ciało. Ilekroć się wycofywał, wciskała pośladki w jego lędźwie. Palcami przeczesywał jej wilgotne włoski i delikatnie pocierał źródło jej pragnień w rytmie współgrającym z rytmem

pchnięć. Doznania narastały gwałtownie z każdym rozkosznym ruchem, a członek wsuwał się coraz głębiej w ciepłą śliskość jej ciała. Rozkosz osiągnęła przeszywający szczyt, aż przestała nad sobą panować. Wygięła się w łuk pod jego palcami, zaczęła się wić niekontrolowanie. Jej jęki tłumiły poduszki. McKenna pchnął ją, powarkując, aż dotarł do samego jądra jej kobiecości, krzyknął ochryple i zaczął gwałtownie w niej pulsować.

Pozostali w uścisku przez długą chwilę, nie mogąc złapać tchu. Przywarł do niej i niemal przygniótł ją swoim ciężarem, ale ona pragnęła trwać w tej pozycji w nieskończoność. Nie otwierała oczu, wilgotne rzęsy kleiły się do jej policzków. Gdy poczuła, że McKenna się z niej wysuwa, przygryzła wargę, by nie zaprotestować. Opierała się o poduszki w chmurze jedwabiu i potarganego lnu, całkowicie osłabła po akcie miłości.

McKenna poprawił na sobie ubranie i sięgnął po surdut. Musiał odchrząknąć, a gdy przemówił, w jego głosie pojawiła się chrypka:

– Bez obietnic, bez żalu… Tak jak chciałaś.

Nie poruszyła się, gdy wychodził. Czekała, aż całkiem opuści jej pokój, i dopiero gdy usłyszała odgłos zamykanych drzwi, dała upust łzom.

Przeraźliwie dłużąca się kolacja nareszcie dobiegła końca. Choć Livia wiedziała, że niemal wszyscy w Stony Cross Park podejrzewają, iż zajrzy do kawalerskiego domku, doszła do wniosku, że dla przyzwoitości powinna zachować dyskrecję. Wybrała więc ścieżkę na uboczu i skryła się w cieniu wysokiego cisowego żywopłotu. Bez wątpienia rozsądniej byłoby zapomnieć o sprawie, lecz troska o Gideona jej nie opuszczała. Uznała, że gdy tylko upewni się, iż Shaw jest zdrowy, wróci do domu i znajdzie sobie jakąś przyjemną długą powieść, by czymś zająć myśli.

Zapukała do drzwi i w napięciu czekała na odpowiedź. Cisza. Zmarszczyła czoło i zapukała ponownie.

– Halo?! – zawołała. – Halo?! Czy ktoś mnie słyszy?!

Już miała udać się po klucz do pani Faircloth, gdy zamek szczęknął, drzwi się uchyliły, a na progu stanął pokojowy Shawa.

– Tak, milady?

– Przyszłam zobaczyć się z panem Shawem.

– Pan Shaw nie przyjmuje gości o tej porze, milady.

Gdy drzwi zaczęły się zamykać, wsunęła w nie stopę.

– Nie odejdę, dopóki go nie zobaczę – oświadczyła.

Twarz pokojowego wyrażała bezkresne zdumienie, lecz jego ton pozostał uprzejmy.

– Pan Shaw nie jest w stanie przyjmować wizyt, milady.

Livia postanowiła mówić wprost:

– Jest pijany?

– Jak bela – potwierdził pokojowy ponuro.

– W takim razie poślę po herbatę i kanapki.

– Pan Shaw zażądał więcej brandy.

Zacisnęła stanowczo szczęki i wślizgnęła się obok mężczyzny do środka. Nie mógł jej powstrzymać – żaden służący nie ośmieliłby się położyć ręki na siostrze właściciela majątku. Ignorując jego protesty, zaczęła rozglądać się po pogrążonym w mroku salonie. Powietrze pachniało alkoholem i tytoniem.

– Żadnej brandy – oświadczyła tonem, który ucinał wszelki sprzeciw. – Idź do głównego domu, przynieś imbryk z herbatą i talerz kanapek.

– On nie będzie zadowolony, milady. Nikt nigdy nie staje pomiędzy panem Shawem a tym, czego on pragnie.

– Najwyższy czas, by ktoś to zrobił – zawyrokowała, odprawiając służącego gestem.

Pokojowy niechętnie wyszedł, a ona podążyła dalej. Mała lampka w głównej sypialni oblewała wnętrze miękkim bursztynowym światłem. Do jej uszu napłynął charakterystyczny odgłos grzechotania kostek lodu w szklance. Założywszy, że Shaw pogrążył się w pijackim stuporze, podeszła do drzwi.

To, co zobaczyła, sprawiło, że cicho krzyknęła.

Gideon Shaw leżał w wannie ustawionej obok kominka. Głowę trzymał na mahoniowej krawędzi z jednej strony, z drugiej wisiała swobodnie jego długa noga. Krople pary lśniły na jego ramionach

i torsie. W ręce trzymał wypełnioną lodem szklankę. Wbił wzrok w Livię i podniósł szklankę do ust.

„Dobry Boże w niebiosach", pomyślała w oszołomieniu. Dżentelmeni cierpiący z powodu nadmiaru mocnych trunków wyglądali zazwyczaj okropnie. „Głowa nieboszczyka na kiju od miotły" – tak opisywał ich Marcus. Ale ona nigdy nie widziała nikogo wspanialszego niż nieogolony i rozczochrany Gideon Shaw w kąpieli.

Wykrzywiając twarz w grymasie, wyprostował się. Ruch sprawił, że woda przelała się przez krawędź wanny. Błyszczące strumienie spływały po jego muskularnej piersi.

– Co ty tu robisz? – zapytał kwaśno.

Wpatrywała się w niego oniemiała. W końcu oderwała wzrok i zwilżyła suche wargi koniuszkiem języka.

– Przyszłam zobaczyć, czy wszystko z tobą dobrze.

– No to mnie zobaczyłaś – odparł chłodno. – Wszystko ze mną dobrze. A teraz się wynoś.

– Wcale nie jest dobrze – zaprotestowała. – Jesteś pijany i pewnie nic dzisiaj nie jadłeś.

– Zjem, jak zgłodnieję.

– Potrzebuje pan czegoś pożywniejszego niż zawartość tej szklanki, panie Shaw.

Wbił w nią twarde spojrzenie.

– Sam wiem, czego potrzebuję, ty bezczelna dziewucho. A teraz wyjdź albo zaraz zobaczysz pana Gideona Shawa w całej jego krasie.

Nikt jeszcze nigdy nie nazwał jej dziewuchą. Pewnie powinna się poczuć urażona, lecz tylko lekko się uśmiechnęła.

– To tak pompatycznie brzmi, gdy ktoś mówi o sobie per pan.

– Jestem Shawem – odparł, jakby to doskonale tłumaczyło jego pompatyczność.

– Wiesz, co się stanie, jeśli dalej będziesz tyle pił? Zmienisz się w paskudny wrak człowieka z wielkim czerwonym nosem i wystającym brzuchem.

– Czyżby? – mruknął z kamienną miną, opróżniając szklankę jednym haustem.

– Tak, i mózg ci zgnije.

– Nie mogę się doczekać.

Przechylił się przez krawędź wanny, by odstawić szklankę na dywan.

– I zostaniesz impotentem – zakończyła triumfalnie. – Wcześniej czy później alkohol pozbawi cię męskości. Kiedy ostatnio kochał się pan z kobietą, panie Shaw?

Ostatnie zdanie przeważyło szalę. Wstał i wyszedł z wanny, wykrzywiając twarz w pogardliwym grymasie.

– Żądasz dowodu mojej potencji? Ależ proszę… Chodź i go sobie weź.

Objęła wzrokiem jego podniecone bujne ciało i oblała się szkarłatnym rumieńcem.

– Chyba p-powinnam już iść. Zostawię cię, byś rozważył, co powiedziałam…

Okręciła się na pięcie, by uciec, ale zanim zdołała uczynić krok, chwycił ją od tyłu. Znieruchomiała i zamknęła oczy, czując na plecach nacisk jego mokrego ciała. Objął ją ociekającym wodą ramieniem tuż pod biustem.

– Och, rozważam to, milady – mruknął do jej ucha. – I właśnie doszedłem do wniosku, że istnieje tylko jeden prawdziwie skuteczny kontrargument dla twojej tezy.

– Doprawdy nie trzeba – pisnęła, gdy jego ręka się poruszyła, a dłoń objęła lewą pierś. Żar i woda przeniknęły przez materiał, na skutek czego jej sutek stwardniał. – Och…

– Nie powinnaś kwestionować mojej męskości. My, mężczyźni, jesteśmy dość przeczuleni na tym punkcie.

Zaczęła dygotać, a jej głowa opadła na jego ramię. Ciepła dłoń opuściła jej pierś, musnęła odsłoniętą szyję i wsunęła się pod krawędź stanika. Livia wzdrygnęła się, gdy poczuła jego dotyk na pobudzonej brodawce.

– Będę o tym pamiętać – szepnęła.

– Oby.

Odwrócił ją twarzą do siebie i nakrył jej usta swoimi. Miękkość jego warg otoczonych szorstką szczeciną zarostu okazała się szalenie podniecająca. Wygięła się ku niemu gorączkowo, przesuwając dłonie po jego lśniącej skórze. Nagle uświadomiła sobie, że zamierza sobie wziąć pierwszego kochanka po Amberleyu. Próbowała nad sobą

zapanować… ale okazało się to niemożliwe, ponieważ Gideon całował ją raz po raz, aż oboje osunęli się na kolana na mokry dywan.

Teraz Gideon popchnął ją na plecy i ułożył się w chmurze jej spódnic i halek. Odpiął kilka pierwszych guzików stanika, zsunął halkę i odsłonił piersi. Zapragnęła, by je pocałował. Chciała czuć na nich jego wargi, język… Na samą myśl o tym w jej gardle wezbrał jęk.

Dysząc ciężko, Gideon sięgnął po coś nad jej głową. Usłyszała grzechotanie kostek lodu i z konsternacją zaczęła się zastanawiać, czy ten mężczyzna naprawdę musi się teraz napić. On jednak wyjął ze szklanki lód i włożył go sobie do ust, a potem, ku jej zdumieniu, polizał jej pierś zimnym językiem. Zaczęła się wić, krzycząc ze zdumienia, lecz przytrzymał ją i nieustępliwie kontynuował pieszczotę, aż lód się rozpuścił, a jego wargi stały się cieplejsze. Jego twardy członek napierał na wnętrze jej uda, a każda pieszczota języka potęgowała ucisk rozkoszy w jej brzuchu. Wplotła palce w jego gęste i wilgotne złote włosy i uniosła ku niemu głowę, jednocześnie unosząc biodra.

Nagle Gideon odsunął się i z jękiem przetoczył na bok.

– Nie – mruknął rwącym się głosem. – Pierwszy raz nie może tak wyglądać. Cholera, jestem zbyt pijany, by zrobić to porządnie, i nie obrażę cię w ten sposób.

Wbiła w niego skonsternowane spojrzenie, zbyt przepełniona pożądaniem, by myśleć rozsądnie. Jej pierś mrowiła i pulsowała.

– Wcale mnie nie obrazisz. Całkiem nieźle sobie radziłeś…

– I to jeszcze na podłodze do tego wszystkiego – mamrotał. – Mój Boże. Wybacz mi, Livio. Nie zasługujesz na takie traktowanie.

– Wybaczam ci – zapewniła go pospiesznie. – W ogóle nie było mi niewygodnie. Bardzo lubię ten dywan. Wróćmy więc do…

Jej towarzysz jednak już wstał. Dopiero później Livia dowiedziała się, że Gideon miał obsesję na punkcie rycerskości. Znalazł więc szlafrok, owinął się nim i przewiązał pasek w talii. Wrócił do niej i pomógł jej się podnieść.

– Przepraszam – powiedział, wygładzając jej ubranie i niezdarnie zapinając suknię.

– Doprawdy nic się nie…

– Musisz wyjść, Livio. Teraz, zanim znów się na ciebie rzucę.

Tylko duma powstrzymała ją przed zapewnieniem go, że jest otwarta na wszelkie sugestie. Z taką determinacją próbował się jej pozbyć... Westchnęła pokonana i pozwoliła wyprowadzić się z sypialni.

– Posłałam twojego pokojowego po kanapki – poinformowała go, idąc przed nim korytarzem.

– Czyżby?

– Tak, i oczekuję, że zjesz wszystkie. Na dzisiaj koniec z brandy.

– Nie jestem głodny.

– Ale zjesz kanapki – oświadczyła najsurowszym tonem, na jaki mogła się zdobyć. – Będzie to twoja kara za to, że próbowałeś zniewolić mnie na podłodze…

– Dobrze – przerwał jej pospiesznie. – Zjem kanapki.

Przygryzła wargę, by się nie uśmiechnąć, pozwoliła, aby otworzył przed nią drzwi, i przekroczyła próg. Dopiero gdy drzwi zamknęły się za nią, westchnęła drżąco i dokończyła zdanie:

– …choć bardzo żałuję, że nie dokończyłeś!

ROZDZIAŁ 15

Przesadą byłoby utrzymywać, że Gideon Shaw był całkowicie trzeźwy, gdy następnego dnia McKenna zapakował go do powozu. Ale był chociaż czysty i ogolony, nawet jeśli blady jak ściana pod błyszczącą grzywą fachowo przyciętych włosów. Postanowili zatrzymać się w Rutledge, londyńskim hotelu, będącym kompleksem czterech luksusowych budynków wynajmowanych zamożnym dżentelmenom i rodzinom z zagranicy. McKenna miał nadzieję, że negocjacje w sprawie inwestycji zajmą go na tyle, by przestał myśleć o Aline. Przynajmniej na kilka minut dziennie.

Z siedzenia naprzeciwko dobiegł go słaby jęk. Dręczony wyraźnymi mdłościami Gideon nie powiedział jeszcze ani słowa tego ranka.

– Do ciężkiej cholery – mruknął teraz niewyspany. – Jadę tyłem. Zamień się ze mną miejscami, co?

McKenna zgodził się, wiedząc, że Gideon żywi awersję do siedzenia tyłem do kierunku jazdy. Gdy się zamienili, Gideon oparł stopę na poduszce naprzeciwko, nie dbając o to, że może ubrudzić aksamitną tapicerkę.

– Nad czym tak dumasz? – Zacisnął dłonie na czaszce, jakby obawiał się, że zaraz spadnie mu z ramion. – Nie kotłowałeś się jeszcze z lady Aline?

McKenna spojrzał na niego spod zmrużonych powiek. Gideon westchnął i potarł bolące skronie.

– Powiem jedno… Te kobiety Marsdenów i ich arystokratyczne małe dziurki mają w sobie coś, czemu nie sposób się oprzeć.

Uwaga ta tak doskonale oddawała również jego uczucia, że McKenna musiał uśmiechnąć się ponuro.

– Widzę, że zainteresowała cię Livia.

– Tak – padła niezbyt zadowolona odpowiedź. – To zainteresowanie przyprawiło mnie o najgorszy przypadek sinych jąder, jaki miałem od lat.

McKenna był zdumiony. Nie miał pojęcia, że siostra Aline aż tak pociąga przyjaciela. Związek ten wydawał mu się nieodpowiedni pod każdym względem.

– Nie jesteś dla niej o wiele za stary?

Gideon odnalazł w połach surduta swoją nieodłączną towarzyszkę piersiówkę, po czym z ogromną irytacją odkrył, że zapomniał ją napełnić. Rzucił puste naczynie na podłogę i zmierzył je gniewnym spojrzeniem.

– Jestem dla niej o wiele za wszystko. Za stary, zbyt zblazowany, zbyt spragniony… Ta cholerna lista nie ma końca.

– Uważaj na siebie, bo Westcliff cię zaszlachtuje i nadzieje jak bożonarodzeniową gęś.

– Jeśli upora się z tym szybko, ma moje błogosławieństwo – mruknął Gideon posępnie. – Niech cię szlag, McKenna, żałuję, że dałem się namówić na wizytę w Stony Cross. Trzeba było jechać od razu do Londynu, załatwić interesy i jak najszybciej wrócić do Nowego Jorku.

– Nie musiałeś ze mną jechać – wytknął mu McKenna.

– Uroiło mi się, że powinienem trzymać cię z dala od kłopotów. I chciałem się przekonać, jak wygląda kobieta, która potrafi zamienić cię w takiego cielaka.

Poirytowany McKenna wbił wzrok w szybę, za którą rozciągał się spokojny wiejski krajobraz. „Tylko lady Aline Marsden – pomyślał nienawistnie – kobieta o tak wyrafinowanym guście, że wolała pozostać niezamężna, niż zaakceptować konkurenta poniżej swoich standardów”.

– Chcę zabrać ją do Nowego Jorku – oświadczył na głos.

Gideon długo milczał.

– Czy lady Aline dała ci do zrozumienia, że rozważyłaby taką propozycję?

– Nie, wręcz przeciwnie. Jasno dała mi do zrozumienia, że wszystko, co wykracza poza ramy pięciominutowego pieprzenia, jest

wykluczone. Ponieważ nie wywodzę się z jej warstwy społecznej.

Gideon nie wydawał się tym zaskoczony.

– Oczywiście. Jesteś człowiekiem pracującym, a w naszej kulturze nade wszystko ceni się gnuśność i żywi pogardę dla ambicji.

– Ty pracujesz!

– Tak, ale nieregularnie, i wszyscy wiedzą, że nie muszę. Do tego moje pieniądze są stare jak na nowojorskie standardy. – Zastanawiał się przez chwilę, po czym podjął wątek: – Nie zrozum mnie źle, McKenna… Jesteś najlepszym człowiekiem, jakiego znam, i oddałbym za ciebie życie, gdyby to było konieczne. Fakty są jednak takie, że w kategoriach społecznych nie dzieli cię od lady Aline jeden stopień, lecz długi lot z samego szczytu góry.

Słowa Gideona nie poprawiły McKennie nastroju. Wiedział jednak, że zawsze może liczyć na jego szczerość – którą cenił o wiele wyżej niż niezliczone kłamstwa w dobrej wierze. Pokiwał więc tylko głową i wbił gniewny wzrok w czubki swoich lśniących czarnych butów.

– Nie powiedziałbym jednak, że twoja sytuacja jest całkiem beznadziejna – kontynuował Gideon. – Masz pewne zalety, które mogłyby nakłonić wiele kobiet, może nawet lady Aline, do przymknięcia oka na fakt, że jesteś przerośniętym kundlem. Damy postrzegają cię jako dość atrakcyjnego i wszyscy wiedzą, że pieniędzy ci nie brakuje. Jesteś też cholernie przekonujący, jeśli tylko chcesz. Nie mów mi więc, że nie zdołasz przekonać trzydziestoletniej starej panny z Hampshire do ślubu. Zwłaszcza jeśli rzeczona stara panna już zademonstrowała gotowość do… cóż… obdarzenia cię przychylnością, co – jak mniemam – najwyraźniej już się stało.

McKenna zmierzył go gniewnym spojrzeniem.

– A kto mówi o małżeństwie?

Jego pytanie całkiem zaskoczyło Gideona.

– Przecież sam właśnie powiedziałeś, że chcesz zabrać ją do Nowego Jorku.

– Nie jako żonę.

– Jako kochankę? – zapytał Gideon szczerze zdumiony. – Chyba nie wierzysz, że zniżyłaby się do przyjęcia takiej propozycji.

– Zmuszę ją, by się zgodziła… Wszelkimi możliwymi środkami.

– A jej związek z lordem Sandridge’em?

– Zakończę go.

Na twarzy Gideona odmalowała się autentyczna konsternacja.

– Mój Boże. Źle zrozumiałem, McKenna, czy ty naprawdę zamierzasz zaprzepaścić wszelkie nadzieje lady Aline na małżeństwo, oczernić jej nazwisko na dwóch kontynentach, zerwać wszystkie jej więzy z rodziną i przyjaciółmi oraz zniszczyć najmniejszą szansę na jej powrót na łono przyzwoitego społeczeństwa? A przy okazji jeszcze pewnie spłodzić z nią bękarta?

Na samą myśl o tym McKenna uśmiechnął się chłodno.

– Lady Marsden rodzi bękarta bękartowi… Tak, to by mi odpowiadało.

Gideon zmrużył powieki.

– Niech to szlag… Nigdy bym nie pomyślał, że jesteś zdolny do takiej nikczemności.

– W takim razie w ogóle mnie nie znasz.

– Na to wygląda – mruknął Gideon, ze zdumieniem kręcąc głową. Choć było widać, że pragnie kontynuować tę rozmowę, wyjątkowo wyboisty odcinek drogi sprawił, że osunął się na kanapę i znów chwycił się z jękiem za głowę.

McKenna odwrócił wzrok do okna. Chłodny uśmiech nie schodził mu z twarzy.

Radość Marcusa z okazji wyjazdu Shawa i McKenny trwała dokładnie jeden dzień… Dopóki nie odkrył, że Livia wyjechała do Londynu następnego ranka. Udało jej się spakować i przygotować do podróży w całkowitej tajemnicy. Aline była pewna, że ktoś ze służby zdradzi jej plan, zanim Livia opuści dom. Ale dzięki pani Faircloth wszystkie usta od spiżarni po stajnie pozostały zamknięte – nikt nie zamierzał ściągać na siebie gniewu gospodyni.

Powóz Livii odjechał, gdy pierwsze blade promienie słońca padły na podjazd posiadłości. Aline westchnęła z ulgą, stojąc w holu w bladobłękitnej sukni porannej i znoszonych pantoflach. Uśmiechnęła się do pani Faircloth, która od początku miała

ambiwalentny stosunek do tego planu, mimo to udzieliła im wszelkiej pomocy.

– Pani Faircloth – powiedziała Aline, dotykając dłoni gospodyni. Ich palce przelotnie się splotły. – Od ilu lat obserwuje pani z boku, jak Marsdenowie robią rzeczy, których pani nie pochwala?

Gospodyni uśmiechnęła się, słysząc to pytanie. Stały obok siebie w milczeniu, obserwując powóz, który zniknął na końcu podjazdu.

Nagle zaskoczył je donośny głos Marcusa. Aline odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z bratem, który miał na sobie strój do polowania. Jego wzrok był chłodny i ponury.

– Wyjaśnisz mi, co tu się dzieje? – zapytał szorstko.

– Oczywiście, mój drogi. – Zerknęła na gospodynię. – Dziękuję, pani Faircloth… Na pewno czekają na panią obowiązki.

– Tak, milady – padła natychmiastowa i pełna wdzięczności odpowiedź. Gospodyni nie miała zamiaru paść ofiarą jednego z rzadkich, lecz gwałtownych wybuchów wściekłości Marcusa. Odeszła więc szybko w obłoku czarnych spódnic.

– Kto odjechał w powozie? – zapytał Marcus władczo.

– Może usiądziemy w salonie? – zasugerowała. – Zadzwonię po herbatę i…

– Tylko mi nie mów, że to była Livia.

– Dobrze, nie powiem. – Po czym dodała z zakłopotaniem: – Ale to była ona. I zanim wpadniesz w szał z tego powodu…

– Na wszystko, co święte, powiedz mi, że moja siostra nie uciekła do Londynu, żeby uganiać się za jakimś przeklętym libertynem! – warknął Marcus w morderczej furii.

– Livia doskonale sobie poradzi – wtrąciła pospiesznie. – Zatrzyma się w Marsden Terrace, ma przyzwoitkę i…

– Jadę po nią natychmiast.

Marcus wyprostował masywne ramiona i ruszył do drzwi.

– Nie! – Miał dobre intencje, ale jego apodyktyczność właśnie przekroczyła wszelkie granice. – Nie zrobisz tego, Marcusie. – Nie podniosła głosu, lecz jej ton sprawił, że brat znieruchomiał. – Jeśli ośmielisz się za nią jechać, zastrzelę pod tobą konia.

Okręcił się na pięcie i wbił w nią pełne niedowierzania spojrzenie.

– Dobry Boże, Aline. Nie muszę ci chyba mówić, co ona ryzykuje…

– Doskonale wiem, co ryzykuje Livia. Ona również to wie.

Przemknęła obok niego i weszła do salonu, a Marcus podążył w jej ślady. Zamknął za nimi drzwi kopnięciem.

– Podaj mi jeden dobry powód, dla którego powinienem tu zostać i nic nie robić!

– Jeśli interweniujesz, Livia znienawidzi cię na zawsze.

Ich spojrzenia się zwarły. Furia zaczęła go powoli opuszczać, aż w końcu osunął się ciężko na pobliski fotel. Nie mogła mu nie współczuć – wiedziała, że dla człowieka jego pokroju ta wymuszona bierność to najgorsza tortura.

– Dlaczego to musi być on? – wymamrotał. – Dlaczego nie mogła wybrać jakiegoś przyzwoitego młodego człowieka z porządnej angielskiej rodziny?

– Pan Shaw nie jest taki zły – odparła, nie mogąc powstrzymać uśmiechu.

Posłał jej ponure spojrzenie.

– Mówisz tak, bo widzisz tylko te jego blond włosy i pusty urok, a także tę przeklętą amerykańską bezczelność, która tak pociąga kobiety.

– Zapominasz o wszystkich tych amerykańskich pieniądzach – zażartowała.

Podniósł wzrok do sufitu, ewidentnie zastanawiając się, co takiego uczynił, że został tak pokarany przez los.

– Wykorzysta ją, a potem złamie jej serce – mruknął tonem wyzutym z emocji. Tylko ktoś, kto go dobrze znał, usłyszałby pełną lęku obawę w jego głosie.

– Och, Marcusie – pocieszyła go łagodnie – jesteśmy z Livią o wiele silniejsze, niż ci się wydaje. Wszyscy muszą zaryzykować złamane serce od czasu do czasu. – Stanęła za jego fotelem i pogłaskała go po krótkich czarnych włosach. – Nawet ty.

Wzruszył ramionami i z irytacją uciekł głową spod jej ręki.

– Ja nie podejmuję zbędnego ryzyka.

– Nawet w imię miłości?

– Zwłaszcza wtedy.

Uśmiechając się czule, pokręciła głową.

– Biedny Marcus… Nie mogę się doczekać dnia, w którym ulegniesz urokowi jakiejś damy.

Wstał z fotela.

– Będziesz musiała bardzo długo na to czekać – odparł, po czym energicznie wyszedł z saloniku.

Hotel Rutledge przechodził obecnie zdumiewającą metamorfozę, której rezultatem miała być bez wątpienia opinia najelegantszego i najnowocześniejszego takiego przybytku w Europie. W ciągu ostatnich pięciu lat jego właściciel, Harry Rutledge – dżentelmen dość zagadkowego pochodzenia – po cichu i nie zważając na nic, wykupił każdą działkę na ulicy pomiędzy Capitol Theater a brzegiem Tamizy, w sercu londyńskiej dzielnicy teatrów. Pragnąc stworzyć najwspanialszy hotel w Wielkiej Brytanii, często odwiedzał Amerykę, by zapoznać się z najnowszymi trendami w projektowaniu i funkcjonowaniu hoteli, które tam rozwijały się szybciej niż gdziekolwiek indziej. Obecnie Rutledge składał się z rzędu prywatnych domów, które lada dzień miały zostać wyburzone, by zrobić miejsce dla monumentalnego budynku, jakiego Londyn jeszcze nie widział.

Lord Westcliff zaproponował McKennie i Gideonowi gościnę w Marsden Terrace, lecz oni wybrali wygodniejsze położenie Rutledge. Oczywiście Harry Rutledge przedstawił im się jako bliski przyjaciel Westcliffa, co Gideon kwaśno skwitował uwagą, że hrabia zdecydowanie nie może narzekać na brak przyjaciół. A zamieszkawszy w elegancko urządzonym apartamencie pełnym mahoniowych mebli z mosiężnymi okuciami, Gideon szybko stwierdził, że hotel zasługuje na swoją nieposzlakowaną reputację. Po dobrze przespanej nocy i śniadaniu, na które składały się naleśniki i niedostępne o tej porze roku jaja siewki, postanowił poprawić również swoją opinię o Londynie. Musiał przyznać, że miasto z tyloma kawiarniami, ogrodami i teatrami nie może być całkiem złe. Co więcej, to tutaj przyszła na świat kanapka i nowoczesny parasol, dwa najwspanialsze wynalazki ludzkości.

Dzień pełen spotkań i długa kolacja w miejscowej tawernie powinny całkiem pozbawić go sił, mimo to nie zdołał zasnąć kolejnej nocy. Powód, dla którego był taki niespokojny, nie stanowił dla niego żadnej zagadki – tym razem jego umiejętność okłamywania samego siebie zawiodła na całej linii. Coraz bardziej obawiał się, że zakochuje się w Livii Marsden. Pragnął jej, uwielbiał ją, tęsknił za nią w każdej chwili każdego dnia. Ilekroć jednak zastanawiał się, co począć z tym fantem, nie znajdował rozwiązania. Nie należał do zwolenników małżeństwa, a nawet gdyby zmienił w tej kwestii zdanie, za bardzo mu na niej zależało, by narażać ją na kontakty ze stadem rekinów, czyli swoją rodziną. Przede wszystkim jednak zbyt mocno związał się z butelką, by na poważnie rozważać ożenek… I nie sądził, by to mogło się zmienić, nawet gdyby chciał.

Na zewnątrz rozpętała się burza, pioruny warczały i grzmiały do wtóru ulewnemu deszczowi. Uchylił okno na centymetr, by wpuścić do pokoju zapach letniego dżdżu. Ułożył się wygodnie na czystej lnianej pościeli i postanowił przestać myśleć o Livii. Nie udało się. W środku nocy uratowało go jednak pukanie do drzwi, za którymi rozległ się cichy głos jego pokojowego.

– Panie Shaw? Przepraszam, proszę pana… Ktoś czeka na pana w holu. Poprosiłem, by wróciła o stosowniejszej porze, ale ona nie chce wyjść.

Gideon usiadł, ziewnął i podrapał się po piersi.

– Ona?

– Lady Olivia, proszę pana.

– Livia? – zapytał zdumiony. – To nie może być ona. Ona jest w Stony Cross.

– To zdecydowanie ona, proszę pana.

– Jezu.

Wyskoczył z łóżka jak rażony piorunem i w pośpiechu włożył szlafrok, by okryć nagość.

– Coś się stało? Jak wygląda?

– Jest mokra, proszę pana.

„Wciąż pada”, uświadomił sobie z rosnącą troską, zastanawiając się, po co Livia zjawiła się tutaj w środku burzy.

– Która godzina?

Pokojowy, który sam najwyraźniej odziewał się w wielkim pośpiechu, westchnął znękany.

– Druga w nocy.

Zbyt zmartwiony, by zawracać sobie głowę pantoflami i czesaniem włosów, Gideon wyszedł z sypialni i podążył za służącym do holu.

Livia stała na środku w kałuży wody. Uśmiechnęła się do niego, choć jej orzechowozielone oczy były wyraźnie zmęczone pod rondem przemoczonego kapelusza. I w tej właśnie chwili, patrząc na nią z drugiego końca korytarza, Gideon Shaw, cynik, hedonista, pijak i libertyn, beznadziejnie się zakochał. Nigdy jeszcze żadna ludzka istota nie zachwyciła go tak absolutnie. Był tak oczarowany, że obudziła się w nim głupia nadzieja. Tysiąc czułych słów zaczęło cisnąć mu się na usta i nagle uświadomił sobie, że stał się w każdym calu takim samym cielęciem, za jakie uważał jeszcze wczoraj McKennę.

– Livio – powiedział cicho, podchodząc do niej. Objął wzrokiem jej zaczerwienioną twarz i pomyślał, że wygląda jak przemoczony anioł. – Czy coś się stało?

– Nic się nie stało.

Spojrzała na jego jedwabny szlafrok i gołe stopy i zaraz potem oblała się rumieńcem, uświadomiwszy sobie, że pod spodem musi być nagi.

Nie mogąc opanować obezwładniającego pragnienia, by jej dotknąć, podszedł bliżej i wziął od niej płaszcz, z którego na posadzkę spłynęły strugi wody. Wręczył okrycie służącemu, który powiesił je na pobliskim wieszaku. W ślad za płaszczem trafił tam przemoczony kapelusz. Livia zaczęła się trząść z zimna, bo spódnica jej sukni również była przemoczona i ubłocona.

– Po co przyjechałaś do miasta? – zapytał łagodnie.

Zuchwale wzruszyła ramionami, szczękając przy tym zębami.

– M-muszę zrobić zakupy. Zatrzymałam się w Marsden Terrace. A sk-koro mieszkamy tak blisko siebie, p-postanowiłam, że złożę ci wizytę.

– W środku nocy?

– Sklepy otwierają dopiero o dziewiątej – oświadczyła rozsądnie. – B-będziemy więc mogli chwilę p-porozmawiać.

Posłał jej ironiczne spojrzenie.

– Tak, jakieś siedem godzin. Porozmawiamy w salonie?

– Nie… W twojej sypialni.

Objęła się ramionami, żeby powstrzymać ich drżenie.

Spojrzał jej w oczy, szukając w nich niepewności, lecz odnalazł tylko pragnienie bliskości, które odpowiadało jego pragnieniom. Nie odwróciła wzroku, choć trzęsła się jak osika. „To z zimna – pomyślał. – Właściwie powinienem ją rozgrzać".

Nagle postanowił zacząć działać, zanim ulegnie podszeptom zdrowego rozsądku. Przywołał gestem służącego i nakazał mu odesłać lokaja i powóz sprzed wejścia, po czym dodał, że lady Olivię trzeba będzie dyskretnie odwieźć do jej rezydencji z samego ranka.

Ujął dłoń Livii, otoczył jej plecy ramieniem i poprowadził ją do swego pokoju.

– Nie posłałem. Nie spodziewałem się towarzystwa o tej porze.

– Mam nadzieję – odparła skromnie, jakby wcale nie zamierzała zaraz wdać się z nim w potajemny romans.

Zamknął za nimi drzwi i rozpalił ogień w kominku. Livia stała przed nim posłusznie, skąpana w migoczącym blasku płomieni, gdy zaczął ją rozbierać. Milczała, uniosła tylko ręce, kiedy okazało się to konieczne, i wyszła z sukni, która zsunęła się na podłogę, zmieniając w mokrą stertę. Po kolei rozwieszał jej mokre ubrania na krzesłach, ostrożnie zdejmując warstwy muślinu, bawełny i jedwabiu z jej ciała. Gdy w końcu stanęła przed nim naga, a blask ognia ozłocił jej szczupłe ciało i długie jasnobrązowe włosy, nie zatrzymał się, by na nią spojrzeć. Zamiast tego zdjął szlafrok i otulił ją jedwabiem rozgrzanym przez swoją skórę. Pisnęła cicho, gdy wziął ją na ręce, zaniósł do łóżka i położył na pomiętych prześcieradłach. Otulił ją kołdrą, po czym położył się obok i wziął ją w ramiona. Wtulił się w nią jak łyżeczka i oparł policzek na burzy jej włosów.

– Już w porządku? – szepnął.

Westchnęła głęboko.

– O tak.

Długo leżeli obok siebie, aż Livia się rozluźniła i rozgrzała. Poruszyła stopą, badając palcami jego owłosioną nogę. Gwałtownie wciągnął powietrze, gdy poczuł, że nieco przesunęła biodra, by

wtulić je w jego lędźwie. Rozdzielała ich tylko warstwa cienkiego materiału, od razu więc poczuła jego obrzmiały członek.

– Jesteś trzeźwy? – zapytała, mocniej się w niego wtulając.

Zmysłowy dotyk jej pośladków na jego wzwiedzionej męskości podniecał go aż do bólu.

– Od czasu do czasu bywam, mimo iż wiele wysiłku wkładam w to, by tego unikać – odparł chrapliwie. – Czemu pytasz?

Wzięła go za rękę i położyła ją na swojej piersi.

– Teraz możesz mnie uwieść i nie będziesz mógł potem utrzymywać, że nie wiedziałeś, co robisz.

Słodki wzgórek pod jego palcami okazał się zbyt kuszący, by zdołał mu się oprzeć. Pogłaskał go lekko przez jedwab, po czym wsunął dłoń pod poły szlafroka.

– Livio, kochanie, najgorsze jest to, że ja prawie zawsze wiem, co robię.

Pisnęła cicho, gdy potarł jej brodawkę kciukiem i palcem wskazującym.

– Dlaczego to jest najgorsze?

– Ponieważ w takich chwilach moje sumienie krzyczy, bym zostawił cię w spokoju.

Odwróciła się do niego i przełożyła nogę przez jego biodra.

– Oto wiadomość dla twojego sumienia – powiedziała, po czym przywarła do niego ustami.

Nie potrzebując dalszej zachęty, Gideon zawładnął jej ustami w powolnych, badawczych pocałunkach. Rozchylił poły szlafroka, jakby obierał delikatny egzotyczny owoc, i obnażył ją, po czym zaczął czule muskać wargami jej pokrytą meszkiem skórę. Gdy odnalazł miejsce, w którym jej puls bił najmocniej, przesunął po nim ustami i językiem, po czym chwycił lekko zębami, aż zajęczała z rozkoszy. Nigdy jeszcze nie czuł tak obezwładniającego pragnienia, by penetrować, badać, posiąść inną ludzką istotę. Szepcząc jej imię, włożył dłoń między jej uda, gdzie zebrała się jedwabista wilgoć, i wsunął w nią palce. Livia zesztywniała pod jego dotykiem, a jej skóra zaróżowiła się z namiętności, podczas gdy jej dłonie zaciskały się i rozluźniały na jego ramionach.

Pieścił ją leniwie, rozkoszując się jej nieobecną miną, zmysłową bezradnością kobiety, która zbliża się do orgazmu. Zamknęła oczy i poddała się jego delikatnym zabiegom, jęcząc i wyginając się w narastającej rozkoszy. Osiągnęła szczyt, zesztywniała i lekko podwinęła palce stóp.

– Tak – szepnął, wodząc kciukiem po jej łechtaczce. – Tak, moja słodka, moje kochanie…

Ukoił ją powoli, rysując zmysłowe wzory w wilgotnej kępce włosów, całował jej piersi, aż znieruchomiała pod nim. Wtedy przycisnął usta do miękkiej skóry na jej brzuchu i rozchylił jej uda dłońmi.

Jęknęła, gdy odnalazł ją językiem, jednocześnie kciukiem rozciągając obrzmiałą szczelinę jej ciała. Skubał i pieścił, rozkoszując się dźwiękami, które wydawała, rytmicznym ruchem bioder, które unosiły się ku jego wymagającym wargom. Czując delikatny ucisk jej mięśni na kciuku, uświadomił sobie, że znalazła się na krawędzi kolejnego orgazmu, i powoli cofnął rękę. Zaprotestowała cicho i cała wygięła się ku niemu. Ułożył się na niej, rozpostarł jej drżące kończyny i wdarł się w ciepłą, pulsującą miękkość.

– O Boże – szepnął, sparaliżowany intensywną rozkoszą.

Livia zaczęła mruczeć, zacisnęła szczupłe ramiona na jego plecach i uniosła biodra, by przyjąć go głębiej. Odpowiadał na jej ruchy instynktownie, nacierając, pchając i przymuszając, aż słodki kontakt dwóch ciał okazał się nie do zniesienia. Wstrzymała oddech i zadygotała, a jej ciało zacisnęło się wokół niego w przeszywającej wewnętrznej pieszczocie. Wycofał się z niej z ostrym krzykiem, a jego członek eksplodował w gorączkowym spełnieniu na jej brzuchu. Z jękiem opadł na poduszkę obok niej, czując łomotanie w piersi, lędźwiach i uszach.

Upłynęła długa chwila, zanim któreś z nich przemówiło. Livia uniosła twarz z jego ramienia i uśmiechnęła się sennie.

– Amberley nigdy nie robił tak na końcu – powiedziała, przeczesując palcami włosy na jego torsie.

Uśmiechnął się na wzmiankę o swojej rejteradzie w ostatniej chwili.

– To kawiarniana metoda zapobiegania ciąży.

– Kawiarniana?

– Wchodzisz i wychodzisz, niczego nie zostawiając – wyjaśnił, a ona szturchnęła go ze śmiechem. Złapał ją za nadgarstki. – Livio… Muszę cię chronić przed konsekwencjami tego, co robimy, dopóki…

– Wiem – przerwała mu, odsuwając się. Ewidentnie nie miała teraz ochoty na poważne dyskusje. Wstała i uśmiechnęła się do niego prowokacyjnie. – Później o tym porozmawiamy. A teraz…

– Tak?

– Chodź i wykąp się ze mną – zażądała.

A on bez wahania spełnił jej życzenie.

ROZDZIAŁ 16

Budząc się po raz pierwszy w ramionach Gideona Shawa, Livia poczuła się tak, jakby cały świat się zmienił, gdy spała. Nie spodziewała się, że znów poczuje tę intymną więź z mężczyzną. „Może tylko ci, którzy kochali i utracili miłość, potrafią prawdziwie docenić tę magię", pomyślała, tuląc się do jego boku. Gdy spał, a jego twarz wyzbywała się typowej dla siebie ekspresji, przypominał surowego anioła. Uśmiechnęła się, wodząc wzrokiem po jego pięknych rysach, długim, prostym nosie, zmysłowych ustach i paśmie złotych włosów, które opadało mu na czoło.

– Jesteś przystojny aż do przesady – poinformowała go, gdy ziewnął i się przeciągnął. – To cud, że ktokolwiek bierze cię na poważnie.

– Nie chcę, żeby ludzie brali mnie na poważnie – oznajmił schrypniętym głosem. – To mogłoby się okazać niebezpieczne.

Uśmiechnęła się i odsunęła mu włosy z czoła.

– Muszę wrócić do Marsden Terrace, zanim pani Smedley się obudzi.

– Kim jest pani Smedley?

Przetoczył się na nią i przycisnął ją do materaca, wtulając nos w jej ciepłą szyję.

– To moja przyzwoitka. Jest stara, prawie głucha i bardzo słabo widzi.

– Doskonale. – Uśmiechnął się lekko. Przesunął się niżej, objął jej piersi dłońmi i ucałował je delikatnie. – Mam rano spotkanie. Ale po południu chciałbym zabrać ciebie i panią Smedley… na lody?

– Tak, i może na panoramę. – Jej skóra zaróżowiła się na skutek jego zabiegów, a sutki zesztywniały, gdy pobudził je wilgocią ust. – Gideonie…

– Moim zdaniem – mruknął – urok panoramy blednie w porównaniu z tym widokiem.

– Już prawie świt – zaprotestowała, wijąc się pod nim. – Muszę iść.

– Módl się, żeby tego ranka pani Smedley zaspała – odparł, ignorując jej protesty.

Później tego dnia okazał się najbardziej uroczym towarzyszem, jakiego można sobie wymarzyć, zwłaszcza dla pani Smedley, która przypominała kwokę w brązowej sukni z jedwabiu i z piórami przy kapeluszu. Obserwowała go przez grube soczewki binokli, ale nie widziała go dość dobrze, by dać się uwieść jego oszałamiającej urodzie. Fakt, że był Amerykaninem, również nie przemawiał na jego korzyść, ponieważ pani Smedley żywiła głęboką podejrzliwość wobec obcych. Ale Gideon i tak podbił jej serce czystym uporem. Zakupił najlepsze miejsca na panoramę, która przedstawiała krajobrazy Neapolu i Konstantynopola, usiadł obok niej i cierpliwie wykrzykiwał opisy do ogromnej trąbki, którą przyciskała do ucha. Podczas przerwy raz po raz donosił jej przekąski. Później, gdy jeździli powozem po Hyde Parku, wysłuchał z pokorą jej donośnego wykładu na temat zgubnych skutków palenia tytoniu. Jego potulne wyznanie, że sam od czasu do czasu raczy się cygarem, sprawiło, że pani Smedley wybuchnęła ekstatyczną dezaprobatą, co pozwoliło jej kontynuować z nową siłą. Tytoń jest taki paskudny, taki niemoralny… A siedzenie w palarniach naraża na wulgarny i obsceniczny język, co wcale nie niepokoiło go tak, jak powinno.

Widząc, jak doskonale bawi się pani Smedley, ganiąc Gideona, Livia nie potrafiła powstrzymać uśmiechu. Od czasu do czasu ich spojrzenia się spotykały, a wesołość w jego niebieskich oczach sprawiała, że czuła ucisk w gardle.

Gdy wykład o tytoniu dobiegł końca, rozpoczęła się nauka etykiety, a następnie prelekcja na temat zalotów – teraz to Livia zaczęła się krzywić, podczas gdy Gideona ewidentnie bawiły prawdy wygłaszane przez panią Smedley.

– …człowiek nie powinien wiązać się z kimś, kto jest do niego podobny kształtem, temperamentem czy choćby wyglądem – pouczała ich oboje przyzwoitka. – Ciemnowłosy dżentelmen na przykład nie powinien żenić się z brunetką, tak jak korpulentny mężczyzna nie powinien żenić się z pulchną dziewczyną. Ci o ciepłym sercu powinni się łączyć w pary z tymi o zimnej krwi, nerwowi ze stoikami, a namiętni powinni wybierać intelektualistów.

– Czyli dwie namiętne jednostki nie powinny stawać razem na ślubnym kobiercu? – Gideon nie patrzył na Livię, lecz jakimś cudem zdołał uniknąć kopniaka, który wymierzyła w jego łydkę. Jej stopa bezboleśnie zderzyła się z lakierowanym panelem.

– Oczywiście, że nie – padła emfatyczna odpowiedź. – Proszę sobie wyobrazić pobudliwą naturę ich dzieci!

– Przerażające – zgodził się, zerkając na Livię i kpiąco unosząc brwi.

– A najważniejsza jest pozycja społeczna – kontynuowała pani Smedley. – Tylko ludzie równi sobie powinni łączyć się w pary… A jeśli wystąpi nierówność, to mąż powinien stać wyżej niż małżonka. Niemożliwe bowiem, by kobieta szanowała męża niżej urodzonego niż ona.

Livia nagle znieruchomiała, a Gideon umilkł. Nie musiała na niego patrzeć, by wiedzieć, że pomyślał o McKennie i Aline.

– Czy będę miała okazję zobaczyć McKennę w Londynie? – zapytała Gideona, gdy pani Smedley kontynuowała swoją przemowę, nie zważając na to, że nikt jej nie słucha.

Pokiwał głową.

– Jutro wieczorem, jeśli uczynisz mi zaszczyt i zgodzisz się pójść ze mną do teatru.

– Tak, bardzo bym chciała. – Urwała, po czym zapytała ciszej: – Czy McKenna mówił coś o mojej siostrze?

Zawahał się i obrzucił ją ostrożnym spojrzeniem.

– Tak.

– Czy zwierzał ci się z natury swoich uczuć do niej?

– Można tak powiedzieć – mruknął sucho. – Jest nieco rozgoryczony… I bardzo spragniony zemsty. Rany, które mu zadała wiele lat temu, były tak głębokie, że prawie go zabiły.

Poczuła przypływ nadziei, a zaraz po nim rozpaczy.

– To nie była jej wina – wyznała. – Ale ona nigdy nie wyjaśni mu sama, co się stało ani dlaczego tak się zachowała.

Spojrzał na nią z napięciem.

– Powiedz mi.

– Nie mogę – odparła z nieszczęśliwą miną. – Obiecałam siostrze, że nigdy nie zdradzę jej tajemnic. Kiedyś to samo obiecała mi przyjaciółka, która potem złamała słowo i sprawiła mi tym wiele bólu. Nie mogłabym zdradzić Aline w ten sposób. – Nie potrafiąc odczytać nic z jego twarzy, przepraszająco zmarszczyła brwi. – Wiem, że moje milczenie ci się nie podoba, ale…

– Nie o tym myślę.

– A o czym?

– O tym, że wszystko, czego się o tobie dowiaduję, sprawia, że kocham cię jeszcze bardziej.

Na chwilę przestała oddychać, oszołomiona jego wyznaniem. Dopiero po dłuższym czasie odzyskała mowę.

– Gideonie…

– Nie oczekuję od ciebie takiej samej deklaracji – szepnął. – Choć raz pragnę doświadczyć przyjemności kochania kogoś, nie prosząc o nic w zamian.

Istnieją dwa rodzaje teatromanów – tacy, którzy naprawdę podziwiają sztukę, i zasadnicza większość, która bywa w teatrach z powodów czysto towarzyskich. Teatr to miejsce, w którym trzeba się pokazać, wymienić plotki i poflirtować. Siedząc w loży z Gideonem Shawem, McKenną, panią Smedley i dwiema innymi parami, Livia szybko zrezygnowała z prób śledzenia tego, co się dzieje na scenie, ponieważ większa część publiczności rozmawiała na głos przez całe przedstawienie. Usiadła więc wygodniej, by obserwować szpaler mężczyzn i kobiet odwiedzających ich lożę. Zdumiewające, jak wielkie zainteresowanie wzbudzali dwaj zamożni amerykańscy przemysłowcy.

Gideon był mistrzem rozmów salonowych – gawędził z gośćmi swobodnie i z uśmiechem – podczas gdy McKenna zachowywał większą wstrzemięźliwość, ograniczał się do nielicznych uwag i uważnie dobierał słowa. W oficjalnym czarno-białym stroju stanowił doskonałe tło dla złotej elegancji Gideona. Onieśmielał Livię, która jednocześnie podziwiała Aline za to, że udało się jej zauroczyć takiego mężczyznę.

Gdy Gideon poszedł po szklankę lemoniady dla niej i kieliszek kordiału dla pani Smedley, nadarzyła się okazja, by zamienić kilka słów z McKenną we względnej prywatności, jako że jej przyzwoitka była przecież głucha jak pień. McKenna był uprzejmy i pełen rezerwy. Na pozór nie potrzebował niczyjego współczucia, ale Livię poruszył jego żal. Za jego nieprzeniknioną fasadą dostrzegała bowiem oznaki zmęczenia, a cienie pod jego oczami świadczyły o wielu nieprzespanych nocach. Wiedziała, jakie to straszne kochać kogoś, kogo nie można mieć… A w wypadku McKenny było jeszcze gorzej, ponieważ miał się nigdy nie dowiedzieć, dlaczego Aline go odtrąciła. Gdy nieczyste sumienie podszepnęło jej, że ona również odegrała pewną rolę w wygnaniu go ze Stony Cross wiele lat temu, oblała się pąsem. Ku jej konsternacji McKenna zauważył zdradziecki rumieniec.

– Milady – mruknął – czy moje towarzystwo z jakiegoś powodu budzi w tobie niepokój?

– Nie – zaprotestowała natychmiast.

Spojrzał jej w oczy i odparł łagodnie:

– Wydaje mi się, że tak. Znajdę sobie inne miejsce, z którego obejrzę przedstawienie, jeśli tylko złagodzi to twój dyskomfort.

Gdy popatrzyła w jego zmęczone oczy, przypomniała sobie czarującego chłopca, którym kiedyś był, i uznała, że powinna go przeprosić po tych dwunastu latach. Poczuła niepokój na myśl o obietnicy, którą złożyła Aline, ale nie obiecywała przecież nie rozmawiać o manipulacjach ojca.

– McKenna... – zaczęła z wahaniem. – Moje zdenerwowanie bierze się ze wspomnienia czegoś, co zrobiłam wiele lat temu. Z niesprawiedliwości, jaką ci wyrządziłam.

– Masz na myśli ten okres, kiedy byłem na służbie w Stony Cross Park? – zapytał, marszcząc lekko brwi. – Byłaś wtedy małą dziewczynką.

Zaczęła się wiercić i odparła niskim głosem:

– Ale małe dziewczynki potrafią płatać figle… a ja nie byłam wyjątkiem. To przeze mnie zostałeś tak nagle odesłany do Bristolu.

Wbił w nią intensywne spojrzenie, lecz nic nie powiedział, by mogła kontynuować.

– Wiesz, że miałam w zwyczaju wszędzie chodzić za Aline i we wszystkim ją naśladować. Uwielbiałam ją. Wiedziałam też oczywiście o łączącym was uczuciu. Chyba byłam nawet nieco zazdrosna... pragnęłam miłości i uwagi Aline dla siebie. Była przecież dla mnie jak druga matka. Gdy więc przypadkiem zobaczyłam was pewnego dnia w powozowni, jak… – urwała i zaczerwieniła się jeszcze bardziej – ...zrobiłam najgorszą możliwą rzecz… Nie miałam świadomości konsekwencji tego czynu... Poszłam do ojca i powiedziałam mu, co widziałam. To dlatego odprawiono cię ze służby i odesłano do Bristolu. Gdy w końcu pojęłam, jakie były skutki mojego donosu, i zobaczyłam, jak Aline cierpi, poczułam potworną skruchę. Zawsze żałowałam tego, co zrobiłam, i choć nie oczekuję, że mi wybaczysz, pragnę, byś wiedział, że jest mi bardzo przykro z tego powodu.

– Cierpi? – powtórzył McKenna głosem wyzutym z emocji. – Lady Aline odprawiła mnie, ponieważ żałowała uczuć, które żywiła do służącego. Wiedziała, że wkrótce stanę się dla niej powodem do wstydu…

– Nie – przerwała mu żarliwie. – To przez naszego ojca… Nie możesz wiedzieć, jakim był mściwym człowiekiem. Zagroził Aline, że jeśli będzie próbowała się z tobą zobaczyć, osobiście cię zniszczy. Poprzysiągł, że nie spocznie, dopóki nie zostaniesz bez dachu nad głową i środków na utrzymanie… I skończysz martwy albo w więzieniu... A Aline mu uwierzyła. Wiedziała bowiem, do czego jest zdolny. Nie chciała, byś wyjeżdżał ze Stony Cross. Zrobiła to, co zrobiła, bo musiała cię chronić. By cię ratować. Jedyny powód, dla którego ojciec oddał cię do terminu w Bristolu, zamiast wyrzucić cię na ulicę, był taki, że Aline tego zażądała.

Zmierzył ją szyderczym spojrzeniem.

– Dlaczego więc mi tego wtedy nie powiedziała?

– Moja siostra wierzyła, że jeśli da ci choć cień nadziei, zaryzykujesz wszystko, by do niej wrócić. – Wbiła wzrok w swoje kolana, wygładziła jedwabną spódnicę i szepnęła: – Czy się w tej kwestii myliła?

Zapadła długa cisza.

– Nie – wyszeptał w końcu.

Podniosła wzrok i zauważyła, że McKenna obserwuje wydarzenia na scenie. Wydawał się całkowicie opanowany… Zdradzała go tylko mgiełka potu na czole i bladość knykci dłoni, którą zacisnął w pięść na udzie. Poczuła lęk, gdy doszła do wniosku, że zdradziła za dużo, lecz gdy już zaczęła, nie potrafiła przerwać. Musiała to wszystko wyjaśnić, choćby po to, by zrozumiał prawdę na temat tego jednego wydarzenia z przeszłości.

– Po twoim wyjeździe – dodała – Aline już nigdy nie była sobą. Kochała cię, McKenna… Na tyle, iż świadomie zdecydowała, że lepiej, byś ją nienawidził, niżby spotkała cię jakakolwiek krzywda.

Gdy przemówił, jego głos łamał się od nadmiaru rozgoryczenia:

– Gdyby to była prawda, już dawno by mi o tym powiedziała. Wasz ojciec nie żyje i pewnie smaży się w piekle… Nic więc nie mogło jej powstrzymać przed wyznaniem prawdy.

– Może – napomknęła Livia z wahaniem – nie chciała, byś czuł się wobec niej zobowiązany. A może bała się z jakiegoś powodu, który dopiero musisz odkryć. Gdybyś tylko…

Umilkła, gdy McKenna gwałtownie rozluźnił dłoń i uciszył ją gestem, wbijając niewidzący wzrok w scenę. Ale ona zauważyła drżenie jego ręki i zrozumiała, że ta informacja nim wstrząsnęła. Ona natomiast sądziła, że przyjmie ją z wdzięcznością lub nawet ulgą. Przygryzła wargę i umilkła zmieszana, podczas gdy McKenna opuścił rękę, nie przestając wpatrywać się w jakiś odległy przedmiot.

Z opresji wybawiło ją nadejście Gideona z lemoniadą. Shaw z niepokojem spojrzał na nią i na McKennę, wyczuwając napięcie w powietrzu. Usiadł obok niej i zainicjował lekką rozmowę, aż rumieniec zakłopotania zniknął z jej twarzy i znów zdołała się naturalnie uśmiechnąć.

McKenna natomiast wyglądał tak, jakby wpatrywał się w piekielną otchłań. Pot wciąż zbierał się na jego twarzy, aż mgiełka zamieniła się w ciężkie strugi, a każdy mięsień w jego ciele napiął się jak struna. Wydawał się całkowicie nieświadomy tego, co dzieje się wokół niego ani nawet gdzie się znajduje. Nagle wstał z fotela, mruknął coś pod nosem i pospiesznie opuścił lożę, jakby nie mógł już dłużej znieść tego napięcia.

Gideon odwrócił się do Livii i zmierzył ją zdumionym spojrzeniem.

– Na miłość boską, co zaszło między wami pod moją nieobecność?

McKenna wydostał się z budynku na ulicę, po której krążyli kupcy z Covent Garden. Minął masywne kolumny podtrzymujące fronton budynku i zatrzymał się w cieniu tej najodleglejszej. W jego umyśle i ciele panował chaos. Echo słów Livii rozbrzmiewało mu w uszach, pozbawiając go kontroli i sprawiając, że musiał się zastanowić, w co, do cholery, powinien wierzyć. Myśl, że wszystko, co w sobie pielęgnował przez dwanaście lat, może nie być prawdziwe, wstrząsnęła nim do głębi. Przeraziła go.

Nagle przypomniał sobie słowa, które sam wypowiedział wiele lat temu: „Aline… Nigdy nie wyjadę, chyba że mnie o to poprosisz…”.

To nie była do końca prawda. Musiałoby się wydarzyć o wiele więcej niż tylko to. Gdyby tlił się w nim choć cień nadziei, że Aline go kocha, wróciłby do niej naglony potrzebą, która pokonałaby instynkt samozachowawczy. A ona o tym wiedziała.

Otarł rękawem z najlepszego brokatu pot z czoła. Jeśli to była prawda... Jeśli Aline odtrąciła go, by uchronić go przed zemstą starego hrabiego, musiała go kochać. Może już nic z tego nie zostało, ale kiedyś go kochała...

Nie chciał w to uwierzyć, lecz jednocześnie wypełniała go burza emocji, których ludzkie ciało nie potrafiło opanować. Musiał do niej jechać, zapytać, czy to prawda. Lecz przecież znał już odpowiedź.

Kochała go…

Ta myśl sprawiła, że zakręciło mu się w głowie.

Przechodnie z zaciekawieniem przyglądali się ukrytej w mroku masywnej kolumny postaci, która zwieszała głowę niczym pokonany kolos. Nikt jednak nie ośmielił się podejść ani zapytać go o samopoczucie. Londyńczycy wyczuwali napięcie i kumulującą się energię w jego nieruchomym trwaniu, jak u szaleńca, którego lepiej nie prowokować do rozpaczliwego kroku. Łatwiej i o wiele bezpieczniej było odejść i udawać, że go nie widzieli.

Gideon przyszedł do Livii tej samej nocy. Zakradł się do domu i do jej sypialni. Rozebrał ją powoli i kochał się z nią długo, poruszając się w niej głębokimi, leniwymi pchnięciami i unosząc ją delikatnie, by zmienić pozycję.

Przyszło jej do głowy, że robi z nim rzeczy, których nigdy nie robiła z Amberleyem. W tym łóżku nie było iluzji, tylko przerażająca i wspaniała szczerość, która nie pozostawiała miejsca na ukrywanie czegokolwiek. Pragnęła, by Gideon poznał ją kompletnie, nawet jej wady. Jakiś aspekt jego charakteru likwidował mur pokuty, który wzniosła wokół siebie, sprawiając, że mogła reagować na niego bez zahamowań. Wszystko, czego pragnął, robiła z bezwstydnym zachwytem, a w zamian on kochał się z nią na sposoby, o których istnieniu nawet nie wiedziała.

Po wszystkim ułożyli się spokojni i nasyceni, ona po części na nim, z nogą wplątaną rozpustnie w jego nogi. Gdy uniosła ją nieco, jego członek wtulił się w jej uda, jeszcze wzwiedziony po orgazmie. Zaczęła go leniwie głaskać.

– Jesteś nienasycony – oskarżyła go ze śmiechem.

Uśmiechnął się, chwycił ją pod ręce i przesunął tak, by cała leżała na nim.

– Nie bardziej niż ty.

Pochyliła głowę, aż ich nosy się zetknęły.

– Muszę wyznać, panie Shaw, że jestem panem oczarowana.

– Oczarowana? – prychnął. – Jesteś we mnie szaleńczo zakochana.

Jej serce zgubiło rytm, ale udało się jej utrzymać lekki ton.

– A skąd pomysł, że byłam na tyle głupia, by się w tobie zakochać?

– Powodów jest mnóstwo – poinformował ją. – Nie tylko zaspokajam cię w łóżku, ale tak się składa, że jestem również jednym z najbogatszych ludzi w cywilizowanym świecie…

– Nie dbam o twoje pieniądze.

– Wiem, do diabła – mruknął z niechęcią. – To jeden z powodów, dla których muszę cię mieć.

– Mieć?

– Poślubić.

Zmarszczyła brwi i zaczęła się odsuwać, ale chwycił ją za biodra i zmusił, by została.

– Warto to rozważyć, nie sądzisz? – zapytał.

– Nie, kiedy znamy się nie więcej niż dwa tygodnie!

– W takim razie powiedz, jak długo powinny trwać konkury. Mogę zaczekać.

– Musisz wracać do Nowego Jorku.

– Mogę zaczekać – powtórzył z uporem.

Z westchnieniem opuściła głowę na jego pierś i przycisnęła policzek do szorstkich kręconych włosów. Zmusiła się do szczerości.

– Nic nie nakłoni mnie do ślubu z tobą, najdroższy.

Otoczył ją ramionami, przytulił nieco zbyt mocno i powiódł dłońmi po jej plecach w długiej, błagalnej pieszczocie.

– Dlaczego nie?

– Ponieważ za bardzo mi na tobie zależy, bym patrzyła, jak rujnujesz sobie życie.

Nagle całe jego ciało stężało. Znów spróbowała się odsunąć, przewidując, że tym razem jej na to pozwoli. On jednak tylko wzmocnił uścisk. W jego głosie rozbrzmiewała rezygnacja:

– Chcesz, żebym przestał pić.

– Nie… Nie chcę wpływać na twoją decyzję.

– Ale rozważyłabyś małżeństwo ze mną, gdybym nie pił?

Widząc jej wahanie, zmusił ją, by podniosła głowę i na niego spojrzała.

– Tak – wyznała niechętnie. – Wtedy prawdopodobnie bym to rozważyła.

Wykrzywił wargi, jakby zajrzał w głąb siebie i nie spodobało mu się to, co zobaczył.

– Nie wiem, czy potrafię przestać – mruknął ze szczerością, którą podziwiała, nawet jeśli nie chciała usłyszeć tych słów. – Nie wiem nawet, czy chcę przestać. Wolałbym dalej pić i do tego cię mieć.

– Nie możesz – odparła cicho. – Nawet jeśli jesteś Shawem.

Przewrócił się na bok, ułożył sobie jej głowę w zagłębieniu ramienia i spojrzał na nią.

– Dałbym ci wszystko, czego byś zapragnęła. Zabrałbym cię w dowolne miejsce na świecie. Wszystko, o co byś poprosiła…

– To by nas w końcu rozdzieliło.

Zaczęła się zastanawiać, czy nie jest szalona, odrzucając oświadczyny mężczyzny, przed którym większość kobiet padłaby na kolana z wdzięczności. Uśmiechnęła się drżąco, gdy zobaczyła jego minę. Ewidentnie nie należał do ludzi, którym inni odmawiają.

– Po prostu cieszmy się tym, co mamy teraz. Za kilka dni wracam do Stony Cross, ale do tego czasu…

– Kilka dni? Nie, zostań dłużej i wróć ze mną.

Pokręciła głową.

– Nie wypada, byśmy podróżowali razem… Ludzie zaczną gadać.

– Niech ich wszystkich szlag! – W jego głosie pojawiła się desperacja. – Po prostu przyjmij mnie takiego, jaki jestem, Livio.

– Może bym mogła, gdybym darzyła cię słabszym uczuciem – odparła.

Nie otwierała oczu, a on całował lekko jej delikatne powieki, rzęsy, gorące policzki i czubek nosa.

– Ale nie zgodzę się na tracenie cię po kawałku, aż w końcu się zabijesz albo staniesz się kimś, kogo nie będę poznawała.

Odsunął się i zmierzył ją ponurym spojrzeniem.

– Powiedz mi chociaż jedno… Czy ty mnie kochasz?

Nie odpowiedziała, nie wiedząc, czy jej wyznanie wszystko polepszy, czy może pogorszy.

– Muszę wiedzieć – oświadczył, wykrzywiając wargi w grymasie pogardy dla samego siebie, gdy usłyszał błagalną nutę w swoim głosie. – Jeśli mam odmienić swoje życie dla ciebie, muszę mieć choć cień nadziei.

– Nie chcę, byś zmieniał swoje życie dla mnie. Będziesz musiał podejmować tę samą decyzję każdego dnia, raz po raz… I musisz to

robić dla siebie. W przeciwnym razie zaczniesz mnie nienawidzić.

Widziała, jak bardzo pragnie zaprotestować, ale zamiast tego ułożył się obok niej i luźno otoczył jej talię ramieniem.

– Nie chcę cię stracić – szepnął.

Pogłaskała jego dłoń z westchnieniem.

– Dryfowałam przez wiele lat od śmierci Amberleya i teraz nareszcie znów zaczynam żyć. Zjawiłeś się w chwili, kiedy tego potrzebowałam, i za to zawsze będę cię wspominać z czułością i wdzięcznością.

– Czułością? – powtórzył, wykrzywiając twarz w grymasie. – Wdzięcznością?

– Nie przyznam, że czuję cokolwiek więcej. To byłaby forma przymusu.

Mamrocząc coś pod nosem, uniósł się na łokciu.

– Może powinienem poddać próbie twoją determinację.

– Możesz próbować – odparła.

Chciała, by zabrzmiało to zalotnie, lecz jej ton był pełen melancholii.

Objęła go całą sobą, jakby pragnęła w ten sposób ochronić go przed demonami, które w nim mieszkały.

Aline westchnęła, sięgając po kolejny arkusz kremowego papieru z szuflady sekretarzyka. Wytarła końcówkę pióra kawałkiem czarnego filcu. Na blacie piętrzył się niemal tuzin listów od przyjaciół i krewnych, których bez wątpienia irytowały opóźnienia w korespondencji z nią. Nie potrafiła jednak pospiesznie skreślić satysfakcjonującej odpowiedzi. Pisanie listów było sztuką, która wymagała przykładania wielkiej wagi do szczegółów. Nowiny należało przekazywać w odpowiednim stylu i z werwą… A jeśli brakowało godnych odnotowania wydarzeń, trzeba było uciec się do kreatywnego dowcipu lub filozofii.

Zmarszczyła brwi, patrząc na trzy listy, które już skończyła. Opisała dotychczas drobne domowe utrapienia, kilka miejscowych plotek, a nawet ośmieliła się skomentować panującą aurę.

– Nabrałam ogromnej biegłości w rozmawianiu o wszystkim, tylko nie o prawdzie – mruknęła do siebie z drwiącym uśmiechem.

Wątpiła jednak, czy prawdziwe informacje stanowiłyby muzykę dla uszu krewnych… *W ostatnim czasie wzięłam sobie kochanka i uczestniczyłam w dwóch rozkosznie gwałtownych stosunkach, jednym w lesie i drugim w gabinecie obok mojej sypialni. Moja siostra Livia cieszy się dobrym zdrowiem i obecnie przebywa w Londynie, gdzie zapewne nie wychodzi z łóżka niepoprawnie nadużywającego alkoholu Amerykanina…* Wyobrażając sobie, jak jej list przyjęłaby sztywna kuzynka Georgina lub też cioteczna babka Maude, stłumiła uśmiech.

Od niemiłego obowiązku oderwał ją głos brata, dobiegający od progu:

– Dobry Boże. Naprawdę nie masz co robić, jeśli postanowiłaś odpisać na listy.

Podniosła wzrok i uśmiechnęła się lekko.

– I to mówi osoba, która ma jeszcze bardziej ambiwalentny stosunek do korespondencji niż ja.

– Gardzę każdym aspektem tego zajęcia – przyznał Marcus. – W sumie gorsze od pisania listów jest tylko otrzymywanie ich… Bóg jeden wie, skąd w ludzkich głowach myśl, że interesują mnie najdrobniejsze szczegóły ich życia.

Nie przestając się uśmiechać, odłożyła pióro i spojrzała na smugę atramentu na czubku swojego palca.

– Potrzebujesz czegoś, mój drogi? Błagam, zrób coś, by uratować mnie od tej nieznośnej nudy.

– Nie musisz błagać. Ratunek nadchodzi… A jeśli nie ratunek, to chociaż miła odmiana. – Pokazał jej zapieczętowany list, który trzymał w dłoni, i zrobił osobliwą minę. – Nadeszła przesyłka z Londynu. A to razem z nią.

– Aż z Londynu? Jeśli to ostrygi, które zamówiliśmy, to są dwa dni wcześniej…

– To nie ostrygi. – Przyzwał ją gestem. – Przesyłka jest dla ciebie. Chodź do holu.

– Dobrze.

Skrupulatnie zakorkowała buteleczkę z rżniętego szkła z woskiem do pieczętowania kopert i zamknęła pudełko z pieczęciami. Gdy wszystko uporządkowała, wstała i udała się za Marcusem do holu. W powietrzu unosił się ciężki zapach róż, jakby cały dom spryskano kosztownymi perfumami.

– Dobry Boże! – zawołała, nieruchomiejąc na widok niezliczonych bukietów kwiatów, które stały na podłodze. Stosy białych róż, niektóre jeszcze w pączkach, inne w pełnym rozkwicie. Dwóch lokajów pomagało kierowcy wozu, a trzej wnosili do środka bukiet za bukietem owinięte w sztywny biały papier.

– Jest ich piętnaście tuzinów – mruknął Marcus szorstko. – Wątpię, by w Londynie pozostała choć jedna biała róża.

Nie mogła uwierzyć w to, jak szybko bije jej serce. Powoli podeszła bliżej i wyjęła pojedynczą różę z jednej z wiązanek. Objęła delikatną czaszę płatków palcami i rozkoszowała się jej zapachem. Płatki musnęły jej policzek niczym chłodny jedwab.

– Jest coś jeszcze – dodał Marcus.

Podążając za jego spojrzeniem, zauważyła kamerdynera, który polecił kolejnemu lokajowi otworzyć ogromną drewnianą skrzynię wypełnioną pakunkami owiniętymi w brązowy papier.

– Co to jest, Salter?

– Jeśli pani pozwoli, milady, zaraz sprawdzę.

Starszy mężczyzna z wielką ostrożnością rozpakował jedną z paczek. W woskowanym papierze krył się wilgotny i aromatyczny kawałek piernika. Ostra korzenna nuta wymieszała się z aromatem róż.

Przycisnęła dłoń do ust, by powstrzymać wzbierający w jej gardle śmiech, a jakaś trudna do nazwania emocja wprawiła w drżenie całe jej ciało. Podarek szalenie ją niepokoił, lecz jednocześnie zachwyciła ją jego ekstrawagancja.

– Pierniki? – zapytał Marcus z niedowierzaniem. – Po cholerę McKenna przysłał ci całą skrzynię pierników?

– Ponieważ je lubię – odszepnęła bez tchu. – Skąd wiesz, że to McKenna?

Posłał jej wymowne spojrzenie, jakby tylko głupiec mógł uważać inaczej.

Powoli otworzyła kopertę i wyjęła z niej złożony arkusik papieru pokryty śmiałym, pozbawionym ozdobników i bardzo praktycznym charakterem pisma:

Bezkres pustyni i oceanów,
Góry wysokie ni wiatry na niebie,
Strumienie łez i słów potoki
Nie zatrzymają mnie w drodze do ciebie.

Brakowało podpisu… Nie był potrzebny. Zamknęła oczy, czując gorące łzy pod powiekami. Przycisnęła wargi do listu, nie zważając na to, co pomyśli brat.

– To wiersz – powiedziała urywanym tonem. – Okropny.

Ale była to najpiękniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek czytała.

Przytuliła arkusik do policzka, po czym rękawem otarła oczy.

– Pokaż.

Szybko ukryła list w staniku.

– Nie, jest bardzo osobisty. – Przełknęła ślinę, powstrzymując falę emocji. – McKenna – szepnęła – co ty ze mną robisz?

Marcus westchnął z irytacją i podał jej chusteczkę.

– Co mogę zrobić? – mruknął, wyraźnie poruszony widokiem jej łez.

Jedyną odpowiedzią, jakiej mogła udzielić, była ta, której najbardziej nie chciał usłyszeć:

– Nic nie możesz zrobić.

Już miał otoczyć ją ramieniem, by dodać jej otuchy, gdy nagle przerwało im pojawienie się gościa. Z rękami w kieszeniach marynarki do holu wszedł lord Adam Sandridge, objął wzrokiem mnogość białych róż i zrobił speszoną minę.

– Zakładam, że są dla ciebie – zwrócił się do Aline, wyjmując ręce z kieszeni, gdy do niej podszedł.

– Dzień dobry, Sandridge – powitał go Marcus rzeczowo i podał mu dłoń. – Wybrałeś doskonałą porę na wizytę, ponieważ lady Aline

potrzebuje obecnie jakiejś miłej rozrywki.

– W takim razie postaram się być miły i jej tę rozrywkę zapewnić – odparł Adam z lekkim uśmiechem i ukłonił się elegancko nad dłonią Aline.

– Chodźmy na spacer do ogrodu – poprosiła, zaciskając dłoń na jego palcach.

– Wyborny pomysł.

Adam sięgnął po jeden z bukietów ułożonych na stole przy drzwiach, oderwał idealnie rozwiniętą główkę barwy kości słoniowej i włożył ją sobie do kieszonki na piersi. Podał ramię Aline i poprowadził ją przez hol ku drzwiom balkonowym na tyłach.

Ogrody skrzyły się magią bujnych kobierców niezapominajek, melisy i jaskrawożółtych liliowców, które otaczały rabaty róż i powojników. Długie rzędy srebrzystych czyśćców rozciągały się pomiędzy kamiennymi donicami maków tureckich. Aline i Adam zeszli z tarasu i skierowali się na żwirową ścieżkę pomiędzy starannie przyciętymi cisami. Adam należał do tego rzadkiego gatunku ludzi, którym nie przeszkadza cisza. Cierpliwie czekał, aż ona przemówi pierwsza.

Aline wydała długie westchnienie.

– Róże przysłał McKenna – wyjaśniła w końcu.

– Domyśliłem się – odparł sucho.

– Był też wiersz.

Wyjęła arkusik ze stanika i podała mu go. Tylko jemu pozwoliłaby przeczytać coś tak intymnego. Przystanął na środku ścieżki, rozłożył kartkę i przebiegł wzrokiem. Gdy znów na nią spojrzał, zauważył w jej oczach mieszaninę bólu i radości.

– Bardzo wzruszające – orzekł szczerze, oddając jej wiersz. – Co masz zamiar z tym zrobić?

– Nic. Odprawię go, tak jak od początku planowałam.

Przez chwilę ważył słowa, jakby chciał podzielić się z nią swoją opinią, lecz ostatecznie się rozmyślił. Wzruszył ramionami.

– Jeśli uważasz, że tak będzie najlepiej.

Nikt z jej znajomych nie udzieliłby takiej odpowiedzi. Wzięła go za rękę i ścisnęła ją mocno, zanim ruszyli dalej.

– Adamie, kocham w tobie między innymi to, że nigdy nie próbujesz dawać mi dobrych rad.

– Gardzę radami… Nigdy nie działają.

Obeszli fontannę, która szemrała anemicznie pomiędzy gęstymi rabatami ostróżek.

– Rozważałam wyznanie McKennie wszystkiego – zwierzyła mu się – lecz nic by z tego nie wyszło, niezależnie od tego, jak by zareagował.

– To znaczy, kochanie?

– W chwili, w której pokażę mu moje blizny, albo uzna je za zbyt odrażające, by je zaakceptować, albo jeszcze gorzej, zacznie się nade mną litować i poczuje się zobligowany do oświadczyn z poczucia obowiązku albo honoru… Aż pewnego dnia pożałuje swojej decyzji i zapragnie się mnie pozbyć. Nie mogłabym żyć, patrząc mu w oczy każdego ranka i zastanawiając się, czy to ten dzień, kiedy zostawi mnie na dobre.

Mruknął coś ze współczuciem.

– Źle robię? – zapytała.

– Nigdy nie rozważam tych kwestii w kategoriach dobra i zła – odparł. – Należy dokonywać najlepszego wyboru w danych okolicznościach, a potem unikać kwestionowania go dla własnego zdrowia psychicznego.

Nie mogła się oprzeć porównaniu Adama z Marcusem, który z całego serca wierzył w absoluty – w dobro i zło, słuszność i brak słuszności.

– Adamie, mój drogi, rozważałam twoją propozycję przez kilka ostatnich dni…

– Tak?

Znów się zatrzymali, stanęli twarzą w twarz i wzięli się za ręce.

– Nie mogę jej przyjąć. Byłoby to nieuczciwe wobec nas obojga. Jeśli nie mogę mieć prawdziwego małżeństwa, zapewne powinnam cieszyć się z jego imitacji. Ale wolę, by łączyła nas szczera przyjaźń niż fałszywe małżeństwo.

Na widok smutnego błysku w jej oczach wziął ją w ramiona i uścisnął mocno.

– Kochana dziewczyno – szepnął – moja propozycja jest bezterminowa. Pozostanę twoim szczerym przyjacielem aż do śmierci. A jeśli kiedyś zmienisz zdanie w kwestii małżeństwa, wystarczy, że pstrykniesz palcami. – Uśmiechnął się kpiąco. – Moim zdaniem imitacje mogą być cholernie atrakcyjne, jeśli ktoś nie może sobie pozwolić na autentyk.

ROZDZIAŁ 17

Livia spędziła w Londynie prawie siedem dni i wróciła z dostateczną ilością sprawunków i pakunków, by uwiarygodnić tezę, że udała się tam na zakupy. Kobiety goszczące w Stony Cross z wielkim zainteresowaniem obejrzały jej zdobycze: uroczy wysoki kapelusik z kolorowymi piórami, haftowane i ozdobione koralikami na nadgarstkach rękawiczki, szale z koronki, kaszmiru i jedwabiu, a także plik szkiców i próbek materiałów od londyńskiej modystki, która miała uszyć dla niej nowe suknie. Susan Chamberlain od razu oczywiście zapytała, czy Livia widziała w mieście pana Shawa i McKennę, na co ta odpowiedziała z radosną swobodą:

– Och, tak, razem z moją przyzwoitką, panią Smedley, spędziłyśmy z nimi uroczy wieczór w Capitol Theater. Miejsca w loży ze wspaniałym widokiem na scenę… Byłyśmy zachwycone!

Niezależnie od jej wysiłków jej słowa powitały uniesione brwi i znaczące spojrzenia. Wszyscy podejrzewali, że w tej historii kryje się coś więcej.

Aline odwiedziła ją w sypialni w koszuli nocnej i obie usiadły na łóżku z kieliszkami wina. Livia opowiedziała jej ze szczegółami swój pobyt w stolicy.

– Byłam z nim każdego wieczoru – wyznała, oblewając się pąsem. – Siedem nocy absolutnego nieba.

– Jest dobrym kochankiem? – zapytała Aline z uśmiechem.

– Najwspanialszym, najbardziej ekscytującym, naj… – Nie znajdując słów, Livia westchnęła i upiła łyk wina. Spojrzała na siostrę ponad krawędzią kieliszka i ze zdumieniem pokręciła głową. –

Jakie to dziwne, że tak bardzo różni się od Amberleya, mimo to tak dobrze do mnie pasuje. Może nawet lepiej pod pewnymi względami.

– Wyjdziesz za niego?

Aline poczuła osobliwe ukłucie w piersi. Cieszyła się szczęściem siostry, lecz jednocześnie nie mogła przestać myśleć o tym, jak daleko położona jest Ameryka. Gdyby chciała być wobec siebie szczera, przyznałaby też, że głos zazdrości w jej głowie dopytywał, dlaczego ona również nie może mieć tego, czego najbardziej pragnie.

– W zasadzie mi się oświadczył – odparła Livia, a następnie zdumiała Aline jeszcze bardziej, dodając obojętnie: – Nie zgodziłam się.

– Dlaczego?

– Przecież wiesz.

Aline pokiwała głową. Ich oczy się spotkały i popłynęła cała rozmowa bez słów. W końcu Aline westchnęła, spuściła wzrok i powiodła palcem po brzegu kieliszka.

– Jestem przekonana, że była to właściwa decyzja, kochanie, choć na pewno niełatwa.

– Nie, nie była łatwa.

Przez chwilę siedziały w milczeniu, po czym Livia zapytała:

– Nie zapytasz mnie o McKennę?

Aline utkwiła wzrok w kieliszku.

– Jak on się miewa?

– Jest cichy. Jakby rozkojarzony. My… rozmawialiśmy o tobie.

W głowie Aline rozległ się ostrzegawczy dzwon, gdy usłyszała poczucie winy w ostrożnym wyznaniu siostry.

– Co to znaczy, że o mnie rozmawialiście? – zapytała jednak z kamienną twarzą.

Livia upiła spory łyk wina.

– Wszystko skończyło się całkiem dobrze – odparła z wahaniem. – A przynajmniej nie było bardzo źle, choć w sumie nie mogę być pewna, bo zareagował…

– Livia, wyrzuć to z siebie wreszcie! – zażądała Aline, tężejąc z niepokoju. – Co mu powiedziałaś?

– Nic takiego. – Livia zrobiła skruszoną minę. – W końcu zdobyłam się na odwagę i przeprosiłam go za to, co zrobiłam wam obojgu wiele lat temu. Wiesz, gdy zdradziłam ojcu, że…

– Livio, nie powinnaś była – wtrąciła Aline zbyt wściekła i przerażona, by krzyczeć. Dłonie tak bardzo się jej trzęsły, że bała się, iż rozleje wino.

– Niepotrzebnie się denerwujesz – odparła Livia, wzbudzając w niej jeszcze większy gniew. – Nie złamałam danej ci obietnicy… Nie powiedziałam mu nic o twoim wypadku ani o bliznach. Przyznałam tylko, jaką rolę w tym odegrałam i jak ojciec wszystkich zmanipulował, a potem… Cóż, chyba napomknęłam, że odprawiłaś go, by go chronić, ponieważ ojciec zagroził, że zrobi mu krzywdę…

– Co? Nigdy nie chciałam, by się o tym dowiedział. Mój Boże, Livio, coś ty narobiła?

– Wyznałam mu tylko małą część prawdy. – Livia próbowała bronić swojej decyzji, ale czuła też skruchę. Oblała się krwawym rumieńcem. – Przykro mi, jeśli cię zdenerwowałam. Ale jak to mówią, szczerość to podstawa, a w tym wypadku…

– Ja nigdy tak nie mówiłam! – wybuchnęła Aline. – To najbardziej nadużywana maksyma w dziejach świata i zdecydowanie nie była to podstawa do jej zastosowania w tej sytuacji. Och, Livio, nie rozumiesz, jak bardzo wszystko skomplikowałaś? O ile trudniej będzie mi znów się z nim rozstać teraz, gdy wie… – Nagle urwała. – Kiedy mu powiedziałaś?

– Drugiego wieczoru mojego pobytu w Londynie.

Aline zacisnęła powieki z przerażenia. Kwiaty dostarczono dwa dni później. To dlatego McKenna przysłał jej prezenty i wiersz.

– Livio, mam ochotę cię udusić – szepnęła.

Postanowiwszy przejść do ofensywy, Livia oświadczyła zdecydowanie:

– Nie rozumiem, co jest takiego strasznego w tym, że usunęłam jedną z przeszkód pomiędzy tobą a nim. Pozostało już tylko powiedzieć mu o twoich nogach.

Aline zmierzyła ją lodowatym spojrzeniem.

– To się nigdy nie wydarzy.

– Przecież nie masz nic do stracenia. Aż do teraz zawsze byłaś najodważniejsza ze znanych mi osób, a gdy w końcu masz szansę na szczęście, odrzucasz ją, ponieważ jesteś zbyt uparta i bojaźliwa…

– Nigdy nie byłam odważna! – syknęła Aline. – Tolerowanie czegoś tylko dlatego, że nie ma się wyboru, to nie jest odwaga. Jedynym powodem, dla którego nie rzucam się na ziemię, nie kopię i nie krzyczę każdego dnia od dwunastu lat, jest świadomość, że gdy wstanę, nic się nie zmieni. Moje nogi na zawsze pozostaną odrażające. Nawet ty nie możesz się zmusić, by na nie spojrzeć… Jak śmiesz sugerować, że jestem tchórzem, ponieważ nie chcę pokazać ich McKennie? – Wstała i odstawiła kieliszek na bok. – Jesteś przeklętą hipokrytką, Livio… Oczekujesz, że McKenna zaakceptuje mnie całą niezależnie od moich wad, podczas gdy sama odmawiasz tego panu Shawowi.

– To niesprawiedliwe – zaprotestowała Livia zapalczywie. – Te dwie sytuacje są zupełnie różne. Twoich blizn nijak nie można porównać do jego picia… I jak śmiesz insynuować, że odmówiłam mu, ponieważ jestem małostkowa?

Gotując się z gniewu, Aline podeszła do drzwi.

– Daj mi spokój. I nie waż się mówić McKennie nic więcej. Na żaden temat.

Ostatkiem sił powstrzymała się, by nie zatrzasnąć za sobą drzwi, gdy wyszła.

Aline i Livia zawsze żyły we względnej harmonii. Może z powodu dużej różnicy wieku między nimi, przez którą Aline zawsze nieco matkowała młodszej siostrze. Gdy z rzadka się kłóciły, przez jakiś czas się później unikały, by dać sobie szansę na ochłonięcie i móc potem udawać, że nic się nie wydarzyło. Ale kiedy sprzeczka okazywała się szczególnie zaciekła, szły do gospodyni, by porozmawiać z nią na osobności, a ona zawsze przypominała im, że nie ma nic istotniejszego niż ich siostrzana więź. Tym razem jednak Aline nie zwierzyła się pani Faircloth i założyła, że Livia również tego nie zrobiła. Powód ich rozłamu był zbyt osobisty. Zamiast tego

udawała, że nic się nie stało, traktując Livię ze sztywną uprzejmością – tylko na tyle mogła się zdobyć. Wiedziała, że powinna zmusić się do przeprosin… ale te nigdy nie przychodziły jej łatwo i prawdopodobnie by się nimi udławiła. Livia także nie wydawała się skłonna do wyciągnięcia ręki na zgodę, choć przecież to ona zawiniła. W końcu po trzech dniach udało im się osiągnąć pewną normalność, choć wciąż traktowały się chłodno.

W sobotni wieczór Marcus wydał przyjęcie na świeżym powietrzu, któremu szybko zagroziły burzowe chmury. Niebo przybrało barwę czarnej śliwki, a na gości spadło kilka kropli deszczu, budząc skwierczący protest pochodni. Tłum zaczął przenosić się do środka, podczas gdy Aline biegała pomiędzy domem a ogrodem, dyrygując służbą, która znosiła przekąski, kieliszki i krzesła do salonu. W całym tym zamieszaniu nagle zauważyła coś, co sprawiło, że zamarła w pół kroku. Livia rozmawiała z Gideonem Shawem, który musiał właśnie wrócić z Londynu. Stali niedaleko wejścia, Livia opierała się plecami o ścianę. Śmiała się z jakiegoś jego dowcipu, jej twarz jaśniała, dłonie zaplotła z tyłu, jakby musiała powstrzymywać się, by go nie dotknąć.

Jeśli do tej pory Aline wątpiła, czy jej siostra kocha Gideona Shawa, teraz te wątpliwości zniknęły. Widziała już raz ten wyraz twarzy. I chociaż nie widziała miny Shawa ze swojego miejsca, jego opiekuńcza postawa mówiła sama za siebie. „Jaka szkoda", pomyślała. Było widać, że niezależnie od tego, co ich dzieli, znajdowali w sobie nawzajem coś, co jawiło im się jako niezbędne.

Pogrążona w rozmyślaniach, nagle poczuła osobliwy żar, który rozlał się po jej ciele aż po cebulki włosów. Znieruchomiała pomiędzy ludźmi, którzy w domu szukali schronienia przed burzą. Powietrze było wilgotne i tak naelektryzowane, że przeszedł ją dreszcz.

– Aline.

Za jej plecami rozległ się głęboki głos. Opuściła wzrok i wbiła go w ziemię, która chyba wypadła z orbity. Gdy poczuła, że znów może się ruszać, odwróciła się i stwierdziła, że McKenna stoi tuż obok niej.

Nie wierzyła do tej pory, że mogłaby potrzebować innej ludzkiej istoty tak bardzo, że tęsknota wywoływała w niej niemal stan delirium. Musiała się z całej siły skoncentrować, by zacząć oddychać,

podczas gdy jej serce kołatało niezdarnie gdzieś za płucami. Stali na skraju ogrodu jak dwa marmurowe posągi, podczas gdy reszta gości roiła się wokół nich.

„On wie", pomyślała. Jej nerwy napięły się jak postronki. Zaszła w nim jakaś zmiana, dokonała się jakaś wewnętrzna transformacja, która uwolniła go od wszelkich ograniczeń. Patrzył na nią dokładnie tak jak w młodości, w jego oczach płonęło nieskrywane pragnienie. Wywołał w niej stan, który tylko on potrafił sprowokować – rozmarzone podekscytowanie, które obudziło wszystkie jej zmysły.

Gdy tak stała nieruchomo w milczeniu, na jej policzek spadła zimna kropla deszczu i spłynęła aż do kącika ust. McKenna podszedł do niej powoli. Uniósł dłoń i zdjął kroplę kciukiem, po czym roztarł wilgoć pomiędzy palcami niczym cenny eliksir. Cofnęła się instynktownie, uciekając od niego i od własnego nienasyconego pragnienia, ale on schwytał ją z łatwością i otoczył ramieniem jej plecy. Powoli pociągnął ją za kurtynę cisowego żywopłotu.

Bojąc się spojrzeć na niego, pochyliła głowę, a on przytulił ją mocniej, aż jej policzek oparł się na jego kołnierzyku. Rozkoszny zapach jego skóry wywołał w niej ukłucie bólu pomiędzy żebrami, które szybko ukoiła fala płynnego ciepła. Jedną dłoń położył na jej plecach, a drugą na karku, a doznanie to wykraczało poza ramy zmysłowej przyjemności. Czuł błogość. Całkowite spełnienie. Żar jego dotyku przenikał jej skórę i sączył się aż do kości. Wsunął udo pomiędzy jej nogi i lekko popchnął, jakby wyczuwał pragnienie, które zbierało się w jej ciele. Tulił ją do siebie, tylko tulił, muskając wargami jej skroń. Jego gorący oddech owiewał jej policzek. Znajdowali się bardzo blisko siebie, lecz nie dość blisko. Z radością oddałaby resztę swojego życia za jedną noc czystej intymności, kontaktu z jego nagim ciałem skóra przy skórze i serce przy sercu.

– Dziękuję – szepnęła po długiej chwili.

– Za co? – Jego wargi błądziły delikatnie po jej czole.

– Za prezenty – wykrztusiła. – Były urocze.

Nie odpowiedział, wdychając zapach jej włosów. Rozpaczliwie próbując chronić siebie, podjęła wysiłek konwersacji:

– Wszystko ułożyło się w Londynie po twojej myśli?

Ku jej uldze odparł:

– Tak. – Odchylił jej głowę, nie zdejmując dłoni z jej szyi. – Zabezpieczyliśmy prawa do dokowania od Somerset Shipping, a wszyscy potencjalni inwestorzy stanowczo potwierdzili swój udział.

– Mój brat również?

Uśmiechnął się przelotnie.

– Dał nam do zrozumienia, że pójdzie w ślady pozostałych.

Westchnęła z ulgą.

– To dobrze.

– Wszystko zostało ustalone, muszę więc wracać do Nowego Jorku. Jest dużo do zrobienia, wiele decyzji do podjęcia.

– Tak, ja… – umilkła i spojrzała na niego nerwowo. – Kiedy wyjeżdżasz?

– We wtorek.

– Tak szybko? – szepnęła.

– Wracamy z Shawem do Nowego Jorku. Chamberlainowie, Cuylerowie i pozostali chcą zwiedzić Europę. Najpierw udadzą się do Paryża, a potem do Rzymu.

Aline w milczeniu oswajała się z nowinami. Jeśli statek odpływał we wtorek, McKenna i Shaw zechcą zapewne opuścić Stony Cross pojutrze. Nie mogła uwierzyć, że straci go tak szybko.

Padało coraz mocniej, kropelki wody spływały po gęstych czarnych włosach McKenny jak po futrze foki.

– Wejdźmy do środka – powiedziała, strzepując kilka z nich z atramentowych pukli.

Chwycił jej dłoń, otoczył palcami jej palce i przycisnął je sobie do ust.

– Kiedy mogę z tobą porozmawiać? – zapytał.

– Teraz rozmawiamy.

– Wiesz, czego pragnę – rozległ się jego niski pomruk.

Utkwiła wzrok w żywopłocie. Tak, dobrze wiedziała, co zamierza z nią omówić, i oddałaby wszystko, byle tego uniknąć.

– Wczesnym rankiem, zanim goście wstaną – zasugerowała. – Spotkamy się w stajniach i pójdziemy na spacer…

– Dobrze.

– Do jutra w takim razie.

Pochyliła głowę i zaczęła się odwracać.

Chwycił ją z łatwością i znów przytulił. Zacisnął palce na jej włosach, odchylił jej głowę i zawładnął jej wargami. Zaczęła wzdychać, gdy wypełniał jej usta językiem tak, jak pragnął wypełnić jej ciało.

Wyczuwając wzmagające się w niej pragnienie, położył dłonie na jej biodrach i wsunął kolano pomiędzy jej nogi. Zaczął ją o siebie pocierać, aż jej serce zerwało się do galopu, a skóra zapłonęła, choć zimny deszcz wsiąkał w jej ubranie. Próbując utrzymać równowagę, uchwyciła się jego ramion, gdy wyciskał pocałunki i niewyraźne słowa na jej rozchylonych wargach. Pociągnął ją do siebie, aż dosiadła go w pełni, i zaczął nią poruszać w rozkosznym rytmie. To miarowe tarcie tam, gdzie jej ciało płonęło i nabrzmiewało… Rozkosz wezbrała zbyt szybko, a ona zaczęła się wyrywać z jękiem protestu.

Jego oddech się rwał, gdy ją uwolnił. Stali twarzą w twarz w deszczu niczym para zakochanych głupców. Zdjął surdut i uniósł go nad nią jak prowizoryczny parasol, po czym gestem nakazał jej iść tuż obok.

– Do środka – mruknął. – Uderzy w nas piorun, jak będziemy tak tutaj stać. – Uśmiechnął się krzywo i dodał sucho: – Chociaż pewnie bym tego nawet nie zauważył.

ROZDZIAŁ 18

Dochodziła druga w nocy, gdy Livia zakradła się do pogrążonego w mroku kawalerskiego domku i zderzyła się z kimś już na progu. Był to Gideon odziany w jedwabny szlafrok. Odprężyła się w jego ramionach i chętnie odpowiedziała na jego pocałunki, muskając językiem jego język. Całował ją, jakby ich separacja trwała miesiące, a nie dni.

– Dlaczego nie było cię tak długo? – zapytał.

Uścisnął ją tak mocno, że prawie połamał jej kości, po czym pociągnął ją za sobą do sypialni.

– To całe skradanie się i ukrywanie wcale nie jest łatwe w domu pełnym gości – odparła. – Musiałam zyskać pewność, że nikt nie zobaczy, jak przemykam do kawalerskiego domku. Zwłaszcza że już budzimy podejrzenia.

– Czyżby?

Zatrzymał się przy łóżku i zaczął rozpinać jej suknię.

– Oczywiście. Przecież uciekłam do Londynu zaraz po twoim wyjeździe. Do tego sposób, w jaki na mnie patrzysz, praktycznie krzyczy, że byliśmy razem w łóżku. Jak na tak wyrafinowanego mężczyznę jesteś szalenie oczywisty.

– Szalenie – zgodził się, kładąc jej dłoń na wzwiedzionym członku.

Odsunęła się ze śmiechem i zdjęła suknię, pod którą była całkiem naga. Zaskoczony Gideon gwałtownie wciągnął powietrze, pożerając ją wzrokiem.

– Przyszłam przygotowana – oświadczyła z dumą.

Pokręcił głową, jakby próbował w niej sobie rozjaśnić, po czym zrzucił szlafrok i podszedł do Livii. Musnął palcami linię jej bioder,

jakby była bezcenną rzeźbą.

– Tak się składa, że ja również. Przywiozłem coś z Londynu. – Uniósł dłonie do jej piersi i kciukami potarł koniuszki. – Choć to może ci się nie spodobać.

Zaintrygowana otoczyła ramionami jego kark, gdy wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka. Położył ją na materacu, pochylił się, by pocałować gładkie miejsce pomiędzy jej piersiami, po czym sięgnął po coś, co leżało na nocnym stoliku. Była zaskoczona, gdy wręczył jej mały pakiecik owinięty w cienki papier. Był to rodzaj elastycznego pierścienia pokryty przezroczystą błoną. Przyglądając mu się uważnie, Livia nagle oblała się rumieńcem, gdy w końcu pojęła, co trzyma w palcach.

– Och… To…

– Właśnie. – Wzruszył ramionami nieco zmieszany. – Nie chciałem wydać się arogancki, lecz doszedłem do wniosku, że istnieje szansa na jeszcze jedną wspólną noc.

– Doprawdy, bardzo arogancki – zganiła go żartobliwie, obejmując jego członek dłonią.

– Widziałaś już coś takiego?

– Nie, choć słyszałam o nich. – Jej rumieniec się pogłębił. – To dość dziwaczny pomysł… nieszczególnie romantyczny.

– Tak jak niechciana ciąża – odparł rzeczowo, po czym uniósł kołdrę i położył się obok niej. – Chciałbym, byś nosiła moje dziecko, ale tylko gdybyś również tego pragnęła.

Myśl o noszeniu jego dziecka… Odwróciła wzrok, nie mogąc przestać marzyć o rzeczach, które wydawały się nieprawdopodobne. Gideon przytulił ją pod pościelą i pocałował delikatnie.

– Chcesz spróbować w ten sposób?

– Chyba tak – odparła z wahaniem, unosząc zwinięty pierścień do światła i wpatrując się w niemal przezroczystą membranę.

Poczuła, że Gideon trzęsie się ze wstrzymywanego śmiechu.

– To nie będzie bolało – zapewnił ją. – Może nawet ci się spodoba, ponieważ w czymś takim mężczyzna o wiele dłużej dochodzi do orgazmu.

– Doprawdy? Dlaczego? Bo mniej czujesz?

– Dokładnie. – Uśmiechnął się sucho. – To jak jedzenie kolacji przez serwetkę.

Podała mu pakiecik.

– W takim razie odłóż to i zrobimy to jak zwykle.

Stanowczo pokręcił głową.

– Nie ufam już sobie na tyle. Coraz trudniej mi wycofać się w ostatniej chwili, kiedy najbardziej pragnę zostać w tobie. Proszę… Pomóż mi ją założyć. Zawsze mówię, że wszystkiego trzeba w życiu spróbować.

Wstydliwie wykonała jego instrukcje i rozwinęła membranę na sztywnym członku, poprawiając ją tak, by utworzyła płytką kieszonkę na żołędzi.

– Wygląda na ciasną – zauważyła.

– Powinna być dopasowana, żeby się nie zsunęła.

– I co teraz?

– Teraz – odparł, pociągnąwszy ją za rękę i nakrywszy swoim ciałem – będę się z tobą kochał tak, jak sobie to wyobrażałem przez pięć ostatnich nocy.

Przymknęła powieki, gdy językiem zaczął rysować skomplikowane wzory na jej skórze. Wziął sutek do ust i pobudził go delikatnie zębami. Lizał go, aż zesztywniał i pociemniał. Następnie przesunął się na drugą pierś i potraktował ją podobnie, aż Livia zaczęła jęczeć i wić się pod nim. Kochał się z nią z wprawą, wyczulony na każdy jej skurcz i dreszcz. Przerwał na chwilę i sięgnął po coś. Usłyszała, że odkręca słoik, i zaraz potem wsunął dłoń pomiędzy jej uda, by rozprowadzić tam satynową warstwę kremu. Musnął palcem miękkie fałdki i otoczył jej szczelinę.

– Gideonie – szepnęła pobudzona – jestem już gotowa.

Uśmiechnął się, nie przestając jej pieścić.

– Jesteś zbyt niecierpliwa.

– Niecierpliwię się, ponieważ jestem gotowa… Och, dlaczego zawsze zabiera ci to tak dużo czasu?

– Ponieważ uwielbiam cię dręczyć.

Pochylił się, by pocałować jej szyję, a palcami przeczesał wilgotną kępkę włosów. Przygotowując się na dalsze figle, chwyciła mocno drewniane tralki zagłówka. Gideon uklęknął pomiędzy jej udami

i nałożył na nie więcej maści, coraz głębiej wkładając palce. Sprawił, że zaczęła błagać:

– Gideonie, proszę, zrób to teraz, proszę…

Urwała, gdy wszedł w nią ostrożnie, a potem aż jęknęła z ulgą.

– Tak jest dobrze? – zapytał, opierając się na przedramionach po obu stronach jej głowy. – Nie jest ci niewygodnie?

Odpowiedziała mu wypchnięciem bioder do góry. Jej ciało płonęło z rozkoszy. Uśmiechnął się do jej wykrzywionej namiętnością twarzy i położył lekko kciuk na jej łechtaczce, po czym zaczął ją pieścić, jednocześnie poruszając się w niej głębokimi, rozkołysanymi pchnięciami. Zatonęła w oceanie błogości.

– Livio – powiedział znacznie później, tuląc ją do swojej piersi i bawiąc się jej miękkimi lokami. – A gdybym postanowił nie wracać do Nowego Jorku?

Oniemiała. Zastanawiając się, czy dobrze usłyszała, podniosła się i zapaliła lampę. Gideon wciąż leżał na boku, luźno osłonięty prześcieradłem. Wróciła do łóżka i podciągnęła kołdrę do ramion.

– Zamierzasz pozostać w Londynie? – zapytała. – Jak długo?

– Co najmniej rok. Poprowadziłbym londyńskie biuro i rozwijał dla nas interesy na kontynencie. Tutaj byłbym równie użyteczny jak w Nowym Jorku, jeśli nie bardziej.

– Ale cała twoja rodzina jest w Nowym Jorku.

– Kolejny dobry powód, żeby tu zostać – mruknął drwiąco. – Moim zdaniem takie okresowe rozstanie przyda się zarówno im, jak i mnie. Zmęczyła mnie rola patriarchy rodu… Równie dobrze mogą nauczyć się radzić sobie ze wszystkim sami.

– A twoje odlewnie i inne interesy…

– McKennie przekażę pełnomocnictwa do podejmowania decyzji pod moją nieobecność. Dowiódł, że jest gotowy wziąć większą odpowiedzialność… A ja ufam mu bardziej niż własnym braciom.

– Myślałam, że nie lubisz Londynu.

– Kocham to miasto.

Rozbawiona tą zmianą stanowiska przygryzła wargi, by się nie uśmiechnąć.

– A dlaczego tak nagle zakochałeś się w Londynie?

Uniósł dłoń, by pogłaskać ją po włosach, po czym założył jedwabisty kosmyk za jej ucho. Spojrzał jej prosto w oczy. Płomień lampy wydobywał złote błyski z głębin pełgającego błękitu.

– Ponieważ jest blisko ciebie.

Zamknęła oczy, gdy jego słowa napełniły ją niechcianą nadzieją. Siła jej pragnienia zdawała się obejmować cały pokój.

– Gideonie, już o tym rozmawialiśmy…

– Nie proszę cię o spotkania ani o zaloty – odparł szybko. – W zasadzie nalegam, byśmy się nie spotykali co najmniej przez sześć miesięcy, dopóki nie przekonam się, czy potrafię przestać pić na dobre. Podobno nie jest to przyjemny proces… Przez jakiś czas będę więc stanowił niemiłe towarzystwo. Z tego i z wielu innych powodów lepiej będzie, byśmy się rozstali.

Poraziła ją świadomość powagi jego planu, ogromu wysiłku, jakiego będzie wymagała jego realizacja.

– Czego chcesz ode mnie? – wykrztusiła.

– Zaczekaj na mnie.

„Kolejne dobrowolne wygnanie”, pomyślała i z wahaniem pokręciła głową.

– Nie mogę dalej tkwić w odosobnieniu w Hampshire, bo całkiem zwariuję. Muszę znów dołączyć do towarzystwa, rozmawiać, śmiać się, bywać…

– Oczywiście. Nie chcę, byś pogrzebała się żywcem w Stony Cross. Ale nie pozwól innym mężczyznom… To znaczy nie obiecuj nikomu swojej ręki ani nie zakochaj się w jakimś przeklętym wicehrabi… – Skrzywił się na samą myśl. – Po prostu nie wyjdź za mąż przez sześć miesięcy. Chyba nie proszę o zbyt wiele, prawda?

Rozważała jego prośbę, z namysłem marszcząc brwi.

– Nie, oczywiście, że nie. Ale jeśli robisz to dla mnie…

– Skłamałbym, utrzymując, że nie robię tego po części dla ciebie – odparł szczerze. – Niemniej dla siebie również. Mam już dość pałętania się przez życie we mgle.

Przesunęła dłonią po jego silnym ramieniu.

– Możliwe, że gdy wynurzysz się z mgły, już mnie nie będziesz chciał – szepnęła. – Twoje postrzeganie może się zmienić… Tak jak twoje potrzeby…

Ujął jej dłoń w swoje i splótł ich palce.

– Nigdy nie przestanę cię potrzebować.

Spojrzała na ich złączone dłonie.

– Kiedy zamierzasz zacząć?

– Masz na myśli przekleństwo trzeźwości? Przykro mi, ale już zacząłem. Nie piję od dwunastu godzin. Rankiem zamienię się w cuchnący, rozdygotany wrak człowieka w paskudnym nastroju, a zanim nastanie wieczór pewnie kogoś zamorduję. – Uśmiechnął się. – W sumie więc dobrze, że wyjeżdżam ze Stony Cross.

Niezwiedziona jego niefrasobliwością, wtuliła się w jego pierś i przycisnęła wargi do jego serca.

– Chciałabym ci jakoś pomóc – szepnęła, pocierając policzkiem ciemnozłote włosy. – Chciałabym cierpieć razem z tobą.

– Livio… – Jego głos nabrzmiał od emocji. Delikatnie pogłaskał ją po głowie. – Nikt nie może mi pomóc. To jest mój krzyż… Sam go sobie sprawiłem. I właśnie dlatego nie chcę, byś brała w tym udział. Ale jest coś, co mogłoby mi wszystko nieco ułatwić… Coś, co pomagałoby mi w najgorszych chwilach…

Cofnęła się, by na niego spojrzeć.

– Co to takiego?

Zamilkł, a po chwili westchnął nerwowo.

– Wiem, że nie możesz wyznać mi miłości… i rozumiem twoje powody. Ale w świetle tego, że czeka mnie sześć miesięcy piekła, czy nie mogłabyś podarować mi jakiegoś drobnego dowodu?

– Na przykład?

Spojrzał na nią błagalnie.

– Mrugnij.

– Słucham? – zapytała z konsternacją.

– Jeśli mnie kochasz… mrugnij do mnie. Jeden raz. Znacząco. Nie musisz nic mówić, tylko… – urwał, gdy ich spojrzenia się spotkały. Patrzył na nią z żarliwą determinacją potępionej duszy, która dojrzała zarys domu daleko na horyzoncie. – Mrugnij do mnie – szepnął. – Proszę, Livio…

Nie uwierzyłaby, że to możliwe, znów kochać kogoś w ten sposób. Może niektórzy uznaliby to za nielojalność wobec Amberleya, ale ona tak nie myślała. Amberley pragnął, by była szczęśliwa. I była niemal

pewna, że polubiłby Gideona Shawa, który tak zaciekle walczył, by pokonać swoje wady… Ciepły, ludzki, bezpośredni mężczyzna.

Wciąż czekał. Podniosła wzrok i uśmiechnęła się. Bardzo powoli zamknęła oczy, po czym je otworzyła i spojrzała na niego przez mgłę szczęścia.

Aline była wyczerpana po bezsennej nocy i przerażona, gdy szła do stajni, w której obiecała się spotkać z McKenną. Raz po raz powtarzała listę swoich obiekcji, argumenty i kontrargumenty… Choć jednak przećwiczyła każde słowo, nie przekonała nawet samej siebie.

Posiadłość w zasadzie jeszcze spała, tylko służba domowa krzątała się, nosząc węgiel i dzbany z gorącą wodą, a część personelu oporządzała już stajnie i ogrody. Minęła pomocnika lokaja, który kosił ciężką maszyną aksamitnie zielony trawnik, podczas gdy inny chłopiec szedł za nim i zbierał skoszoną trawę grabiami na mały wózek. Stajenni sprzątali rynsztoki, rozkładali świeże siano i czyścili boksy. Znajomy zapach siana i koni mieszał się z aromatem świeżej ziemi.

McKenna czekał już na nią w siodlarni. Ogarnęła ją pokusa, by do niego podbiec, ale jednocześnie by uciec w przeciwną stronę. Uśmiechnął się słabo, lecz wyczuła, że jest równie zdenerwowany jak ona. Oboje mieli świadomość, że jest to jedna z tych rzadkich sytuacji, kiedy zwykła rozmowa może odmienić całą przyszłość.

– Dzień dobry – wykrztusiła.

Spojrzał na nią tak, że oboje umilkli w napięciu. Podał jej ramię.

– Chodźmy nad rzekę.

Od razu pojęła, dokąd ją zaprowadzi… Do tego miejsca, które zawsze należało tylko do nich. „Doskonała lokalizacja, by się pożegnać”, pomyślała posępnie, ujmując go pod rękę.

Szli w milczeniu, podczas gdy lawendowe tony wczesnego świtu stały się bladożółte, a trawniki przecięły długie, jasne cienie. Jej kolana zesztywniały jak każdego ranka, zanim rozciągnęła blizny mało forsowną aktywnością fizyczną. Koncentrowała się na tym, by

równo stawiać kroki, a McKenna zwolnił, dostosowując się do jej tempa.

W końcu dotarli do polany nad wodą. Nakrapiana pliszka zataczała koła nad trzcinami, po czym nagle w nie zanurkowała. Aline usiadła na dużym płaskim kamieniu i skrupulatnie wygładziła spódnicę, a McKenna stanął kilka kroków od niej. Pochylił się, wziął do ręki parę małych kamieni i zaczął puszczać kaczki zwinnym ruchem nadgarstka. Obserwowała go, upajając się jego widokiem i swobodną gracją jego ruchów. Kiedy spojrzał na nią przez ramię, jego turkusowe oczy rozbłysły z taką mocą w opalonej twarzy, że ich kolor wydał jej się niemal nieziemski.

– Wiesz, o co cię zapytam – powiedział cicho.

– Tak – odparła coraz bardziej zdenerwowana. – Zanim jednak cokolwiek powiesz, musisz wiedzieć, że ja nigdy…

– Wysłuchaj mnie – przerwał jej – a potem możesz odpowiedzieć. Są rzeczy, o których musisz wiedzieć. To trudne, lecz będę mówił szczerze, bo w przeciwnym razie żałowałbym tego do końca życia.

Ogarnęła ją czarna rozpacz. Szczerość… Jedyne, czym nie mogła się odwzajemnić.

– Odmówię ci, niezależnie od tego, co powiesz. – Oddech palił jej gardło, jakby połknęła kwas. – Proszę, oszczędź nam obojgu niepotrzebnego zakłopotania…

– Nie oszczędzę żadnego z nas – odparł szorstko. – Teraz albo nigdy, Aline. Gdy jutro wyjadę, już nie wrócę.

– Do Anglii?

– Do ciebie.

Usiadł na kamieniu obok niej i oparł przedramiona na udach. Na chwilę pochylił ciemną głowę i utkwił w niej przeszywające spojrzenie.

– Zamieszkanie w tej posiadłości stało się przekleństwem mojego życia. Od kiedy tylko cię zobaczyłem, poczułem więź pomiędzy nami… Więź, która nie powinna zaistnieć ani tak długo trwać. Próbowałem podziwiać cię z oddali… Tak jak podziwiałem gwiazdy, wiedząc, że nie mogę ich dotknąć. Ale byliśmy za młodzi, zbyt często się spotykaliśmy, bym mógł zachować dystans. Byłaś moją przyjaciółką, towarzyszką zabaw… Aż w końcu pokochałem cię tak

głęboko, jak mężczyzna kocha kobietę. To nigdy się nie zmieniło, choć przez wiele lat się okłamywałem. – Urwał i zaczerpnął głęboko powietrza. – Niezależnie od tego, jak bardzo chciałbym temu zaprzeczyć, już zawsze będę cię kochał. I niezależnie od tego, jak bardzo chciałbym stać się kimś innym, jestem, kim jestem, czyli człowiekiem z gminu i bękartem, a ty jesteś arystokratką.

– McKenna – wtrąciła błagalnie – proszę, nie…

– Wróciłem do Stony Cross tylko po to, by cię odnaleźć. To chyba dość oczywiste, bo przecież nie istniał żaden rozsądny powód, dla którego mielibyśmy się zdać na gościnność twojego brata. Szczerze mówiąc, w ogóle nie musiałem przyjeżdżać do Anglii, bo Shaw doskonale poradziłby sobie sam, gdybym został w Nowym Jorku. Pragnąłem jednak udowodnić, że to, co do ciebie czułem, nie było prawdziwe. Wmówiłem sobie, że nigdy cię nie kochałem… że po prostu reprezentowałaś sobą to wszystko, czego nie mogłem mieć. Uznałem, że romans z tobą rozwieje iluzję i okażesz się taka sama jak inne. – Umilkł, a w powietrzu rozległa się przenikliwa pieśń trzcinniczka. – Zaplanowałem, że potem wrócę do Nowego Jorku i znajdę sobie żonę. Mężczyzna o mojej pozycji, nawet bez nazwiska i rodziny, może się tam dobrze ożenić. Znalezienie chętnej panny nie byłoby trudne. Gdy cię jednak odnalazłem, w końcu zrozumiałem, że nigdy nie byłaś iluzją. Miłość do ciebie to najprawdziwsza rzecz w moim życiu.

– Przestań – szepnęła, czując pieczenie pod powiekami.

– Proszę cię z całą pokorą, jaką posiadam, byś za mnie wyszła i wyjechała ze mną do Ameryki. Gdy Westcliff znajdzie sobie żonę, przestaniesz mu być potrzebna jako pani domu. Nie będzie dla ciebie miejsca w Stony Cross Park. Jako moja żona zostaniesz królową nowojorskiej socjety. Mam fortunę, Aline, i widoki na potrojenie jej w następnych latach. Jeśli pojedziesz ze mną, uczynię wszystko, co w mojej mocy, by cię uszczęśliwić. – Mówił bardzo cicho i ostrożnie jak człowiek, który podejmuje najniebezpieczniejszą grę swojego życia. – Oczywiście będzie to dla ciebie poświęcenie. Zostawisz tutaj rodzinę, przyjaciół i miejsce, w którym mieszkałaś od dnia narodzin. Ale zawsze możesz przyjechać z wizytą… Podróż trwa tylko

dwanaście dni. Rozpoczniesz całkiem nowe życie ze mną. Podaj swoją cenę, Aline… Jestem gotów na wszystko.

Z każdym jego słowem ogarniała ją coraz większa rozpacz. Z trudem oddychała, tak wielki ciężar przygniatał jej pierś.

– Musisz mi uwierzyć na słowo, ale to niemożliwe, byśmy byli razem szczęśliwi. Zależy mi na tobie, McKenna, ale… – zawahała się, jęknęła cicho z bólu i zmusiła się, by kontynuować: – Nie kocham cię w ten sposób. Nie mogę cię poślubić.

– Nie musisz mnie kochać. Zaakceptuję wszystko, co zechcesz mi dać.

– Nie, McKenna.

Podszedł do niej, opadł na kolana i ujął jej zimną, spoconą dłoń w swoją. Żar jego ciała ją oszołomił.

– Aline – wyjąkał z trudem – kocham cię za nas oboje. Przecież musi być we mnie coś wartego miłości. Gdybyś tylko spróbowała…

Pragnienie, by wyznać mu prawdę, doprowadzało ją do szaleństwa. Gdy gorączkowo to rozważała, jej serce zaczęło łomotać boleśnie, a cała jej skóra pokryła się igiełkami lodu. Próbowała sobie wyobrazić, że pokazuje mu swoje szpetne blizny tu i teraz. Nie. Nie!

Czuła się jak stworzenie schwytane w sieć – na próżno próbowała uwolnić się z plątaniny przeszłości, która z każdym ruchem tylko mocniej się wokół niej zaciskała.

– To nie jest możliwe.

– Dlaczego? – mruknął szorstkim tonem, który krył w sobie bezbronność niemal przyprawiającą o łzy.

Wiedziała, czego McKenna pragnie i potrzebuje – partnerki, która z radością podda mu się w łóżku i poza nim. Kobiety mądrej na tyle, by szczyciła się wszystkim, czym był, i nie dbała o to, czym nie mógł się stać. Kiedyś właśnie taką kobietą była dla niego. To się jednak zmieniło.

– Jesteś niżej urodzony ode mnie – odparła. – Oboje to wiemy.

Tylko tak mogła go przekonać. Podawał się za Amerykanina, ale urodził się w Anglii i wiedziała, że świadomość różnic klasowych między nimi odciskała piętno na każdym aspekcie jego egzystencji przez osiemnaście lat. Taki komentarz w jej ustach stanowił

najgorszą zdradę. Odwróciła wzrok, nie chcąc zobaczyć jego miny. Umierała w środku, a jej serce zamieniało się w popiół.

– Chryste, Aline – rozległ się jego urywany szept.

Odwróciła się od niego. Stali tak przez długą chwilę, walcząc z niewyrażonymi emocjami, z furią żerującą na braku nadziei.

– Moje miejsce nie jest przy tobie – dodała ochryple – lecz tutaj, w Anglii… z lordem Sandridge'em.

– Nie przekonasz mnie, że wybrałaś jego zamiast mnie… Nie po tym, co zaszło między nami, do diabła! Pozwoliłaś mi się dotykać, pieścić w taki sposób, na jaki nigdy nie pozwoliłaś jemu.

– Dostałam, czego chciałam – wykrztusiła. – Ty również. Wyjedziesz i kiedyś zrozumiesz, że tak jest najlepiej.

Niemal zmiażdżył jej dłoń w uścisku. Odwrócił ją wnętrzem do góry i ułożył na niej policzek.

– Aline – szepnął, bezlitośnie depcząc całą swoją dumę. – Nie wiem, co się ze mną stanie, jeśli mnie nie zechcesz.

Rozbolały ją gardło i głowa i w końcu zaczęła płakać. Wyrwała rękę, choć z całych sił pragnęła złożyć jego głowę na swojej piersi.

– Poradzisz sobie – odrzekła drżącym głosem.

Otarła rękawem zalaną łzami twarz i odeszła, nie oglądając się za siebie.

– Poradzisz sobie, McKenna… Wracaj do Nowego Jorku. Ja ciebie nie chcę.

Pani Faircloth ustawiła ostatnie kosztowne kryształowe kieliszki na półce w swoim prywatnym pokoju, gdzie pod kluczem przechowywała najcenniejsze domowe skarby. Drzwi zostawiła uchylone, usłyszała więc, że ktoś podchodzi do nich powolnym, niemal niechętnym krokiem. Odsunęła się od półek i zerknęła na próg, za którym zauważyła masywną sylwetkę McKenny. Jego twarz kryła się w cieniu. Poczuła przejmujący żal, gdy zrozumiała, że przyszedł zapewne na ostatnią osobistą rozmowę.

Przypominając sobie jego propozycję wyjazdu do Ameryki razem z nim, poczuła drobne, niespodziewane ukłucie żalu, że nie będzie

mogła zaakceptować jego zaproszenia. „Głupia stara kwoka”, zbeształa samą siebie, wiedząc, że już za późno na taką rewolucję dla kobiety w jej wieku. Niemniej perspektywa wyjazdu do innego kraju rozpaliła jej krew niespodziewaną żądzą przygód. „Mogłoby być wspaniale – pomyślała smutno – doświadczyć czegoś nowego w jesieni życia”. Nie mogłaby jednak zostawić lady Aline, którą kochała zbyt mocno i zbyt długo. Czuwała nad nią od dzieciństwa aż do dorosłości, dzieląc z nią każdą radość i każdą tragedię jej życia. Choć darzyła uczuciem także Marcusa i Livię, w głębi ducha musiała przyznać, że to Aline była zawsze jej ulubienicą. Gdy Aline leżała na łożu śmierci, pani Faircloth czuła rozpacz matki, która może utracić swoje dziecko… A w następnych latach, gdy obserwowała, jak Aline boryka się ze straszliwymi tajemnicami i zawiedzionymi nadziejami, więź pomiędzy nimi jeszcze się wzmocniła. Dopóki Aline będzie jej potrzebowała, dopóty nie zamierzała jej zostawić.

– McKenna – powiedziała teraz, zapraszając go do swojego pokoju.

Gdy stanął w świetle lampy, zmartwił ją wyraz jego twarzy, który przypomniał jej pierwsze spotkanie z biednym, osieroconym bękartem o zimnych niebieskich oczach. Miał nieprzeniknioną minę, lecz otaczała go niczym płaszcz aura wściekłości i żalu, zbyt głębokiego i zbyt obezwładniającego, by móc go wyrazić słowami. Stał więc tylko i patrzył na nią, nie wiedząc, czego potrzebuje. Przyszedł tutaj, ponieważ nie miał dokąd się udać.

Wiedziała, że może być tylko jeden powód, dla którego McKenna tak wygląda. Szybko podeszła do drzwi i zamknęła je. Służba w Stony Cross Park wiedziała, że gospodyni nie należy przeszkadzać, gdy drzwi są zamknięte, chyba że groziłaby im wszystkim katastrofa. Odwróciła się i wyciągnęła ku niemu ręce w matczynym geście. McKenna podszedł do niej bez wahania, oparł ciemną głowę na jej pulchnym ramieniu i zapłakał.

Aline nigdy nie przypomniała sobie, co robiła przez resztę tego dnia – odgrywała rolę gospodyni niczym automat, rozmawiała z ludźmi, a nawet śmiała się, nie wiedząc, z kim jest ani co mówi. Livia

dzielnie próbowała ją zastępować, koncentrując na sobie uwagę gości i promieniejąc urokiem. Gdy zauważono, że McKenna nie bierze udziału w ostatniej kolacji, Gideon Shaw swobodnie usprawiedliwił jego nieobecność:

– Och, McKenna porządkuje wszystkie sprawy przed swoim jutrzejszym wyjazdem… I tworzy dla mnie długie listy, obawiam się.

Zanim pojawiły się następne pytania, zaskoczył ich wszystkich informacją, że nie wraca do Nowego Jorku, lecz zostaje w Londynie, by pokierować nowo utworzonym biurem.

Nawet w otępieniu Aline pojęła powagę nowiny. Posłała przelotne spojrzenie Livii, która skupiała się na krojeniu ziemniaka na idealnie równe kawałki. Jej udawaną obojętność zdemaskował jednak krwawy rumieniec, który wystąpił na jej policzki. „Shaw zostaje ze względu na nią", uświadomiła sobie Aline i zaczęła się zastanawiać, do jakiego porozumienia doszło tych dwoje. Zerknęła na Marcusa, który siedział u szczytu stołu, i zauważyła, że on zastanawia się nad tym samym.

– To zaszczyt dla Londynu zyskać takiego nowego rezydenta, panie Shaw – oświadczył. – Czy mogę zapytać, gdzie się pan zatrzyma?

Shaw odpowiedział mu przelotnym uśmiechem człowieka, który niedawno odkrył w sobie coś zdumiewającego.

– Zamieszkam w Rutledge do czasu rozpoczęcia budowy, a potem wynajmę sobie coś odpowiedniego.

– Proszę przyjąć moją pomoc w tym względzie – zaproponował Marcus uprzejmie, mierząc gościa wyrachowanym wzrokiem. Zapewne już planował, jak sprawować możliwie najściślejszą kontrolę nad rozwojem tej sytuacji. – Mogę szepnąć parę słów w odpowiednie uszy, by ułatwić panu poszukiwania.

– Och, nie wątpię – odparł Shaw. Zawadiacki błysk w jego oku zdradzał, że doskonale orientuje się w prawdziwych intencjach Marcusa.

– Przecież ty musisz wrócić do Nowego Jorku! – zawołała Susan Chamberlain, mierząc brata gniewnym spojrzeniem. – Mój Boże, Gideonie, nawet ty nie możesz tak po prostu zignorować swoich obowiązków w tak niefrasobliwy sposób! Kto będzie pilnował rodzinnych interesów, podejmował decyzje i… – urwała

z przerażeniem, gdy nagle pojęła jego plan. – Nie. Nie wyznaczysz dokera na *de facto* głowę rodziny Shawów, ty przeklęty pijaku!

– Jestem całkowicie trzeźwy – poinformował ją Shaw obojętnie. – A dokumenty zostały już podpisane. Obawiam się, że niewiele możesz zrobić, siostro. McKenna ma doskonałe relacje ze wszystkimi naszymi partnerami, dysponuje też dokładną wiedzą na temat naszych rachunków, funduszy powierniczych i kontraktów. Równie dobrze możesz się uspokoić i dać mu wolną rękę.

Dysząc z gniewu, Susan Chamberlain sięgnęła po kieliszek z winem i opróżniła go jednym haustem, podczas gdy jej mąż próbował ją ułagodzić szeptem. Gideon Shaw jadł tymczasem spokojnie, z obojętnością przyjmując zamieszanie, jakie wywołał. Gdy sięgnął po puchar z wodą, posłał przelotne spojrzenie Livii, która uśmiechnęła się lekko.

– Mam nadzieję, że dostąpimy przyjemności widywania pana od czasu do czasu – oświadczyła Aline.

Przystojny Amerykanin spojrzał na nią z enigmatycznym wyrazem twarzy.

– Dla mnie również byłaby to przyjemność, milady. Niestety, obawiam się, że przez długi czas będę całkowicie zajęty pracą.

– Rozumiem – odparła miękko, pojmując sytuację.

Specjalnie sięgnęła po swój kieliszek z wodą i uniosła go w niemym toaście, pragnąc dodać mu otuchy, na co odpowiedział wdzięcznym skinieniem głowy.

Aline nie była tchórzem. Nie zamierzała ukrywać się w swoim pokoju, by unikać McKenny… choć pomysł miał swój urok. Jego spokojne wyznanie ją załamało. Wiedziała, że jej odmowy nie sposób wytłumaczyć – nie pozostawiła mu żadnego wyboru, musiał uwierzyć, że nie żywi do niego żadnych uczuć. Myśl, że będzie musiała się z nim rano pożegnać, była nie do zniesienia… Czuła jednak, że powinna zdobyć się na choć tyle odwagi.

W holu i na dziedzińcu krzątała się służba i wyjeżdżający goście. Na podjeździe stał rząd powozów, do których ładowano walizy, pudła

i kufry. Aline i Marcus krążyli w tłumie, żegnając się i odprowadzając gości do ich karet. Livia gdzieś zniknęła, a Aline podejrzewała, że postanowiła pożegnać się z Gideonem Shawem na osobności.

Z krótkiej rozmowy, którą odbyły wczesnym rankiem, wywnioskowała, że para postanowiła nie widywać się przez kilka miesięcy, by w tym czasie Shaw mógł pokonać swój nałóg. Uzgodnili jednak, że będą korespondować, co znaczyło, że zaloty przeniosą się na papier. Aline uśmiechnęła się ze współczuciem, gdy to usłyszała.

– Wszystko robicie na opak – powiedziała. – Zazwyczaj miłość zaczyna się od wymiany listów, która prowadzi stopniowo do większej intymności… podczas gdy ty i pan Shaw…

– ...zaczęliśmy w łóżku, a skończyliśmy na korespondencji – skwitowała Livia drwiąco. – Cóż, my, Marsdenowie, niczego nie robimy, jak należy, nieprawdaż?

– Masz rację. – Cieszyła się, że jej relacje z młodszą siostrą wróciły do normalności. – Ciekawie będzie obserwować, jak rozwinie się wasz związek, jeśli ograniczycie się do pisania listów na tak długi czas.

– Poniekąd nie mogę się już doczekać – wyznała Livia. – Łatwiej mi będzie zdefiniować moje prawdziwe uczucia dla pana Shawa, jeśli będą komunikować się tylko nasze umysły i serca bez udziału ciała. – Uśmiechnęła się i oblała rumieńcem, dodając nieśmiało: – Choć tych ostatnich kontaktów będzie mi brakowało.

Aline utkwiła wzrok w odległym punkcie za oknem. Wschodzące słońce powoli zalewało posiadłość swoim blaskiem. Posmutniała na myśl, że ona również będzie tęsknić za rozkoszami w męskich ramionach.

– Wszystko się ułoży – powiedziała. – Wiążę wielkie nadzieje z tobą i panem Shawem.

– A co z tobą i McKenną? Czy dla was jest nadzieja? – Livia zmarszczyła brwi na widok miny siostry. – Nieważne… Niepotrzebnie pytałam. Obiecałam sobie, że nic już na ten temat nie powiem i od teraz będę trzymać język za zębami, choćby miało mnie to zabić…

Aline wróciła myślami do rzeczywistości i postanowiła wyjść na dziedziniec. Zauważyła, że jeden z lokajów, Peter, ma trudności

z załadowaniem ogromnego kufra na tył powozu. Był postawny, lecz mosiężne okucia go pokonały. Kufer zaczął się powoli zsuwać i przeważać Petera.

Dwaj goście, pan Cuyler i pan Chamberlain, zauważyli problem, lecz żadnemu z nich nie przyszło do głowy, by zaproponować swoją pomoc. Jednocześnie odsunęli się od pojazdu i kontynuowali konwersację, obserwując zmagania Petera. Aline rozejrzała się, szukając służącego, który mógłby pomóc lokajowi. Zanim zdołała kogokolwiek zawołać, znikąd pojawił się McKenna, podszedł do powozu i podparł kufer ramieniem. Mięśnie na jego barkach napięły się pod szwami surduta, gdy wepchnął kufer na miejsce i przytrzymał go, by Peter mógł przypiąć go skórzanym pasem.

Cuyler i Chamberlain odwrócili wzrok, jakby zawstydziło ich to, że jeden z nich pomaga służącemu w tak niewdzięcznym zadaniu. Sam fakt dysponowania wyjątkową krzepą stanowił dowód przeciwko McKennie, ponieważ zdradzał, że kiedyś podejmował się prac niegodnych dżentelmena. Gdy w końcu kufer został zabezpieczony, McKenna cofnął się i skwitował podziękowania lokaja nieznacznym skinieniem głowy. Obserwując tę sytuację, Aline nie mogła nie zauważyć, że gdyby McKenna został w Stony Cross, bez wątpienia znajdowałby się teraz w tym samym miejscu, co Peter – służyłby jako lokaj. Ale dla niej nie miałoby to znaczenia. Kochałaby go niezależnie od tego, dokąd by się udał i co by robił. Dręczyła ją tylko świadomość, że on nigdy się o tym nie dowie.

Wyczuwszy na sobie jej wzrok, podniósł głowę, po czym natychmiast się odwrócił. Zacisnął szczęki i przez chwilę trwał w milczącym zamyśleniu, po czym znów na nią spojrzał. Zmroził ją wyraz jego twarzy… Taki zimny i pełen rezerwy… Uświadomiła sobie nagle, że jego uczucia do niej zamieniają się we wrogość proporcjonalną do siły jego miłości. „Wkrótce mnie znienawidzi – pomyślała z rozpaczą – jeśli już tego nie robi".

Wyprostował się, podszedł do niej i zatrzymał na odległość ramienia. Stali tak naprzeciwko siebie w krępującym milczeniu, a wokół nich spacerowały i gawędziły grupy ludzi. Uniesienie podbródka i spojrzenie mu w oczy okazało się jednym z najtrudniejszych wyzwań jej życia. Egzotyczne niebieskozielone

tęczówki niemal zniknęły za zasłoną czarnych źrenic. Pobladł pod zdrową opalenizną, a jego żywiołowość ustąpiła pod naporem bezkresnej ponurości.

Opuściła wzrok.

– Życzę ci szczęścia, McKenna – szepnęła w końcu.

Znieruchomiał.

– Ja również ci tego życzę.

Znów zapadła cisza tak ciężka, że Aline niemal ugięła się pod jej ciężarem.

– Mam nadzieję, że będziesz miał bezpieczną i przyjemną podróż.

– Dziękuję.

Niezdarnie podała mu rękę. Nie przyjął jej. Poczuła, że jej palce drżą. Już miała cofnąć dłoń, gdy nagle chwycił ją i uniósł jej palce do ust. Poczuła ich chłodny, suchy dotyk na skórze.

– Żegnaj – szepnął.

Ściskało ją w gardle, gdy stała z dłonią zawieszoną w powietrzu. Powoli złączyła palce, zacisnęła je w pięść na brzuchu i odwróciła się na oślep. Czuła na sobie jego wzrok, gdy odchodziła. Wspięła się na schody wiodące do holu wejściowego i nagle poczuła szarpanie grubej blizny za kolanem, uporczywe, irytujące pieczenie, przez które w jej oczach stanęły gniewne łzy.

ROZDZIAŁ 19

Po odjeździe ostatniego gościa Aline włożyła wygodną suknię domową i udała się do rodzinnego saloniku. Zwinęła się w rogu wyścielanej sofy i godzinami wpatrywała niewidzącym wzrokiem w przestrzeń. Dzień był ciepły, lecz ona trzęsła się pod grubym pledem, a palce u rąk i nóg miała zimne jak lód. Poprosiła więc pokojówkę, by ta napaliła w kominku i przyniosła jej dzbanek gorącej herbaty.

Słyszała, jak służba sprząta pokoje, spaceruje po korytarzach, doprowadzając posiadłość do porządku po tym, jak w końcu pozbyli się wszystkich gości. Na nią również czekały obowiązki: sporządzenie inwentarza, rozmowa z panią Faircloth o tym, które pokoje należy zamknąć i co trzeba będzie kupić na targu. Nie potrafiła jednak wyrwać się z otępienia, w którym się pogrążyła. Czuła się jak zegar z uszkodzonym mechanizmem – sparaliżowana i bezużyteczna.

Drzemała na sofie, aż ogień w kominku wygasł, a promienie słońca wpadające przez zasunięte story zastąpiła łuna zachodu. Obudził ją cichy dźwięk, poruszyła się więc niechętnie. Otworzyła zapuchnięte oczy i zobaczyła, że do pokoju wszedł Marcus. Stanął obok kominka i spojrzał na nią tak, jakby stanowiła zagadkę, której nie potrafił rozwiązać.

– Czego chcesz? – zapytała, marszcząc brwi. Usiadła i potarła powieki.

Marcus zapalił lampę i podszedł do sofy.

– Pani Faircloth powiedziała mi, że cały dzień nie jadłaś.

Pokręciła głową.

– Jestem zmęczona. Później coś zjem.

Brat stanął nad nią i zmarszczył brwi.

– Wyglądasz koszmarnie.

– Dziękuję – odparła zgryźliwie. – Jak już mówiłam, jestem zmęczona. Chce mi się spać, to wszystko…

– Przespałaś praktycznie cały dzień… I w niczym ci to nie pomogło.

– Czego chcesz, Marcusie? – powtórzyła z irytacją w głosie.

Długo nie odpowiadał. Włożył dłonie do kieszeni surduta, jakby się nad czymś zastanawiał. W końcu spojrzał na zarys jej kolan ukrytych pod fałdami błękitnej muślinowej sukni.

– Przyszedłem cię o coś prosić – mruknął szorstko.

– O co?

Sztywnym gestem wskazał jej stopy.

– Czy mogę je zobaczyć?

Posłała mu skonsternowane spojrzenie.

– Moje nogi?

– Tak.

Usiadł na drugim końcu sofy, z miną bez wyrazu.

Nigdy jeszcze nie wygłosił takiej prośby. Dlaczego chciałby obejrzeć jej nogi teraz, po tych wszystkich latach? Nie pojmowała jego motywów, lecz była zbyt zmęczona, by porządkować teraz swoje emocje. „Nic się przecież nie stanie, jeśli mu je pokażę”, pomyślała.

Zanim zdołała się rozmyślić, zdjęła pantofle. Nogi pod suknią miała gołe. Uniosła je na poduszki sofy, zawahała się, po czym podciągnęła spódnicę i reformy aż do kolan.

Oddech uwiązł Marcusowi w gardle na ułamek sekundy, lecz poza tym nie pokazał po sobie żadnej reakcji. Jego wzrok sunął powoli po gruzłowatych rysunkach blizn, plamach szorstkiej spalonej skóry aż do szokująco kontrastującej z nimi bieli jej stóp. Obserwując jego obojętną twarz, Aline uświadomiła sobie nagle, że wstrzymuje oddech. Płuca zaczęły ją piec. Odetchnęła powoli, zdumiona, że zdołała zaufać Marcusowi aż do tego stopnia.

– Ładne nie są – orzekł w końcu – ale nie jest tak źle, jak się spodziewałem.

Delikatnie okrył jej nogi spódnicą.

– Podejrzewam, że to, czego nie widzimy, często okazuje się gorsze w naszej wyobraźni, niż jest w rzeczywistości.

Ze zdumieniem spojrzała na swego nadopiekuńczego, upartego, często irytującego brata, którego całym sercem kochała. Jako dzieci byli sobie w zasadzie obcy, lecz po śmierci ojca Marcus udowodnił, że jest honorowym i troskliwym mężczyzną. Tak jak ona był niezależny aż do przesady, na pozór towarzyski, ale też szalenie skryty. Lecz w przeciwieństwie do niej ponad wszystko cenił szczerość, nawet jeśli prawda okazywała się bolesna.

– Dlaczego teraz postanowiłeś je obejrzeć? – zapytała.

Zaskoczył ją uśmiechem, który wyrażał pogardę dla samego siebie.

– Nigdy nie wiedziałem, jak sobie radzić z twoim wypadkiem, więc marzyłem, by nigdy się nie wydarzył. Mam wrażenie, że w jakiś sposób cię zawiodłem. Widok twoich nóg i świadomość, że nie mogę zrobić nic, by poprawić twoją sytuację, to dla mnie cholernie trudne.

Ze zdumieniem pokręciła głową.

– Dobry Boże, Marcusie, jak miałbyś zapobiec temu wypadkowi? Chyba posuwasz się za daleko z tym swoim poczuciem odpowiedzialności za wszystkich, nie sądzisz?

– Postanowiłem pokochać nieliczne grono osób na tym świecie – mruknął – a ty i Livia do niego należycie… I oddałbym życie, jeśli tylko mógłbym oszczędzić wam dzięki temu jednej chwili cierpienia.

Uśmiechnęła się do niego, czując, że otępiałość, w jaką popadła, ustępuje. Mimo iż rozum mówił jej co innego, nie zdołała się powstrzymać i zadała mu, walcząc jednocześnie z przypływem słabej nadziei, to jedno niezwykle istotne pytanie:

– Marcusie... – szepnęła z wahaniem. – Czy gdybyś kochał kobietę, takie blizny powstrzymałyby cię…

– Nie – przerwał jej stanowczo. – Nie, nic by mnie nie powstrzymało.

Zaczęła się zastanawiać, czy to faktycznie prawda. Istniała przecież możliwość, że Marcus znów próbuje ją chronić, oszczędzając jej uczucia. Nie należał jednak do ludzi, którzy kłamią z dobroci serca.

– Nie wierzysz mi? – zapytał.

Niepewnie pokręciła głową.

– Chciałabym wierzyć.

– Mylisz się, zakładając, że poszukuję ideału kobiety. Cenię piękno fizyczne jak każdy mężczyzna, lecz nie to jest najważniejsze. Byłby

to przejaw hipokryzji ze strony mężczyzny, któremu bardzo daleko do ideału.

Podniosła na niego zdumiony wzrok i spojrzała na jego harmonijne rysy, silną szczękę i przenikliwe czarne oczy pod prostymi liniami brwi.

– Jesteś atrakcyjny – oceniła szczerze. – Może nie tak bardzo jak pan Shaw… ale niewielu mężczyzn może się z nim równać.

Wzruszył ramionami.

– Uwierz mi, to nie ma znaczenia, ponieważ moja uroda, a raczej jej brak, nigdy nie stanowiła dla mnie przeszkody. Dzięki czemu dysponuję bardzo zrównoważonymi poglądami na temat fizycznego piękna… Poglądami, których ktoś o twojej urodzie może nie podzielać.

Zmarszczyła brwi, zastanawiając się, czy to zawoalowana krytyka.

– To musi być szalenie trudne – kontynuował – dla kobiety tak pięknej jak ty czuć, że jakaś część ciebie jest wstydliwa i powinna być ukrywana. Nigdy się z tym nie pogodziłaś, prawda?

Oparła się o zagłówek sofy i pokręciła głową.

– Nienawidzę tych blizn. Nigdy nie przestanę żałować, że je mam. I nic nie mogę z tym zrobić.

– Tak jak McKenna nigdy nie zmieni tego, że jest nisko urodzony.

– Jeśli próbujesz porównywać te sytuacje, Marcusie, niczego nie osiągniesz. Pochodzenie McKenny nigdy nie miało dla mnie znaczenia. Nic nie sprawiłoby, że przestałabym go kochać i pragnąć… – urwała, gdy w końcu zrozumiała, do czego Marcus zmierza.

– Nie sądzisz, że on mógłby czuć to samo w stosunku do twoich nóg?

– Nie wiem.

– Na miłość boską, powiedz mu prawdę. To nie czas na poddawanie się dyktatowi dumy.

Jego słowa ją oburzyły.

– To nie ma nic wspólnego z dumą!

– Czyżby? – Posłał jej sarkastyczne spojrzenie. – Nie możesz znieść myśli, że McKenna dowie się, iż nie jesteś doskonała. Cóż to jest, jeśli nie duma?

– To nie takie proste – zaprotestowała.

Niecierpliwie wykrzywił usta.

– Może problem nie jest prosty, ale rozwiązanie jest. Zacznij zachowywać się jak dorosła kobieta, którą jesteś, i przyznaj, że masz wady. A potem daj temu biedakowi szansę udowodnienia, że będzie cię kochał mimo nich.

– Jesteś nie do zniesienia, kiedy się wymądrzasz – wykrztusiła, marząc o tym, by wymierzyć mu policzek.

Uśmiechnął się ponuro.

– Jedź do niego, Aline. Albo obiecuję ci, że ja pojadę i sam mu powiem.

– Nie ośmielisz się!

– Już nakazałem przygotować powóz do drogi – poinformował ją. – Wyjeżdżam do Londynu za pięć minut, z tobą lub bez ciebie.

– Na miłość boską! – eksplodowała. – Czy ciebie nigdy nie męczy nakazywanie wszystkim, co mają robić?

– Szczerze mówiąc, nie.

Poczuła się rozdarta pomiędzy śmiechem a wściekłością, usłyszawszy tę odpowiedź.

– Do dzisiejszego dnia robiłeś wszystko, by uniemożliwić mi związek z McKenną. Dlaczego nagle zmieniłeś zdanie?

– Ponieważ masz trzydzieści jeden lat i wciąż jesteś panną, a ja zrozumiałem, że to być może jedyna okazja, by się ciebie pozbyć. – Uśmiechnął się szeroko i uchylił się, gdy się na niego zamachnęła, po czym wziął ją w ramiona i uścisnął mocno. – I dlatego, że chcę, byś była szczęśliwa – szepnął w jej włosy.

Wtuliła twarz w jego ramię, czując, że do oczu napływają jej łzy.

– Bałem się, że McKenna cię zrani – kontynuował Marcus. – Wierzę, że z taką intencją przyjechał. Nie zdołał jednak zrealizować swojego planu po wszystkim, co zaszło i zostało powiedziane. Myślał, że go zdradziłaś, ale nawet to nie zabiło jego miłości do ciebie. Gdy dzisiaj wyjeżdżał, wydawał się… pokonany. A ja pojąłem w końcu, że to on od początku znajdował się w większym niebezpieczeństwie niż ty. W zasadzie współczułem temu łajdakowi, ponieważ każdy mężczyzna potwornie się boi, że zostanie w ten sposób zraniony. – Sięgnął po chusteczkę. – Proszę, weź to, zanim całkiem zrujnujesz mi surdut.

Głośno wydmuchała nos i odsunęła się od niego. Była przerażona, jakby Marcus namawiał ją do skoku w przepaść.

– Pamiętasz, jak kiedyś powiedziałeś mi, że nie lubisz podejmować ryzyka? Cóż, podzielam twoją niechęć.

– Jeśli dobrze pamiętam, powiedziałem, że nie lubię podejmować zbędnego ryzyka – poprawił ją łagodnie. – To ryzyko wydaje się jednak niezbędne, nie uważasz?

Wbiła w niego nieruchome spojrzenie. Bardzo się starała, lecz nie zdołała pozbyć się wrażenia, że niezależnie od tego, co teraz postanowi, ta obezwładniająca potrzeba będzie rządziła resztą jej życia. Nic się nie skończy, gdy McKenna opuści Anglię. Nie znajdzie w przyszłości spokoju, tak jak nie zaznała go przez dwanaście ostatnich lat. Na samą myśl o tym poczuła mdłości, przerażenie, lecz także osobliwą lekkość. Niezbędne ryzyko…

– Pojadę do Londynu – oświadczyła nieco drżącym głosem. – Potrzebuję tylko kilku minut, by włożyć podróżną suknię.

– Nie ma na to czasu.

– Ale ja nie jestem ubrana do wyjścia z domu…

– Już bardzo możliwe, że nie zdążymy złapać parowca przed wypłynięciem.

Zelektryzowana jego słowami, w pośpiechu włożyła pantofle.

– Marcusie, musisz dowieźć mnie tam na czas!

Marcus radził jej, by spróbowała się zdrzemnąć w drodze, lecz Aline nie spała przez większość nocy. Czuła ucisk w żołądku, gdy wpatrywała się mrok panujący w powozie, zastanawiając się, czy zdąży zobaczyć McKennę, zanim jego statek „Britannia” wypłynie do Ameryki. Marcus od czasu do czasu pochrapywał na drugim siedzeniu. Tuż przed świtem jednak zmęczenie wzięło górę. Zasnęła na siedząco, opierając policzek na aksamitnej zasłonie ozdabiającej ścianę powozu. Szybując w pustce bez snów, miała trudności z obudzeniem się, gdy Marcus lekko nią potrząsnął.

– Co…? – wymamrotała, mrugając i się przeciągając.

– Otwórz oczy. Jesteśmy w dokach.

Usiadła niezgrabnie, a Marcus zastukał w drzwi powozu. Lokaj Peter, który też wyglądał na bardzo zmęczonego, otworzył je z zewnątrz. Do środka od razu napłynęła osobliwa mieszanina zapachów – słodkawy rybny odór, ciężki od nut węgla i tytoniu. Skrzeki mew łączyły się z ludzkimi pokrzykiwaniami: „Rusz się i zwiń linę!" i „Zrzuć ładunek tutaj!" czy też innymi, równie niezrozumiałymi dla niej frazami. Marcus wyskoczył z powozu, a ona odsunęła włosy, które opadły jej na czoło, i wychyliła się, by spojrzeć, dokąd się wybiera.

W dokach panowało ogromne poruszenie, po obu stronach kanału wyrastał bezkresny las masztów. Cumowały tu barki z węglem, parowce i zbyt wiele statków kupieckich, by można je zliczyć. Tłumy postawnych, zlanych potem tragarzy przenosiły w rękach bele, skrzynie, beczki i ładunki każdego rodzaju do pobliskich magazynów. Wysokie żelazne dźwigi znajdowały się w ciągłym ruchu, a każdym z długich żelaznych ramion operowało dwóch mężczyzn, przenosząc ładunki ze statków na ląd. Była to ciężka i niebezpieczna praca. Nie mieściło się jej w głowie, że McKenna w ten sposób zarabiał kiedyś na życie.

Na odległym końcu doku obok magazynów znajdował się piec, w którym palono zniszczony tytoń. Z jego długiego komina unosiła się ku niebu gruba chmura szarawego dymu.

– Nazywają to fajką królowej – mruknął Marcus sucho, patrząc w tę samą stronę.

Po drugiej stronie nabrzeża Aline zauważyła masywny parowiec kołowy, który mierzył co najmniej sześćdziesiąt metrów.

– Czy to „Britannia"?

Marcus przytaknął.

– Poszukam kogoś, kto będzie mógł odwołać McKennę ze statku.

Zacisnęła mocno powieki, próbując wyobrazić sobie minę Johna, gdy otrzyma wiadomość. W swoim obecnym stanie raczej nie przyjmie tego spokojnie.

– Może to ja powinnam wejść na pokład – zasugerowała.

– Nie – odparł jej brat natychmiast. – Lada chwila podniosą kotwicę… Nie zamierzam ryzykować, że przepłyniesz Atlantyk jako pasażer na gapę.

– Przeze mnie McKenna spóźni się na rejs. A wtedy mnie zamorduje.

Marcus prychnął niecierpliwie.

– Ten statek odpłynie, jak ja będę tutaj stał i się z tobą kłócił. Chcesz porozmawiać z McKenną czy nie?

– Tak!

– No to zostań w powozie. Peter i woźnica się tobą zaopiekują. Ja niedługo wrócę.

– Może nie zgodzić się zejść na ląd – szepnęła. – Bardzo go zraniłam, Marcusie.

– Zejdzie – odparł z pełnym przekonaniem. – W taki czy inny sposób.

Pełen wahania uśmiech zdołał przebić się przez jej zdenerwowanie, gdy obserwowała, jak Marcus kroczy przed siebie, gotów uciec się do siły fizycznej, jeśli okaże się to konieczne, w stosunku do przeciwnika niemal o głowę wyższego.

Opadła na poduszki i odsunęła zasłonę, by wyjrzeć przez okno. Przyglądała się policjantowi portowemu, który przechadzał się pomiędzy rzędami cennych beczek cukru. Gdy czekała, przyszło jej do głowy, że musi wyglądać, jakby przeciągnięto ją przez ciernisty zagajnik. Miała pomięte ubranie i zmierzwione włosy. Nie zdążyła nawet włożyć butów. „Nie wyglądam jak elegancka dama, która zwiedza miasto", pomyślała z przekąsem, zerkając na swoje palce, którymi poruszyła w wełnianych pantoflach.

Minuty mijały, a w powozie robiło się coraz bardziej duszno. Gdy doszła do wniosku, że odór doków jest lepszy niż przesiadywanie w zamkniętym pomieszczeniu bez dostępu świeżego powietrza, zastukała w drzwi, by wezwać Petera. Drzwi otworzyły się natychmiast na oścież z siłą, która ją przestraszyła. Znieruchomiała z uniesioną ręką. W drzwiach powozu stanął McKenna, a jego szerokie barki odcięły dopływ światła słonecznego z zewnątrz. Chwycił ją za ramię, jakby próbował ocalić ją przed upadkiem. Zacisnął palce tak mocno, że poczuła ból. Skrzywiła się i nagle zauważyła, że McKenna wygląda jak zupełnie obcy człowiek. Niemal nie wierzyła, że ten mężczyzna o surowych rysach jeszcze niedawno trzymał ją w ramionach i czule całował.

– Co się stało? – warknął ochryple. – Byłaś u lekarza?

– Co? – Wbiła w niego zszokowane spojrzenie. – Po co miałabym iść do lekarza?

Zmrużył powieki i szybko cofnął rękę.

– Nie jesteś chora?

– Nie… Skąd pomysł, że… – Gdy tylko zrozumiała, skierowała rozgniewane spojrzenie na brata, który stał tuż za McKenną. – Marcusie! Coś ty mu naopowiadał?

– W przeciwnym razie by nie przyszedł – oświadczył Marcus bez cienia skruchy i odsunął się od powozu, by zapewnić im choć odrobinę prywatności.

Zganiła go wzrokiem. Jej położenie już było dostatecznie trudne, a tymczasem Marcusowi udało się jeszcze bardziej zirytować McKennę.

– Przepraszam – powiedziała. – Mój brat wprowadził cię w błąd… Nie jestem chora. Jestem tutaj, ponieważ rozpaczliwie pragnę z tobą porozmawiać.

Zmierzył ją lodowatym spojrzeniem.

– Nie mamy sobie już nic do powiedzenia.

– Ależ mamy – zapewniła go. – Przedwczoraj oświadczyłeś, że żałowałbyś do końca życia, gdybyś otwarcie ze mną nie porozmawiał. Powinnam była zrewanżować się tym samym i bardzo żałuję, że tego nie zrobiłam. Jechałam przez całą noc, żeby to naprawić, zanim opuścisz Anglię. Proszę… nie, błagam, byś dał mi szansę wyjaśnić moje zachowanie.

Pokręcił głową.

– Lada chwila podniosą trap. Jeśli za pięć minut nie wrócę na pokład, odpłyną wszystkie moje kufry i dokumenty… Wszystko poza tym, co mam na sobie.

Przygryzła wnętrze policzka, próbując zapanować nad narastającą w niej desperacją.

– W takim razie ja wejdę na pokład z tobą.

– I przepłyniesz Atlantyk bez choćby szczoteczki do zębów? – zadrwił.

– Tak.

Wpatrywał się w nią surowo przez długą chwilę. W żaden sposób nie zdradził, co czuje ani nawet czy rozważa jej prośbę. Zastanawiając się, czy jej odmówi, gorączkowo szukała właściwych słów, klucza do jego zamkniętego wnętrza… i nagle zauważyła na jego skroni gwałtownie pulsującą żyłę. Rozkwitła w niej nadzieja. Nie była mu obojętna, nawet jeśli próbował udawać, że jest inaczej. Być może jedynym sposobem na ukojenie jego urażonej dumy było poświęcenie własnej. Z wahaniem zrzuciła swoją zbroję i przemówiła pokorniej niż kiedykolwiek wcześniej:

– Proszę. Jeśli coś do mnie czujesz, nie wracaj na ten statek. Przysięgam, że nigdy więcej o nic cię nie poproszę. Daj mi tylko powiedzieć prawdę, McKenna.

Znów zapadła bolesna cisza. McKenna zacisnął szczęki, aż zadrgał mięsień w jego policzku.

– Przeklęta kobieta – mruknął cicho.

Z obezwładniającą ulgą uświadomiła sobie, że jej nie odmówi.

– Pojedziemy do Marsden Terrace? – ośmieliła się szepnąć.

– Nie… Prędzej mnie piekło pochłonie, niż pozwolę, by twój brat sterczał nad nami. On może jechać do Marsden Terrace, a ty i ja porozmawiamy w pokojach, które Shaw wynajął w hotelu Rutledge.

Nie zaprotestowała, by przypadkiem nie zmienił zdania. Pokiwała tylko głową i osunęła się na poduszki powozu, podczas gdy jej serce głośno tłukło się w piersi.

McKenna wydał rozkazy woźnicy, po czym wsiadł do środka. Marcus zaraz poszedł w jego ślady – widać było, że nie podoba mu się ten plan, najwyraźniej chciał zachować kontrolę nad sytuacją. Nie sprzeciwił się jednak, tylko usiadł obok Aline i skrzyżował ramiona na piersi.

Zapanowała ciężka, nieprzenikniona cisza, gdy powóz powoli oddalał się od portu. Aline było potwornie niewygodnie, jej nogi zesztywniały i czuła w nich mrowienie, przeżywała do tego burzę emocji i bolała ją głowa. Nie pomagało jej również to, że McKenna wyglądał równie przystępnie i wyrozumiale, co blok granitu. A ona nie była nawet pewna, co mu powie, jak wyzna mu prawdę, by nie wywołać w nim współczucia ani odrazy.

Marcus chyba wyczuł jej lęk, bo sięgnął po jej dłoń i ścisnął jej palce, by dodać jej otuchy. Gdy podniosła wzrok, zauważyła, że McKenna widział ten subtelny gest. Przeniósł podejrzliwe spojrzenie z twarzy Marcusa na jej twarz.

– Równie dobrze możesz zacząć wyjaśniać mi wszystko teraz – oświadczył.

Zerknęła na niego i uśmiechnęła się przepraszająco.

– Wolałabym zaczekać, jeśli ci to nie przeszkadza.

– Oczywiście – odparł pogardliwie. – Przecież nigdzie mi się nie spieszy.

Marcus zesztywniał, słysząc jego ton.

– Posłuchaj, McKenna…

– Nic się nie stało – przerwała mu i szturchnęła go łokciem w bok. – Już dość pomogłeś, Marcusie. Od teraz poradzę sobie sama.

Marcus zmarszczył brwi.

– Może i tak, ale nie podoba mi się, że pojedziesz do hotelu sama, bez członka rodziny ani nawet kogoś ze służby. To wywoła plotki, a ja nie…

– Plotki to najmniejsze z moich zmartwień – wtrąciła, wbijając łokieć w jego żebra jeszcze mocniej.

Marcus stęknął i umilkł.

Miała wrażenie, że upłynęła cała wieczność, zanim dotarli do hotelu Rutledge. Powóz zatrzymał się w bocznej alejce za jednym z czterech prywatnych budynków. Aline cierpiała męki, gdy McKenna wysiadł i podał jej rękę. Odwróciła głowę i zerknęła na Marcusa. Widząc nieskrywaną bezradność w jej oczach, Marcus pokiwał głową uspokajająco, po czym zwrócił się do McKenny:

– Zaczekaj. Chciałbym z tobą pomówić – oświadczył twardym głosem.

McKenna uniósł czarną brew i odszedł z hrabią na bok. Obrzucił go lodowatym spojrzeniem.

– Co znowu?

Marcus zniżył głos na tyle, by siostra go nie usłyszała:

– Mam cholerną nadzieję, że cię nie przeceniłem, McKenna. Cokolwiek wyniknie z twojej rozmowy z moją siostrą, chcę, byś

wiedział jedno… Jeśli ją w jakikolwiek sposób zranisz, zapłacisz za to życiem. Dosłownie.

Coraz bardziej tracąc cierpliwość, McKenna pokręcił głową i wymamrotał coś brzydko pod nosem. Podszedł do Aline i poprowadził ją do tylnych drzwi, w które już pukał lokaj. Na progu pojawił się osobisty pokojowy Gideona Shawa i zrobił otwarcie zdumioną minę.

– Pan McKenna?! – zawołał. – Myślałem, że pana statek już odpłynął…

– Bo odpłynął – mruknął McKenna krótko.

Pokojowy zamrugał, próbując odzyskać panowanie nad sobą.

– Jeśli szuka pan pana Shawa, to pan Shaw pojechał do biura…

– Chcę na kilka minut zająć jego pokoje – przerwał mu McKenna. – Dopilnuj, by nikt nam nie przeszkodził.

Wykazując się godnym podziwu taktem, pokojowy nawet nie spojrzał na Aline.

– Tak jest, proszę pana.

McKenna bez zbędnych grzeczności wprowadził Aline do środka. Udali się do salonu, za którym znajdowała się sypialnia. Ktoś rozsunął ciężkie aksamitne story. Koronkowe firanki w odcieniu herbaty rozpraszały sączące się przez szyby światło słońca.

Aline nie potrafiła opanować zdenerwowania. Zaczęła się trząść tak gwałtownie, że aż szczękała zębami. Usiadła w skórzanym fotelu. Po dłuższej chwili McKenna uczynił to samo i objął ją chłodnym spojrzeniem. Zabytkowy francuski zegar odmierzał czas na kominku, potęgując napięcie.

W jej głowie zapanowała pustka. W powozie obmyśliła całkiem nieźle skonstruowane wytłumaczenie, ale wszystkie uważnie dobierane frazy nagle zniknęły. Nerwowo zwilżyła wargi czubkiem języka.

Wzrok McKenny od razu pobiegł do jej ust. Zmarszczył brwi.

– Może w końcu coś powiesz?

Powoli wciągnęła i wypuściła powietrze, po czym potarła czoło.

– Tak, przepraszam. Po prostu nie jestem pewna, od czego zacząć. Cieszę się, że dałeś mi szansę na wyznanie prawdy, ale… to najtrudniejsza rzecz, jaką do tej pory uczyniłam. – Odwróciła wzrok

i wbiła go w wygaszony kominek, zaciskając dłonie na podłokietnikach fotela. – Jestem lepszą aktorką, niż myślałam, jeśli udało mi się przekonać cię, że twoje pochodzenie ma dla mnie jakiekolwiek znaczenie. Nic nie mogłoby być dalsze od prawdy. Nigdy nie dbałam o okoliczności, w jakich przyszedłeś na świat… Skąd pochodzisz ani kim jesteś… Mógłbyś być nędzarzem, a dla mnie nie miałoby to znaczenia. Zrobiłabym wszystko, pojechała wszędzie, by z tobą być. – Jej paznokcie wyżłobiły głębokie półksiężyce w wytartej skórze. Zamknęła powieki. – Kocham cię, McKenna. Zawsze cię kochałam.

W pokoju panowała cisza, którą zakłócało tylko tykanie zegara. Kontynuowała, mając osobliwe wrażenie, że słucha sama siebie z oddali.

– Mój związek z lordem Sandridge'em nie jest tym, na co wygląda. Romantyczne zaangażowanie pomiędzy nami to mrzonka… która dobrze służyła zarówno jemu, jak i mnie. On nie pragnie mnie fizycznie, nie mógłby żywić do mnie takich uczuć, ponieważ jest... – urwała zawstydzona. – Jego inklinacje ograniczają się do mężczyzn. Zaproponował mi małżeństwo jako praktyczny układ… Związek dwojga przyjaciół. Nie powiem, że nie pociągała mnie jego oferta, ale odmówiłam mu, zanim wróciłeś z Londynu.

Otworzyła oczy i wbiła spojrzenie w swoje kolana. Błogie otępienie powoli ją opuszczało. Czuła się obnażona, bała się. To była najtrudniejsza część: oddać się na łaskę mężczyzny, który mógł zniszczyć ją jednym słowem. Mężczyzny, który miał prawo być wściekły za to, jak go potraktowała.

– Ta choroba, którą przechodziłam wiele lat temu… – kontynuowała ochryple. – Miałeś rację, gdy podejrzewałeś mnie o kłamstwo. To nie była gorączka. Zostałam ranna w pożarze… Bardzo mocno poparzona. Byłam w kuchni z panią Faircloth, gdy olej na patelni zajął się ogniem, od którego zapalił się kosz z węglem. Nic więcej nie pamiętam. Podobno od kosza zajęły się moje ubrania i błyskawicznie stanęłam w płomieniach. Próbowałam uciekać… Lokaj powalił mnie na ziemię i zdusił ogień. Uratował mi życie. Może pamiętasz Williama… Chyba był drugim lokajem, gdy jeszcze mieszkałeś w Stony Cross... – urwała, by zaczerpnąć tchu. W końcu

udało się jej zapanować nad drżeniem głosu. – Moje nogi praktycznie się zwęgliły.

Zaryzykowała – podniosła głowę i zauważyła, że McKenna nie siedzi już wygodnie w fotelu. Pochylał się teraz do przodu w napięciu, a jego niebieskozielone oczy płonęły w przeraźliwie bladej twarzy. Znów odwróciła wzrok. Nie dokończyłaby, gdyby na niego patrzyła.

– Znalazłam się w koszmarze, z którego nie mogłam się obudzić – powiedziała. – Gdy nie umierałam z bólu z powodu oparzeń, traciłam rozum od morfiny. Rany się zaogniły, zakaziły mi krew, lekarz zawyrokował, że nie przeżyję tygodnia. Wtedy pani Faircloth posłała po kobietę, która dysponowała wyjątkowymi umiejętnościami. Nie chciałam wyzdrowieć. Pragnęłam umrzeć. Ale pani Faircloth pokazała mi list… – Umilkła na to wspomnienie. Ta chwila, w której kilka naprędce skreślonych słów uniosło ją znad przepaści, wyryła się na zawsze w jej pamięci.

– Jaki list? – usłyszała zdławiony głos McKenny.

– List od ciebie… Prosiłeś ją o pieniądze, ponieważ chciałeś uciec z terminu u pana Ilbery'ego. Pani Faircloth przeczytała mi list… Gdy usłyszałam twoje słowa, uświadomiłam sobie… że dopóki ty żyjesz na tym świecie, ja również pragnę na nim żyć. – Urwała gwałtownie, gdy jej oczy się zamgliły. Zamrugała, by odpędzić łzy.

McKenna jęknął ochryple, wstał z fotela i opadł przed nią na kolana, jakby ktoś wymierzył mu miażdżący cios prosto w serce.

– Nie wierzyłam, że wrócisz – kontynuowała. – Nie chciałam, byś się dowiedział o wypadku. A gdy pojawiłeś się w Stony Cross, uznałam, że twoja bliskość, choćby na jedną noc, jest warta każdego ryzyka. To dlatego… – zawahała się, a jej policzki zapłonęły – w tę noc po festynie…

Oddychając ciężko, zacisnął palce na krawędzi jej sukni. Pochyliła się i chwyciła go za nadgarstek, by go powstrzymać.

– Czekaj!

Znieruchomiał, mięśnie jego ramion stężały.

– Blizny po oparzeniach są bardzo brzydkie – wyszeptała. – Mam je na całych nogach. Zwłaszcza na prawej. Do tego kurczą się i sztywnieją tak, że czasami trudno mi wyprostować nogę w kolanie.

Oswajał się z tym przez chwilę, po czym powoli uwolnił nadgarstek z jej uścisku i zdjął jej pantofle jeden po drugim. Ogarnęła ją fala mdłości na myśl, co za moment zobaczy. Raz po raz przełykała ślinę, a słone łzy paliły jej gardło. Włożył ręce pod jej spódnicę i przesunął je w górę po napiętych udach i jej reformach, aż odnalazł tasiemki w talii. Zbladła jak ściana, a zaraz potem oblała się krwistym rumieńcem, gdy poczuła lekkie szarpnięcie.

– Pozwól mi – szepnął.

Uległa i niezdarnie podniosła uda, by mógł zdjąć reformy z jej pośladków i nóg. Gdy zadarł jej spódnicę aż do ud, poczuła na skórze falę chłodnego powietrza. Jej twarz i szyję zalał pot, rękawem otarła więc policzki i górną wargę.

McKenna uklęknął przed nią i ujął jej lodowatą stopę w swoją ciepłą dłoń. Przesunął kciuk po różowych palcach.

– Miałaś na nogach buty, gdy to się stało – powiedział, wpatrując się w bladą gładką skórę i delikatne nitki niebieskich żył na łuku stopy.

Poczuła pieczenie na powiekach od potu, gdy otworzyła oczy, by spojrzeć na jego ciemną głowę.

– Tak. – Wzdrygnęła się cała, gdy przesunął dłonie na kostki.

Jego palce znieruchomiały.

– Boli cię, gdy dotykam?

– N-nie. – Znów otarła twarz rękawem. Dyszała ciężko, gdy kontynuował powolne, delikatne badanie. – To tylko… Tylko pani Faircloth pozwalam ich dotykać. W niektórych miejscach nie czuję nic… W innych skóra jest nadwrażliwa.

Dotyk jego rąk na poranionych łydkach okazał się niemal nie do zniesienia. Sparaliżowana rozpaczą śledziła ruchy jego palców na szorstkich poczerwieniałych bliznach.

– Żałuję, że nie wiedziałem – szepnął. – Że nie mogłem być wtedy z tobą.

Niemal zaniosła się szlochem, ale zacisnęła mocno szczęki, by powstrzymać ich drżenie.

– Chciałam, byś przy mnie był – wyznała zdławionym głosem. – Wzywałam cię. Czasami miałam wrażenie, że jesteś, że trzymasz

mnie w ramionach… Pani Faircloth powiedziała, że majaczyłam w gorączce.

Jego dłonie znieruchomiały, za to jego szerokie barki zaczęły się trząść, jakby przechodziły go dreszcze. Po długiej chwili przesunął palce wyżej, wzdłuż wnętrz jej ud.

– I to właśnie nas rozdzieliło – mruknął niespokojnie. – To dlatego nie chciałaś wziąć mnie do łóżka i dlatego odrzuciłaś moje oświadczyny. To dlatego musiałem dowiedzieć się prawdy o tym, co zrobił twój ojciec, od Livii, zamiast usłyszeć ją od ciebie.

– Tak.

Wstał, zacisnął dłonie po obu jej stronach na podłokietnikach i pochylił się nad nią tak blisko, że ich twarze dzieliły jedynie centymetry.

Była przygotowana na smutek, współczucie, odrazę… Nie spodziewała się jednak gniewu. Nie spodziewała się, że dojrzy błysk prymitywnej furii w jego oczach i minę człowieka, który właśnie został doprowadzony do ostateczności.

– Jak myślisz, o co mi chodziło, gdy wyznałem, że cię kocham? Uznałaś, że twoje blizny będą miały dla mnie jakieś znaczenie?

Zdumiona jego reakcją tylko pokiwała głową.

– Mój Boże. – Jego twarz zapałała. – A gdyby role się odwróciły i to ja zostałbym ranny? Zostawiłabyś mnie?

– Nie!

– Dlaczego więc po mnie spodziewałaś się mniej?

Jego wybuch sprawił, że aż skuliła się w fotelu. Pochylił się nad nią jeszcze niżej, jego furia mieszała się z bólem.

– Niech cię szlag, Aline!

Ujął jej twarz w drżące dłonie, długimi palcami otoczył jej policzki, jego oczy zamgliły się i rozbłysły.

– Jesteś moją drugą połową – wyznał ochryple. – Jak mogłaś się bać, że nie będę cię chciał? Naraziłaś nas oboje na piekło bez żadnego powodu!

Najwyraźniej nie zrozumiał źródła jej lęków. Ujęła jego nadgarstki i ścisnęła je mocno, z trudem przełykając ślinę. Wbił w nią spojrzenie pełne rozpaczliwej, gniewnej troski.

– O co chodzi? – Jedną ręką wciąż obejmował jej policzek, a drugą odsunął włosy z jej czoła.

– Kochałeś się ze mną, gdy nie wiedziałeś o moich nogach. Ale teraz, gdy już wiesz… Przekonasz się, że to trudne, może nawet niemożliwe…

Błysk w jego oczach sprawił, że ogarnął ją niepokój.

– Wątpisz, czy będę mógł się z tobą kochać?

W pośpiechu zakryła nogi spódnicą, nieskończenie wdzięczna losowi, że może to zrobić.

– Moje nogi są okropne, McKenna.

Wymamrotał przekleństwo, które poraziło ją swoją wulgarnością, po czym chwycił mocno jej twarz w dłonie i zmusił ją, by na niego spojrzała. W jego głosie pobrzmiewała dzikość:

– Przez dwanaście lat żyłem w nieustającej agonii, pragnąc mieć cię w ramionach i sądząc, że to nigdy nie będzie możliwe. Pragnę cię z tysiąca powodów innych niż twoje nogi i… Nie, do diabła z tym, pragnę cię tylko z jednego powodu: ponieważ jesteś tobą. Pragnę wedrzeć się w ciebie głęboko i zostać tam na całe godziny… dni… tygodnie. Pragnę poranków, popołudni i nocy z tobą. Pragnę twoich łez, twoich uśmiechów i pocałunków… Zapachu twoich włosów, smaku twojej skóry, twojego oddechu na mojej twarzy. Pragnę widzieć cię w ostatniej godzinie życia… Leżeć w twoich ramionach, gdy wydam ostatnie tchnienie. – Pokręcił głową, patrząc na nią tak, jak skazaniec patrzy na oblicze swojego kata. – Aline – szepnął – wiesz, co to jest piekło?

– Tak. – Jej oczy wypełniły się łzami. – Egzystowanie ze świadomością, że twoje serce żyje gdzieś poza twoim ciałem.

– Nie. To świadomość, że pokładasz tak nikłą wiarę w moją miłość, że byłaś gotowa skazać mnie na życie w agonii. – Jego twarz wykrzywiła się w grymasie rozpaczy. – Na coś gorszego od śmierci.

– Przepraszam. – Jej głos się załamał. – McKenna…

– To nie wystarczy.

Przycisnął swoją zalaną łzami twarz do jej twarzy, obsypał gorączkowymi, szorstkimi pocałunkami jej wargi, policzki i brodę, jakby chciał ją pożreć.

– To za mało. Mówisz, że musiałaś żyć bez swego serca… A gdybyś utraciła również duszę? Przeklinałem każdy dzień, który musiałem przeżyć bez ciebie, i każdą noc, którą spędzałem z inną kobietą, żałując, że to nie ciebie trzymam w ramionach…

– Nie… – jęknęła.

– Marząc o tym – kontynuował gniewnie – by wspomnienia o tobie przestały mnie zżerać, zanim nic ze mnie nie zostanie. Nigdzie nie mogłem znaleźć spokoju, nawet nocami. Nawet w snach… – Urwał i obsypał ją wygłodniałymi, drżącymi pocałunkami.

Smak jego łez, jego ust zbił ją z tropu i rozpalił. Zakręciło się jej w głowie od napływu rozkoszy. McKenna zachowywał się jak opętany namiętnością, która graniczyła z przemocą – jego płuca rozrywał ciężki oddech, jego dłonie zaciskały się z siłą, która zostawiała sińce na jej delikatnej skórze.

– Na Boga – jęknął z gwałtownością mężczyzny, który zbyt wiele już przeżył. – W ostatnich dniach cierpiałem jak potępiony i mam już tego dość!

Nagle poczuła, że unosi się z fotela. Przycisnął ją do swej piersi, jakby nic nie ważyła.

– Co ty robisz? – szepnęła z niepokojem.

– Zabieram cię do łóżka.

Zaczęła się wić i wyrywać. Gorączkowo rozmyślała, jak wytłumaczyć mu, że pragnie oswajać się z tą nową sytuacją powoli, zamiast natychmiast i całkowicie się jej poddać.

– Nie, McKenna, nie jestem jeszcze na to gotowa! Proszę, chcę najpierw porozmawiać…

– Mam już dość gadania.

– Nie mogę – jęknęła rozpaczliwie. – Potrzebuję czasu. Jestem zmęczona… Nie śpię od kilku dni i…

– Aline – przerwał jej chrapliwie – żadna siła, boska czy diabelska, nie odwiedzie mnie od kochania się z tobą tu i teraz.

Jego deklaracja nie pozostawiała miejsca na negocjacje. Roztrzęsiona poczuła, że jej twarz znów oblewa się potem. McKenna przycisnął wargi do jej wilgotnego policzka.

– Nie bój się – szepnął. – Nie przy mnie.

Nic potrafiła się opanować. Od dwunastu lat dbała o swoją prywatność i odosobnienie. Świadomość, że McKenna nie pozwoli jej na wycofanie się, na ucieczkę, sprawiała, że serce dziko tłukło się w jej piersi, gdy niósł ją do drugiego pokoju, pokonując dystans pewnym krokiem. Gdy dotarli do łóżka, postawił ją na podłodze i pochylił się, by odsunąć brokatową narzutę. Na widok gładkiej, czystej białej pościeli poczuła ucisk w żołądku.

McKenna sięgnął do guzików jej sukni, przesuwając palce wzdłuż przedniego panelu i rozpinając jej stanik. Gdy rozsznurowana suknia osunęła się na podłogę, chwycił brzeg halki i zdjął ją Aline przez głowę. Dostała gęsiej skórki, gdy stanęła przed nim naga i drżąca. Całą siłą woli powstrzymywała się przed zakryciem wstydliwych części ciała.

Musnął wierzchem dłoni wzgórki jej piersi i przesunął ją na jej brzuch. Masował przez chwilę jej chłodną skórę, po czym otoczył ją ramionami z wyjątkową troską i szepnął w jej potargane włosy coś łagodnego i niezrozumiałego. Uchwyciła się klap jego surduta i oparła policzek na jego koszuli. Z nieskończoną czułością wyjął szpilki z jej włosów i rzucił je na dywan. Długie pasma spłynęły po jej plecach.

Uniósł ku sobie jej twarz, po czym zawładnął jej wargami w długim pocałunku, aż ugięły się pod nią nogi. Wtedy chwycił ją stanowczo i przytulił, aż szorstki materiał jego surduta podrażnił koniuszki jej piersi. Bezradnie rozchyliła wargi pod naporem jego warg, lecz on zażądał więcej, pieczętując jej usta wilgocią, żarem i zmysłowym ssaniem, zanim zagłębił język w ciepłych głębinach jej ust.

Zaborczo przesunął dłoń wzdłuż jej pleców aż na wypukłości pośladków i przytulił ją mocniej, by poczuła zgrubienie jego członka pod materiałem spodni. Otarł się o nią z rozmysłem, jakby chciał pokazać jej parzącą gotowość swojego ciała do połączenia się z nią. Jęknęła cicho w jego wargi. Nie dając jej czasu do namysłu, przesunął dłoń pomiędzy jej uda, które rozchylił kolanem. Głaskał i rozciągał to intymne miejsce, aż otworzyła się na niego.

Zastygając na jego dłoni, lekko wygięła się do tyłu, gdy wsunął w nią dwa palce. Więcej, domagało się jej ciało, wciągając go głębiej. Pragnęła go całą sobą, obok siebie, w sobie, pragnęła, by

wypełnił każde puste miejsce. Więcej, więcej, by nie został nawet ułamek bolesnego dystansu pomiędzy nimi.

McKenna wpasował idealnie swój członek w szczelinę pomiędzy jej udami, zapewniając rozkoszne tarcie, które idealnie korespondowało z leniwą pieszczotą jego palców. Przyciągnął ją do siebie i zaczął się miarowo poruszać, pieszcząc ją na zewnątrz i w środku w leniwym, lecz nieustępliwym rytmie. Przeciągnął policzkiem po jej włosach i musnął ciemne pasma wargami. Czuła, jak całe jej ciało tężeje, pulsuje. Rozkosz wzmagała się, aż niemal osiągnęła oszałamiający szczyt. Znów zawładnął jej ustami, jego język penetrował ją łagodnie w pocałunku. Och, tak… Och, tak…

Ku jej frustracji nagle odsunął usta i wycofał palce, zanim emocje osiągnęły szczyt.

– Jeszcze nie – szepnął, gdy zadygotała dziko.

– Potrzebuję cię – wykrztusiła z trudem.

Wilgotnymi palcami powiódł po linii jej szyi.

– Tak, wiem. I gdy w końcu pozwolę ci wstać z tego łóżka, będziesz rozumiała doskonale, jak bardzo ja potrzebuję ciebie. Zrozumiesz, na ile sposobów cię pragnę… i jak całkowicie do mnie należysz.

Podniósł ją i ułożył na wykrochmalonej pościeli. Wciąż ubrany pochylił się nad jej nagim ciałem. Gdy opuścił głowę, poczuła, że dotyka wargami jej kolana.

Było to ostatnie miejsce, w którym pragnęła czuć jego usta – najpaskudniejsza z jej blizn. Wstrząsana dreszczami zaprotestowała i zaczęła się odsuwać. Złapał ją z łatwością i unieruchomił jej biodra rękami. Przycisnął ją do materaca i znów dotknął ustami jej kolana.

– Nie musisz tego robić – jęknęła, wykrzywiając twarz w grymasie. – Wolałabym, żebyś nie… Doprawdy, nie musisz udowadniać…

– Zamknij się – szepnął czule, po czym dalej całował jej nogi, dając dowód akceptacji jej blizn, do czego sama nigdy nie była wobec siebie zdolna. Dotykał jej wszędzie, jego dłonie gładziły i pieściły zgrubiałą skórę. – Już dobrze – mruknął, kładąc dłoń na jej napiętym brzuchu i zataczając na nim kojące koła. – Kocham cię. Całą ciebie.

Obwiódł kciukiem jej pępek i skubnął zębami delikatną skórę we wnętrzu jej uda.

– Otwórz się na mnie – szepnął, a ona oblała się krwistym rumieńcem. – Otwórz się – powtórzył, przesuwając się z aksamitnymi pocałunkami coraz wyżej.

Z jękiem rozchyliła nogi, czując, że pożądanie znów się wzmaga. Usta McKenny zanurzyły się w obnażonej łechtaczce. Powiódł po niej językiem, po czym polizał ją niżej, by skosztować słonawego wejścia do jej ciała. Poczuła się ociężała. Jej zmysły się odblokowały, cała jej świadomość skupiła się na tej delikatnej, rozdzierająco lekkiej pieszczocie pomiędzy udami. McKenna cofnął się, by lekko dmuchnąć na mokre fałdki, i znów musnął czubeczek łechtaczki koniuszkiem języka. Zacisnęła dłonie w pięści i odchyliła głowę, unosząc się z materaca. Z jej gardła wyrwał się błagalny jęk. Gdy pomyślała, że nie zniesie już dłużej tej zmyślnej tortury, wsunął w nią głęboko trzy palce. Nie mogła myśleć, nie mogła się ruszyć, całe jej ciało poddało się rozkoszy. Pieścił ją językiem, podczas gdy jego splecione palce wyginały się i nacierały, aż Aline krzyknęła, wijąc się z ekstazy.

Gdy leżała na łóżku, dysząc ciężko, wstał i zdjął surdut, nie odrywając oczu od jej ociężałego ciała. Rozpiął koszulę, odsłaniając umięśniony tors pokryty czarnymi włoskami. Jego masywna sylwetka znamionowała raczej siłę niż elegancję, mimo to jego smukłe ciało cechowała gracja. Przy takim mężczyźnie kobieta mogła czuć się bezpieczna, a jednocześnie rozkosznie bezbronna.

Położył się obok niej, po czym wsunął dłoń pod jej szyję i ułożył się na niej, rozchylając jej nogi. Oddech uwiązł jej w gardle, gdy oswajała się z doznaniami… Twarde i szorstkie od włosów kończyny, oszałamiająca szerokość jego piersi, miejsca, gdzie satynowa skóra napinała się na sprężystych mięśniach... Chwycił jej prawe udo i delikatnie poprawił jej kolano tak, by nie czuła dyskomfortu z powodu blizny.

Z rozmarzeniem uniosła dłoń do jego twarzy i pogłaskała jego gładko ogolony policzek. Była to chwila tak czuła, tak słodka, że z jej oczu trysnęły łzy.

– McKenna… Nie ośmielałam się nawet o tym marzyć.

Jego gęste rzęsy opadły, gdy przycisnął czoło do jej czoła.

– A ja marzyłem – mruknął szorstko. – Tysiące razy śniłem o kochaniu się z tobą. Żaden mężczyzna na ziemi nie darzył taką

nienawiścią wschodów słońca jak ja.

Obsypał pocałunkami jej usta, szyję i różowe koniuszki piersi, a gdy zadygotała w odpowiedzi, sięgnął niżej, by wprowadzić w nią swój członek. Wszedł w nią tak głęboko, aż zetknęli się biodrami. Oboje jęknęli równocześnie z powodu tej nieznośnie słodkiej fuzji ich ciał.

Aline przesunęła dłonie na napięte plecy McKenny, a on chwycił ją pod pośladkami, by dopasować się do niej rozkosznymi pchnięciami.

– Nigdy więcej we mnie nie wątp, ukochana – szepnął chrapliwie.

Dygocząc po każdym mokrym, twardym pchnięciu, szepnęła posłusznie ustami opuchniętymi od pocałunków:

– Nigdy.

Jego rysy pałały od wysiłku i emocji.

– Nic w moim życiu nie może się równać z tym, co czuję do ciebie. Jesteś wszystkim, czego pragnę… Wszystkim, czego potrzebuję… I to się nigdy nie zmieni.

Jęknął przeciągle, gdy do głowy uderzyła mu fala spełnienia.

– Boże… Powiedz mi, że to wiesz… Powiedz mi…

– Wiem – szepnęła. – Kocham cię.

Jej wnętrze zacisnęło się na nim, a pulsująca rozkosz wypełniła ją raz jeszcze, oszałamiając ją swoją siłą i przenikliwością.

Oczy się jej zamykały, gdy McKenna z czułością otarł rogiem prześcieradła pot i łzy z jej twarzy. Ułożyła się na jego nagim ramieniu i pozwoliła powiekom opaść. Była nasycona i wyczerpana, przepełniała ją bezgraniczna ulga.

– Jestem taka zmęczona, McKenna.

– Śpij, kochanie – szepnął, odsuwając wilgotne loki z jej karku. – Będę nad tobą czuwał.

– Ty też śpij – mruknęła sennie, kładąc dłoń na jego piersi.

– Nie. – Uśmiechnął się i lekko pocałował jej skroń. W jego głosie pojawiła się nuta zachwytu. – Nie, gdy czuwanie jest lepsze niż wszystko, co mógłbym odnaleźć w snach.

Późnym popołudniem Gideon wrócił do swoich pokojów w hotelu Rutledge. Był zmęczony, blady jak ściana i poirytowany. Pragnął się napić tak bardzo, że z trudem nad sobą panował. Pochłonął tyle kawy, że mógłby nią spławiać drewno. Palił, aż zapach dymu zaczął przyprawiać go o mdłości. Było to dla niego nowe doświadczenie – ta mieszanina wyczerpania i nadmiernego pobudzenia. Doszedł jednak do wniosku, że powinien przyzwyczaić się do tego doznania.

Gdy tylko wszedł do swojego apartamentu, natknął się na pokojowego, który przekazał mu dość nieoczekiwane nowiny.

– Panie… Wygląda na to, że pan McKenna nie wyruszył w podróż do Nowego Jorku zgodnie z planem. Zamiast tego przyjechał tutaj. W towarzystwie kobiety.

Posłał pokojowemu otępiałe spojrzenie. Przez chwilę analizował jego słowa, ale w końcu pytająco uniósł brwi i potarł dłonią szczękę.

– Ośmielę się zapytać… Czy była to lady Aline?

Pokojowy przytaknął.

– Niech mnie diabli – mruknął Gideon cicho. Ponurość na jego twarzy zastąpił leniwy uśmiech. – Wciąż tu są?

– Tak, proszę pana.

Uśmiechnął się szerzej, rozmyślając nad tym nieoczekiwanym obrotem spraw.

– A więc w końcu zdobył to, czego chciał – mruknął. – Cóż, mogę tylko powiedzieć, że powinien jak najszybciej ruszyć zadek i wracać do Ameryki. Ktoś musi zbudować tę cholerną odlewnię.

– Tak, proszę pana.

Zastanawiając się, jak długo McKenna zamierza korzystać z jego pokojów, podszedł do drzwi sypialni i stanął przed nimi, zaskoczony tym, że nie dobiega zza nich żaden dźwięk. Odwrócił się, by odejść, gdy nagle usłyszał szorstki głos:

– Shaw?

Z wahaniem uchylił drzwi i wsunął głowę do środka. McKenna leżał na łóżku, opierając się na łokciu. Jego opalony tors i barki kontrastowały ze śnieżną bielą pościeli. Jedynym znakiem obecności lady Aline były jej ciemnobrązowe włosy spływające z krawędzi materaca. Leżała na zgięciu łokcia McKenny i spała mocno. McKenna podsunął kołdrę i opiekuńczo okrył jej nagie ramię.

– Spóźniłeś się na statek, jak mniemam? – zapytał Gideon łagodnie.

– Musiałem – odparł McKenna. – Okazało się, że mogłem zostawić tutaj coś bardzo ważnego.

Gideon wbił w przyjaciela wzrok, zaskoczony zmianą, jaka się w nim dokonała. McKenna wyglądał na młodszego i szczęśliwszego niż kiedykolwiek, gdy leżał tak z leniwym uśmiechem na ustach i pasmem włosów opadających na czoło. Kiedy lady Aline poruszyła się, wybudzona dźwiękiem ich głosów, pochylił się nad nią, by ukoić ją cichym szeptem.

W przeszłości widywał McKennę w o wiele lubieżniejszych okolicznościach. Z jakiegoś powodu jednak ta czułość wydała mu się tak niewypowiedzianie intymna, że poczuł całkowicie sobie obcy żar rumieńca na policzkach. Do diaska… Nie czerwienił się, odkąd skończył dwanaście lat.

– Cóż... – mruknął obojętnie. – Jako że postanowiłeś zająć moje łóżko, będę musiał znaleźć sobie jakieś inne na tę noc. Oczywiście ciebie wyrzuciłbym stąd bez namysłu… ale dla lady Aline zrobię wyjątek.

– Jedź do Marsden Terrace – zasugerował McKenna z diabelskim błyskiem w oku. Zaraz potem jego wzrok powrócił do śpiącej twarzy lady Aline, jakby nie potrafił nie patrzeć na nią nawet przez kilka sekund. – Westcliff jest tam sam… Może ucieszy go towarzystwo.

– Och, wybornie – odparł Gideon ponuro. – Będziemy mogli odbyć długą dyskusję na temat tego, dlaczego powinienem trzymać się z dala od jego najmłodszej siostry. Nie żeby miało to jakiekolwiek znaczenie, bo Livia i tak nie będzie o mnie za sześć miesięcy pamiętać.

– No nie wiem – mruknął McKenna z szerokim uśmiechem. – Nie trać nadziei. Wszystko jest możliwe… Na Boga, sam jestem tego najlepszym dowodem.

EPILOG

Porywisty lutowy wiatr chłostał szyby salonu, odrywając uwagę Livii od listu, który trzymała w dłoni. Zwinięta w kłębek w rogu sofy, z kaszmirowym pledem na kolanach zadygotała z rozkoszą, doceniając kontrast między wilgotną, lodowatą pogodą na zewnątrz i radosnym ciepłem kominka. Obok niej leżało mahoniowe pudełko na korespondencję, po jednej stronie wypełnione schludnym stosikiem listów, a po drugiej wypchane o wiele mniej zdyscyplinowanym plikiem przewiązanym błękitną wstążką. Mniejszy stosik pochodził od jej siostry Aline, która pisała do niej z Nowego Jorku zaskakująco regularnie, biorąc pod uwagę typową dla niej niedbałość o korespondencję.

Drugi stos kartek pochodził z zupełnie innego źródła i spisany został tym samym męskim charakterem pisma. Zabawne, wzruszające, bogate w informacje i boleśnie intymne listy opowiadały historię mężczyzny, który walczył, by stać się lepszym człowiekiem. Mówiły też o miłości, która pogłębiła się i dojrzała przez te miesiące. Livia miała wrażenie, że pisze je zupełnie ktoś inny niż osoba, którą poznała w Stony Cross, i choć nie potrafiła się oprzeć atrakcyjności tego pierwszego Gideona, dawny hulaka zmieniał się w kogoś, komu mogła ufać i na kim mogła polegać. Sięgnęła po błękitną wstążkę, musnęła ją koniuszkiem palca i powróciła do czytania listu od Aline.

…podobno populacja Nowego Jorku powiększy się do pół miliona w ciągu dwóch najbliższych lat, co wydaje mi się całkowicie

prawdopodobne, biorąc pod uwagę obcokrajowców takich jak ja, którzy napływają tu każdego dnia. Ta mieszanina narodowości nadaje miastu cudownie kosmopolityczny charakter. Wszyscy tu zdają się mieć liberalne poglądy na taką skalę, że czasami czuję się jak prowincjuszka. Powoli oswajam się z tempem tutejszego życia i już zaraziłam się nowojorską manią samodoskonalenia. Bardzo dużo się uczę i posiadłam sztukę podejmowania decyzji i dokonywania zakupów z szybkością, która bez wątpienia Cię rozbawi, gdy znów się zobaczymy. Masz rację, podejrzewając, że pani Faircloth sprawuje w nowym domu stanowcze rządy, a do tego wydaje się zakochana w targach na zachód od Manhattanville, gdzie można zakupić dosłownie wszystko. To doprawdy zdumiewające, że trzy kilometry od ośmiopiętrowych budynków można trafić na wiejski krajobraz, usiany mnogością farm. Dopiero zaczynam odkrywać to pięknie zbudowane miasto i z radością mogę powiedzieć, że generalnie osiągam tutaj więcej w tydzień niż w miesiąc w Stony Cross.

Nie chcę Cię jednak zwodzić, więc wyznam, że miewamy z McKenną od czasu do czasu leniwe dni. Wczoraj jeździliśmy po Washington Square saniami prowadzonymi przez konie ze srebrnymi dzwoneczkami przy uprzężach, a popołudnie spędziliśmy przed kominkiem. Zabroniłam mu pracować, a on, rzecz jasna, mnie posłuchał, ponieważ w Ameryce to kobieta jest panią domu (choć wszystkie na pozór oddajemy władzę mężom). Jestem jednak łaskawym dyktatorem, a McKenna wydaje się całkiem zadowolony z takiego układu…

Livia z uśmiechem oderwała wzrok od listu, słysząc stukot kół powozu za oknem. Salon był wygodnie położony od frontu, dlatego też mogła obserwować z niego ruch na podjeździe. Czarny powóz zaprzężony w cztery konie stanowił dość pospolity widok w Stony Cross Park. Gdy jednak spojrzała na rumaki, którym para buchała z nozdrzy, poczuła zaciekawienie. Marcus nie wspominał o żadnych

gościach tego dnia… a na składanie wizyt było jeszcze o wiele za wcześnie.

Wstała z sofy, otuliła pledem ramiona i podeszła do okna. Do drzwi frontowych podszedł jeden lokaj, a drugi otworzył drzwi powozu i się odsunął. Z pojazdu wysiadł wysoki, szczupły mężczyzna, który zignorował stopień i z łatwością zeskoczył na ziemię. Miał na sobie czarny płaszcz i elegancki kapelusz, pod którym błyszczała grzywa blond włosów.

Dreszcz nagłego, intensywnego podekscytowania odebrał jej oddech. Obserwowała dżentelmena, nawet nie mrugając, i w głowie pospiesznie dokonywała obliczeń… Ależ tak, minęło sześć miesięcy, niemal co do dnia. Gideon dał jej jednak wyraźnie do zrozumienia, że nie wróci, dopóki nie zyska pewności, że stał się człowiekiem, na jakiego jego zdaniem zasługiwała. „Do tego zjawię się uzbrojony w uczciwe intencje – napisał kiedyś – więc tym gorzej dla ciebie".

Wydawał się jeszcze przystojniejszy niż dawniej, jeśli to w ogóle możliwe. Zmarszczki, będące wynikiem napięcia i cynizmu, wygładziły się, ciemne sińce spod jego oczu zniknęły. Wyglądał tak dziarsko i energicznie, że jej serce w odpowiedzi zatłukło dziko.

Choć nie poruszyła się ani nie wydała żadnego dźwięku, coś przykuło jego uwagę do okna. Spojrzał na nią przez szybę, jakby oniemiał na jej widok. Odpowiedziała takim samym spojrzeniem, czując rozdzierającą tęsknotę. „Och, znaleźć się znów w jego ramionach", pomyślała, dotykając szklanej tafli. Koniuszki jej palców zostawiły mokre ślady na cienkiej warstwie szronu.

Na twarz Gideona wypłynął leniwy uśmiech, a jego niebieskie oczy rozbłysły. Pokręcił głową i przycisnął dłoń do piersi, jakby pragnął jej powiedzieć, że jej widok to więcej, niż może znieść jego serce.

Uśmiechnęła się do niego olśniewająco, przechyliła głowę i gestem wskazała mu drzwi.

– Pospiesz się! – szepnęła bezgłośnie.

Pokiwał głową, posłał jej spojrzenie pełne obietnic i odszedł od okna.

Gdy tylko zniknął jej z oczu, rzuciła pled na sofę i zauważyła, że ściska w palcach pomięty list od siostry. Wygładziła arkusz papieru i przycisnęła do niego wargi. Reszta mogła zaczekać.

– Później, Aline – szepnęła. – Teraz muszę zadbać o własne szczęśliwe zakończenie.

Roześmiała się bez tchu, włożyła list do mahoniowego pudełka i wybiegła z pokoju.

Table of Contents

ROZDZIAŁ 1
ROZDZIAŁ 2
ROZDZIAŁ 3
ROZDZIAŁ 4
ROZDZIAŁ 5
ROZDZIAŁ 6
ROZDZIAŁ 7
ROZDZIAŁ 8
ROZDZIAŁ 9
ROZDZIAŁ 10
ROZDZIAŁ 11
ROZDZIAŁ 12
ROZDZIAŁ 13
ROZDZIAŁ 14
ROZDZIAŁ 15
ROZDZIAŁ 16
ROZDZIAŁ 17
ROZDZIAŁ 18
ROZDZIAŁ 19
EPILOG